



DOUGLAS PRESTON
LINCOLN CHILD
BEZ LITOŚCI

Bestseller
New York
Timesa

*Zasady są dla istot niższych,
dla małych...*

**Douglas Preston
Lincoln Child**

Bez litości

Cold Vengeance

Przełożył Robert Lipski

Agent specjalny Pendergast kontynuuje swoją prywatną krucjatę. Odkrył, że śmierć jego żony przed dwunastoma laty w Afryce, podczas polowania na lwa ludojada, nie była nieszczęśliwym wypadkiem. Podąża tropem kolejnych osób zamieszanych w tę sprawę. Ujawnia nowe wątki i szerszy kontekst całej historii, która może łączyć się z mglistą przeszłością Helen i jej brata Judsona. Pendergast nie zawaha się przed niczym, aby poznać prawdę o śmierci żony, prawdę, która zaprowadzi go na szkockie moczary i do zapomnianego grobu kobiety, o której istnieniu nie miał dotąd pojęcia.



Lincoln Child dedykuje tę książkę swojej córce Veronice

*Douglas Preston dedykuje tę książkę Marguericie, Laurze
i Oliverowi Prestonom*

1

Cairn Barrow, Szkocja

Gdy wspięli się na jałową grań Beinn Dearg, kamienny zameczek myśliwski Kilchurn rozplynął się w ciemnościach. Pozostała jedynie łagodna żółtawa poświata okien rezydencji rozmywająca się w przesyconym mgłą powietrzu. Kiedy Judson Esterhazy i agent specjalny Aloysius Pendergast dotarli na grzbiet grani, przystanęli, zgasili latarki i nasłuchiwali z uwagą. Była piąta rano, zbliżał się świt; zaraz samce powinny rozpocząć porykiwania.

Żaden z mężczyzn się nie odezwał. Tylko wiatr szemrał wśród traw i zawodził pomiędzy oszronionymi skałami, ale nie wychwycili najmniejszych oznak poruszenia.

– Przyszliśmy za wcześnie – powiedział w końcu Esterhazy.

– Być może – mruknął Pendergast.

Wciąż czekali, gdy pierwsze oznaki szarego jeszcze światła pojawiły się na horyzoncie, podkreślając kształty samotnych szczytów Grampianów i rzucając upiorny blady blask na całą okolicę. Powoli krajobraz wokół nich zaczął się wyłaniać z ciemności. Zameczek myśliwski został daleko w tyle; kamienne wieżyczki i blanki poprzecinane pasmami wilgoci, otoczone strzelistymi czarnymi sosnami, masywnymi, ciężkimi i milczącymi. Przed nimi wznosiły się granitowe skały Beinn Dearg, rozplywające się w mroku powyżej. Po zboczu masywu spływał potok przeradzający się w ciąg kaskad zmierzających w dół ku czarnym wodom Loch Duin, trzysta metrów niżej, prawie niewidocznym w słabym świetle przedświt. Na prawo od nich, nieco niżej, rozciągał się skraj rozległych bagien znanych jako Grzędzawisko, zasnuty podnoszącymi się wstęgami mgieł, które niosły ze sobą ledwie wyczuwalną woń rozkładu i gazu błotnego mieszającą się z mdlącym zapachem przekwitających wrzosów.

Bez słowa Pendergast zarzucił sztucer na ramię i zaczął iść wzdłuż konturu grani, kierując się ku łagodnej stromiźnie pod górę. Esterhazy podążył za nim, a myśliwska czapka z daszkiem ocieniała mu twarz, ukrywając jego emocje. Gdy wspięli się wyżej, ich oczom ukazało się Grzędawisko, zdradliwe, rozciągające się aż po horyzont, od zachodu ograniczone rozległymi czarnymi wodami wielkich moczarów Inish.

Po kilku minutach Pendergast zatrzymał się i uniósł rękę.

– Co się dzieje? – zapytał Esterhazy.

Odpowiedź nadeszła, ale nie od Pendergasta. Echo dziwnego dźwięku napłynęło od strony ukrytej górskiej doliny, obcy i przerażający ryk wielkiego byka w rui. Odgłos, pulsujący i przeciągły, poniósł się nad górami i moczarami jak żałobny lament potępionych dusz. Przepęłniały go gniew i agresja, gdyż samce jeleni krążące wśród szczytów i trzęsawisk staczały między sobą pojedynki nierzadko na śmierć i życie, a stawką w tych

walkach było przejęcie władzy nad haremem łań.

Rykowi odpowiedział drugi, który rozbrzmiał bliżej, od strony brzegów jeziora, a zaraz potem kolejny, z głębi ładu. Jeden po drugim donośne, grzmiące ryki rozlegały się w całej okolicy, aż zdawało się, że od tych dźwięków trzęsie się ziemia. Dwaj mężczyźni przysłuchiwali się w milczeniu wszystkim odgłosom, zapamiętując kierunek, skąd dochodziły, ich tembr i natężenie.

W końcu odezwał się Esterhazy, prawie niesłyszalnie wśród szumu wiatru.

– Ten w dolinie to prawdziwy potwór.

Pendergast milczał.

– Uważam, że powinniśmy pójść za nim.

– Ten na Grzędawisku – mruknął Pendergast – jest jeszcze większy.

Cisza.

– Nie wątpię, że znasz reguły myśliwskie dotyczące zapuszczania się na bagna.

Pendergast wykonał krótki, zbywający gest bladą

dłonią.

– Nie dbam o reguły. A ty?

Esterhazy zacisnął tylko usta.

Czekali, gdy szary świt rozkwitł nagle czerwienią po wschodniej stronie nieba i coraz silniejszy blask zaczął napływać nad surową szkocką wyżynę. Daleko w dole Grzędzawisko wyglądało teraz jak ziemia jałowa pełna czarnych sadzawek, krętych strumyków błotnistej wody, zdradliwych moczarów i zabójczych lotnych piasków czających się wśród splechotków zwodniczych trawiastych łąk i skupisk pogruchotanych kamieni.

Pendergast wyjął z kieszeni niewielką lunetę, rozłożył ją i zaczął przepatrywać Grzędzawisko. Po chwili podał lunetę Esterhazyemu.

– Jest pomiędzy drugim a trzecim skalistym wzgórzem, prawie kilometr w głąb bagien. Byk samotnik. Bez haremu.

Esterhazy patrzył z przejęciem.

– Wygląda, że to dwunastak.

– Trzynastak – poprawił Pendergast.

– Tego w dolinie łatwiej byłoby nam podejść.

Mielibyśmy lepszą osłonę. Nie jestem pewien, czy mamy choćby cień szansy na ustrzelenie tego jelenia z Grzędzawiska. Pomijając kwestię... ryzyka związanego z samym tylko zapuszczeniem się tam, byk zauważy nas z odległości ponad kilometra.

– Przejdziemy wzdłuż linii prostej wyznaczonej przez tamto drugie, większe kamienne wzgórze, które osłoni nas przed wzrokiem byka. Wiatr też mamy po swojej stronie.

– Ale grunt na bagnach jest zdradliwy.

Pendergast odwrócił się do Esterhazyego i wpatrywał się przez kilka niezręcznych sekund w jego dobrze odżywioną twarz o wysokim czole.

– Boisz się, Judsonie?

Esterhazy zbity z tropu zbył słowa agenta wymuszonym chichotem.

– Oczywiście, że nie. Zastanawiałem się tylko, jakie mamy szanse na powodzenie. Po co marnować czas na

bezowocny pościg po całym Grzędzawisku, skoro tam na dole, w wąwozie czeka na nas równie dobry jeleni?

Pendergast, zamiast odpowiedzieć, sięgnął do kieszeni i wyjął jednofuntową monetę.

– Wybieraj.

– Orzeł – powiedział z wahaniem Esterhazy.

Pendergast podrzucił monetę, złapał i przyklepał na przedramieniu.

– Reszka. Pierwszy strzał jest mój.

Pendergast poprowadził w dół zbocza Beinn Dearg. Nie było tam ścieżki, tylko popękane skały, niska trawa, drobne kwiaty polne i porosty. Kiedy noc ustąpiła miejsca porankowi, nad Grzędzawiskiem zgęstniała mgła, zalegając w niżej położonych miejscach i wspinając się po ścieżkach kamiennych pagórków i głazów.

Skradając się bezgłośnie, dwaj mężczyźni zeszli w dół stoku i zbliżyli się do obrzeży Grzędzawiska. Gdy dotarli do niewielkiej kotliny, doliny górskiej zwanej po szkocku *corrie*, u podnóża Beinn, Pendergast gestem dał

znak, aby się zatrzymać. Jeleń szkocki miał nadzwyczaj wyczulone zmysły i myśliwi musieli podjąć najwyższe środki ostrożności, aby zwierzyna nie wypatrzyła ich, nie usłyszała czy nie zwietrzyła.

Kiedy podkradli się na skraj *corrie*, Pendergast wyjrzał ponad jej obrzeżem.

Jeleń znajdował się jakiś kilometr dalej i zapuszczał się powoli w głąb Grzędawiska. Jak na komendę wielki samiec uniósł łeb, powęszył przez chwilę i wydał z siebie kolejny rozdzierający bębniący w uszach ryk, którego echo przetoczyło się i rozplynęło wśród głązów, po czym potrząsnął łbem i powrócił do obwąchiwania gruntu i skubania źdźbeł trawy.

– Mój Boże – wyszeptał Esterhazy. – Jest ogromny.

– Musimy iść szybko – rzekł Pendergast. – Kieruje się w głąb Grzędawiska.

Przeszli wzdłuż obrzeża kotliny, nie wychodząc z niecki, dopóki nie znaleźli się w linii prostej z jeleniem, przesłonięci masywem skalnego pagórka. Dopiero wtedy

zaczęli podchodzić w stronę zwierzęcia. Brzegi Grzędawiska po długim lecie stwardniały, więc poruszali się szybko, bezgłośnie, przestępując z jednej porośniętej trawą wypukłości terenu na drugą, jakby szli po palach. Kiedy znaleźli się w cieniu pagórka, przykucnęli za nim. Wiatr wciąż im sprzyjał i usłyszeli ponownie ryk starego byka, wyraźny znak, że nie wyczuł ich obecności. Pendergast zadrżał; odgłos ryku pod sam koniec skojarzył mu się niepokojąco z rykiem lwa. Gestem dał Esterhazyemu znak, żeby został za głazem, a sam podkradł się do krawędzi pagórka i ostrożnie wyjrzał spoza skał.

Jeleń stał kilometr dalej, unosząc łeb i poruszając się nerwowo. Znów potrząsnął łbem, jego masywne poroże aż lśniło. Raz jeszcze uniósł łeb i zaryczał. Trzynastak – co najmniej dwanaście metrów poroża. To dziwne, że teraz, kiedy sezon rui był już od dawna w pełni, samiec wciąż jeszcze nie zgromadził potężnego haremu. Wyglądało na to, że niektóre samce były urodzonymi

samotnikami.

Wciąż jeszcze znajdowali się zbyt daleko, by oddać pewny strzał. Celny to za mało; zwierzęcia takich rozmiarów nie można było tylko zranić. Strzał musiał być pewny. Zabójczy.

Pendergast wrócił za skałę i przykucnął obok Esterhazyego.

– Jest kilometr stąd. Za daleko.

– Właśnie tego się obawiałem.

– Jest diabelnie pewny siebie – skwitował Pendergast.

– Ponieważ nikt nie poluje na Grzędawisku, nie jest tak czujny, jak powinien. Wiatr wieje w naszą stronę, a on się od nas oddala. Myślę, że mamy szansę podążyć za nim przez otwartą przestrzeń.

Esterhazy pokręcił głową.

– Grunt przed nami wygląda dość zdradziecko.

Pendergast wskazał na piaszczysty obszar przylegający do ich kryjówki, gdzie widać było tropy jelenia.

– Pójdziemy po jego śladach. Jeżeli ktokolwiek zna drogę przez Grzędzawisko, to na pewno on.

Esterhazy wyciągnął rękę.

– Prowadź.

Wyjęli strzelby i cichcem wyszli z za skalnego pagórka, kierując się w stronę samca. Byk rzeczywiście był zdezorientowany, skupiony na czymś, co zwiędził w podmuchach wiatru z północy, i prawie nie zwracał uwagi na to, co działo się za nim. Jego posapywanie i ryki zagłuszyły odgłos stąpania myśliwych.

Zbliżali się z największą ostrożnością, przystając za każdym razem, kiedy zwierzę zawahało się lub odwróciło. Z wolna zaczęli je podchodzić. Byk wciąż zmierzał coraz dalej w głąb bagien, najwyraźniej podążając za jakąś wonią. Posuwali się za nim w całkowitej ciszy, mocno pochyleni, prawie przykucnięci, ich szkockie ubiory kamuflażowe idealnie wtapiały się w krajobraz moczarów. Trop jelenia prowadził po niemal niedostrzegalnych wypukłościach twardego gruntu, ślady

snuły się wężowato wśród płynących leniwie potoków, drżących bagien i splachetków traw. Czy to za sprawą niepewnego gruntu, polowania czy też z jakiejś innej przyczyny napięcie w powietrzu zdawało się narastać.

Stopniowo zmniejszyli dystans do ofiary do trzystu metrów – na odległość strzału. Byk tymczasem znów się zatrzymał i obrócił bokiem, wężąc niespokojnie. Prawie niedostrzegalnym gestem dłoni Pendergast nakazał Esterhazyemu, aby przystanął i ostrożnie wyciągnął się na ziemi. Wysuwając swój sztucer H&H .300 do przodu, przyłożył lunetkę do oka i starannie wycelował. Esterhazy pozostał dziesięć metrów za nim, przykucnięty i nieruchomy jak skała.

Pendergast zestroił nitki celownika na miejscu znajdującym się tuż przed kłębem zwierzęcia, wziął głęboki oddech i zaczął ściągać spust.

W tej samej chwili poczuł na karku zimny dotyk stali.

– Wybacz, stary – rzekł Esterhazy. – Podnieś sztucer jedną ręką i odłóż na ziemię. Powoli i spokojnie.

Pendergast odłożył broń.

– Wstań. Powoli.

Esterhazy cofnął się, celując do agenta FBI z karabinu myśliwskiego. Nagle wybuchnął śmiechem, którego oschły dźwięk przetoczył się echem ponad moczarami. Kątem oka Pendergast dostrzegł, jak jeleń drgnął nerwowo i spłoszony umknął w głąb bagien, po czym rozplynął się wśród mgieł.

– Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie – powiedział Esterhazy. – To doprawdy tragedia, że po upływie dwunastu lat nie chciałeś odpuścić tej sprawy.

Pendergast milczał.

– Pewnie zastanawiasz się, o co w tym wszystkim chodzi.

– Właściwie to nie – odparł beznamiętnie Pendergast.

– To ja jestem człowiekiem, którego szukałeś, tym nieznanym mocodawcą przy Projekcie Aves. Tym, którego nazwiska nie chciał ci zdradzić Charles Slade.

Żadnej reakcji.

– Udzieliłbym ci dokładniejszych wyjaśnień, ale po co? Przykro mi, że muszę to zrobić. Zdajesz sobie sprawę, że nic do ciebie nie mam.

Nadal żadnej reakcji.

– Zmów ostatnią modlitwę, bracie.

Esterhazy uniósł karabin myśliwski, wycelował i nacisnął spust.

2

W wilgotnym powietrzu rozległ się cichy szcęk.

– Chryste! – wycedził przez zęby Esterhazy, po czym szybko odciągnął rygiel zamka, wyjął wadliwy nabój i wprowadził na jego miejsce nowy.

Szcęk.

Pendergast poderwał się błyskawicznie, podniósł swój sztucer i wymierzył w Esterhazyego.

– Twój niezbyt sprytny plan zawiódł. Domyśliłem się, co kombinujesz, odkąd w swoim na pozór szczerym liście zapytałeś, jaką broń zamierzam zabrać. Obawiam się, że amunicja w twoim karabinie została spreparowana. I tak cała sprawa zatoczyła pełen krąg: od ślepaków, którymi załadowałeś strzelbę myśliwską Helen, po uszkodzone naboje w twoim karabinie tu i teraz.

Esterhazy energicznie zaczął jedną ręką przesuwać rygłem, w szaleńczym tempie opróżniając broń z wadliwych naboji, drugą zaś sięgnął do chlebaka po nowe

pociski.

– Przestań albo cię zastrzelę – wycedził Pendergast.

Ignorując go, Esterhazy usunął z magazynka karabinu ostatni nabój, włożył do komory nowy, po czym zaryglował zamek.

– Doskonale. To za Helen. – Pendergast pociągnął za spust.

Rozległo się stłumione pyknięcie.

W momencie kiedy Pendergast uświadomił sobie, co się stało, rzucił się do tyłu, dając nurka za występ skalny, a w tej samej chwili Esterhazy wystrzelił. Ostry pocisk zrykoszetował od skalnego nawisu, rozpryskując wokoło kamienne drobinki. Pendergast przeturlał się jeszcze dalej za skalną osłonę i strzelił, ale Esterhazy też zdążył się ukryć po drugiej stronie niewielkiego pagórka i natychmiast odpowiedział ogniem, a jego kolejne kule z wizgiem odbiły się od kamieni, za którymi schronił się Pendergast. Teraz obaj byli osłonięci po przeciwnych stronach tego samego pagórka. Śmiech Esterhazyego raz

jeszcze zakłócił ciszę.

– Wygląda na to, że twój niezbyt sprytny plan także zawiódł. Spodziewałeś się, że pozwolę ci tutaj przyjść ze sprawnym sztuczerem? Wybacz, stary, ale usunąłem z niego iglicę.

Pendergast leżał na boku, przywierając ciałem do skały, i ciężko oddychał. Sytuacja była patowa – znajdowali się po dwóch stronach tego samego niedużego pagórka. To oznaczało, że ten, kto pierwszy dotrze na górę...

Pendergast poderwał się na nogi i jak pająk zaczął się wspinać po skalnej ścianie. Dotarł na szczyt w tej samej chwili co Esterhazy i zwarli się w brutalnym uścisku. Mocowali się na wierzchołku pagórka, zanim runęli i spleceni w morderczej walce sturlali się po kamiennym zboczu. Odpychając Esterhazyego do tyłu, Pendergast uniósł rękę, w której trzymał trzydziestkędwójkę, ale Esterhazy uderzył w nią lufą karabinu. Bronie zderzyły się przy wtórze metalicznego brzęku jak miecze i wystrzeliły

równocześnie. Pendergast jedną ręką schwycił za lufę karabinu Esterhazyego i gdy zaczęli się siłować, agent odrzucił swój pistolet, próbując szarpnięciem oburącz wyrwać broń swojemu przeciwnikowi.

Walka wręcz trwała, cztery dłonie zaciśnięte na jednym karabinie, dwa ciała miotające się i skręcające; walczący próbowali uwolnić się od siebie. Pendergast wychylił się do przodu i zatopił zęby w dłoni Esterhazyego, rozszarpując ją. Z głośnym rykiem Esterhazy rąbnął go głową, odrzucając agenta FBI do tyłu, i brutalnie kopnął go w bok. Szarpiąc się zaciekle, znowu wylądowali na popękanych, oszronionych gładkach, a ich kamuflażowe ubrania były porozrywane i postrzępione.

Opierając palec na spuście, szarpiąc i naciskając, Pendergast doprowadził do tego, że broń wypaliła raz za razem, aż do opróżnienia magazynku. Agent puścił wtedy karabin i rąbnął pięścią w głowę Esterhazyego, ale ten odwrócił karabin i zamachnął się nim jak maczugą, trafiając Pendergasta w pierś. Pendergast chwycił kolbę,

znów próbując wyszarpnąć tamtemu broń, ale Esterhazy zaskoczył go, pociągając do przodu i wymierzając równocześnie potężne kopnięcie, które nieomal złamało mu nos. Buchnęła krew, a Pendergast zatoczył się do tyłu, potrząsając głową i próbując odzyskać ostrość widzenia, lecz w tej samej chwili Esterhazy skoczył na niego i ponownie trzasnął go w twarz kolbą karabinu. Przez mgłę i krew widział, jak Esterhazy wyjmuje z chlebaka nowe naboje i załadowuje do magazynka karabinu myśliwskiego.

Kopnięciem podbił lufę i rzucił się w bok, kiedy huknął strzał, podniósł pistolet z ziemi, tam gdzie go upuścił, przeturlał się i odpowiedział ogniem. Jednak Esterhazy już zdążył ukryć się za skałą.

Wykorzystując przewagę chwilowego zastoju, Pendergast poderwał się na nogi i zbiegł w dół zbocza, odwracając się, by wystrzelić kilka razy i zmusić w ten sposób Esterhazyego do pozostania w kryjówce, sam zaś rzucił się do ucieczki. Kiedy dotarł do podnóża pagórka,

wbiegł na teren Grzędzawiska, kierując się w stronę kotliny, gdzie bardzo szybko spowił go opar wirujących mgieł.

Dopiero wtedy przystanął otoczony przez drżące błota. Grunt pod jego stopami zafalował dziwnie jak żelatyna. Pendergast zaczął go macać przed sobą czubkiem buta i kiedy odnalazł twardy grunt, ruszył dalej w głąb Grzędzawiska, przechodząc z jednej wypukłości terenu na drugą, z kamienia na kamień, próbując unikać zdradliwych lotnych piasków, a równocześnie możliwie jak najszybciej powiększyć dystans dzielący go od Esterhazyego. Gdy tak posuwał się naprzód, usłyszał serię wystrzałów od strony kamiennego pagórka, ale wszystkie pociski poszły bokiem; Esterhazy strzelał na oślep. Pendergast wykonał skręt o trzydzieści stopni, po czym zwolnił kroku. Na Grzędzawisku, pomijając przypadkowe skupiska pogruchotanych głazów, osłonę zapewniała mu jedynie mgła. To oznaczało, że musiał trzymać się nisko.

Szedł dalej tak szybko, jak pozwalał na to rozsądek,

często przystając, by zbadać stopą grunt przed sobą. Pendergast wiedział, że Esterhazy podąży za nim, bo nie ma wyboru i jest wyśmianym tropicielem, może nawet lepszym niż on. Wyjął z chlebaka chustkę i przycisnął do nosa, usiłując zatamować upływ krwi. Czuł w piersiach zgrzytnięcia złamanego żebra, efekt zacieklej walki. W duchu złajał sam siebie, że nie sprawdził swojego sztucera tuż przed wyruszeniem na polowanie. Broń myśliwska była zamknięta w zbrojowni zameczku zgodnie z tamtejszymi zasadami; Esterhazy musiał użyć jakiegoś fortelu, by dostać się do jego sztucera, usunięcie iglicy zabrało mu minutę, może dwie. Nie docenił swojego przeciwnika, ale to już się nie powtórzy.

Nagle przystanął: na żwirowej ścieżce dostrzegł tropy jelenia, którego spłoszyli. Nasłuchiwał z uwagą, popatrując przez ramię w stronę, skąd przyszedł. Mgła unosiła się nad Grzędzawiskiem strzępiastymi słupami, co chwilę to przesłaniając, to znowu ukazując bezkresne moczary i majaczące w oddali góry. Kamienny pagórek,

na którym walczyli, tonął w oparach, a prześladowcy nigdzie nie było widać. Wszystko wokół tonęło w słabym szarym świetle, od północy zaś niebo zaczęło ciemnieć i od czasu do czasu widać było w oddali błyski piorunów – zbierało się na burzę.

Pendergast przeładował swojego kolta i ruszył dalej w głąb Grzędzawiska za słabo widocznymi tropami jelenia, który podążał sobie tylko znaną niewidoczną ścieżką pośród zdradliwych lotnych piasków i zabójczych bagien. To jeszcze nie koniec. Esterhazy szedł w ślad za nim. Wynik tego starcia wydawał się oczywisty: jeden z nich już nigdy nie powróci z tej wyprawy.

3

Pendergast podążał słabo widocznym tropem jelenia wijącym się pośród rozedrganych moczarów, trzymając się twardszego gruntu. Gdy burza zaczęła się zbliżać, niebo pociemniało, a nad bagnami przetoczył się odgłos odległego grzmotu. Agent poruszał się szybko, przystając tylko po to, by zbadać podłoże i odnaleźć ślady jelenia. Grzęzawisko było szczególnie zdradliwe o tej porze roku, kiedy po długim lecie gęsta trawa zarosła większość obszarów trzęsawiska, pozostawiając warstwę wierzchnią, która pod ciężarem człowieka musiała niechybnie pęknąć. Błysnął piorun i zaczęło padać; ciężkie krople spłynęły z szarego, ołowianego nieba. Zerwał się wiatr, przetaczając się z głośnym szumem nad wrzosowiskami i przynosząc ze sobą miazmatyczny fetor znad bagien Inish na zachodzie, rozległego zalewiska, którego powierzchnię porastały trzciny i tataraki kołysane podmuchami wichury. Agent przez ponad dwa kilometry podążał

tropem jelenia. Ślady stopniowo przywiodły go na wyżej położony twardy grunt i nagle w prześwicie pomiędzy oparami mgły Pendergast spostrzegł w oddali ruiny. Na szczycie wzniesienia odcinał się na tle nieba kształt starej kamiennej zagrody i chaty pasterskiej oświetlanej raz po raz rozbłyskami piorunów. Za wzgórzem rozciągały się nierówne obrzeża moczarów. Przepatrując połamane jałowce, agent zwrócił uwagę, że wielki byk musiał przejść przez zrujnowane zabudowania, kierując się ku olbrzymim bagniskom po drugiej stronie.

Wspiął się na wzgórze i szybko spenetrował ruiny. Chata nie miała dachu, a kamienne ściany były popękane, pokryte porostami i smagane hulającym tu wiatrem. Zbocze pagórka opadało ku trzęsawisku przesłoniętemu przez opary płożących się mgieł.

Ruiny na szczycie pagórka oferowały idealne miejsce do obrony, zapewniając widok we wszystkich kierunkach: doskonały punkt, aby zasadzić się na prześladowcę albo dać odpór spodziewanemu atakowi.

Właśnie dlatego Pendergast minął zniszczoną budowlę i ruszył dalej w dół stoku, ku bagniskom Inish. Ponownie odnalazł tropy jelenia i mocno się zdziwił, gdyż byk zdawał się zmierzać w ślepą uliczkę. Zwierzę musiało czuć się zaszczute przez ścigającego go agenta.

Idąc wzdłuż skraju trzęsawiska, Pendergast dotarł do miejsca gęsto porośniętego trzcinami, gdzie oz polodowcowego żwiru łączył się z wodą. Ciąg skał polodowcowych zapewniał niewielką, ale oczywistą osłonę; agent przystanął, wyjął białą chustkę, owinął nią kamień i umieścił w uprzednio upatrzonym miejscu za głazami. Następnie poszedł dalej. Za cyplem żwirowego gruntu odnalazł to, czego szukał: płaski głaz tuż pod powierzchnią wody otoczony trzcinami. Zorientował się, że jelen także przeszedł tą drogą, kierując się na bagna.

Naturalna blinda nie była dobrym schronieniem i jeszcze mniej się nadawała na szaniec obronny. Właśnie dlatego powinna mu wystarczyć.

Brodząc przez wodę, by dotrzeć do kamienia, i

starannie omijając grzędzawiska po obu stronach, Pendergast zajął miejsce wśród trzciny. Tak dobrze się zamaskował, że był zupełnie niewidoczny. Przykucnął w swojej kryjówce i czekał. Błyskawica rozdarła niebo, zaraz potem rozległ się grzmot, a od strony bagien napłynęła jeszcze gęstsza mgła, na pewien czas zasłaniając ruiny na szczycie wzgórza. Nie ulegało wątpliwości, że już wkrótce zjawi się Esterhazy. Koniec był bliski.

Judson Esterhazy przystanął, by spenetrować grunt, dotknął go ręką i przez chwilę przesypywał między palcami drobiny żwiru wzburzone przez przebiegającego tędy jelenia. Ślady stóp Pendergasta były mniej oczywiste, ale dostrzegł je w postaci sprasowanej ziemi i spłaszczonych źdźbeł trawy w pobliżu. Ten człowiek nie ryzykował, w dalszym ciągu podążał w ślad za jeleniem krętą trasą przez Grzędzawisko. Sprytne. Nikt nie

odważyłby się zapuścić tutaj bez przewodnika, a jeleń był równie dobrym przewodnikiem jak każdy inny. Kiedy nadeszła burza, mgła zgęstniała i zrobiło się tak ciemno, że Esterhazy ucieszył się, iż ma przy sobie latarkę – starannie osłoniętą – by móc przepatrywać szlak.

Pendergast najwyraźniej zamierzał wywabić go na Grzędzawisko i zabić. Pomimo pozorów i stylizowania się na dżentelmena z Południa agent był najbardziej bezlitosnym człowiekiem, z jakim Esterhazy kiedykolwiek się zetknął, i walczył cholernie nieczysto.

Błyskawica rozświetliła posępne moczary i przez prześwit wśród mgieł spostrzegł postrzępione kontury ruin wznoszących się na szczycie pagórka czterysta metrów dalej. Przystanął. To byłoby znakomite miejsce dla Pendergasta, aby zacząć się tam i zaczekać na jego przybycie. Z takim właśnie założeniem zbliżył się do ruin i zaskoczył zaczajonego w zasadzce agenta... Kiedy jednak wprawnym okiem zlustrował to miejsce, doszedł do wniosku, że Pendergast był zbyt subtelny, aby

podejmować tak oczywiste działania.

Esterhazy musiał odrzucić wszelkie przypuszczenia.

Ponury krajobraz nie oferował wielu kryjówek, ale poruszając się w odpowiednim tempie, Esterhazy mógł wykorzystać gęstą mgłę nadciągającą z nad bagien, aby zapewniła mu potrzebną osłonę. Jak na zawołanie pojawiły się kolejne wały oparów i znalazł się nagle w pozbawionym barw świecie pustki. Wspiął się na wzgórze w stronę ruin, gdyż na twardym gruncie mógł się poruszać znacznie szybciej. Mniej więcej sto metrów od szczytu okrążył pagórek, aby podejść do ruin z drugiej strony, gdzie agent nie powinien się go spodziewać. Lunał deszcz, padało teraz jak z cebra, a nieco dalej nad bagnami przetaczały się kolejne grzmoty.

Przykucnął i ukrył się, gdy mgła na moment się rozwiała, ale dzięki temu mógł przyjrzeć się ruinom. Ani śladu Pendergasta. Kiedy opary powróciły, wspiął się wyżej na zbocze, z karabinem w dłoni, dopóki nie dotarł do kamiennego muru otaczającego starą zagrodę.

Przeszedł wzdłuż niego nisko pochylony, aż kolejny prześwit wśród mgieł pozwolił mu zajrzeć przez szczelinę między kamieniami. Zagroda była pusta. Za nią znajdowała się chata bez dachu.

Podszedł do budowli wzdłuż zagrody zgięty wpół tak, że nawet czubek jego głowy nie wystawał ponad krawędź muru. Chwilę później przywarł całym ciałem do tylnej ściany chaty. Podkradając się do wybitego okna, czekał na kolejny prześwit we mgle. Zerwał się wiatr, zawodząc wśród kamieni i zagłuszając ciche dźwięki, jakie wydawał Esterhazy, poruszając się i przygotowując do działania. Aż wreszcie, gdy wiatr trochę ucichł, odwrócił się do okna i z bronią gotową do strzału spenetrował całe wnętrze chaty od jednego jej krańca po drugi.

Pusto.

Esterhazy przegramolił się przez parapet okienny do środka i przykucnął wewnątrz chaty, zastanawiając się intensywnie. Tak jak podejrzewał, Pendergast nie wybrał oczywistego rozwiązania. Nie zajął strategicznego,

wysoko położonego miejsca. Ale dokąd się udał? Zdusił w ustach przekleństwo; w wypadku Pendergasta należało oczekiwać tego, co nieoczekiwane.

Napłynął kolejny wał mgły, a Esterhazy wykorzystał tę okazję, by zlustrować tereny wokół chaty, wypatrując śladów agenta. Odnalazł je z największym trudem, gdyż szybko się rozplywały w ulewnym deszczu. Biegły w dół zbocza ku moczarom poniżej i gdy mgły na chwilę się rozwiały, spróbował, choć pobieżnie, zorientować się w ukształtowaniu terenu. To wyglądało jak ślepa uliczka – przynajmniej w pewnym sensie – dalej rozciągały się już tylko bagna Inish. Zatem Pendergast musiał ukryć się gdzieś na obrzeżu moczarów. Poczował, że ogarnia go przybierająca na sile panika. Przez prześwity we mgle przepatrywał okolicę; agent z całą pewnością nie mógł się schować wśród trzciny i leszczyny. Był jednak cypel, który sięgał w głąb trzęsawiska. Esterhazy wyjął lunetę i przez chwilę lustrował skupisko polodowcowych głazów, które mogły stanowić odpowiednie schronienie dla samotnego

uciekiniera. I na Boga, on faktycznie tam był; za jedną ze skał Esterhazy dostrzegł ledwie widoczny skrawek bieli.

A więc to tak, wybrał jedyne schronienie, jakie było w pobliżu, i czekał ukryty w zasadzce na Esterhazyego, aż ten minie go, podążając po jego śladach wzdłuż skraju trzęsawiska.

Znowu to samo – nieoczywista sytuacja. Ale Esterhazy już wpadł na pomysł, jak przechytrzyć Pendergasta.

Szczęśliwie mgła powróciła, więc ruszył w dół zbocza i niebawem znów znalazł się wśród zdradzieckich moczarów Grzędawiska, by podążać za podwójnymi śladami: Pendergasta i jelenia. Gdy dotarł na skraj trzęsawiska, zaczął przestępować z jednej wypukłości terenu na drugą po drgających pod jego stopniami splechawkach grząskiego gruntu. Kiedy dotarł do nieco bardziej stabilnego, twardego obszaru, zszedł ze ścieżki i ruszył w stronę miejsca, skąd miałby zapewnioną odpowiednią pozycję strzelecką, by otworzyć ogień do

ukrywającego się za skałami Pendergasta. Znalazł właściwe miejsce, przykucnął za niedużym pagórkiem i czekał, aż mgła się rozwieje, żeby oddać strzał. Minęła minuta, wśród mgieł pojawił się prześwit. Dostrzegł skrawek czegoś białego wystający w miejscu, gdzie ukrył się Pendergast – wyglądało to na fragment jego koszuli i było na tyle widoczne, że Esterhazy mógł posłać tam kulę. Uniósł karabin do strzału...

– Podnieś się powoli – rozległ się nagle bezosobowy głos za nim, jakby dochodził z głębi trzęsawiska.

4

Na dźwięk tego głosu Esterhazy zamarł w bezruchu.

– Gdy się podniesiesz, weź karabin do lewej ręki i wyciągnij ją daleko w bok.

Esterhazy wciąż nie mógł się poruszyć. Jak to było możliwe?

Pach! Pocisk wrył się w ziemię u jego stóp, wzbijając w górę kaskadę kurzu.

– Nie zamierzam powtarzać.

Esterhazy wstał i przełożył broń do lewej ręki.

– Rzuć karabin i odwróć się.

Wypuścił broń z ręki i odwrócił się. Pendergast był o sześć, siedem metrów od niego, z pistoletem w ręku podnosił się spomiędzy kępy trzciny – najwyraźniej stał w wodzie, ale Esterhazy dostrzegł teraz ciągnące się tamtędy pasmo polodowcowych głazów, niemal całkiem lub całkowicie zanurzonych w wodzie i otoczonych z obu stron przez lotne piaski.

– Mam tylko jedno pytanie – rzekł Pendergast, a jego głos zabrzmiał jak szept pośród zawodzenia wiatru. – Jak mogłeś zamordować własną siostrę?

Esterhazy patrzył.

– Żądam odpowiedzi.

Esterhazy nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Wystarczyło mu jedno spojrzenie w oczy Pendergasta i nie miał najmniejszych wątpliwości. Już był trupem. Ogarnęło go lodowate zimno, gdy lęk przed śmiercią spowił go jak przemoczony płaszcz, mieszając się ze zgrozą, żalem i ulgą. Nic nie mógł zrobić. Ale nie zamierzał dać Pendergastowi satysfakcji, by odejść z tego świata w sposób uwłaczający jego godności. Nawet jeżeli miał umrzeć, najbliższe miesiące przysporzą Pendergastowi dostatecznie dużo cierpienia.

– Kończ już – rzucił.

– A więc żadnych wyjaśnień? – zapytał Pendergast. – Żadnych żalonych usprawiedliwień, błagalnych próśb o zrozumienie? Cóż za rozczarowanie.

Zacisnął palec na spuście. Esterhazy zamknął oczy.

I wtedy to się stało: nagle dał się słyszeć rozdzierający hałas. Esterhazy dostrzegł eksplozję rdzawoczerwonej sierści, błysk poroża – i wielki jeleń wyskoczył spomiędzy trzcin, jednym rogiem zahaczając Pendergasta, trafiając wyrostkiem poroża w pistolet i wytrącając mu broń, która wpadła do wody. Kiedy ogromny byk pognał dalej, Pendergast zatoczył się do tyłu i zaczął się nagle szamotać, a Esterhazy zorientował się, że agent leży w bagnistej sadzawce, której powierzchnię przykrywa tylko warstewka wody.

Podniósł swój karabin z ziemi, wycelował i strzelił. Pocisk trafił Pendergasta w pierś, odrzucając go do tyłu w głąb bagna. Esterhazy złożył się do ponownego strzału, ale powstrzymał się. Druga kula byłaby niemożliwa do wytłumaczenia, gdyby ciało zostało odnalezione.

Opuścił karabin. Pendergast miotał się, na dobre pogrążony w trzęsawisku, z wolna zaczęły opuszczać go siły. Pocisk nie trafił dokładnie w sam środek klatki

piersiowej, ale wyrządził ogromne szkody. Agent wyglądał fatalnie: ubranie okrwawione i porozrywane, blade włosy pozlepiane od deszczu i błota. Zakasłał i z ust pociekła mu krew.

To koniec, jako lekarz Esterhazy wiedział, że postrzał był zabójczy. Kula przebiła płuco, tworząc zasysającą ranę, a sądząc po jej umiejscowieniu, mógł przypuszczać, że doszło również do przerwania lewej tętnicy podobojczykowej, co spowodowało gwałtowne wypełnienie się płuc krwią. Nawet gdyby Pendergast nie zapadał się w zdradliwych lotnych piaskach, już za kilka minut będzie trupem.

Zanurzony po pas w grząskim błocku agent przestał się szamotać i spojrzał na swojego zabójcę. Lodowaty błysk w bladoszarych oczach mówił wymowniej o trawiącej go nienawiści i rozpaczony niż jakiegokolwiek słowa, które mógłby wypowiedzieć, i ten widok zmroził Esterhazyemu krew w żyłach.

– Chcesz poznać odpowiedź na swoje pytanie? –

spytał Esterhazy. – Oto ona. Nie zamordowałem Helen.
Ona wciąż żyje.

Nie czuł się na siłach, by zaczekać przy trzęsawisku
aż do samego końca. Odwrócił się i odszedł.

5

Zameczek myśliwski wyłonił się z ciemności, majacząc w potokach deszczu i słabym świetle płynącym z okien.

Judson Esterhazy schwycił masywne, żelazne kółko przy drzwiach, otworzył je na oścież silnym szarpnięciem i zataczając się, wpadł do sieni ozdobionej zbrojami rycerskimi i wielkimi porożami jeleni.

– Pomocy! – zawołał. – Na pomoc!

Goście stali wokół kominka w głównej sali, ogrzewając się przy ogniu, popijając południową kawę, herbatę i szkocką whisky. Odwrócili się i spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Mój przyjaciel został postrzelony!

Potężny grzmot na chwilę go zagłuszył, huk był tak silny, że aż zatrzęsły się szyby w witrażowych oknach.

– Postrzelony! – powtórzył Esterhazy, osuwając się na podłogę. – Potrzebuję pomocy!

Gdy minął moment paraliżującej grozy, kilka osób rzuciło się w jego stronę. Leżąc na podłodze z zamkniętymi oczami, Esterhazy poczuł, że zbierają się wokół niego, usłyszał gwar.

– Cofnijcie się – rozległ się bezceremonialny, surowy głos z charakterystycznym akcentem, należący do Cromarty’ego, właściciela zameczku. – On potrzebuje powietrza. Cofnijcie się, proszę.

Do jego ust przytknięto szklaneczkę whisky. Upił łyk, otworzył oczy i nieporadnie spróbował usiąść.

– Co się stało? Co pan mówił?

Ujrzał nad sobą twarz Cromarty’ego: starannie przystrzyżoną brodę, okulary w drucianych oprawkach, włosy blond, kanciastą szczękę. Fortel udał się z łatwością, bo Esterhazy był naprawdę przerażony, przemarznięty do szpiku kości i ledwie mógł chodzić. Wypił jeszcze jeden łyk whisky; torfowy posmak trunku palił w gardle żywym ogniem, przywracając do życia.

– Mój szwagier... my... polowaliśmy na jelenia...

podchodziliśmy byka na Grzędzawisku...

– Na Grzędzawisku? – rzucił oschle Cromarty.

– Prawdziwego olbrzyma... – Esterhazy przełknął, próbował wziąć się w garść.

– Niech się pan zbliży do kominka.

Ujmując Esterhazyego za rękę, Cromarty pomógł mu wstać. Robbie Grant, stary leśniczy, wpadł do sali i przytrzymał Esterhazyego za drugą rękę. Wspólnie zdjęli przemoczoną do cna kamuflażową kurtkę myśliwego i podprowadzili go w stronę fotela przy kominku.

Esterhazy osunął się na fotel.

– Niech pan mówi – polecił Cromarty.

Pozostali goście zebrali się wokoło, na ich pobladłych twarzach malował się wyraz szoku i zgrozy.

– Byliśmy na Beinn Dearg – powiedział. – Zauważyliśmy jelenia. Wielkiego byka, na Grzędzawisku.

– Przecież znaliście zasady!

Esterhazy pokręcił głową.

– Wiem, ale to był prawdziwy olbrzym. Trzynastak.

Mój szwagier uparł się na niego. Poszliśmy tropem byka w głąb bagien. Na trzęsawiska. I tam się rozdzieliliśmy.

– Czyś ty oszalał, człowieku? – rozległ się piskliwy tenor leśniczego Robbiego Granta. – Rozdzieliliście się?

– Musieliśmy go osaczyć. Zapędzić na moczary. Nadciągnęła mgła, widoczność była słaba, on wyszedł ze swojej kryjówki... zobaczyłem jakiś ruch, strzeliłem... – Przerwał, z trudem łapiąc oddech. – Trafiłem mojego szwagra w pierś... – Jęknął, ukrywając twarz w dłoniach.

– Zostawił pan rannego na moczarach? – rzucił gniewnie Cromarty.

– O Boże. – Esterhazy wybuchnął szlochem, zasłaniając twarz dłońmi. – On wpadł do bagna... Wciągnęło go...

– Chwileczkę – rzekł Cromarty lodowatym tonem. Mówił wolno, niezbyt głośno, wyraźnie akcentując każde słowo. – Chce pan powiedzieć, że poszedł pan na Grzędawisko, że tam przypadkiem postrzelił swojego szwagra i że ten ranny człowiek wpadł do bagna? Czy to

właśnie chce pan powiedzieć?

Esterhazy pokiwał głową bez słowa, wciąż przesłaniając twarz rękoma.

– Jezu Chryste. Czy jest szansa, że on jeszcze żyje?

Esterhazy pokręcił głową przecząco.

– Jest pan tego absolutnie pewien?

– Jestem pewien – wykrztusił Esterhazy. – Wpadł do trzęsawiska. Ja... tak mi przykro! – wybuchnął nagle. – Zabiłem mojego szwagra! – Zaczął kołysać się w przód i w tył, ukrywając twarz w dłoniach. – Boże, wybacz mi!

Zapadła grobowa cisza.

– On oszalał – wymamrotał leśniczy. – To najoczywistszy przypadek gorączki bagiennej, jaki kiedykolwiek widziałem.

– Zabierz tych ludzi, Robbie – warknął Cromarty, wskazując na gości gestem dłoni – i wezwij policję.

Obrócił się do Esterhazyego.

– Czy to z tej broni go pan postrzelił? – Skinął ręką na karabin, który leżał na podłodze.

Esterhazy przytaknął głową żałośnie.

– Niech nikt tego nie dotyka.

Goście wyszli, dyskutując w niewielkich grupkach, mówili cicho, kręcili głowami. Błysnął piorun, a po chwili rozległ się dudniący grzmot. Strugi deszczu spływały po szybach. Siedzący w fotelu Esterhazy powoli odjął ręce od twarzy i opuścił je, czując przyjemne ciepło bijące z kominka i przenikające przez jego przemoczone ubranie. Równie cudowne ciepło rozlało się w jego duszy, z wolna zastępując dojmującą zgrozę; ogarnęła go głęboka ulga granicząca niemal z uniesieniem. Było po wszystkim. Nareszcie było po wszystkim. Nie miał już czego się obawiać ze strony Pendergasta. Dżin wrócił do butelki. Agent nie żył. Co się tyczy jego partnera D'Agosty i tej nowojorskiej policjantki Hayward – zabicie Pendergasta było jak odrąbanie łba wężowi. To już naprawdę koniec. I jak wszystko na to wskazywało, te szkockie głąby kupiły jego bajeczkę. Nie powinny pojawić się żadne dowody mogące podważyć przedstawioną przez niego wersję

wydarzeń. Wrócił po śladach i pozbierał wszystkie łuski z wyjątkiem tej, którą chciał, by znaleźli. Sztucer Pendergasta i loftki będące pozostałością po ich starciu wrzucił do bagna w drodze powrotnej, nikt ich nigdy nie znajdzie. Zaginiony sztucer to jedyna potencjalna zagadka w tej sprawie. Ale nic w tym dziwnego: broń z łatwością mogła przepaść bez śladu, gdy agent wpadł do trzęsawiska. Nikt nie wiedział o pistolecie, a Esterhazy zadbał o to, aby i tego drobiazgu się pozbyć. Tropy jelenia, o ile przetrwają burzę, w pełni potwierdzą jego wersję wypadków.

– Niech to szlag – wymamrotał Cromarty.

Podszedł do obramowania kominka, sięgnął po butelkę szkockiej i nalał sobie szklanę.

Wypił całą zawartość małymi łykami, krążąc w tę i z powrotem przed kominkiem i ignorując Esterhazyego.

Wrócił Grant.

– Sir, z Inverness jedzie tu już policja. Wraz z ekipą Northern Constabulary Special Services. Mają ze sobą

specjalistyczny sprzęt, haki, bosaki i w ogóle.

Cromarty odwrócił się, opróżnił szklanę, nalał sobie następną i łypnął gniewnie na Esterhazyego.

– Pan zostanie tutaj, dopóki się nie zjawia, idioto skończony.

Kolejny grzmot sprawił, że kamienny zameczek nieomal zadygotał w posadach, a od strony moczarów dobiegło posępne zawodzenie wichury.

6

Policja zjawiała się po ponad godzinie; odbłask kogutów tworzył mrugające barwne pasy na żwirowym podjeździe. Burza minęła, pozostawiając ołowiane niebo pełne szybko przesuwających się chmur. Funkcjonariusze mieli na sobie granatowe płaszcze przeciwdeszczowe, kalosze i wodoodporne kapelusze, gdy pewni siebie, zdecydowanym krokiem przestępowali próg zameczku myśliwskiego. Esterhazy obserwował przybyłych z fotela, uspokojony ich powolnością.

Ten, który dowodził, wszedł jako ostatni i jedyny nie był w mundurze. Esterhazy ukradkiem otaksował go wzrokiem: co najmniej metr osiemdziesiąt, łyсы, z wianuszkami białych włosów, pociągłe oblicze z cienkim jak ostrze noża nosem, pochylony lekko do przodu, jakby musiał stale brutalnie przebijać się przez życie. Nos był dostatecznie czerwony, by równoważyć wrażenie powagi, i co chwila męczyzna wycierał go w chustkę. Miał na

sobie stary ubiór myśliwski: impregnowane szare spodnie, obcisły sweter z diagonalu i rozpiętą wyświechtaną kurtkę Barbour.

– Dzień dobry, Cromarty – powiedział, wyciągając rękę, kiedy właściciel zameczku podszedł do niego.

Stali w drugim końcu sali i rozmawiali niemal szeptem, od czasu do czasu popatrując w stronę Esterhazyego. W pewnej chwili jeden z funkcjonariuszy zbliżył się do Esterhazyego i przystawił sobie fotel.

– Nadinspektor Balfour z wydziału kryminalnego – rzekł półgłosem, nie podając ręki, ale wychylając się do przodu i opierając łokcie o kolana. – Pan Judson Esterhazy?

– Tak jest.

Policjant wyjął niewielki notes.

– Dobrze, doktorze Esterhazy. Proszę opowiedzieć mi, co się wydarzyło.

Esterhazy powtórzył całą historię od początku do końca, często przerywając, aby się opanować, albo dusząc

w sobie łązy, podczas gdy Balfour robił notatki. Kiedy skończył, nadinspektor zamknął notes.

– Udajemy się na miejsce wypadku. Pójdzie pan z nami.

– No, nie wiem... – Esterhazy przełknął ślinę – ... czy dam radę.

– Jestem pewien, że sprosta pan zadaniu – uciał oschle Balfour. – Mamy dwa psy tropiące. Będzie nam towarzyszył pan Grant. Zna przejścia przez Grzędzawisko.

– Wstał, spoglądając na duży żeglarski zegarek. – Do zmierzchu zostało pięć godzin.

Esterhazy podniósł się z ponurą miną i wyraźnym wahaniem. Na zewnątrz ekipa już zbierała plecaki, liny i inny sprzęt. Na końcu żwirowego podjazdu opiekun psów oprowadzał na smyczach dwa tropowce po trawniku.

Godzinę później zeszli ze stoku Beinn Dearg i dotarli na skraj Grzędzawiska; granicę moczarów znaczyła nierówna linia postrzępionych głazów. Nad bagnami wisiała mgła. Słońce chyliło się już ku zachodowi,

bezkresny pejzaż pogrążał się w szarej pustce, mroczne zalewiska wydawały się zupełnie nieruchome, powietrze było ciężkie, przesycone wonią gnijących roślin.

– Doktorze Esterhazy? – Balfour spojrział, marszcząc brwi i splatając ramiona na piersiach. – Którędy?

Esterhazy rozejrzał się dokoła z zakłopotaniem.

– Wszystko wygląda tak samo.

Nie zamierzał im pomagać. Balfour pokręcił głową ze smutkiem.

– Psy złapały trop, inspektorze – z mgły dobiegł szorstki głos leśniczego. – Widzę też jakieś ślady.

– Czy tędy wszedł pan na Grzędzawisko? – zapytał Balfour.

– Chyba tak.

– W porządku. Psy nas poprowadzą. Panie Grant, proszę iść z nimi przodem. My wszyscy pójdziemy za wami. Doktor Esterhazy i ja na końcu. Pan Grant zna właściwe przejścia, będziemy musieli tylko stąpać dokładnie po jego śladach. – Inspektor odczekał chwilę,

aby wyjąć i zapalić fajkę, którą nabił wcześniej. – Gdyby ktokolwiek wpadł do bagna, niech reszta nie spieszy mu bezmyślnie na pomoc, żebyśmy wszyscy nie potopili się w trzęsawisku. Ekipa ma linę, koła ratunkowe i teleskopowe, rozsuwane bosaki, żeby wydobyć każdego, kto ugrzęźnie w lotnych piaskach.

Zaczął pykać fajeczką, rozglądając się dokoła.

– Panie Grant, chciałby pan coś dodać?

– Owszem, tak – rzekł drobny, pomarszczony mężczyzna, opierając się na lasce. Głos miał wysoki, niemal kobiecy. – Jeżeli ktoś wpadnie do bagna, niech się nie szamocze. Należy zachowywać się spokojnie, ułożyć się w bezruchu, pozwalając, by ciało zaczęło unosić się w błocie. – Spojrzał gniewnie na Esterhazyego. – Mam pytanie do doktora Esterhazyego: czy blakając się po Grzędzawisku za jeleniem, widział pan jakieś punkty orientacyjne?

– To znaczy? – rzucił niespiesznie, z konsternacją w głosie Esterhazy. – Cały ten teren wydał mi się

przeraźliwie pusty.

– Są tu ruiny, kurhany i stojące bloki kamienne.

– Ruiny... tak, chyba mijaliśmy po drodze jakieś ruiny.

– Jak wyglądały?

– O ile dobrze pamiętam... – Esterhazy zmarszczył brwi w udawanym grymasie zadumy – przypominały kamienną zagrodę i szłaś na szczycie wzgórza, za którym z tyłu i po lewej rozciągały się bagna.

– Taa. Chata starego Coombe'a.

Leśniczy bez słowa odwrócił się i zaczął przedzierać się przez trawy, mech i wrzosy, a psy wraz z ich opiekunem ruszyły w ślad za nim. Grant szedł szybko, z pochyloną głową, przebierając energicznie krótkimi nogami i machając przy tym laseczką, jego gęste siwe włosy tworzyły swoistą białą aureolę wokół tweedowej czapeczki, którą miał na głowie.

Przez kwadrans maszerowali w całkowitej ciszy przerywanej jedynie węszeniem i ujadaniem psów oraz

cichymi komendami wydawanymi przez ich opiekuna. Gdy chmury ponownie zgęstniały i moczary spowił przedwczesny zmierzch, kilku mężczyzn wyjęło silne latarki i włączyło je. Promienie światła rozcięły lodowatą mgłę. Esterhazy, który udawał zagubionego i zdezorientowanego, zaczął się zastanawiać, czy aby naprawdę się nie zgubili. Wszystko wyglądało dziwnie i niczego nie rozpoznawał.

Zeszli do jeszcze jednej posępnej kotliny, a wtedy psy nagle się zatrzymały, zaczęły krążyć wkoło, po czym jak na komendę rzuciły się naprzód, nieomal urywając się ze smyczy.

– Spokojnie, spokojnie – zawołał opiekun, szarpiąc za smycze, ale psy były zbyt podekscytowane i zaczęły ujadać, a ich gardłowy zew poniósł się echem nad moczarami.

– Co się z nimi dzieje? – rzucił ostro Balfour.

– Nie wiem. Do tyłu! Do tyłu!

– Na miłość boską – wychrypiał Grant. – Odciągnij

je!

– Jasna cholera!

Opiekun szarpnął smycze, ale psy w odpowiedzi jeszcze bardziej zaczęły rwać się naprzód, ujadając wniebogłosy.

– Uwaga! – krzyknął Grant.

Przy wtórze okrzyku niepohamowanej zgrozy opiekun nagle wpadł do trzęsawiska, przebijając warstwę torfowiska. Zaczął się zapadać i szamotać, pociągając za sobą jednego z psów; ujadanie zwierzęcia zmieniło się w przeraźliwe skomlenie. Zwierzę powoli zapadało się w bagnie, unosząc łeb w wyrazie przerażenia.

– Przestań się miotać! – zawołał Grant do opiekuna, jego głos mieszał się z ujadaniem psów. – Odchyl się do tyłu!

Opiekun był jednak za bardzo spanikowany, aby słuchać, co do niego mówiono.

– Pomocy! – krzyknął, wymachując rękami i rozbryzgując błoto na wszystkie strony.

– Przynieście bosak! – rozkazał Balfour.

Człowiek grupy specjalnej już zrzucił plecak i odpinał teleskopowy pręt z dużą zaokrągloną rączką z jednej strony i pętlą z linki na drugim końcu. Rozsunął teleskopowe drzewce na całą długość i ukląkł na skraju trzęsawiska, oplatając się liną w pasie i podając tonącemu kij zakończony półokrągłym uchwytem.

Pies skamlał i przebierał łapami.

– Pomocy! – zawołał mężczyzna w bagnie.

– Złap bosak! – odkrzyknął Grant.

Przenikliwy głos wreszcie dotarł do tonącego i mężczyzna zrozumiał, co ma zrobić. Wyciągnął ręce i schwycił pętlę na końcu bosaka.

– Ciągnij!

Ratownik odchylił się do tyłu, wykorzystując wagę swojego ciała, by wydobyć uwięzionego z trzęsawiska. Opiekun trzymał się rozpaczliwie uchwyty na końcu kija, jego ciało wysuwało się powoli z lepkiego błočka przy wtórze mlaszczących odgłosów i kilka chwil później

został wyciągnięty na twardy grunt, gdzie zległ zdyszany, rozdygotany i pokryty cuchnącą mazią.

Tymczasem pies zaczął wyć niczym szkocka zjawia banshee, obracając się w trzęsawisku i rozbryzgując je przednimi łapami.

– Zarzuć linkę na przednie łapy! – zawołał Grant.

Jeden z mężczyzn wyjął linkę i zaczął wiązać pętlę na jej końcu. Rzucił linkę w stronę psa, ale rzut był zbyt bliski. Pies wciąż się miotał i wył, przewracając białkami oczu.

– Jeszcze raz!

Ratownik rzucił linkę i tym razem spadła na psa.

– Zaciśnij i ciągnij!

Mężczyzna szarpnął, ale pies, czując ciasną pętlę na szyi, zaczął kręcić łbem i sznur zsunął się z karku zwierzęcia.

Esterhazy patrzył z mieszaniną przerażenia i fascynacji.

– Zanurza się! – zawołał opiekun, który z wolna otrząsał się z trwogi.

Kolejny mężczyzna przygotował pętlę, zakończoną teraz luźnym węzłem jak łąso, przykucnął na skraju bagniska i rzucił delikatnie. Niecelnie. Ściągnął linkę do siebie, poluzował pętlę i przygotował się do kolejnego rzutu.

Pies jednak zanurzał się bardzo szybko. Teraz ponad powierzchnią trzęsawiska widać było już tylko łeb i szyję, wszystkie mięśnie były tak napięte, jakby chciały rozsadzić skórę, z różowej gardzieli dobywał się obcy dźwięk, nie z tego świata.

– Zróbcie coś, na miłość boską! – zawołał opiekun.

– Uuuuuuuu! Uuuuuuuu! – rozległ się przeraźliwie donośny dźwięk.

– Jeszcze raz! Rzuć jeszcze raz!

I nagle, bez najmniejszego bulgotu, zapadła cisza. Echo ostatniego, przedśmiertnego zawodzenia psa przetoczyło się nad okolicą i ucichło. Bagno zamknęło się, powierzchnia wygładziła. Słabe drzenie przeniknęło trzęsawisko, ale zaraz wszystko się uspokoiło.

Opiekun, który poderwał się na nogi, teraz znów osunął się na kolana.

– Mój pies! O Boże!

Balfour spojrział na niego i przemówił cichym, lecz stanowczym tonem:

– Bardzo mi przykro. Musimy iść dalej.

– Nie możemy go tak po prostu zostawić!

Balfour odwrócił się do leśniczego.

– Panie Grant, proszę poprowadzić ekipę do chaty Coombe’a. A pan niech przyprowadzi drugiego psa. Wciąż jest nam potrzebny.

Ruszyli dalej bezzwłocznie; opiekun psów ociekał błotem i wydając mlaszczące odgłosy przy każdym kroku, poprowadził na smyczy drugiego tropowca, który rozdygotany i drżący do niczego się nie nadawał. Grant znowu maszerował jak demon na swoich krótkich nogach, wymachując laseczką i przystając od czasu do czasu, by brutalnie dźgając końcem laski ziemię, zbadać grunt, pomrukując przy tym z niezadowoleniem.

Ku zdziwieniu Esterhazyego wcale się nie zgubili. Teren zaczął się wznosić i w słabym świetle ujrzeni przed sobą ruiny zagrody i chaty.

– Którędy? – zwrócił się do niego Grant.

– Minęliśmy zabudowania i znaleźliśmy się po drugiej stronie.

Wspięli się na wzgórze i przeszli obok ruin.

– Chyba tutaj się rozdzieliliśmy – rzekł Esterhazy, wskazując miejsce, w którym zaczął oddalać się od śladów Pendergasta, aby zająć agenta z boku.

Leśniczy przyjrzał się gruntowi i pokiwał głową, pomrukując pod nosem.

– Niech pan prowadzi – rzucił Balfour.

Esterhazy ruszył przodem. Grant poczłapał tuż za nim, trzymając w ręku silną latarkę. Żółty promień rozciął mgłę, oświetlając trzciny i leszczyne rosnące na skraju moczarów.

– Tutaj – oznajmił Esterhazy, przystając. – To tu... wpadł do bagna.

Wskazał na rozległą nieruchomą połąć moczarów. Głos zaczął mu się łamać, z ust dobiegł zdławiony szloch, kiedy ukrył twarz w dłoniach.

– To było jak koszmar! Boże, wybacz mi!

– Niech wszyscy się cofną – polecił Balfour, dając ręką znak całej ekipie. – Rozstawimy oświetlenie. Pan, doktorze Esterhazy, pokaże nam, gdzie dokładnie to się stało. Zespół techników zbada grunt, a potem przebagrujemy trzęsawisko.

– Przebagrujecie trzęsawisko? – wykrztusił Esterhazy.

Balfour spiorunował go wzrokiem.

– Oczywiście. Trzeba przecież wydobyć ciało.

7

Esterhazy czekał za żółtą taśmą rozciągniętą na ziemi, podczas gdy ekipa techników, pochylonych jak stare wiedźmy, zakończyła przeczesywanie terenu w poszukiwaniu dowodów, przy sporym udziale baterii reflektorów, które rzucały upiorny blask na srogi, surowy pejzaż.

Obserwował zbieranie dowodów z narastającą satysfakcją. Wszystko było w porządku. Znaleźli mosiężną łuskę, którą celowo pozostawił, i pomimo ulewy udało im się odkryć słabe tropy jelenia, jak również ślady wśród wrzosowiska pozostawione zarówno przez niego, jak i Pendergasta. Na dodatek zdołano potwierdzić, w którym miejscu spomiędzy trzcin wybiegł jelen. Wszystko zgadzało się z podaną przez niego wersją wydarzeń.

– W porządku, chłopcy – powiedział Balfour. – Zabierzcie sprzęt i przejdźmy do bagrowania mokradła.

Esterhazy poczuł dreszcz wyczekiwania i odrazy

zarazem. To okropne, ale niewątpliwie odetchnie z ulgą, kiedy ujrzy ciało swojego adwersarza wywleczone z trzęsawiska; będzie to ostateczne zamknięcie pewnego rozdziału, epilog pojedynku dwóch tytanów.

Na kawałku papieru w kratkę Balfour naszkicował zarys zdradliwej bagiennej sadzawki – była nieduża, sześć metrów na cztery – i nakreślił schemat, jak zostanie przebagrowana. W blasku reflektorów zespół przymocował do liny haki o kształcie kotwiczki, długie stalowe ostrza załśniły złowrogo, po czym doczepili do ucha kotwiczki ołowiany odważnik. Dwaj mężczyźni cofnęli się, trzymając zwój liny, podczas gdy trzeci zajął pozycję na skraju lotnych piasków. Balfour przyjrzał się raz jeszcze schematowi i zaczął wydawać polecenia; trzeci z mężczyzn zarzucił hak kotwiczny do rozedrganego bagna. Bagrownica wylądowała w błocie przy drugim końcu trzęsawiska, a ciężarek sprawił, że błyskawicznie pogłężyła się w nim. Kiedy spoczęła na dnie, pozostali dwaj mężczyźni zaczęli ciągnąć ją z powrotem. W miarę

jak bagrownica centymetr po centymetrze przesuwała się przez błocko, a lina coraz bardziej się naprężała, Esterhazy odczuwał rosnące napięcie.

Minutę później kotwiczka z hakami wyłoniła się na powierzchnię, ociekająca błotem i oblepiona zielskiem. Balfour, z notesem w dłoni, przyjrzał się hakom bagrownicy, po czym pokręcił głową.

Przesunęli się o pół metra dalej i ponownie zarzucili kotwiczkę, ściągając ją do siebie. Znow zielisko. Przemieścili się w bok, by powtórzyć całą procedurę od początku.

Esterhazy obserwował wyłaniające się haki bagrownicy i za każdym razem w jego wnętrzu narastało napięcie. Był cały obolały, a ugryziona dłoń pulsowała.

Mężczyźni zbliżyli się do miejsca, w którym pogrążył się Pendergast. W końcu kotwiczka została zarzucona właśnie tam, a ekipa zaczęła ściągać linę. Bagrownica zatrzymała się, gdyż zahaczyła o coś na dnie.

– Coś mamy – rzekł jeden z mężczyzn.

Esterhazy wstrzymał oddech.

– Teraz powoli i spokojnie – powiedział Balfour, wychylając się do przodu, a jego ciało napięło się jak sprężyna. – Powoli i spokojnie.

Do ekipy dołączył jeszcze jeden mężczyzna i wspólnie zaczęli ściągać linę centymetr po centymetrze, podczas gdy Balfour czuwał nad nimi i upominał, by nie spieszyli się niepotrzebnie.

– Idzie – wykrztusił jeden z mężczyzn.

Powierzchnia bagiennej sadzawki wypiętrzyła się, strugi błota rozlały się dokoła, gdy na powierzchnię zostało wyciągnięte coś długiego przypominającego pień drzewa, coś pokrytego mułem i zniekształconego.

– Powoli – ostrzegł Balfour.

Zupełnie jakby wyciągali z wody wielką rybę, mężczyźni wydobyli ciało na powierzchnię, podkładając pod nie nylonowe pasy i specjalną uprząż.

– W porządku. Wyciągajcie.

Ze zdwojonym wysiłkiem podźwignęli ciało z błota i

ułożyli na foliowej płachcie rozłożonej na ziemi. Z ciała zaczęły spływać gęste strugi mułu i błota, a drażniący fetor gnijącego mięsa, który wdarł się nagle do nozdrzy Esterhazyego, zmusił go do cofnięcia się o parę kroków.

– Co to, u licha? – zagrział Balfour.

Nachylił się nad ciałem i dotknął go dłonią w lateksowej rękawiczce. Następnie przywołał do siebie jednego z członków swojej ekipy.

– Oplucz to.

Jeden z techników podszedł do niego. Wspólnie pochylili się nad zniekształconą głową truchła, a technik wodą z butelki zmył z niej warstwę piasku, błota i mułu.

Smród był potworny, a Esterhazy poczuł w gardle smak żółci. Kilku mężczyzn pospiesznie zaczęło zapalać fajki lub cygara. Balfour wyprostował się nagle.

– To owca – powiedział. – Odciągnijcie ją na bok, zmyjcie miejsce wodą i bierzemy się ponownie do roboty.

Mężczyźni pracowali w milczeniu i wkrótce bagrownica znów pogrążyła się w bagiennym oczku.

Ekipa raz po raz przeczesywała zdradliwe lotne piaski. Raz po raz kotwiczka była wyciągana na powierzchnię, nie wydobywając niczego oprócz zielska. Smród rozkładającej się owcy leżącej na ziemi za nimi spowijał całe to miejsce niczym trujący miazmat. Esterhazy nie mógł dłużej znieść tego napięcia. Dlaczego nie mogli znaleźć ciała?

Dotarli do skraju bagiennego oczka. Balfour zarządził konsultację z zespołem, odprowadzając swoich ludzi na stronę i rozmawiając z nimi półgłosem. Po chwili podszedł do Esterhazyego.

– Jest pan pewien, że właśnie tu utonął pański szwagier?

– Oczywiście, że jestem pewien – odparł Esterhazy, próbując zapanować nad swoim łamiącym się głosem.

– Jakoś nic nie możemy znaleźć.

– On tam jest! – Esterhazy podniósł głos. – Sam pan znalazł łuskę z mojego karabinu, odkrył pan ślady na trawie. Wie pan, że to jest to miejsce.

Balfour spojrział na niego dziwnym wzrokiem.

– Tak się wydaje, ale... – Nie dokończył.

– Musicie go znaleźć! Szukajcie dalej, na miłość boską!

– Zamierzamy, ale sam pan widział, że byliśmy skrupulatni. Gdyby ciało tam było...

– Prądy – rzekł Esterhazy. – Może porwały go prądy.

– Tu nie ma żadnych prądów.

Esterhazy wziął głęboki oddech, rozpaczliwie usiłując nad sobą zapanować. Próbował mówić spokojnie, ale nie mógł pozbyć się drżenia w swoim głosie.

– Proszę posłuchać, panie Balfour. Wiem, że to ciało tam jest. Widziałem, jak tonął.

Ostry ruch głową i Balfour odwrócił się do swoich ludzi.

– Przebagrujcie jeszcze raz całość, tym razem pod kątem prostym.

Słumione głosy protestu. Wkrótce jednak cały proces rozpoczął się od nowa, kotwiczkę zarzucono w drugi

koniec bagniska, podczas gdy Esterhazy patrzył, czując w gardle pałący smak żółci. Kiedy niebo całkiem pociemniało, mgła zgęstniała, a lampy sodowe świeciły upiornym blaskiem, pośród którego krzątały się rozmyte widmowe postacie rzucające niewyraźne, dziwaczne cienie jak dusze potępione krążące w najniższym spośród piekielnych kręgów. To niemożliwe, pomyślał Esterhazy. Było absolutnie wykluczone, aby Pendergast mógł przeżyć i wydostać się stamtąd. Nic z tego. Mowy nie ma.

Powinien był zostać. Powinien był zaczekać aż do samego końca...

– Proszę posłuchać – zwrócił się do Balfoura – czy to możliwe, żeby ktoś wydostał się... żeby o własnych siłach wyczołgał się z takiego trzęsawiska?

Mężczyzna o ostrym wąskim nosie popatrzył na niego.

– Przecież widział pan, jak pogrążał się w bagnie?

– Tak, tak! Ale byłem taki roztrzęsiony, mgła taka gęsta... Może jednak jakoś się stamtąd wydostał.

– Wielce wątpliwe – mruknął Balfour, spoglądając przez lekko przymrużone powieki. – Chyba że zostawił go pan, zanim zupełnie się pogrążył.

– Nie, nie, próbowałem go ratować, tak jak mówiłem. Ale chodzi o to, że mój szwagier jest niezwykle pomysłowy. I może... – Próbował obudzić w swoim głosie nutkę nadziei, aby zamaskować narastającą panikę. – Może jednak jakoś się wydostał. Chcę wierzyć, że się wydostał.

– Doktorze Esterhazy – rzekł Balfour ze współczuciem. – Obawiam się, że nie ma wielkich nadziei. Ale zgadzam się, że należy wziąć i tę możliwość pod rozwagę. Niestety drugi pies jest zbyt zszokowany, by mógł nam pomóc, mamy jednak dwóch ekspertów, na których możemy liczyć. – Odwrócił się. – Panie Grant? Panie Chase?

Leśniczy podszedł w towarzystwie jeszcze jednego mężczyzny, w którym Esterhazy rozpoznał szefa ekipy techników.

– Tak, sir?

– Chciałbym, żebyście obaj zbadali większą część terenu wokół tego bagniska. Chcę, żebyście poszukali dowodów – wszelkich dowodów – mogących świadczyć o tym, że ofiara zdołała wydostać się z trzęsawiska i oddalić się stąd. Przeszukajcie całą okolicę i wypatrujcie wszelkich śladów.

– Tak jest, sir.

Zniknęli w ciemnościach, widać było jedynie promienie ich latarek rozcinające mrok. Esterhazy czekał w milczeniu, a mgła gęstniała coraz bardziej. W końcu dwaj mężczyźni powrócili.

– Żadnych śladów, sir – powiedział Chase. – Oczywiście ostatnia ulewa mogła zatrzeć niewielkie ślady. Tyle że ranny mężczyzna, po postrzale, być może czołgający się, obficie krwawiący i pokryty błotem zostawiłby z pewnością jakieś ślady. Niemożliwe, aby ten człowiek wydostał się z Grzęzawiska.

Balfour odwrócił się do Esterhazyego.

– Ma pan odpowiedź. – I dodał jeszcze: – Myślę, że będziemy się już zwijać. Obawiam się, doktorze Esterhazy, że muszę poprosić pana, aby nie wyjeżdżał pan stąd aż do oficjalnego zakończenia śledztwa.

Balfour wyjął chustkę, wytarł ciekący nos i schował chustkę do kieszeni.

– Rozumie pan?

– Bez obawy – odparł z przejęciem Esterhazy. – Zamierzam zostać tu tak długo, aż dowiem się, co właściwie stało się z moim... z moim najdroższym szwagrem.

8

Nowy Jork

Doktor John Felder podążał za policyjną furgonetką, która kolebiąc się, sunęła po jednopasmówce przecinającej Little Govenor's Island. Był ciepły wieczór jak na początek października i podmokłe tereny po obu stronach zasnuwała mgła. Podróż na południe z Bedford Hills zajęła niecałą godzinę, a jej cel znajdował się dokładnie przed nimi.

Furgonetka skręciła na drogę, wzdłuż której rosły dawno uschnięte kasztanowce, a Felder jechał za nią. Pomiedzy drzewami widział East River i niezliczone kształty budynków na East Side na Manhattanie. Tak blisko, a zarazem tak daleko.

Furgonetka zwolniła, po czym stanęła przed wysoką bramą z kutego żelaza. Z wartowni przy bramie wyszedł strażnik i zbliżył się do kierowcy. Spojrzał na kartkę na podkładce, którą podał mu kierowca, po czym pokiwał

głową, wrócił do budki wartowniczej i naciśnięciem guzika otworzył bramę. Kiedy dwa pojazdy wjechały na teren, Felder spojrzał na spizową tablicę na bramie: Mount Mercy Szpital dla Chorych Umysłowo Przestępców. Podejmowano wysiłki, aby zmienić tę nazwę na bardziej nowoczesną, mniej piętnującą, ale masywna tablica wydawała się nie do ruszenia.

Furgonetka wjechała na niewielki brukowany parking, a Felder zatrzymał swoje volvo obok niej. Wsiadł i popatrzył na wielką gotycką budowlę, w której starych wytwornych oknach widniały kraty. To musiał być najbardziej malowniczy, nie mówiąc już o tym, że najbardziej niezwykły dom wariatów w całej Ameryce. Załatwienie transferu do tego zakładu zajęło mu sporo czasu i wymagało papierkowej roboty, dlatego był bardziej niż tylko trochę poirytowany tym, że mężczyzna, który obiecał mu wyjawić wszystko na temat więźnia w zamian za tę przysługę, ni stąd, ni zowąd zapadł się pod ziemię.

Felder przeniósł pospiesznie wzrok z budynku na furgonetkę policyjną. Strażnik więzienny zszedł z fotela pasażera i skierował się do tylnych drzwiczek, by otworzyć je dużym kluczem. Wysiadł przez nie umundurowany funkcjonariusz policji uzbrojony w strzelbę. Kiedy tak czekał ze strzelbą gotową do strzału, strażnik więzienny wyciągnął rękę, by pomóc wysiąść z furgonetki pewnej osobie.

Felder patrzył, jak młoda dziewczyna po dwudziestce opuszcza pojazd. Miała ciemne włosy, przycięte krótko na pазia, a kiedy dziękowała strażnikowi za pomoc, jej głos brzmiał cicho i elegancko jak wytwornej damy z wyższych sfer. W więziennym uniformie, z rękami skutymi z przodu kajdankami, prowadzona w stronę wejścia, szła wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, stąpając z niezwykłą gracją i godnością.

Felder dołączył do nich, kiedy go mijali.

– Doktorze Felder – powiedziała dziewczyna i skinęła do niego głową. – Miło mi znowu pana widzieć.

– Mnie również, Constance – odparł.

Kiedy podeszli do drzwi wejściowych, zostały one otwarte od wewnątrz i uchylone przez wymagającego, sądząc z wyglądu, mężczyznę w białym kitlu lekarskim nałożonym na drogi elegancki garnitur.

– Dobry wieczór, panno Greene – powiedział spokojnym, cichym głosem, jakby się zwracał do dziecka.
– Czekaliśmy na panią.

Constance dygnęła skromnie.

– Jestem doktor Ostrom i będę pani lekarzem tu, w Mount Mercy.

Pochyliła głowę.

– Miło mi pana poznać, doktorze. Proszę mi mówić Constance.

Weszli do poczekalni. Było tu ciepło, a w powietrzu unosiła się słaba woń środków czyszczących.

– Znam twojego... ee... opiekuna, Aloysiusa Pendergasta – ciągnął doktor Ostrom. – Przykro mi, że nie mogliśmy sprowadzić cię tutaj wcześniej, ale uporanie się

z papierkową robotą zajęło więcej czasu, niż się spodziewaliśmy.

Kiedy Ostrom to powiedział, spojrzenia jego i Feldera przez moment się spotkały. Felder wiedział, że pokój, który przydzielono Constance w Mount Mercy, został – po gruntownym przeszukaniu – starannie wyczyszczony, najpierw środkiem wybielającym, potem antyseptycznym, a następnie odmalowany trzema warstwami farby na bazie olejnej. Te środki ostrożności wydawały się konieczne, ponieważ poprzednia lokatorka tego pokoju słynęła z zamiłowania do trucizn.

– Jestem panu bardzo wdzięczna za troskę – powiedziała skromnie Constance.

Musieli poczekać chwilę, podczas gdy doktor Ostrom podpisywał formularze wręczone mu przez strażnika więziennego.

– Można już zdjąć kajdanki – rzekł Ostrom, oddając podkładkę z formularzami.

Strażnik wykonał polecenie. Pielęgniarz odprowadził

strażnika i policjanta do wyjścia, po czym zamknął za nimi drzwi na klucz.

– Doskonale – powiedział Ostrom, zacierając ręce, jakby ucieszyła go ta transakcja. – Teraz ja i doktor Felder odprowadzimy cię do pokoju. Myślę, że ci się spodoba.

– Nie wątpię, że tak właśnie będzie, doktorze Ostrom – odparła Constance. – Jest pan nader łaskaw.

Przeszli długim, rozbrzmiewającym echem korytarzem. Doktor Ostrom wyjaśnił zasady obowiązujące w Mount Mercy i wyraził nadzieję, że Constance będzie się tu czuła swobodnie. Felder popatrzył na Constance. Każdy musiał uznać tę kobietę za niezwykłą, te staroświeckie zwroty i zachowanie i w dodatku ten nieodgadniony wyraz oczu sprawiających wrażenie starszych niż twarz, w której były osadzone. A jednak w jej spojrzeniu czy manierach nie było nic, co mogłoby zdradzić gorzką prawdę – a mianowicie, że Constance Green była osobą niezrównoważoną, ciężko chorą psychicznie. W swojej dotychczasowej karierze doktor

Felder nie spotkał się z podobnym przypadkiem. Twierdziła, że urodziła się w latach 70. XIX wieku, a jej rodzina dawno przepadła i odeszła w zapomnienie, jeżeli nie liczyć pewnych drobnych wzmianek w archiwach publicznych. Ostatnio wróciła do Stanów statkiem z Wielkiej Brytanii. Podczas tego rejsu – do czego się sama przyznała – wyrzuciła swojego maleńkiego synka za burtę, bo jak stwierdziła, był wcieleniem zła.

W ciągu dwóch miesięcy, odkąd zaangażował się w tę sprawę, Felder – najpierw w Bellevue, a następnie w Zakładzie Karnym Bedford Hills – dokładnie analizował przypadek Constance. I podczas gdy jego fascynacja nią tylko się pogłębiła, musiał przyznać, że nie poczynił żadnych postępów, jeżeli chodziło o zrozumienie jej lub jej choroby.

Czekali, aż pielęgniarz otworzy kluczem ciężkie, metalowe drzwi, po czym weszli do jeszcze jednego wypełnionego echem korytarza, by w końcu zatrzymać się przed nieoznakowanymi drzwiami. Pielęgniarz otworzył

je, a doktor Ostrom wprowadził ich do małego, spartańsko urządzonego pokoiku bez okien. Wszystkie meble – łożko, stół, krzesło – były mocno przyśrubowane do podłogi. Regał, na którego półce stało kilka książek, przymocowano do ściany. Na stole stał mały plastikowy wazonik z bukietem żonkili.

– I jak? – zapytał Ostrom. – Co o tym myślisz, Constance?

Rozejrzała się wokoło.

– W pełni satysfakcjonujące, dziękuję.

– Miło mi to słyszeć. Ja i doktor Felder damy ci trochę czasu, żebyś mogła się tu rozgościć. Przyślę siostrę, która przyniesie ci bardziej odpowiedni ubiór.

– Będę wielce zobowiązana. – Wzrok Constance padł na półkę z książkami. – Wielkie nieba. *Magnalia Christi Americana* Cottona Mathera. *Autobiografia* Benjamina Franklina. *Clarissa* Richardsona. Czy to nie są książki stryjecznej babki Corneli?

Doktor Ostrom pokiwał głową.

– Nowe ich egzemplarze. To był jej pokój i twój opiekun poprosił, abyśmy kupili dla ciebie te książki.

– Ach! – Constance aż pokraśniała z radości. – Czuję się nieomal, jakbym wróciła do domu. – Odwróciła się do Feldera. – Miło kultywować tutaj rodzinną tradycję.

Choć w pokoju było ciepło, Felder poczuł nagle lodowaty dreszcz konsternacji, który przebiegł mu po plecach.

9

Porucznik Vincent D'Agosta wlepił wzrok w swoje biurko, próbując przewalczyć stan przygnębienia. Odkąd wrócił z urlopu zdrowotnego, jego szef, kapitan Singleton, przydzielił mu nowy zakres obowiązków. Zajmował się obecnie przekładaniem papierów z jednego końca biurka na drugi.

Zajrzał do sali odpraw. Sporo się tam działo, ludzi przychodzili i wychodzili, dzwoniły telefony, wprowadzano schwytych przestępców. To miejsce dosłownie tętniło życiem. D'Agosta westchnął, ponownie wlepiając wzrok w blat biurka. Nie cierpiał papierkowej roboty. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Singleton zlecił mu to zajęcie dla jego własnego dobra. Bądź co bądź jeszcze pół roku temu leżał w szpitalu w Baton Rouge, walcząc o życie, po tym jak kula musnęła jego serce. Miał szczęście, że w ogóle przeżył, a co dopiero mówić o tym, że był na chodzie i wrócił do pracy. Tak czy

owak nie każą mu wiecznie siedzieć za biurkiem. Musiał tylko w pełni odzyskać siły.

Upomniał sam siebie, że powinien pamiętać o rzeczach pozytywnych... Nigdy dotąd jego relacje z Laurą Hayward nie były tak udane. To, że nieomal go straciła, odmieniło ją, zmiękczyło, sprawiło, że stała się bardziej czuła i kochająca. Zastanawiał się nad tym, czy kiedy w pełni powróci do zdrowia, nie powinien się jej oświadczyć. Wątpił, aby postrzał w klatkę piersiową był odpowiednim bodźcem do podejmowania tak przełomowych decyzji, ale w jego wypadku okazał się skuteczny.

Zdał sobie sprawę, że ktoś stał w drzwiach jego gabinetu, a kiedy uniósł wzrok, zobaczył patrzącą na niego dziewczynę. Dziewiętnasto-, dwudziestoletnia, drobna, ubrana w dzinsy i znoszony podkoszulek z logo Ramones. Na jej ramieniu wisiała czarna skórzana torebka nabijana metalowymi ćwiekami. Włosy miała ufarbowane na czarno, a spod materiału podkoszulka na ramieniu

wyzierał tatuaż, który D'Agosta rozpoznał jako wzór M.C. Eschera.

Gotka.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał. Gdzie się podziała ta cholerna sekretarka, która miała zajmować się petentami?

– Czy ja wyglądam jak pani? – usłyszał w odpowiedzi.

D'Agosta westchnął.

– W czym ci mogę pomóc?

– Pan jest Vincent D'Agosta, tak?

Pokiwał głową.

Weszła do gabinetu.

– Wspominał o panu kilkakrotnie. Zwykle nie mam pamięci do nazwisk, ale to zapamiętałam, bo brzmiało tak włosko.

– Tak włosko – powtórzył D'Agosta.

– Nie chciałam, żeby to źle zabrzmiało. Tyle tylko, że tam, skąd pochodzę, w Kansas nikt nie ma takiego

nazwiska.

– Włosi nigdy nie dotarli tak daleko w głąb kraju – odparł oschle D’Agosta. – A teraz wyjaśnij mi łaskawie, kim jest tajemniczy człowiek, o którym mówisz?

– Agent Pendergast.

– Pendergast? – D’Agosta nie potrafił ukryć zdziwienia w swoim głosie.

– Tak. Byłam jego asystentką w Medicine Creek w Kansas. Sprawa „Martwej natury z krukami”.

D’Agosta patrzył. Asystentka Pendergasta? Ta dziewczyna była obłąkana.

– Musiał o mnie wspominać. Jestem Corrie Swanson.

D’Agosta zmarszczył brwi.

– Słabo znam sprawę „Martwej natury z krukami”, ale nie przypominam sobie, aby wspominał o tobie.

– Nigdy nie mówi o swoich sprawach. Byłam jego kierownicą i pomogłam mu w pewnych działaniach w miasteczku. W tym czarnym garniturze strasznie się wyróżniał. Potrzebował kogoś miejscowego, takiego jak

ja.

D'Agosta zdziwił się, słysząc te słowa, ale uświadomił sobie, że najprawdopodobniej mówiła prawdę, choćby nawet odrobinę przesadzała. Asystentka? Rozdrażnienie zaczęło ustępować miejsca mroczniejszym emocjom.

– Zapraszam – rzekł poniewczasie. – Usiądź.

Usiadła przy wtórze pobrzękiwania metali i odgarnęła kruczoczarne włosy, ukazując fioletowe i żółte pasemka.

D'Agosta odchylił się w fotelu do tyłu, starannie maskując swoją reakcję.

– No dobra. Co się dzieje?

– Przyjechałam na rok do Nowego Jorku. We wrześniu. Jestem na drugim roku i właśnie się przenieśliśmy na Wydział Prawa Karnego College'u Johna Jaya.

– Mów dalej – zachęcił D'Agosta.

Zaimponowało mu, że studiuje na uczelni Johna Jaya. Nie była idiotką, choć z wyglądu sprawiała takie

wrażenie.

– Chodzę na zajęcia z dewiacji i kontroli społecznej.

– Dewiacje i kontrola społeczna – powtórzył D'Agosta.

Taki fakultet mogłaby wybrać Laura, która uwielbia socjologię.

– Jednym z zadań, które musimy wykonać, jest napisanie pracy. Wybrałam studium nad „Martwą naturą z krukami”.

– Nie wiem, czy Pendergastowi to się spodoba – rzekł nieśmiało D'Agosta.

– Rzecz w tym, że mu się spodobało. O to właśnie chodzi. Kiedy przyjechałam, umówiłam się z nim na lunch. Mielśmy spotkać się wczoraj. Nie przyszedł. Pojechałam do jego mieszkania w Dakocie, nic, odźwierny mnie stamtąd przepędził. Podałam mu numer mojej komórki, ale Pendergast nie zadzwonił. Zupełnie jakby rozplynał się w powietrzu.

– To wydaje się dziwne. Może coś pomyliłaś, jak

choćby datę waszego spotkania?

Sięgnęła do torebki, wyjęła kopertę i podała mu.

D'Agosta wyjął list z koperty i zaczął czytać.

Dakota

Pierwsza Zachodnia i Siedemdziesiąta Druga Ulica

Nowy Jork, NY 10023

5 września

Panna Corrie Swanson

844 Amsterdam Avenue, m. 30B

Nowy Jork, NY 10025

Droga Corrie,

Miło mi słyszeć, że dobrze Ci idzie na studiach. W pełni aprobuję wybrany przez Ciebie kierunek. Ufam, że wstęp do chemii sądowej szczególnie przypadnie Ci do gustu. Zastanowiłem się nad Twoim projektem i zgadzam się pomóc, o ile tylko będę mógł autoryzować ostateczną wersję i zgodzisz się pominąć w swojej pracy kilka pomniejszych szczegółów.

Jestem za tym, abyśmy wybrali się wspólnie na

lunch. Pod koniec miesiąca wyjeżdżam z kraju, ale powinienem wrócić w połowie października. 19 października jest w moim kalendarzu dniem wolnym od jakichkolwiek zajęć. Pozwól, że zasugeruję Le Bernardin przy Pięćdziesiątej Pierwszej Zachodniej i godzinę trzynastą. Rezerwacja będzie na moje nazwisko. Nie mogę się doczekać, aby się tam z Tobą spotkać.

Pozdrawiam serdecznie,

A. Pendergast

D'Agosta przeczytał list dwukrotnie. To prawda, że od miesiąca czy dwóch nie miał żadnych wieści od Pendergasta, ale nie było to niczym niezwykłym. Agent często znikał na dłużej. Pendergast słynął jednak z dotrzymywania danego słowa – niepojawienie się pomimo wcześniejszych ustaleń nie było w jego stylu. Oddał list dziewczynie.

– Czy była rezerwacja?

– Tak. Zrobiona dzień po tym, jak wysłał do mnie ten list. Nie zadzwonił, by ją odwołać.

D’Agosta pokiwał głową, starając się ukryć coraz większe zatroskanie.

– Miałam nadzieję, że pan wie, co się z nim stało. Martwię się. To do niego niepodobne.

D’Agosta odchrząknął.

– Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio rozmawiałem z Pendergastem, ale jestem pewien, że istnieje jakieś wyjaśnienie. Jest mocno zaangażowany w pewną sprawę.

– Uśmiechnął się do niej uspokajająco. – Sprawdzę, co u niego, i dam ci znać.

– Tu ma pan numer mojej komórki.

Sięgnęła po leżący na biurku bloczek i zapisała swój numer.

– Oddzwonię, panno Swanson.

– Dziękuję. I proszę mi mówić Corrie.

– Dobrze, Corrie.

Im dłużej D’Agosta się nad tym zastanawiał, tym

bardziej się martwił. Prawie nie zauważył, kiedy dziewczyna zabrała torebkę i wyszła z jego gabinetu.

10

Cairn Barrow

High Street biegła przez środek miasteczka, przy placu odchodziła nieco na wschód i ciągnęła się w dół, ku zielonym stokom wzgórz otaczających Loch Lanark. Sklepy i domy wzniesione z kamienia o identycznej barwie miały spadziste dachy pokryte jednakowymi, mocno już podniszczonymi gontami. Pierwiosnki i żonkile wyzierały ze świeżo pomalowanych skrzynek na kwiaty pod oknami. Dzwony w kanciastej dzwonnicy kościoła Wee Kirk o' the Loch leniwie wybiły dziesiątą.

Nawet dla zgorzkniałego nadinspektora Balfoura pejzaż ten miał w sobie pewien nieodparty urok.

Policjant zszedł szybko w dół ulicy. Przed pubem Old Thistle stało kilkanaście aut, o tej porze roku prawdziwe zatrzęsienie, bo przecież letnicy i turyści dawno już stąd wyjechali. W środku skinął głową na Phillipa, właściciela gospody, po czym minął drzwi obok budki telefonicznej i

po skrzypiących drewnianych schodach wszedł do głównej izby. Największa knajpa w promieniu trzydziestu kilometrów pękała w szwach od zgromadzonych tu świadków i zwyczajnych ciekawskich siedzących na długich ławach skierowanych ku przeciwległej ścianie, pod którą ustawiono wielki dębowy stół. Za stołem siedział doktor Ainslie, miejscowy koroner, ubrany od stóp do głów na czarno, którego wysuszone stare oblicze prócz zmarszczek przeppełnił wyraz niepojętej konsternacji wobec świata i szerzącego się w nim wszechobecnego zła. Obok, przy mniejszym stole siedział Judson Esterhazy.

Ainslie skinął lekko głową do Balfoura, gdy inspektor zajął miejsce. Następnie rozejrzał się dokoła i odchrząknął.

– Sąd zebrał się dziś, by ustalić fakty związane ze zniknięciem i prawdopodobnym zgonem pana Aloysiusa X.L. Pendergasta. Mówię „prawdopodobnym”, gdyż nie odnaleziono ciała. Jedyнным świadkiem śmierci pana Pendergasta jest osoba, która miała go zabić, jego

szwagier, Judson Esterhazy.

Grymas niesmaku na twarzy Ainsliego pogłębił się, zmarszczki wydawały się tak głębokie, jakby cała skóra na jego obliczu miała lada chwila popękać.

– Ponieważ pan Pendergast nie ma żyjących krewnych, można powiedzieć, że Judson Esterhazy pojawia się tutaj nie tylko jako człowiek odpowiedzialny za wypadek, który przydarzył się panu Pendergastowi, lecz także jako przedstawiciel jego rodziny. W rezultacie niniejsze posiedzenie nie jest – i nie może być – zwyczajnym posiedzeniem sądu, gdyż w tej sprawie nie ma dowodu w postaci ciała i pozostaje jeszcze do ustalenia kwestia śmierci wspomnianego Aloysiusa Pendergasta. Przeprowadzimy jednak coś w rodzaju dochodzenia. Naszym celem będzie ustalenie faktów dotyczących zaginięcia oraz towarzyszących mu okoliczności i stwierdzenie, o ile to będzie możliwe, czy doszło do śmierci owej osoby, czy też nie. Wysłuchamy zeznań wszystkich zamieszanych w tę sprawę, a potem

podejmiemy decyzję.

Ainslie zwrócił się do Esterhazyego:

– Doktorze Esterhazy, czy przyznaje pan, że jest ściśle zaangażowaną w tę sprawę?

Esterhazy pokiwał głową.

– Tak.

– I z własnej woli odmówił pan adwokata?

– Tak.

– Dobrze więc. Zanim zaczniemy, pragnę przypomnieć zasadę koronerską numer trzydzieści sześć: dochodzenie sądowe nie jest zgromadzeniem, podczas którego można orzekać o jakiegokolwiek cywilnej lub kryminalnej odpowiedzialności, choć możemy zdecydować, czy okoliczności czynu spełniają kryteria winy z punktu widzenia oraz dysfunkcji prawa. O ewentualnej winie i karze zdecyduje osobny sąd, jeżeli sprawa tam trafi. Jakieś pytania?

Kiedy w sali zapadła cisza, Ainslie pokiwał głową.

– Przejdźmy zatem do zeznań. Zaczniemy od

zeznania Iana Cromarty'ego.

Inspektor Balfour słuchał, gdy właściciel zameczku myśliwskiego dość obszernie opowiadał o Pendergaście i Esterhazym, wyrażając swoją opinię na ich temat, mówiąc, jakie wywarli na nim pierwsze wrażenie, jak zjedli poprzedniego wieczoru wspólną kolację i jak następnego dnia rano Esterhazy wpadł do zameczku jak burza. Później Ainslie przesłuchał jeszcze kilku gości Kilchurn Lodge, którzy byli świadkami szaleńczego, histerycznego powrotu Esterhazyego. Następnie zwrócił się do leśniczego Granta. W miarę jak kontynuowano dochodzenie, twarz Ainsliego nieodmiennie przepełniona była wyrazem dezaprobaty, podejrzliwości i niezadowolenia.

– Pan Robert Grant, zgadza się?

– Tak jest, sir – odrzekł pomarszczony staruszek.

– Jak długo pracuje pan jako leśniczy w Kilchurn?

– Ze trzydzieści pięć lat, sir.

Na żądanie Ainsliego Grant szczegółowo opisał

przebieg wyprawy na miejsce wypadku i śmierć psa tropiącego.

– Jak często zdarza się, że myśliwi z waszego zameczku zapuszczają się na Grzędawisko?

– Jak często się to zdarza? W ogóle się nie zdarza. To wbrew przepisom.

– A zatem Pendergast i doktor Esterhazy złamali te przepisy.

– W rzeczy samej.

Balfour zauważył, że na te słowa Esterhazy poruszył się nerwowo.

– Takie zachowanie świadczy o braku rozsądku. Dlaczego pozwoliliście im pójść tam samym?

– Bo pamiętam ich z wcześniejszej wizyty.

– Proszę mówić dalej.

– Przyjechali tu obaj jakieś dziesięć, dwanaście lat temu. Osobiście ich prowadziłem. Obaj byli wybornymi strzelcami, wiedzieli doskonale, co robią, zwłaszcza obecny tu doktor Esterhazy. – Grant skinął w stronę

Judsona. – Gdybym sam nie mógł za nich ręczyć, nigdy nie puściłbym ich bez przewodnika.

Balfour wyprostował się nieznacznie. Wiedział, że Pendergast i Esterhazy polowali wcześniej w Kilchurn, bo Esterhazy wspominał o tym podczas jednego z przesłuchań, ale fakt, że Grant był ich przewodnikiem i ręczył za umiejętności strzeleckie Esterhazyego, był dla niego czymś nowym. Esterhazy umniejszał swoje umiejętności. Balfour skłął sobie, że sam nie odkrył tej istotnej informacji.

Teraz nadeszła jego kolej, by złożyć zeznania.

Opowiedział o swoim przybyciu do zameczku myśliwskiego, opisał stan emocjonalny Esterhazyego, poszukiwanie ciała i przeczesywanie grzędawiska oraz bezowocną penetrację bagien i okolicznych wiosek. Mówił powoli i ostrożnie. Ainslie słuchał z uwagą, z rzadka przerywając pytaniami. Kiedy nadinspektor skończył, Ainslie popatrzył na niego pytająco.

– Czy przez dziesięć dni, odkąd zgłoszono ten

wypadek – zaczął – policja kontynuowała poszukiwania?

– Owszem, tak – odparł Balfour. – Przebagrowaliśmy ten obszar bagien nie raz, lecz dwa razy, a potem jeszcze po raz trzeci i czwarty. Przebagrowaliśmy też okoliczne trzęsawiska. Użyliśmy psów, aby spróbowwały podjąć trop z miejsca wydarzenia. Nie wykryły niczego, ale należy dodać, że ostatnio padały tam spore ulewy.

– A zatem – ciągnął Ainslie – nie udało się panu natrafić na żadne dowody tego, że Pendergast umarł ani że nadal żyje? Zgadza się?

– Jak najbardziej. Nie odnaleźliśmy jego ciała ani żadnych rzeczy osobistych, a zwłaszcza sztucera.

– Inspektorze – rzekł Ainslie – czy doktor Esterhazy starał się w tej sprawie służyć panu wszelką pomocą?

– Zazwyczaj tak. Choć mówi on o swoich umiejętnościach strzeleckich inaczej, niż to przedstawiał pan Grant.

– A jak doktor Esterhazy opisuje swoje zdolności strzeleckie?

– Twierdzi, że jest niezbyt doświadczony.

– Czy jego poczynania i zeznanie mogą świadczyć, że to on jest osobą odpowiedzialną za ten nieszczęsny wypadek?

– O ile zdołałem stwierdzić, tak. – Balfour, choć bardzo się starał, nie potrafił w działaniach Esterhazyego wskazać niczego, co nie byłoby powiązane z poczuciem winy, smutkiem, żalem i zawstydzeniem.

– Czy uważa pan, że może on być uznany za wiarygodnego i kompetentnego świadka tych wydarzeń?

Balfour zawahał się.

– Powiedziałbym, że nic, co do tej pory odkryliśmy, nie jest sprzeczne z jego zeznaniami.

Koroner jakby zamyślił się przez chwilę.

– Dziękuję, inspektorze.

Następnym, którego miano przesłuchać, był Esterhazy.

W ciągu dziesięciu dni, jakie minęły od strzelaniny, doszedł trochę do siebie, choć wydawał się teraz bardziej

wymizerowany i dziwnie niespokojny. Głos miał cichy, mówił pewnie i zdecydowanie. Opowiedział o swojej przyjaźni z Pendergastem, która zaczęła się, kiedy jego siostra poślubiła agenta FBI. Pokrótce wspomniał o jej tragicznej śmierci, gdy podczas polowania w Afryce została rozszarpana przez lwa ludojada. Jego słowa wywołały pełną trwogi i konsternacji reakcję zebranych w sali. Następnie – na wyraźne życzenie koronera – zrelacjonował wydarzenia prowadzące do śmierci Pendergasta: polowanie na bagnach, dyskusję, na którego jelenia powinni zapolować, podchodzenie wielkiego byka na Grzędawisku, mówił o zbierającej się mgle, swojej dezorientacji, nagłym, zaskakującym pojawieniu się jelenia i oddanym instynktownie strzale, o rozpaczliwej próbie ratowania byłego szwagra i o tym, jak ten pogrążył się w trzęsawisku. Kiedy Esterhazy wspominał ostatnie wypadki i desperacki powrót do Kilchurn Lodge, opoka jego spokoju niespodziewanie pękła i wyraźnie się przejął, był zdenerwowany, głos mu się łamał. Zebrani w sali

kiwali głowami poruszeni i pełni współczucia. Balfour zauważył z zadowoleniem, że oblicze Ainsliego pozostało posępne i sceptyczne. Koroner zadał kilka pytań dotyczących drobnych szczegółów, zgrania w czasie pewnych wydarzeń, zdania Esterhazyego jako lekarza na temat rany odniesionej przez Pendergasta, ale tak czy owak zeznanie Esterhazyego nie trwało dłużej niż kwadrans. To było bez wątpienia mistrzowskie wystąpienie.

Wystąpienie. Dlaczego wybrał właśnie takie porównanie?

Ponieważ Balfour wciąż odnosił się do Esterhazyego z największą podejrzliwością. Tyle że nie mógł mu niczego zarzucić. Wszystkie dowody świadczyły na jego korzyść. Gdyby jednak Balfour chciał kogoś zabić i sprawić, aby to wyglądało na wypadek, zrobiłby dokładnie tak jak Esterhazy.

Takie myśli zaprzętały jego umysł, podczas gdy zeznania składali kolejni świadkowie. Popatrzył na

Esterhazyego. Mężczyzna zadał sobie wiele trudu, by sprawiać wrażenie otwartego, szczerego, prostego, typowego, tępego Amerykanina. Ale nie był tępy ani z całą pewnością głupi. Miał na swoim koncie doktorat z medycyny, czego Balfour nie omieszkał sprawdzić.

Rozległ się oschły głos Ainsliego:

– Jak już wcześniej wspomniałem, celem tego dochodzenia jest ustalenie, czy doszło do śmierci człowieka. Dowody są następujące. Jest nim zeznanie doktora Esterhazyego, że przypadkowo postrzelił Aloysiusa Pendergasta, że w jego przekonaniu jako lekarza rana była śmiertelna i że na własne oczy widział, jak Pendergast pogrąża się w trzęsawisku. Inspektor Balfour zeznał, że ani w trzęsawisku, ani na okolicznych bagnach nie zaleziono ciała Aloysiusa Pendergasta. W dalszej części swojego zeznania inspektor Balfour stwierdził, że pomimo szeroko zakrojonych poszukiwań w pobliskich wioskach nie natrafiono na żaden ślad pana Pendergasta, jak również na żadnego świadka, który

mógłby potwierdzić, czy ten człowiek żyje, czy nie.

Koroner powiódł wzrokiem po wnętrzu izby.

– W tych okolicznościach w świetle przedstawionych faktów możliwe są do orzeczenia dwa werdykty: przypadkowe zabójstwo oraz werdykt otwarty. Przypadkowe zabójstwo jest czynem kwalifikowanym do kategorii zabójstw, gdyby nie fakt, że brak *mens rea*, co mogłoby stanowić podstawę do zmiany kwalifikacji czynu jako morderstwa. Werdykt otwarty stosuje się w sytuacji, kiedy przyczyna i okoliczności śmierci albo – jak w tym wypadku – sam fakt śmierci są jak na razie niemożliwe do ustalenia.

Przerwał i raz jeszcze zlustrował salę sądową, w jego oczach malował się cyniczny wyraz.

– Na podstawie dzisiejszych zeznań i przedstawionych dowodów ogłaszam w tej sprawie werdykt otwarty.

– Przepraszam, sir! – Balfour nagle poderwał się na nogi. – Muszę zaprotestować przeciw takiemu

werdyktowi.

Ainslie spojrział na niego, marszcząc brwi.

– Inspektorze?

– Pomimo... – Balfour zawahał się, próbując zebrać się w sobie. – Pomimo iż rozstrzygany tu czyn może nie być morderstwem, z całą pewnością doszło do niego wskutek kardynalnych zaniedbań i niewłaściwego postępowania. To wydaje się silnym argumentem dla wniosku o werdykt o przypadkowym zabójstwie. Przemawia za tym nawet zeznanie doktora Esterhazyego. W wypadku tej śmierci zasadniczym czynnikiem było ewidentne zaniedbanie. Nie ma żadnych dowodów, że ofiara przeżyła postrzał, ale są za to liczne dowody, że nie wyszła z tego z życiem.

– Mamy to zeznanie – powiedział Ainslie. – Przypominam jednak, inspektorze, że nie mamy ciała. Dowody są poszlakowe. Mamy jedynie zeznanie naocznego świadka. Tym samym brak niezależnych dowodów, że Pendergast w ogóle został zabity. W tej

sytuacji sąd nie ma wyjścia, jak tylko ogłosić werdykt otwarty.

Balfour wciąż stał wyprostowany.

– Jeżeli ogłoszony zostaje werdykt otwarty, nie mam podstaw, by dłużej zatrzymywać doktora Esterhazyego w Szkocji.

– W razie sprzeciwu – ciągnął koroner – może pan zawsze domagać się uchylenia wyroku i zmiany klasyfikacji czynu w sądzie rewizyjnym.

Na sali rozległ się szmer. Balfour raz jeszcze spojrzał na Esterhazyego. Nic nie mógł zrobić.

– Jeżeli to wszystko – powiedział Ainslie, rozglądając się srogim wzrokiem dokoła – niniejszym zamykam posiedzenie sądu.

Inverkirkton, Szkocja

Po wąskiej krętej drodze z wyraźnym wysiłkiem pedałowal rowerzysta. Jego czarny rower górski z trzema przerzutkami miał nad tylnym zderzakiem specjalny kosz, w którym znajdowały się skórzane sakwy przypięte elastycznymi linkami. Mężczyzna miał na sobie ciemnoszarą wiatrówkę i jasnoszare sztruksowe spodnie, dzięki czemu w połączeniu z czarnym rowerem tworzył osobliwie monochromatyczną postać odcinającą się na tle kolcolistów i wrzosów porastających szkockie wzgórza.

Na szczycie wzniesienia, gdzie z zielonych kolcolistów jak wielkie kły wyłaniały się rzędy osmaganych wiatrem głazów, droga rozdzielała się na rozstajach w kształcie litery T. Rowerzysta zatrzymał się, zeskoczył z siodelka i – jak wszystko na to wskazywało – ciesząc się zasłużonym odpoczynkiem, wyjął spod kurtki mapę, wygładził na siodelku i zaczął ją studiować leniwie.

Wewnętrznie jednak Judson Esterhazy nie był ani trochę rozleniwiony. Stracił apetyt, gdyż przełknięcie czegokolwiek było dla niego sporym wysiłkiem. Cały czas musiał się powstrzymywać, by nie oglądać się przez ramię. Prawie nie sypiał i za każdym razem, kiedy zamykał oczy, widział Pendergasta, śmiertelnie rannego, spoglądającego na niego oczyma, w których płonęła niepoohamowana, bezlitosna nienawiść.

Po raz tysięczny gorzko skarcił sam siebie, że pozostawił agenta FBI na Grzędawisku. Powinien zaczekać, aż trzęsawisko całkiem pochłonie Pendergasta. Czemu tego nie zrobił? To z powodu oczu, nie mógł znieść ani sekundy dłużej widoku tych przymrużonych lekko srebrnych oczu przeszywających go niczym ostrze skalpela. Patetyczna i niewybaczalna słabość wzięła w nim górę w chwili prawdy. Esterhazy wiedział, że Pendergast był nieludzko pomysłowy. *Nie masz pojęcia – najmniejszego pojęcia – jak niebezpieczny jest ten Pendergast.* Czy nie wypowiedział tych samych słów pół

roku temu? *Jaki jest sprytny i nieustępliwy. A tym razem ma szczególną motywację – wyjątkową, jedyną w swoim rodzaju motywację.* Tyle starannego planowania, a mimo to Esterhazy nie zdołał raz na zawsze zamknąć tej starej sprawy.

Niewiedza to prawdziwe przekleństwo.

Kiedy tak stał przy rowerze, udając, że czyta mapę, a podmuchy chłodnego, wilgotnego wiatru szarpały mankiety jego spodni, upomniał się, iż przecież rana była zabójcza. Nawet gdyby Pendergast w jakiś sposób zdołał wydostać się z bagna, to podczas trwającego kilka dni i nocy przeczesywania okolicznych terenów powinni byli odnaleźć jego zwłoki. Bagrowanie pierwszego trzęsawiska zakończyło się niepowodzeniem najprawdopodobniej dlatego, że Pendergast jednak wygrzebał się z pierwszego bagniska tylko po to, by umrzeć w jakimś gąszczu, albo został przeniesiony gdzieś dalej przez lotne piaski.

Ale nie wiedział tego – nie miał pewności – i

doprowadzało go to do szaleństwa. Musiał poznać prawdę. Życie w strachu i paranoi było nie do przyjęcia.

Po dochodzeniu sądowym opuścił Szkocję – i to z klasą, gdyż został odwieziony do Glasgow osobiście przez mocno zniesmaczonego inspektora Balfoura. Teraz, tydzień później, wrócił. Skrócił włosy i ufarbował je na czarno, nosił okulary w szylkretowych oprawkach i z grubymi szklami, zaopatrzył się też w wysokiej klasy rekwizyt teatralny – wąsy. Nawet gdyby wpadł na Balfoura albo któregoś z jego ludzi, szanse, że zostałby rozpoznany, były żadne. Świetnie udawał amerykańskiego turystę cieszącego się wyprawami rowerowymi po szkockim pogórzu.

Od strzelaniny na bagnach minęły prawie trzy tygodnie. Trop, jeżeli kiedykolwiek był, pewnie całkiem ostygnął. Ale Esterhazy przed dochodzeniem był pod ścisłą obserwacją i nie mógł sam zacząć poszukiwań. Musiał działać możliwie jak najszybciej, właśnie teraz nie było chwili do stracenia. Musiał udowodnić sobie, że

Pendergast nie przeżył, że nie wydostał się z Grzędzawiska. Może wtedy zazna spokoju.

Wreszcie skupił się na mapie. Odszukał miejsce, w którym znajdował się obecnie; zlokalizował szczyt Beinn Dearg i Grzędzawisko, a także Cairn Barrow, największą osadę w tej okolicy. Przytykając koniec palca do miejsca na mapie, gdzie postrzelił Pendergasta, przyjrzał się uważnie okolicznym terenom. Najbliższe było Inverkirkton, wioska oddalona o jakieś pięć kilometrów od miejsca strzelaniny. Poza Kilchurn Lodge nie było bliżej żadnych ludzkich siedzib. Jeżeli Pendergast przeżył – jeśli dokądkolwiek się udał – to właśnie do Inverkirkton. Tam trzeba zacząć poszukiwania.

Esterhazy złożył mapę i spojrzał w dół drugiego zbocza wzgórza. Mógł stąd dostrzec wioskę Inverkirkton. Odchrząknął i wsiadł na rower. Chwilę później pedałowal już na wschód, w dół zbocza, promienie popołudniowego słońca grzały go w plecy, a on nawet nie zwrócił uwagi na unoszący się w powietrzu słodki aromat wrzosów.

Inverkirkton było skupiskiem zadbanych budynków stojących przy drodze, ale miało dwa najważniejsze punkty, bez których nie mogła się obejść żadna szkocka osada – pub i gospodę. Podjechał pod gospodę, zszedł z roweru i oparł go o białą ścianę. Następnie wyjął chustkę z kieszeni i wszedł do środka.

W niewielkim, barwnie udekorowanym holu wisały oprawione w ramki pejzaże Inverness i Mull of Kintyre, tartany i mapa okolicy. Było tu pusto, jeśli nie liczyć mężczyzny po sześćdziesiątce, najwyraźniej oberżysty, który stał za kontuarem z polerowanego drewna i czytał gazetę. Uniósł wzrok, kiedy Esterhazy wszedł, a w jego niebieskich oczach pojawił się pytający wyraz. Esterhazy przesadnym gestem otarł chustką czoło i głośno wydmuchał nos. Wieści o wypadku na polowaniu musiały być w tej niedużej osadzie sporą sensacją i Esterhazy odetchnął z ulgą, że mężczyzna najwyraźniej go nie rozpoznał.

– Dzień dobry – rzekł mężczyzna z silnym szkockim

akcentem.

– Dobry – odpowiedział Esterhazy, gdy, jak wszystko na to wskazywało, wreszcie odzyskał oddech.

Oberżysta spojrział ponad ramieniem gościa w stronę drzwi, zza których wystawał fragment przedniego koła roweru.

– Na wakacje, tak?

Esterhazy pokiwał głową.

– Szukam pokoju. Ma pan jakiś?

– Ano mam. Jak pan ma na nazwisko?

– Edmund Draper.

Esterhazy jeszcze przez chwilę oddychał ciężko i ponownie otarł twarz chustką.

Oberżysta ściągnął z półki za sobą gruby zeszyt.

– Wyglądasz na strudzonego, chłopcze.

Esterhazy znów pokiwał głową.

– Przyjechałem tu aż z Fraserburgha.

Oberżysta przerwał otwieranie zeszytu.

– Z Fraserburgha? Toż to z sześćdziesiąt kilometrów i

w dodatku spory kawałek przez góry.

– Wiem. Przekonałem się o tym na własnej skórze. To mój drugi dzień wakacji i chyba trochę przeliczyłem się z siłami. Ale taki już jestem.

Oberżysta pokręcił głową.

– Co panu powiem, to panu powiem, ale tej nocy na pewno będzie się panu dobrze spało. A jutro lepiej trochę sobie odpuścić.

– Chyba nie mam wyboru. – Kolejna przerwa na oddech. – Nawiasem mówiąc, zobaczyłem tu obok pub. Zakładam, że podają tam kolacje?

– Tak i to całkiem smaczne. A jeśli mogę coś zasugerować, proponowałbym miejscową whisky Glen...

Mężczyzna zamilkł. Twarz Esterhazyego przybrała zmartwiony, zbolący wyraz.

– Coś się stało? – zapytał oberżysta.

– Nie wiem – odparł Esterhazy, nadając swojemu głosowi udęczony ton. – Nagle poczułem dziwny ucisk i ból w piersiach.

Na twarzy oberżysty pojawił się wyraz zaniepokojenia. Wybiegł zza kontuaru, poprowadził Esterhazyego do niedużego saloniku za ścianą i posadził go w wielkim klubowym fotelu.

– Cała ręka mnie rwie... Boże, jak boli.

Esterhazy zacisnął zęby i mocno przycisnął lewą rękę do piersi.

– Chce pan napić się czegoś? – spytał oberżysta, pochylając się z troską.

– Nie... niech pan wezwie lekarza. Szybko.

I osunąwszy się ciężko na fotel, Esterhazy zamknął oczy.

12

Nowy Jork

Podjazd prowadzący do bramy budynku o numerze 891 przy Riverside Drive wyglądał znacznie lepiej niż wtedy, kiedy D'Agosta widział go po raz pierwszy. Wtedy pełno tu było rozmaitych śmieci, rosnące dokoła krzewy bzu i sumaka uschły albo właśnie obumierały, a sama rezydencja w stylu beaux-arts stała zamknięta na głucho, pokryta graffiti okolicznych gangów. Teraz posiadłość uporządkowano i doprowadzono do ładu, trzypiętrową budowlę całkowicie odrestaurowano, mansardowy dach, wieżyczki i taras na dachu domu przywrócono do stylu z epoki. A mimo to, jak stwierdził D'Agosta, przyglądając się rezydencji z podjazdu, było w niej coś zimnego i dziwnie pustego.

Nie wiedział właściwie, po co się tu zjawiał. Niejednokrotnie powtarzał sobie, że powinien wyzbyć się paranoi i przestać zachowywać się jak stara baba. Jednak

wizyta Corrie go zaniepokoiła. I tym razem, kiedy poczuł wewnętrzny przymus, aby odwiedzić rezydencję Pendergasta, nie próbował mu się oprzeć.

Stał przez dłuższą chwilę, aby złapać oddech. Pociągami linii 1 dotarł do Sto Trzydziestej Siódmej Ulicy, ruszył stamtąd w stronę rzeki, ale nawet ta krótka wyprawa bardzo go zmęczyła. Nie znosił tej długiej rekonwalescencji, faktu, że rana od kuli, operacja wymiany zastawki i późniejszy stopniowy powrót do zdrowia kompletnie pozbawiły go sił. Jedynym plusem było to, że na początku sporo schudł, ale już zaczynał odzyskiwać utratę wagi – i to z nawiązką. A w najbliższym czasie jeszcze nie będzie mógł ćwiczyć, by pozbyć się nadmiernych kilogramów.

Po kilku chwilach ruszył podjazdem i przystanął przed dębowymi frontowymi drzwiami. Sięgnął do mosiężnej kołatki i zastukał energicznie.

Cisza.

Odczekał minutę, dwie. Nic. Nachylił się w stronę

drzwi, nasłuchując, ale dom miał zbyt solidne mury, aby można było usłyszeć jakiegokolwiek dźwięki z wewnątrz. Zapukał ponownie. Może teraz, kiedy Constance Greene trafiła do zakładu dla obłąkanych, ten dom rzeczywiście był tak pusty, jak się wydawał. Ale to mało prawdopodobne, D'Agosta wiedział, że Pendergast zatrudnił służbę, zarówno tu, jak i w Dakocie.

Rozległ się szmer klucza przekręcanego w dobrze naoliwionym zamku, po czym masywne drzwi otworzyły się powoli.

Wejście było słabo oświetlone, ale D'Agosta zdołał dostrzec twarz Proctora, kierowcy, a niekiedy także kamerdynera Pendergasta. Zazwyczaj beznamiętny i niewzruszony, dziś wyglądał na przybitego, wręcz załamane.

– Pan D'Agosta – powiedział. – Zechce pan wejść?

D'Agosta przestąpił próg, a Proctor skwapliwie zamknął za nim drzwi.

– Zechce pan przejść do biblioteki?

D'Agosta odniósł niepokojące wrażenie, że jego wizyta była oczekiwana. Podążył za Proctorem długim, rozbrzmiewającym echem korytarzem do salonu z wedgwoodowską błękitną kopułą, zapewniającą słabe oświetlenie znajdującym się tu dziesiątkom gablot ze zdobionego szkła oraz ich osobliwej zawartości.

– Zastałem Pendergasta? – zapytał.

Proctor przystanął i odwrócił się.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że nie, sir.

– Gdzie jest?

Chłodne spojrzenie kamerdynera zawahało się tylko przez moment.

– Nie żyje, sir.

D'Agosta poczuł, że salon wokół niego zawirował.

– Nie żyje? Jak to?

– Wybrał się na polowanie do Szkocji. W towarzystwie doktora Esterhazyego.

– Judsona Esterhazyego? Jego szwagra?

– Zdarzył się wypadek. Na bagnach, kiedy polowali

na jelenia. Doktor Esterhazy postrzelił pana Aloysiusa, a ten utonął w bagnie.

To nie mogła być prawda. D'Agosta musiał się przesłyszeć.

– O czym ty mówisz, do cholery?

– To się stało prawie trzy tygodnie temu.

– A co z przygotowaniem do pogrzebu? Gdzie Esterhazy? Dlaczego nikt mnie nie powiadomił?

– Nie ma ciała, sir. A doktor Esterhazy zniknął.

– Boże. Chcesz powiedzieć, że Esterhazy przypadkiem postrzelił Pendergasta, jego ciało utonęło w bagnie, a potem Esterhazy nagle zniknął?

Zdał sobie sprawę, że krzyczy, ale nie dbał o to. Oblicze Proctora pozostawało nieodgadnione.

– Miejscowa policja przez wiele dni prowadziła poszukiwania, przeczesując trzęsawisko i całą okolicę. Szukali wszędzie. Ciała nie odnaleziono.

– Czemu więc mówisz, że on nie żyje?

– Bo tak zeznał doktor Esterhazy podczas

dochodzenia. Zeznał, że postrzelił go w pierś. I widział, jak ciało wpada do bagna i pogrąża się w nim.

D'Agosta poczuł, że braknie mu tchu.

– Esterhazy sam ci tak powiedział?

– Dowiedziałem się tego z rozmowy telefonicznej z inspektorem, który prowadził śledztwo w tej sprawie. Chciał mi zadać parę pytań dotyczących pana Aloysiusa.

– I nikt inny nie kontaktował się z tobą?

– Nie, sir.

– Gdzie to się stało?

– Niedaleko Kilchurn Lodge. W Górach Szkockich.

D'Agosta zacisnął zęby.

– Ludzie tak po prostu nie znikają. W tej historii coś wyraźnie śmierdzi.

– Przykro mi, sir, ale to wszystko, co wiem.

D'Agosta wziął kilka ukrywanych, nerwowych oddechów.

– Jezu. Dobra. Dziękuję, Proctorze. Przepraszam, że tak się uniosłem. Po prostu to mną wstrząsnęło.

– Rozumiem. Czy przed wyjściem miałby pan ochotę wstąpić do biblioteki na kieliszek sherry?

– Żartujesz sobie? Muszę coś z tym zrobić.

Proctor spojrzał na niego.

– Co konkretnie?

– Jeszcze nie wiem. Ale możesz być pewien, że tak tego nie zostawię.

13

Inverkirrton

Judson Esterhazy siedział przy obskurnym barze w pubie Half Moon i sączył guinnessa. Pub był nieduży, adekwatnie do wielkości osady: trzy stołki przy barze, cztery stoliki, każdy pod jedną ze ścian. Obecnie knajpa świeciła pustkami, był tu tylko on i barman, stary MacFlecknoe, ale dochodziła siedemnasta i już wkrótce to się zmieni.

Opróżnił kufel, a MacFlecknoe natychmiast podszedł do niego.

– Jeszcze jednego? – zapytał.

Esterhazy zamyślił się przez chwilę.

– Czemu nie? – odparł w końcu. – Wątpię, aby doktor Roscommon miał coś przeciw temu.

Barman zachichotał.

– Jasne, poza tym to będzie nasza tajemnica.

Jak na zawołanie Esterhazy spostrzegł doktora przez

wielkie okrągłe okno we frontowych drzwiach pubu. Roscommon pospiesznie przeszedł przez ulicę, zatrzymał się przed drzwiami domu, gdzie miał swój gabinet, i otworzył je kluczem.

Esterhazy patrzył, jak mężczyzna znika wewnątrz budynku i zamyka za sobą drzwi.

Udając wczoraj, że miał atak serca, Esterhazy w myślach wyobraził sobie miejscowego doktora: o twarzy nalanej i poczerwieniałej, posuniętego w latach, ale wciąż dość muskularnego, jakby przywykł do radzenia sobie nie tylko z ludźmi, lecz również z chorymi krowami i końmi. Roscommon go zaskoczył. Był chudy jak tyka, po czterdziestce, miał bystre, żywe oczy i inteligentny wyraz twarzy. Zbadał nowego pacjenta z chłodnym, swobodnym profesjonalizmem, który Esterhazy mógł tylko podziwiać. Szybko ustalił, że bóle w klatce piersiowej nie oznaczały niczego poważniejszego. Mimo to zalecił kilka dni odpoczynku. Esterhazy spodziewał się tego i przystał na to ochoczo, bo miał dzięki temu pretekst, aby rozejrzeć się

po osadzie. I spotkał się z miejscowym lekarzem, co stanowiło jego główny cel. Miał nadzieję zaprzyjaźnić się z nim i wyciągnąć pewne informacje, lekarz jednak zachowywał typową szkocką rezerwę, ograniczając się do profesjonalnej porady. Może miał taką naturę, a może coś ukrywał.

Sącząc kolejnego guinnessa, Esterhazy ponownie zastanawiał się, co człowiek taki jak Roscommon robi na takim zadupiu jak Inverkirkton. Wyraźnie miał predyspozycje do tego, by otworzyć lukratywną praktykę w większym mieście. Jeżeli Pendergast mimo wszystko przeżył i wydostał się z bagna, człowiekiem, do którego musiał się udać, był Roscommon, jedyny lekarz w tej osadzie.

Drzwi pubu otworzyły się i weszła kobieta – Jennie Prothero. Esterhazy miał wrażenie, że poznał już wszystkich mieszkańców tego cholernego miasteczka. Pani Prothero prowadziła tu sklepik z pamiątkami, a ponieważ nie przynosił on kokosów, oprócz niego miała

niedużą pralnię. Była pulchna i sympatyczna, życzliwa, o twarzy czerwonej jak homar. Pomimo ciepłego październikowego dnia owinęła się ciepłym, wełnianym szalem.

– Witaj, Paulie – rzuciła do barmana, sadowiąc się na jednym z wolnych stołków na tyle, na ile pozwalało jej wążące ponad dziewięćdziesiąt kilogramów ciało.

– Witaj, Jennie – odparł MacFlecknoe, który starannie wytarł porysowany drewniany kontuar, nalał piwo z nalewaka i postawił je na podstawce.

Kobieta odwróciła się do Esterhazyego.

– Jak pan się dzisiaj czuje, panie Draper?

Esterhazy uśmiechnął się.

– O wiele lepiej, dziękuję. Wygląda na to, że tylko naciągnąłem mięsień.

Pokiwała głową z wyrozumiałością.

– Miło mi to słyszeć.

– Muszę podziękować doktorowi Roscommonowi.

– To dobry lekarz i prawy człowiek – powiedział

barman. – Jakie to szczęście, że go mamy.

– Tak. Wygląda naprawdę na świetnego doktora.

MacFlecknoe pokiwał głową.

– Studiował medycynę w Londynie i w ogóle.

– Szczerze mówiąc, dziwię się, co go tu trzyma.

– Cóż, to jedyny lekarz w promieniu trzydziestu kilometrów – powiedziała Prothero. – Przynajmniej odkąd zeszłej zimy odszedł stary Crastner.

– A więc ma sporo pracy? – zapytał Esterhazy, popijając piwo.

– Bardzo dużo – odparł MacFlecknoe. – Przyjmuje pacjentów dzień i noc.

– Dzień i noc? Prawdę mówiąc, trochę mnie to dziwi. Biorąc pod uwagę, że to jednak mała osada.

– Ale nawet tu, jak wszędzie indziej, zdarzają się nagłe wypadki – odrzekł barman i skinął głową w stronę domu po drugiej stronie ulicy, gdzie doktor miał gabinet.

– Czasami widać, że się świeci u niego nawet sporo po północy.

– Co pan powie – rzucił Esterhazy. – A kiedy tak było ostatnio?

MacFlecknoe zamyślił się.

– Ze trzy tygodnie temu. Może trochę więcej. Nie pamiętam dokładnie. To nie zdarza się często. Ale tamtego dnia, pamiętam, że jego samochód przyjechał i odjechał dwa razy. To było dość późno, po dziewiątej.

– Może chodziło o biedną panią Bloor – wtrąciła Jennie Prothero. – W ostatnich miesiącach mocno podupadła na zdrowiu.

– Nie, nie jechał w stronę Hithe – odrzekł barman. – Słyszałem, że samochód skierował się na zachód.

– Na zachód? – spytała kobieta. – Tam nie ma nic poza Grzędzawiskiem.

– Może chodziło o jednego z gości zameczku myśliwskiego – mruknął MacFlecknoe.

Kobieta upiła łyk piwa.

– Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, przypominam sobie, że parę tygodni temu dostałam do prania rzeczy z

gabinetu przyjąć doktora Roscommona. Była na nich krew. Sporo krwi.

– Naprawdę? – spytał Esterhazy, czując, że serce zaczyna mu bić szybciej. – O czym pani mówi? Jakie rzeczy?

– No wie pan, to co zwykle. Prześcieradła, materiały opatrunkowe.

– Cóż, Jennie, to nic niezwykłego – rzucił barman. – Farmerzy w tych okolicach stale miewają wypadki.

– Tak – rzekł Esterhazy bardziej do siebie niż do innych. – Ale nie w środku nocy.

– Co to miało znaczyć, panie Draper? – spytała Jennie Prothero.

– Ech, nic. – Esterhazy dopił piwo.

– Jeszcze jedno? – zapytał barman.

– Chyba już dziękuję. Ale pozwoli pan, że postawię po jednym panu i pani Prothero.

– Z przyjemnością, jest pan wielce łaskaw.

Esterhazy pokiwał głową, ale nie spojrział w stronę

barmana. Wzrok miał utkwiony w okrągłe okno w drzwiach pubu i kremowe drzwi gabinetu doktora Roscommona po drugiej stronie ulicy.

Malfourche, Missisipi

Ned Betterton zatrzymał wóz przed brudną witryną Ideal Café, wszedł do wnętrza przesyconego zapachem bekonu i cebuli, po czym zamówił kawę z mlekiem i cukrem. Ideal nie była idealną kafejką, ale Malfourche nie było dużym miasteczkiem: zapuszczone, na wpół wyludnione, powoli popadało w coraz większą ruinę. Dzieciaki mogące poszczycić się jakimikolwiek umiejętnościami zabierały się stąd tak szybko jak mogły, wyjeżdżając do znacznie większych, o wiele bardziej ekscytujących miast, tu natomiast pozostawali sami nieudacznicy. Cztery pokolenia takiego stanu rzeczy i proszę, do czego to prowadziło, otrzymywało się zadupie takie jak Malfourche. Do kroćset, on przecież dorastał w takim miasteczku. Problem polegał na tym, że nie uciekł dostatecznie daleko. Wróc: wciąż uciekał, wiał, aż się kurzyło, ale nie udało mu się donikąd dotrzeć.

Przynajmniej kawa była w miarę porządna i gdy wszedł do kafejki, poczuł się jak w domu. Musiał przyznać, że lubił takie obskurne lokale, z twardymi jak stal kelnerkami, brzuchatymi szoferakami siedzącymi przy kontuarze, tłustymi hamburgerami, zamówieniami wykrzykiwanymi na całe gardło i mocną, świeżą kawą.

Jako pierwszy w rodzinie ukończył liceum, nie mówiąc o studiach. Drobny, wychuchany dzieciak wychowywany przez matkę – byli tylko we dwoje – bo ojciec odsiadywał wyrok za napad na rozlewnię coca-coli. Dwadzieścia lat dzięki prokuratorowi, który chciał wyrobić sobie nazwisko, i bezlitosnemu sędziemu. Ojciec zmarł w pudle na raka, a Betterton wiedział, że to rozpacz wywołała chorobę, która go zabiła. A śmierć ojca zabiła matkę.

W rezultacie Betterton nabrał przekonania, że wszyscy u władzy to załgane, egoistyczne sukinsyny. Właśnie dlatego skierował swoje zainteresowania ku dziennikarstwu, by, jak uznał, mógł walczyć z tymi

ludźmi prawdziwą bronią. Problem polegał na tym, że z magisterium z komunikacji społecznej mógł wylądować jedynie w redakcji „Ezerville Bee” i pracował tam od pięciu lat, próbując przenieść się do jakiegoś większego dziennika. „Bee” była szmatławcem pełnym reklam, który rozsyłano za darmo do wszystkich mieszkańców i który stertami zalegał na stacjach benzynowych i w supermarketach. Właściciel, redaktor naczelny i wydawca, Zeke Kranston, śmiertelnie bał się kogokolwiek urazić, jeżeli istniała choćby najmniejsza szansa, że ten ktoś mógłby chcieć zamieścić swoje ogłoszenie na łamach jego gazety. Dlatego nie było mowy o dziennikarstwie śledczym, ujawnianiu tajemnic czy wygrzebywaniu brudów, podobnie jak o twardej polityce. „Praca w »Ezerville Bee« polega na sprzedaży reklam – mawiał Kranston po wyjęciu z ust wilgotnej wykałaczki, którą zdawał się mieć przyklepioną na stałe do dolnej wargi. – Nie próbujcie dogrzebać się do kolejnej afery Watergate. Tylko odstraszyć czytelników – i reklamodawców”. W

rezultacie notes z wycinkami artykułów Battertona wyglądał jak wyklejanka z pisma dla gospodyń domowych: artykuły o zaginionych psach, usługach, relacje ze sprzedaży wypieków kościelnych ciast, rozgrywek licealnej drużyny futbolowej i lokalnych rautów. Trudno się dziwić, że z takim dorobkiem nie miał szans na rozmowę o pracę w żadnej prawdziwej gazecie. Betterton pokręcił głową. Ani myślał spędzić w Ezerville reszty życia, a jedynym sposobem na wydostanie się stąd było znalezienie jakiegoś sensacyjnego tematu. Nieważne, czy to będzie jakaś zbrodnia, bulwersująca historia „z życia wzięta” czy opowieść o kosmitach z miotaczami laserowymi. Jedna sensacyjna historia – to wszystko, czego potrzebował.

Dopił kawę, zapłacił i wyszedł na słońce. Od strony Czarnych Bagien powiał wiatr, nieprzyjemnie ciepły i niosący ze sobą drażniącą woń. Betterton wszedł do samochodu i uruchomił silnik, włączając klimatyzację na pełną moc. Ale nigdzie się nie wybierał – jeszcze nie.

Zanim zajmie się swoim artykułem, chciał się dobrze zastanowić nad całą sprawą. Z wielkim trudem i nie szczędząc obietnic, zdołał przekonać Kranstona, aby powierzył mu ten temat. To była dziwna i ciekawa historia „z życia wzięta”, która mogła się okazać pierwszym prawdziwie dziennikarskim artykułem w jego karierze. Zamierzał wykorzystać tę okazję do maksimum.

Betterton siedział w coraz chłodniejszym aucie, zastanawiając się nad tym, co powie, jakie zada pytania, i usiłując przewidzieć słowa sprzeciwu, które z pewnością padną. Ponownie przeczesał rzadkie włosy i otarł pot z czoła. Spojrzał na mapę wydrukowaną z internetu, ruszył i zawrócił na zapuszczonej ulicy, kierując się ku obrzeżom miasteczka.

Nawet pisząc o bzdetach, nauczył się zwracać uwagę na najdrobniejsze plotki czy pogłoski, choćby i najbardziej trywialne. Słyszał opowieści o tej tajemniczej parze, o jej zniknięciu przed laty i nagłym ponownym pojawieniu się kilka miesięcy temu, jak również o

sfingowanym samobójstwie, które łączyło się z tą sprawą. Wizyta na posterunku lokalnej policji tego ranka potwierdziła, że plotka była jak najbardziej prawdziwa. A raport policyjny, bardzo zdawkowy i niechlujny, budził mnóstwo wątpliwości.

Spojrzał ponownie na mapę, a potem na rzędy smętnych domów z drewnianych desek, które stały po obu stronach podziurawionej jak sito ulicy. I wtedy go zobaczył: mały bungalow pomalowany na biało, z krzewami magnolii przy wejściu.

Zjechał do krawężnika, wyłączył silnik i przez kolejną minutę przygotowywał się psychicznie. Następnie wysiadł, poprawił sportową marynarkę i zdecydowanym krokiem pomaszerował w stronę drzwi. Nie było dzwonka, tylko kołatka, więc zapukał nią stanowczo.

Usłyszał echo dźwięków kołatki rozbrzmiewające wewnątrz domu. I przez następną chwilę kompletnie nic. A potem odgłos kroków. Drzwi otworzyły się i w progu pojawiła się wysoka, smukła kobieta.

– Tak?

Betterton co prawda nie wiedział, czego ma się spodziewać, ale na pewno nie sądził, że kobieta jest tak piękna. Nie najmłodsza, ale wyjątkowo atrakcyjna.

– Pani Brodie? June Brodie?

Kobieta spojrzała na niego chłodnymi niebieskimi oczami, otaksowując go wzrokiem.

– Zgadza się.

– Nazywam się Betterton. Jestem z „Ezerville Bee”.
Czy mogę zająć pani chwilę?

– Kto przyszedł, June? – z wnętrza domu dobiegł wysoki męski głos.

Świetnie, pomyślał Betterton, są oboje.

– Nie mamy prasy nic do powiedzenia – rzuciła June Brodie i cofnęła się o krok, by zamknąć drzwi.

Betterton desperacko wsunął stopę między drzwi a framugę.

– Proszę, pani Brodie – powiedział. – Już wiem prawie wszystko. Byłem na policji, sprawa jest w

archiwum. I tak napiszę ten artykuł. Pomyślałem jednak, że chciałaby pani zabrać głos w tej sprawie.

Przyglądała mu się przez chwilę. Oczy pełne inteligencji zdawały się przewiercać go na wskroś.

– O jakim artykule pan mówi?

– O tym, w którym opowiem, jak sfingowała pani swoje samobójstwo i zniknęła bez śladu na dwanaście lat.

Krótką chwilą ciszy.

– June? – Betterton znów usłyszał męski głos.

Pani Brodie otworzyła drzwi i odsunęła się na bok. Szybko, zanim mogłaby zmienić zdanie, Betterton wszedł do środka. Przed sobą miał salon roztaczający słabą woń kulek na mole i pasty do podłóg. Pokój był prawie pusty: kanapa, dwa krzesła i niewielki stolik na perskim dywanie. Kroki dziennikarza rozbrzmiały głuchym echem na drewnianej podłodze. Czuł się jak w domu, do którego ktoś właśnie się wprowadził. Po chwili zorientował się, że faktycznie tak było.

Z ciemnego korytarza wyłonił się niski mężczyzna,

blady i szczupły, z talerzem w jednej ręce i ścierką do naczyń w drugiej.

– Kto to... – zaczął i zamilkł na widok Bettertona.

June Brodie odwróciła się ku niemu.

– To pan Betterton. Jest dziennikarzem, z gazety.

Niski mężczyzna przeniósł wzrok ze swojej żony na Bettertona i z powrotem.

– Czego chce?

– Pisze o nas artykuł. O naszym powrocie.

Coś w jej głosie, ni to pogarda, ni to ironia, sprawiło, że Betterton poczuł narastające zdenerwowanie.

Mężczyzna ostrożnie odstawił talerz na stolik. Był równie odpychający, jak jego żona elegancka.

– Carlton Brodie? – spytał Betterton.

Mężczyzna skinął głową.

– Może powie nam pan, co pan wie albo co się panu wydaje, że pan wie? – odezwała się June Brodie.

Z rozmysłem nie zaprosiła go, żeby usiadł, ani nie zaproponowała niczego do picia. Betterton oblizał wargi.

– Wiem, że pani samochód został porzucony przy moście Archera ponad dwanaście lat temu. Wewnątrz auta znajdował się list pożegnalny napisany odręcznie przez panią o następującej treści: „Nie zniosę już tego dłużej. To wszystko moja wina. Wybacz mi”. Przebagrowano rzekę, ale pani ciała nigdy nie odnaleziono. Kilka tygodni później policja odwiedziła w związku z tą sprawą pani męża Carltona i dowiedziała się, że wybrał się w podróż, ale nie wiadomo było, dokąd wyjechał ani na jak długo. To właśnie wtedy ostatni raz ktokolwiek usłyszał o małżeństwie Brodiech, aż do teraz, kiedy niespodziewanie pojawiliście się tutaj parę miesięcy temu.

– No i to wszystko – odezwała się June Brodie. – To takie ciekawe, że warto pisać o tym artykuł?

– Jak najbardziej, pani Brodie. To fascynująca historia i myślę, że czytelnicy „Bee” podzielą moje zdanie. Co mogło skłonić kobietę do takiego kroku? Gdzie była przez cały ten czas? I czemu po ponad dziesięciu latach ni stąd, ni zowąd powróciła?

June Brodie zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała. Zapadła krótka lodowata cisza. Po chwili pan Brodie westchnął.

– Posłuchaj, młody człowieku, obawiam się, że ta sprawa nie jest tak interesująca, jak ci się wydaje.

– Nie próbuj go udobruchać, Carltonie – wtrąciła June Brodie.

– Nie, kochanie, myślę że będzie lepiej, jak wszystko mu opowiemy – rzekł jej mąż. – Opowiemy to tylko raz i więcej nie będziemy do tego wracać. Jeżeli odmówimy współpracy, tylko przedłużymy całą tę sprawę. – Odwrócił się do Bettertona. – Przechodziliśmy w naszym małżeństwie trudny okres.

Betterton pokiwał głową.

– Było naprawdę ciężko – ciągnął pan Brodie. – I wtedy pracodawca June zginął w pożarze, a ona straciła pracę w firmie Longitude Pharmaceuticals, kiedy ta zbankrutowała. June odchodziła od zmysłów, była bliska obłądu. Musiała się uwolnić, oderwać od tego

wszystkiego. Ja również. To, co zrobiła – sfingowanie samobójstwa – było głupie, wtedy jednak wydawało się, że nie ma innego wyboru. Później do niej dołączyłem. Postanowiliśmy wybrać się w podróż. Zatrzymaliśmy się w małym pensjonacie, spodobał się nam od pierwszego wejrzenia, okazało się, że był na sprzedaż, kupiliśmy go i prowadziliśmy razem przez kilka lat. Ale... jesteśmy coraz starsi i mądrzejsi, sytuacja trochę się ustabilizowała, więc postanowiliśmy wrócić do domu. To wszystko.

– To wszystko – powtórzył głucho Betterton.

– Jeżeli przeczytał pan raport policji, już pan to wie. Oczywiście nie było żadnego śledztwa. Wszystko wydarzyło się dawno temu, nie doszło do oszustwa, nikt nie próbował uniknąć w ten sposób kłopotliwych długów czy wyłudzić odszkodowania, nie doszło do złamania prawa. W tej sytuacji sprawę umorzono. A teraz chcemy tylko żyć tutaj w ciszy i spokoju.

Betterton zastanawiał się nad tym przez chwilę. Raport policyjny wspominał o pensjonacie, ale bez

żadnych szczegółów.

– Gdzie był ten pensjonat?

– W Meksyku.

– Gdzie w Meksyku?

Krótkie wahanie.

– W San Miguel de Allende. Zakochaliśmy się w tym miejscu od pierwszego wejrzenia. To miasto artystów leżące w górach środkowego Meksyku.

– Jak się nazywał ten pensjonat?

– Casa Magnolia. Piękne miejsce. O rzut kamieniem od Mercado de Artesanias.

Betterton wziął głęboki oddech. Nie wiedział, o co jeszcze mógłby zapytać. A szczerść i otwartość tamtego mężczyzny nie pozostawiała mu pola do manewru.

– Cóż, dziękuję za pomoc.

W odpowiedzi Brodie pokiwał głową i sięgnął po talerz i ścierkę.

– Mogę zadzwonić? Gdybym miał jeszcze jakieś pytania?

– Nie może pan – odparła oschle June Brodie. –
Życzę miłego dnia.

Na zewnątrz, idąc do swojego samochodu, Betterton ożywił się. To wciąż była niezła historia. No dobrze, może to nie był temat stulecia, ale na pewno zaciekaWi wielu czytelników i będzie się niezle prezentował wśród jego wycinków. Kobieta, która sfingowała samobójstwo, ściągnęła do siebie męża na wygnanie, a potem wróciła po dwunastu latach. Historia z życia wzięta – i to jaka! Przy odrobinie szczęścia może zainteresują się nim jakieś większe dzienniki.

– Ned, ty draniu – rzekł, otwierając drzwiczki. –
Dobra, to nie afera Watergate, ale może uda ci się wziąć tyłek w troki i zwiać z Ezerville.

June Brodie patrzyła przez okno z twarzą pozbawioną wyrazu, a jej chłodne niebieskie oczy nie mrugały, aż samochód rozplynął się w oddali. Dopiero wtedy odwróciła się do męża.

– Myślisz, że to kupił?

Carlton Brodie wycierał porcelanowy talerz.

– Policja kupiła, no nie?

– Nie mieliśmy wyboru. Ale teraz to trafi do wiadomości publicznej.

– Już trafiło.

– Ale nie do prasy.

Brodie zachichotał.

– Masz za dobre zdanie o „Ezerville Bee”. – Zamilkł i spojrzał na nią. – O co chodzi?

– Nie pamiętasz, co powiedział Charles? Jaki zawsze był przerażony? Musimy pozostać w ukryciu, twierdził z uporem. Nie możemy się ujawniać. Oni nie mogą się dowiedzieć, że żyjemy. Przyszliby po nas.

– No i co?

– A jeżeli przeczytają artykuł?

Brodie ponownie zachichotał.

– June, proszę. Nie ma żadnych „ich”. Slade był stary. Stary, schorowany, chory psychicznie i miał ciężką

paranoję. Uwierz mi, będzie lepiej wyjawić tę sprawę z naszego punktu widzenia, opowiadając naszą wersję wydarzeń, bez zbędnych plotek czy spekulacji. W ten sposób zdusimy to w zarodku.

I wciąż wycierając talerz, poczłapał z powrotem do kuchni.

Cairn Barrow

D'Agosta siedział za kierownicą wynajętego forda, popatrując ponurym wzrokiem na bezkresną połąć zielonoszarych bagien. Z wysokości terenu, na którym zaparkował, trzęsawiska zdawały się rozciągać w nieskończoność spowite oparami mgieł. I nawet pomimo dopisującego mu szczęścia mogły ciągnąć się bez końca, na zawsze ukrywając swoje mroczne sekrety.

Nigdy jeszcze nie był tak zmęczony. Nawet teraz, po upływie siedmiu miesięcy, rana postrzałowa wciąż dawała mu się we znaki: dostawał zadyszki od wchodzenia po schodach czy przejścia przez terminal na lotnisku. Ostatnie trzy dni w Szkocji mocno go nadwreżyły, ale dzięki troskliwemu i kompetentnemu inspektorowi Balfourowi zobaczył wszystko, co należało. Przeczytał wszystkie oficjalne kopie, zeznania, raporty o zebranych materiałach dowodowych. Był też na miejscu zdarzenia.

Rozmawiał z właścicielami Kilchurn Lodge. Odwiedził wszystkie domy, farmy, stodoły, kamienne chaty, trzęsawiska, kamienne pagórki, zalesione parowy, górskie doliny i każde miejsce w promieniu trzydziestu kilometrów od tego zapomnianego przez Boga zakątka – wszystko na nic. To było piekielnie wyczerpujące, a chłodny, dżdżysty szkocki klimat bynajmniej mu nie sprzyjał.

Wiedział, że Wyspy Brytyjskie bywają wilgotne, ale odkąd opuścił Nowy Jork, w ogóle nie widywał słońca. Jedzenie było parszywe, a w promieniu dwustu kilometrów ani jednego lokalu z porządnym spaghetti. Dał się przekonać do spróbowania potrawy o nazwie haggis tego wieczoru, kiedy tu przybył, i od tamtej pory miał kłopoty gastryczne. Kilchurn Lodge było samo w sobie eleganckim miejscem, ale pełnym przeciągów, a zimno przenikało aż do szpiku kości i wywoływało ból niedawnej rany.

Ponownie wyjrzał przez okno, wzdychając

przeciągle. Nie miał najmniejszej ochoty na kolejną wyprawę na bagna. Jednak poprzedniego wieczoru w pubie przypadkowo podsłuchał rozmowę o dwojgu staruszkach – szalonych lub tylko trochę stukniętych, różnie o nich mówiono – mieszkających w kamiennej chacie na Grzędawisku, niedaleko bagien Inish. Ludzie ci hodowali owce i jeżeli chodziło o żywność, byli praktycznie samowystarczalni, więc prawie nie zaglądali do miasteczka. D’Agoście powiedziano, że nie było drogi prowadzącej do ich domu, a jedynie wąska ścieżka oznakowana skalistymi pagórkami. Chata stała w samym sercu trzęsawiska, z dala od drogi, blisko dwadzieścia kilometrów od miejsca zdarzenia. D’Agosta wiedział, że ciężko ranny Pendergast nie mógł pokonać tak dużej odległości. Mimo to, aby być lojalnym wobec siebie i starego przyjaciela, postanowił sprawdzić także ten, już ostatni trop, zanim wróci do Nowego Jorku.

Raz jeszcze rzucił okiem na mapę topograficzną, którą kupił, po czym złożył ją i schował do kieszeni.

Powinien już ruszyć – niebo ciemniało, a od zachodu zbierały się groźne chmury. Zawahał się jeszcze przez chwilę. Wreszcie z pełnym wysiłku stęknieniem otworzył drzwiczki i wygramolił się z samochodu. Otulił się ciaśniej płaszczem przeciwdeszczowym i ruszył przed siebie.

Szlak był wyraźny: zwirowa ścieżka biegnąca kręto wśród spłachetków trawy i wrzosów. Dostrzegł pierwszy kamienisty pagórek, nie zwyczajną stertę kamieni, lecz wysoką, wąską płytę granitową wystającą z ziemi.

Podchodząc bliżej, zauważył, że na kamieniu było coś wyryte.

GLIMS HOLM

6 km

Nazwa chatki, o której wspomiano w pubie. Mruknął z zadowoleniem. Sześć kilometrów. Powolnym

krokiem powinien dotrzeć na miejsce w dwie godziny. Ruszył, nowe buty trekkingowe zachręściły na żwirze, a silne podmuchy wiatru smagały twarz. Był jednak ciepło ubrany, zabezpieczony przed chłodem, a do zmierzchu zostało jeszcze dobrych siedem godzin.

Przez pierwsze półtora kilometra szlak wiódł po twardym gruncie, a następnie po coraz mniej stabilnych ostojach w głąb Grzędzawiska. D'Agosta oddychał głęboko, dziwiąc się i z niejakim zadowoleniem stwierdzając, że po ostatnich wypadach w te rejony wyraźnie nabrał sił pomimo zmęczenia i dającego mu się we znaki bólu rany. Szlak był dobrze oznakowany długimi wąskimi kawałkami granitu wystającymi z ziemi jako drogowskazy.

Jeszcze dalej w głąb Grzędzawiska szlak stawał się słabiej widoczny, ale znaczniki wciąż pozostawały wyraźne na przestrzeni setek metrów, przystawał przy każdym z nich, przepatrując teren przed sobą, odnajdywał kolejny i maszerował. Mimo iż grunt wydawał się

względnie płaski i otwarty, w miarę jak posuwał się dalej, zrozumiał, że ziemia była tu mocno pofałdowana i nierówna, co utrudniało zorientowanie się w ukształtowaniu terenu i utrzymaniu marszu po linii prostej.

Okolo godziny jedenastej szlak zaczął się powoli kierować ku niżej położonym, bardziej podmokłym trzęsawiskom. W oddali po prawej spostrzegł ciemną linię, która zgodnie z tym, co mówiła mapa, oznaczała granicę bagien Inish. Powietrze stało się nieruchome, wiatr ustał, w kotlinach zbierała się mgła unosząca się leniwie ponad czarnymi bagnami. Niebo pociemniało i zasnuło się chmurami.

Szlag, pomyślał D'Agosta, unosząc wzrok. Zaczynała siąpić ta cholerna szkocka mżawka. Znowu.

Maszerował dalej. Nagle mżawkę przerwał potężny podmuch wiatru. Wcześniej usłyszał, niż poczuł, szeleszczący dźwięk przetaczający się nad moczarami, przygniatający wrzosa do ziemi i w końcu także do niego

dotarł porywisty podmuch wiatru szarpiący poły płaszcza i kaptur. Teraz ziemię zrosiły większe krople deszczu. Opary mgieł, które zalegały w kotlinie, nagle zaczęły się unosić coraz wyżej, tworząc większe kłęby przesuwane się ponad bagnami, jak gdyby ołowiane niebo opuściło się do poziomu gruntu.

D'Agosta spojrział na zegarek. Prawie południe.

Przystanął, by odpocząć przy głazie. Nie napotkał żadnych innych znaków kierujących go do Glims Holm, uznał jednak, że musiał już przejść ze cztery i pół kilometra. Jeszcze tylko półtora. Zlustrował wzrokiem teren przed sobą: nie dostrzegł niczego, co mogło być stojącą w oddali chatą. Omiótł go kolejny podmuch wiatru, zimne krople deszczu boleśnie kąsały twarz.

Niech to szlag. Podniósł się z głazu, spojrział na mapę, ale nic mu to nie dało, bo nie było tu żadnych punktów orientacyjnych, według których mógłby odmierzać pokonany dystans.

Co za absurd, że w ogóle ktoś tu mieszkał. Ci

staruszkowie, bardziej niż tylko trochę stuknięci, byli kompletnie obłąkani. A to, co on robił, było skrajnie szalone i głupie – przecież to niemożliwe, aby Pendergast zdołał o własnych siłach dotrzeć do tej chatki.

Lało jak z cebra, deszcz był gęsty i jednostajny. Zrobiło się też ciemno jak po zmierzchu. Szlak, coraz słabiej widoczny, po obu stronach ograniczały bagna, miejscami zaś został podmyty i trzeba było przechodzić po płaskich kamieniach albo mostku z pni drzewnych rozłożonych na ziemi. W tej mgle, deszczu i mroku D'Agosta miał spore trudności ze zlokalizowaniem kolejnych skalistych pagórków i musiał długo się wysilać, aby je dostrzec w gęstniejącej szarówce.

Jak daleko jeszcze? Spojrzał na zegarek. Wpół do pierwszej. Szedł dwie i pół godziny. Powinien już zbliżyć się do chatki. Przed sobą jednak widział tylko szare bagniska wyłaniające się co pewien czas z deszczu i oparów mgieł.

Miał nadzieję, że zastanie kogoś w chatce i że będzie

tam ciepło, miał też nadzieję na gorącą kawę albo przynajmniej herbatę. Zaczął czuć zimno, przenikliwy chłód, w miarę jak woda przesiąkała przez jego ubranie. To był błąd; do bólu rany dołączał teraz od czasu do czasu przenikliwy ból w nodze. Zastanawiał się, czy znów powinien odpocząć, ale uznał, że teraz, kiedy jest już prawie na miejscu, było to niewskazane. Odpoczynek mógł sprawić, że jeszcze bardziej zeszywnieje i zmarźnie.

Zatrzymał się. Szlak kończył się szerokim, drgającym bagniskiem. Rozejrzał się dokoła, poszukując kamiennych pagórków, które mogły oznaczać drogę przez trzęsawisko, ale nie spostrzegł ani jednego. Do licha, nie był dostatecznie uważny. Odwrócił się, spoglądając w stronę, skąd przyszedł. Teraz, kiedy tak patrzył, odniósł wrażenie, że nie był to szlak, ale raczej ciąg splachetków nieco bardziej stałego gruntu. Zawrócił po swoich śladach i nagle się zatrzymał. Wyglądało na to, że mógł tu dotrzeć dwiema drogami, bo zauważył dwie wydeptane ścieżki.

Przyjrzał się im obu uważnie, nie dostrzegł na stwardniałym gruncie śladów stóp, choć na ziemi pojawiły się coraz większe kałuże. Wyprostował się i zlustrował wzrokiem horyzont, wypatrując charakterystycznego granitowego kształtu. Ale niezależnie od tego, jak bardzo wyteżał wzrok, nie widział nic prócz szarej połaci trzęsawiska i postrzępionych mgieł.

Napełnił płuca głębokim wdechem. Skaliste pagórki były rozstawione w odległości kilkuset metrów jeden od drugiego. Nie mógł znajdować się dalej niż sto metrów od ostatniego. Wystarczy, że zwolni, wyciszy się, uspokoi i weźmie tyłek w troki, by wrócić do poprzedniego pagórka.

Wybrał ścieżkę po prawej i ruszył powoli, zatrzymując się co chwilę i wypatrując kamiennego kształtu. Po przejściu około pięćdziesięciu metrów uznał, że to nie była droga, którą tu przybył – do tej pory musiałby już zobaczyć pagórek. Dobrze, wobec tego pójdzie drugą ścieżką. Odwrócił się i przeszedł z

pięćdziesiąt metrów, ale z jakiegoś powodu nie wrócił do rozwidlenia szlaku, które wcześniej tak go zaskoczyło. Przeszedł jeszcze kawałek, aż stwierdził, że źle oszacował odległość – ale ścieżka kończyła się przy kolejnym trzęsawisku.

Przystanął, by opanować oddech. W porządku, zgubił się. Ale przecież nie zgubił się aż tak bardzo. Nadal nie mógł znajdować się dalej niż dwieście metrów od ostatniego kamiennego pagórka. Musiał tylko dobrze się rozejrzeć dokoła. Nie pójdzie dalej, dopóki nie rozezna się w terenie i nie będzie wiedział, dokąd zmierza.

Porywisty wiatr niósł ze sobą strugi deszczu i D'Agosta poczuł lodowatą wodę ściekającą mu po plecach. Ignorując to doznanie, zaczął rozglądać się na wszystkie strony. Wyglądało na to, że znajdował się w nieckowatym zagłębieniu terenu. Horyzont miał mniej więcej w odległości półtora kilometra ze wszystkich stron, ale trudno to było stwierdzić z powodu nieustannie falującej mgły. Wyjął mapę, ale zaraz znów wsunął ją do

kieszeni. Co by mu dała? Sklął sam siebie za to, że nie zabrał kompasu. Mógłby przynajmniej określić kierunek, w jakim się poruszał. Spojrzał na zegarek: wpół do drugiej. Jakies trzy godziny do zmierzchu.

– Cholera – zaklął na głos, a potem donośniej: – Cholera jasna!

To sprawiło, że poczuł się lepiej. Wybrał punkt na horyzoncie i zaczął wypatrywać kamiennego pagórka. I wtedy go spostrzegł – odległy pionowy kształt wśród poruszających się bez przerwy mgieł.

Ruszył w tę stronę, przechodząc z jednej zwirowej ścieżki na drugą. Jednak moczary sprzysięgły się chyba, aby zablokować mu drogę: szedł w jedną stronę, potem w drugą, wracając tą samą drogą, ale odnosił wrażenie, że ugrzązł na wężowatej wysepce w samym środku trzęsawiska. Chryste, przecież widział ten kretyński pagórek oddalony o niespełna dwieście metrów!

Kiedy dotarł do wąskiego pasma trzęsawisk, zauważył szlak biegnący po drugiej stronie, pas

piaszczystego gruntu wijący się w stronę skalistego pagórka. Ogarnęła go ogromna ulga. Sondując teren przed sobą, zaczął wypatrywać przejścia przez wąskie trzęsawisko. W pierwszej chwili nie zauważył żadnego przejścia. I nagle spostrzegł, że w jednym miejscu trzęsawisko poprzecinane było niewielkimi wzniesieniami znajdującymi się na tyle blisko siebie, że mógł po nich przedostać się na drugą stronę. Wziął głęboki oddech, wszedł na pierwsze wzniesienie, sprawdził jego wytrzymałość, stanął na nim całym ciężarem i dostawił drugą nogę. Postępując tak, przechodził od jednego wzniesienia do następnego. Pokonywał trzęsawisko, idąc po kopczykach, a czarne błocko falowało i przelewało się poniżej, od czasu do czasu wydając z siebie bulgot gazów błotnych uwolnionych przez wibracje towarzyszące jego krokom.

Już był prawie na miejscu. Uniósł stopę ponad wyjątkowo szeroką przerwę, postawił ją na kopcu, odpychając się drugą nogą, i stracił równowagę. Wydając

z siebie mimowolny okrzyk, próbował dać susa i w ten sposób pokonać dystans dzielący go od twardego gruntu, ale skok okazał się za krótki i z ciężkim pluśnięciem wylądował w bagnie.

Gdy lepkie błocko zamknęło się wokół jego ud, ogarnęła go histeryczna panika. Przy wtórze kolejnego okrzyku próbował uwolnić jedną nogę, ale ten ruch sprawił, że tylko zapadł się głębiej. Panika narastała. Szarpnięcie drugiej nogi wywołało taki sam efekt: bagno zasysało jego ciało głębiej w swoje lodowate objęcia, uwalniając eksplozję bąbli gazu błotnego, które pękały wokół, spowijając policjanta fetorem bagiennej zgnilizny.

– Pomocy! – zawołał, a drobna cząstka jego mózgu, która nie weszła w tryb paniki, uświadomiła mu, jak głupi był ten okrzyk.

Pogrzyżył się już w bagnie po pas, odruchowo wymachiwał rękami, próbując wypchnąć się do góry, ale tylko zapadł się głębiej i w dodatku unieruchomił ramiona. Czuł się jak w kaftanie bezpieczeństwa. Miotał

się, usiłując uwolnić przynajmniej jedną rękę, ale był bezsilny jak mucha w miodzie; pogrążał się powoli coraz bardziej.

– Pomóżcie mi, na miłość boską! – wrzasnął D'Agosta, a echo jego głosu przetoczyło się nad pustymi moczarami.

Ty durniu, rozległ się w jego umyśle głos racjonalnej części jego mózgu, przestań się miotać, nie ruszaj się. Każdy ruch sprawiał, że coraz głębiej się zapadał. Nadludzkim wysiłkiem opanował panikę.

Weź głęboki oddech. Zaczekaj. Nie ruszaj się.

Trudno oddychać, gdy napór błocka zgniata klatkę piersiową. Był już zanurzony po barki, ale gdy przestał się poruszać i zachowywał absolutny bezruch, niemal przestał tonąć. Czekał, próbując przewalczyć odruchową panikę, jaką wywoływał muł przesuwany się wolno, wolniej niż dotychczas, w kierunku jego szyi. W końcu wsysanie ustało. Czekał w strugach deszczu, aż zorientował się, że naprawdę przestał się pogrążyć.

Z nadzwyczajną powolnością zaczął unosić jedną rękę, trzymając palce wyprostowane, wydobywając ją powolutku z błota, unikając zasysania i dając trzęsawisku czas, aby wypełniło puste miejsce pozostałe po uwolnionej kończynie.

Cud. Uwolnił jedną rękę. Trzymając ją w powietrzu, ponad powierzchnią, wolno, bardzo wolno zaczął przechylać się do przodu. Przez chwilę znów ogarnęła go panika, kiedy poczuł muł przesuwający się po szyi, ale zanurzając więcej górnej części ciała, mógł poczuć wyporność dolnych jego partii i odniósł wrażenie, że jego stopy też się uniosły. Kiedy bardziej się przechylił, stopy uniosły się wyżej. Ochocho zanurzył w mule część głowy, co jeszcze zwiększyło ten efekt i bardziej wypchnęło nogi w górę, równocześnie przechylając ciało w kierunku krańca trzęsawiska. Starając się maksymalnie rozluźnić i poruszając się z bolesną wręcz powolnością, kontynuował wychylenie się do przodu i – w chwili, gdy muł wlał mu się do nosa – zdołał wyciągnąć rękę i pochwycić gałąź

WRZOSU.

Powoli, z lekkim tylko naporem, przyciągał się w stronę wału grzędawiska, aż oparł się podbródkiem o trawę. Dopiero wtedy wydobył drugą rękę – wolno, bardzo wolno – i po wyprostowaniu jej schwycił inny krzak, a następnie wydobył się z trzęsawiska na twarde grunt.

Leżał tam, czując nieopisaną ulgę. Powoli dudnienie serca ustało. Strugi deszczu zaczęły zmywać z niego błoto. Po minucie czy dwóch zdołał wstać. Był przemarznięty do szpiku kości, ociekał cuchnącym błockiem i szczekał zębami. Uniósł rękę i pozwolił, by deszcz zmył błoto z jego zegarka: godzina czwarta.

Już czwarta! Nic dziwnego, że zrobiło się tak ciemno. W październiku na północy słońce zachodziło wcześniej. Poczul, że dygocze jak osika. Wiatr przybrał na sile, deszcz lał jak z cebra, słysząc też było grzmoty. Nawet nie miał przy sobie latarki ani choćby zapalniczki. To było szaleństwo – ryzykował hipotermię. Bogu dzięki, że

odnalazł ten szlak. Spoglądając w szarość, dostrzegł w oddali skalisty pagórek, do którego tak rozpaczliwie pragnął dotrzeć.

Otrząsnął się z błota najlepiej jak potrafił i ruszył ostrożnie w stronę pagórka. Kiedy jednak podszedł bliżej, uznał, że to nie był ten pagórek.

Coś z nim było nie tak. Wydawał się za wąski. Dopiero gdy do niego dotarł, zorientował się, co to naprawdę było – niewielki uschnięty pień, odarty z kory i osmagany przez deszcz i wiatr.

D'Agosta patrzył z absolutnym niedowierzaniem. Zapomniany samotny pień obumarłego drzewa tu, w samym środku pustki, wiele kilometrów od jakiegokolwiek żywego drzewa. Gdyby je wcześniej mijał, na pewno by zauważył.

Czyż jednak nie znalazł się z powrotem na szlaku? Rozglądając się dokoła w gęstniejącym mroku i przypatrując się ścieżce, zdał sobie sprawę, że to, co za nią wziął, było w rzeczywistości tylko ciągiem

spłachetków piachu i żwiru rozrzuconych między trzęsawiskami.

Teraz naprawdę zaczęło się robić ciemno. I coraz chłodniej. Może nawet temperatura spadła poniżej zera. Zaczął uświadamiać sobie bezmiar własnej głupoty, jaką była ta samotna wyprawa na moczary. Wciąż był osłabiony. Bez latarki, bez kompasu, z jedną tylko kanapką, którą zjadł dawno temu. Martwił się o Pendergasta i to sprawiło, że podjął to szalone ryzyko, przekraczając wszelkie granice.

I co teraz? Było tak ciemno, że próba pójścia dalej świadczyłaby o czystej głupocie. Pejzaż rozmywał się w różnych odcieniach szarości i odnalezienie jakiegokolwiek pagórka graniczyło z cudem. Boże, nigdy w życiu nie było mu tak zimno. Miał wrażenie, że zastygał mu szpik w kościach.

Przyjdzie mu spędzić noc na bagnach.

Rozejrzał się i spostrzegł niedaleko dwa wielkie głazy. Rozdygotany, szcękając zębami, zbliżył się do

nich i przykucnął obok, zyskując w ten sposób osłonę od wiatru. Próbował skulić się najlepiej jak potrafił, zwinął całe ciało do pozycji płodowej, układając się na ziemi i wsuwając dłonie pod pachy. Deszcz tłukł go po plecach, ściekał strużkami po karku, szyi i twarzy. I nagle D'Agosta uświadomił sobie, że to już nie ulewa, że zaczął się deszcz ze śniegiem, biały wilgotny puch padał na płaszcz przeciwdeszczowy i zsuwał się po jego powierzchni.

I kiedy już myślał, że nie zniesie tego zimna, zaczęło go ogarniać rozlewające się coraz bardziej ciepło. To niewiarygodne, ale jego strategia poskutkowała, ciało zareagowało. Przystosowywało się do dojmującego chłodu. Ciepło pojawiło się w głębi jego ciała i wolno rozchodziło się promieniście we wszystkich kierunkach. Czuł się senny i dziwnie spokojny. Coraz spokojniejszy. Może jednak zdoła przetrwać tę noc. A rano może wszędzie słońce, ociepli się, a on zacznie od nowa i znajdzie ten cholerny szlak.

Teraz, kiedy zrobiło mu się cieplej, jego nastrój także zaczął się poprawiać. To będzie bułka z masłem. Nawet nie czuł już bólu ran.

Zapadł zmierzch i D'Agosta poczuł się niewiarygodnie śpiący. Dobrze będzie się trochę przespać, w ten sposób noc minie szybciej. W miarę jak ciemność stawała się coraz bardziej nieprzenikniona, deszcz ze śniegiem ustał. Ale fart. Nie, teraz już padał tylko sam śnieg. Cóż, przynajmniej wiatr ustał. Boże, ależ był śpiący.

I wtedy, zmieniając nieznacznie pozycję, zauważył słabe światełko wśród nieprzeniknionej czerni, żółte, falujące. Czy miał przywidzenia? To musiało być Glims Holm – bo cóż innego? I to wcale nie tak daleko. Powinien tam dotrzeć.

Ale nie, był tak cudownie śpiący, że spędzi tu noc i uda się tam rano. Dobrze wiedzieć, że to już tak blisko. Teraz mógł zasnąć spokojnie. Zanurzył się w otchłań rozkosznie ciepłego oceanu nicości...

Antigua, Gwatemala

Mężczyzna w garniturze z lnu i białej słomkowej fedorze siedział przy niewielkim stoliku w ogródku przed restauracją i jadł na późne śniadanie huevos rancheros z kwaśną śmietaną i sosem jalapeño. Z tego miejsca mógł widzieć Parque Central okolony pasmami zieleni oraz turystów z dziećmi zebranych wokół odbudowanej fontanny w środku parku. Dalej znajdował się Arco de Santa Catalina, z ciemnożółtym łukiem i wieżą dzwonnicy bardziej pasującą do Wenecji niż do Ameryki Środkowej. A jeszcze dalej, za pastelowymi budynkami i brązowymi dachami, wznosiły się ogromne szczyty wulkaniczne, których ciemne korony zasnuwane były gęstą powłoką chmur.

Nawet o tej godzinie z otwartych okien płynęły ciche dźwięki muzyki. Ulicami przejeżdżały samochody, a pęd, jaki im towarzyszył, podrywał z ulic rozmaite śmieci.

Był ciepły poranek. Mężczyzna zdjął kapelusz i odłożył na blat stolika; był wysoki, masywnie zbudowany i ubranie nie do końca maskowało jego muskularne, doskonale wyrzeźbione ciało kulturysty. Ruchy miał powolne, niemal wystudiowane, ale blade oczy były czujne i chłoneły wszystko, niczego nie pomijając. Jego mocno opalona skóra silnie kontrastowała z gęstymi białymi włosami, których niezwykła delikatność i niemal jedwabista gładkość nie pozwalały domyślić się prawdziwego wieku mężczyzny – mógł mieć czterdzieści, a równie dobrze pięćdziesiąt lat.

Kelnerka zabrała jego talerz, a on podziękował jej, posługując się płynnie językiem hiszpańskim. Raz jeszcze rozejrzał się dokoła i sięgnął do sfatygowanej aktówki stojącej u jego stóp, by wyjąć cienką teczkę. Upił łyk mrożonego espresso, złotą zapalniczką przypalił cygaretkę, po czym otworzył teczkę, zastanawiając się nad pilnością tej dostawy. Zwykle tego typu rzeczy docierały do niego tradycyjnymi kanałami poprzez sieć

wtórnych usług przesyłkowych albo zaszyfrowane pliki zgromadzone w ściśle strzeżonych zakamarkach internetu. Tę teczkę jednak dostarczono mu do rąk własnych pocztą kurierską, jedną z kilku nielicznych sieci kurierskich, z której usług korzystała organizacja.

Uznał, że to był jedyny sposób, aby uzyskać stuprocentową pewność, że przesyłka dotrze do niego osobiście.

Upił kolejny łyk espresso, odłożył cygaretkę do szklanej popielnicy, wyjął z kieszeni marynarki jedwabną chustkę i otarł nią czoło. Pomimo lat, które przeżył w tropikalnym klimacie, nigdy nie przyzwyczał się do upału. Często miewał sny, dziwne sny – o dzieciństwie spędzonym w starej myśliwskiej chatce pod Königswinter, z jej wąskimi, krętymi korytarzami i widokiem na góry Siebengebirge oraz dolinę Renu. Wcisnął chustkę z powrotem do kieszeni i otworzył kopertę. Zawierała wycinek z gazety wydrukowanej na najtańszym papierze gazetowym. Choć artykuł

opublikowano zaledwie przed paroma dniami, papier już pożółkł. To była amerykańska gazeta o idiotycznej nazwie „Ezerville Bee”. Przeniósł wzrok na nagłówek i pierwszy akapit artykułu:

TAJEMNICZA PARA POWRACA PO LATACH ŻYCIA W UKRYCIU

Autor: Ned Betterton

MALFOURCHE, MISSISIPI – Dwanaście lat temu kobieta nazwiskiem June Brodie, pogrążona w depresji po utracie posady sekretarki w firmie Longitude Pharmaceuticals, jak wszystko na to wskazywało, odebrała sobie życie, skacząc z mostu Archera i pozostawiając w samochodzie list pożegnalny...

Mężczyzna odłożył artykuł pozbawionymi czucia palcami.

– *Scheisse* – wymamrotał pod nosem.

Ponownie sięgnął po wycinek i dwukrotnie przeczytał cały artykuł. Następnie złożył kartkę z tekstem na stoliku i

rozejrzał się uważnie dokoła. Po chwili wyjął z kieszeni zapalniczkę, podpalił jeden bok wycinka prasowego i upuścił go do popielniczki. Obserwował z uwagą, upewniając się, że kartka spłonie na popiół, ale dla pewności rozgniół jeszcze popioły końcówką cygaretki. Zaciągnął się dymem z cygaretki, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał długi ciąg cyfr.

Telefon odebrano po pierwszym sygnale.

– *Ja?* – rozległ się głos.

– Klaus? – spytał.

Zorientował się, że mężczyzna na drugim końcu łącza zeszywniał, kiedy rozpoznał jego głos.

– *Buenos dias*, señor Fischer – powiedział głos.

Fischer mówił dalej po hiszpańsku:

– Klaus, mam dla ciebie robotę.

– Oczywiście, proszę pana.

– Zadanie będzie miało dwie fazy. Pierwsza to dochodzenie. Druga będzie się wiązała z mokrą robotą. Musisz zająć się tym natychmiast.

– Wedle rozkazu.

– Świetnie. Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem z Guatemala City. Wtedy otrzymasz szczegółowe rozkazy.

Choć linia była bezpieczna, następne pytanie Klaus zaszyfrował.

– Jaki kolor ma flaga tego zlecenia?

– Niebieski.

Mężczyzna na drugim końcu łącza zeszywniał jeszcze bardziej.

– Może pan już uważać je za zrealizowane z powodzeniem, señor Fischer.

– Wiem, że mogę na ciebie liczyć – powiedział Fischer i rozłączył się.

Grzędawisko, Szkocja

D'Agosta wydawał się pławić w otchłani zadowolenia, unosząc się na fali ciepła. Ale nawet gdy był zawieszony w stanie półsnu, racjonalna część jego umysłu znów się odezwała. Jednym słowem. *Hipotermia*.

Co go to obchodziło?

Umierasz.

To był głos osoby, która drażniła, nie przestając mówić i nie pozwalając zmienić tematu. Ale głos brzmiał dość dobitnie i przerażająco, na tyle, że D'Agosta zaczął wracać do rzeczywistości. *Hipotermia*. Miał wszystkie jej symptomy: ekstremalne wychłodzenie, po którym napłynęła fala nieoczekiwanego ciepła, nieprzeparte pragnienie snu, kompletna obojętność.

Chryste, całkowicie poddawał się temu.

Umierasz, idioto.

Z nieartykułowanym rykiem i niemal nadludzkim

wysiłkiem podźwignął się chwiejnie na nogi, oklepując dość silnie dłońmi całe ciało. Uderzył się w twarz, raz i drugi, i poczuł ukłucie zimna. Okładał się tak mocno, że w którymś momencie zachwiał się i upadł, ale zaraz znowu się podniósł, miotając się jak zranione zwierzę.

Był tak słaby, że ledwie stał. Ból przeszył jego nogi. Głowa wręcz eksplodowała bólem, zranione ramię pulsowało. Zaczął stąpać energicznie, krążąc w kółko, na przemian obejmując się ramionami i uderzając dłońmi w korpus, strząsając z ciała śnieg, krzycząc tak głośno jak mógł, wyjąc i z radością witając ból. Bo ból oznaczał przetrwanie. Jasność umysłu powracała powoli. Podskoczył raz i drugi. Przez cały czas nie spuszczał wzroku z żółtego światełka falującego w ciemnościach. Jak tam dotrzeć? Chwiejąc się, ruszył naprzód, ale znowu upadł, a jego twarz znalazła się parę centymetrów od granicy trzęsawiska.

Przyłożył dłonie do ust i zawołał:

– Pomocy! Na pomoc!

Jego głos przetoczył się echem ponad martwymi moczarami.

– Zgubiłem się! Próbuję znaleźć Glims Holm!

Krzyk bardzo mu pomógł. D'Agosta poczuł, że krew znów zaczyna krążyć w jego żyłach, że serce pracuje miarowo.

– Błagam, pomocy!

I wtedy zobaczył drugie światełko obok pierwszego, ale znacznie jaśniejsze. Zdawało poruszać się w ciemnościach, zmierzając w jego stronę.

– Tutaj! – zawołał.

Światło kierowało się w jego stronę. Zorientował się, że zboczył ze szlaku bardziej, niż przypuszczał. Świetlny punkcik krążył, to znikając, to znowu pojawiając się w mroku. W pewnej chwili zniknął raz jeszcze, a D'Agosta czekał niespokojnie.

– Tutaj! – wrzasnął spanikowany.

Czy ktoś go usłyszał, czy to był tylko zbieg okoliczności? A może miał przywidzenia?

– Jestem tutaj!

Dlaczego nikt nie odpowiedział? Czy ten ktoś odszedł w głąb bagien?

Właśnie wtedy światło znów się pojawiło, dokładnie naprzeciw niego. Tamta osoba poświeciła mu prosto w twarz, po czym odstawiła źródło światła na ziemię i w jego blasku D'Agosta ujrzał dziwną kobietę o obwisłych wargach, okutaną w płaszcz przeciwdeszczowy, szalik, rękawiczki i czapkę, z wystającymi spod niej siwymi włosami. Wyglądu dopełniał haczykowaty nos i niebieskie oczy o dziwnym spojrzeniu. We mgle i ciemnościach wyglądała jak upiór.

– Czego tu? – rzuciła oschłym tonem.

– Szukam Glims Holm.

– No to znalazł – odparła i sarkastycznie dodała: – prawie. – Podniosła lampę i odwróciła się. – Niech patrzy pod nogi.

D'Agosta, potykając się, poczłapał za nią. Dziesięć minut później światło lampy ujawniło rozmyte kontury

chaty. Jej pozlepiane zaprawą kamienie, niegdyś pobielone, były teraz całkiem pokryte mchem i porostami, powyżej zaś wznosił się dach z gontu i szary komin.

Kobieta pchnięciem otworzyła drzwi, a D'Agosta wszedł do zdumiewająco ciepłego wnętrza chaty, z ogniem buzującym w wielkim kominku, staroświeckim emaliowanym piecem, wygodną kanapą i fotelami, tkanymi dywanami leżącymi na podłodze, ścianami ozdobionymi obrazami i regałami pełnymi książek, jak również rzędami jelenich poroży, które rozświetlał blask lamp naftowych. To ciepło było najcudowniejszą rzeczą, jaką D'Agosta poczuł w całym swoim dotychczasowym życiu.

– Rozbiera się – rzuciła oschle siwowłosa kobieta, podchodząc do kominka.

– Ja...

– Rozbiera się, do diaska. – Przeszła dalej i z kąta pokoju wyciągnęła wielki wiklinowy kosz. – Tu wrzuci ubranie.

D'Agosta zdjął płaszcz przeciwdeszczowy i włożył do kosza. Podobnie zrobił z przemoczonym swetrem, butami, skarpetkami, koszulą, podkoszulkiem i spodniami. Stał w samych ubłoconych bokserkach.

– Gatki też – powiedziała kobieta.

Krzątała się przy piecu, wyjęła zza niego duży kociołek, naląła wody do cynkowanej miednicy, którą postawiła przy kominku, kładąc obok niej ręczniki, duży i mały.

D'Agosta zaczekał, aż kobieta odwróci się do niego tyłem, zanim zrzucił bokserki. Żar bijący z kominka był powalający.

– Jak się nazywa? – zapytała.

– D'Agosta. Vincent D'Agosta.

– Umyje się. Przyniosę mu coś do ubrania. Rzeczy starego mogą być dla niego za małe, ale coś się znajdzie.

Zniknęła, wspinając się po wąskich schodach na górę, i usłyszał, jak się tam krząta. Jego uszu dobiegło chrząknięcie i zrzędlawy głos starego mężczyzny, który

nie wydawał się zadowolony.

Wróciła z naręczem ubrań, podczas gdy on obmywał ciało z błota. Spróbował się odwrócić i zobaczył, że na niego patrzyła, bynajmniej nie zatrzymując wzroku na jego twarzy.

– To ci dopiero wyborny widok dla oczu starej kobiety.

Zacmokała, położyła ubranie na podłodze i odwróciła się do kominka, dorzucając kilka drewek, po czym znów stanęła przy piecu.

Czując się nieswojo, D'Agosta dokończył obmywanie się z błota, wytarł do sucha całe ciało i włożył ubranie. Rzeczy były przeznaczone dla wyższego i szczuplejszego mężczyzny, ale zdołał się w nie wbić, choć o zapięciu spodni mógł zapomnieć. Zapiął tylko pasek, aby utrzymać je na biodrach. Staruszka zamieszła w kociołku i policjant poczuł nieodparcie rozkoszny aromat gulaszu z jagnięciny.

– Usiądzie.

Przyniosła dużą misę gulaszu, oderwała z bochenka kilka pąjd chleba i postawiła przed nim gulasz oraz chleb.

– Niech je.

D'Agosta łapczywie skosztował gulaszu, parząc sobie usta.

– Przepyszne – pochwalił. – Nie wiem, jak mam dziękować...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Znalazł Glims Holm. Ale czego właściwie tu szuka?

– Szukam przyjaciela.

Spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem.

– Prawie trzy tygodnie temu mój serdeczny przyjaciel zaginął na bagnach Inish w pobliżu chaty Coombe'a. Zna pani tę okolicę?

– Taa.

– Mój przyjaciel jest Amerykaninem, jak ja. Kiedy zniknął, był na polowaniu, przyjechał do Kilchurn Lodge. Został ranny, przypadkowo postrzelony. Przeczesa-

Grzędawisko w poszukiwaniu jego ciała, niestety nie udało go odnaleźć, ale znam go dobrze, więc pomyślałem, że mógł się stamtąd jakoś wydostać.

Na twarzy kobiety pojawił się podejrzliwy grymas. Stara mogła być stuknięta, niespełna rozumu, ale z całą pewnością wrodzonego sprytu jej nie brakowało.

– Chata Coombe’a jest osiemnaście kilometrów stąd, poprzez bagna.

– Wiem, ale to była moja ostatnia nadzieja.

– Nie widziała żem go ani nikogo innego.

Chociaż D’Agosta wiedział, że szanse powodzenia jego misji były znikome, poczuł się niemal zdruzgotany tym rozczarowaniem.

– Może mąż pani go widział...?

– Nie wychodzi z chałupy. Inwalida.

– Może widziała pani kogoś z daleka, kogoś, kto przechodził...

– Nikogo żem od tygodni nie widziała.

Usłyszał drżący, rozdrażniony głos dochodzący z

pięterka; silny akcent i szorstki ton sprawiły, że nie był w stanie rozpoznać słów. Kobieta popatrzyła gniewnie na D'Agostę, po czym poczłapała po schodach na górę. Usłyszał stłumiony, pełen skargi głos starego i jej ostre riposty. Zeszła na dół, wciąż mając złowrogą minę.

– Pora spać. Będę spała przy piecu. Niech się prześpi na stryszku, ze starym. Koc leży na podłodze.

– Dziękuję, jestem pani bardzo wdzięczny za pomoc.

– Nie niepokoi starego, on chory.

– Będę cicho.

Ostre skinienie głową.

– To dobranoc.

D'Agosta wspiął się na skrzypiące schody, tak strome, że kojarzyły mu się z drabiną. Wszedł do małej izdebki z pochyłym dachem, oświetlonej przez niedużą lampę naftową. Przy przeciwległej ścianie pod powalą stało drewniane łóżko i dostrzegł na nim niewyraźną postać męża kobiety, wyglądającego jak strach na wróble, z perkatym czerwonym nosem i gęstą siwą czupryną.

Spojrzał na D'Agostę zdrowym okiem, w którym czaiła się nieuzasadniona wrogość.

– Ee, witam – rzekł D'Agosta, nie wiedząc, co ma jeszcze powiedzieć. – Przepraszam, że niepokoję.

– Ta, się wie – rozległ się w odpowiedzi burkliwy głos. – Tylko niech nie hałasuje – rzucił stary bezceremonialnie i odwrócił się plecami.

D'Agosta odetchnął z ulgą, zdjął pożyczoną koszulę i spodnie, po czym wpełzł pod koc rozłożony na prymitywnej drewnianej pryczy. Zgasił lampę naftową i leżał w bezruchu w ciemnościach. Na stryszku było przyjemnie ciepło, a dochodzące z zewnątrz odgłosy burzy i zawodzenie wiatru dziwnie go uspokajały. Zasnął niemal natychmiast.

Obudził się jakiś czas później. Było ciemno choć oko wykol i dopiero po krótkiej chwili dezorientacji i zaniepokojenia przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

Gdy to sobie uświadomił, zdał sobie również sprawę z tego, że burza już przeszła i w całej chacie zrobiło się bardzo, ale to bardzo cicho. Serce dudniło mu w piersiach. Odniósł wrażenie, że ktoś, lub coś, stoi nad nim w ciemnościach.

Leżał w kompletnym mroku, próbując się uspokoić. To był tylko sen. Nie mógł jednak uwolnić się od przeświadczenia, że jakiś człowiek stoi albo wręcz pochyla się nad nim.

Podłoga przy jego pryczy zaskrzypiała leciutko.

Jezu. Czy powinien krzyknąć? Kto to mógł być? Na pewno nie ten staruszek. Czy ktoś w nocy dostał się do chaty?

Podłoga znów zaskrzypiała i D'Agosta poczuł, jak na jego ramieniu z siłą stalowego imadła zaciska się czyjaś dłoń.

18

– Mój drogi Vincencie – rozległ się cichy szept – choć wielce mnie poruszyła twoja troska i niepokój o moje zdrowie, muszę przyznać, że nie ucieszyłem się, widząc cię tutaj.

D'Agosta był nieomal sparaliżowany wstrząsem, jaki właśnie przeżył. To musiał być sen. Usłyszał zgrzyt zapalki, zobaczył mały płomyk i po chwili została zapalona lampa naftowa. Staruszek stał nad nim, powykrzywiany, bez wątpienia chory. D'Agosta spojrział na jego ziemistą cerę i pomarszczoną skórę, rzadką brodę i przethuszczzone, długie do ramion siwe włosy oraz perkaty czerwony nos. A jednak głos, choć słaby, i srebrzysty błysk, którego nie było w stanie ukryć zasnutę bielmem oko, należały bez wątpienia do...

– Pendergast? – wykrztusił w końcu.

– Nie powinieneś był tu przychodzić – rzekł tym samym słabym szeptem Pendergast.

– Co... jak?

– Pozwól, że wrócę do łóżka. Nie mam siły, aby dłużej niż przez chwilę utrzymać się na nogach.

D'Agosta usiadł i patrzył, jak staruszek odwiesza lampę i powłócząc nogami, wraca ciężkim krokiem w stronę łóżka.

– Przystaw sobie krzesło, przyjacielu.

D'Agosta wstał, włożył pożyczone ciuchy i zdjął krzesło z haczyka na drzwiach. Usiadł obok staruszka, który prawie w ogóle nie przypominał z wyglądu agenta FBI.

– Boże, tak się cieszę, że znajduję cię żywego. Myślałem... – Nie dokończył, bo głos zaczął mu się łamać z emocji.

– Vincencie – powiedział Pendergast – jak zawsze masz wielkie serce. Ale nie ma czasu na rozklejanie się. Mam ci dużo do opowiedzenia.

– Zostałeś postrzelony – rzekł D'Agosta, gdy wreszcie odzyskał głos. – Co, u licha, tutaj robisz?

Potrzebujesz opieki medycznej, powinieneś być w szpitalu.

Pendergast wyciągnął rękę, aby go uciszyć.

– Nie, Vincencie. Otrzymałem wyśmienitą pomoc medyczną, ale muszę pozostać w ukryciu.

– Jak to? Co się dzieje, u diabła?

– Jeżeli ci powiem, Vincencie, musisz obiecać, że możliwie jak najszybciej wrócisz do Nowego Jorku i nie piśniesz nikomu ani słowa.

– Potrzebujesz pomocy. Nie zostawię cię. Jestem twoim partnerem, do cholery!

Z wyraźnym wysiłkiem Pendergast uniósł się na łóżku.

– Musisz mi to obiecać. Potrzebuję czasu, aby wrócić do zdrowia. A potem odnajdę mojego niedoszłego zabójcę.

Pendergast powoli osunął się z powrotem na poduszkę.

D'Agosta westchnął przeciągle.

– A więc ten łajdak naprawdę próbował cię zabić.

– I nie tylko mnie. Jestem przekonany, że to właśnie on cię postrzelił, gdy opuszczaliśmy Penumbrę. To również on próbował zabić Laurę Hayward, gdy przyjechała odwiedzić cię w szpitalu w Bastrop. To on jest brakującym ogniwiem. Tą tajemniczą, nieznaną osobą zamieszana w Projekt Aves.

– Nie do wiary. A więc to on zamordował twoją żonę? Jej rodzony brat?

Zapadła cisza.

– Nie. On nie zabił Helen.

– Więc kto to zrobił?

– Helen żyje.

D'Agosta nie mógł w to uwierzyć. Właściwie wcale w to nie uwierzył. Nie był w stanie nic powiedzieć.

Pendergast wysunął w jego stronę dłoń i palce jak ze stali agenta znów wpiły się w ciało D'Agosty.

– Kiedy zostałem postrzelony i zapadałem się w trzęsawisku, Judson powiedział mi, że Helen nadal żyje.

– Czy jednak nie byłeś świadkiem jej śmierci?
Zdjąłeś pierścionek z jej oderwanej ręki. Pokazałeś mi go.

Przez dłuższą chwilę w izdebce panowała kompletna cisza. Wreszcie D'Agosta znów się odezwał:

– Ten łajdak powiedział to, żeby cię jeszcze bardziej udręczyć.

Popatrzył na postać leżącą w łóżku i dostrzegł srebrzyste błyski w jej oczach. A także rozpaczliwe pragnienie, aby uwierzył.

– To jaki masz plan?

– Znajdę go. Przyłożę mu broń do głowy. I zmuszę, żeby doprowadził mnie do Helen.

D'Agosta czuł ogarniającą go konsternację. Obsesyjny ton głosu przepełnionego desperacją nie pasował do jego starego przyjaciela.

– A jeśli tego nie zrobi?

– Zrobi, Vincencie. Uwierz mi, skwapliwie tego dopilnuję.

D'Agosta przezornie nie zapytał, w jaki sposób

Pendegast zamierzał o to zadbać. Zamiast tego zmienił temat.

– Kiedy zostałeś postrzelony... jak się wydostałeś?

– Gdy impet kuli sprawił, że wpadłem do bagna, zacząłem tonąć. Po chwili jednak uświadomiłem sobie, że nie zanurzam się głębiej, że moje stopy spoczęły na czymś, co znajdowało się zaledwie metr czy półtora pod powierzchnią. To było coś miękkiego i ruchomego, wydaje mi się, że jakieś truchło. Dzięki niemu nie zapadłem się bardziej. Aby stworzyć wrażenie, że tonę, po prostu przykucnąłem w trzęsawisku. Powoli zgiąłem kolana i osunąłem się całym ciałem w dół. Miałem szczęście, że Judson opuścił to miejsce, nie czekając, aż... całkiem pogrązę się w bagnie.

– Szczęśliwe zrządzenie losu – przyznał D'Agosta.

– Odczekałem cztery minuty, może pięć – ciągnął Pendergast. – Zbyt obficie krwawiłem, aby zwlekać dłużej. Znow się wyprostowałem i wykorzystując truchło jako punkt podparcia, wygramoliłem się z trzęsawiska.

Następnie, najlepiej jak potrafiłem, sporządziłem opatrunek uciskowy na ranę w klatce piersiowej. Znajdowałem się wiele kilometrów od zamieszkanych siedzib, od najbliższej wioski czy chaty.

Pendergast zamilkł na kilka chwil. Kiedy znów się odezwał, jego głos wydawał się nieco silniejszy.

– Dziesięć lat temu Judson i ja wybraliśmy się na polowanie. Podczas tej wyprawy poznałem miejscowego lekarza nazwiskiem Roscommon. Łączyły nas podobne zainteresowania. Praktykował w miasteczku Inverkirkton, jakieś pięć kilometrów stąd. Tak się złożyło, że w linii prostej było to miejsce położone najbliżej od tego, gdzie zostałem postrzelony.

– Jak tego dokonałeś? – zapytał po chwili D’Agosta.
– Jak zdołałeś do niego dotrzeć, nie zostawiając żadnych śladów?

– Prowizoryczny opatrunek zapobiegł upływowi krwi i nie pozostawiałem dzięki niemu żadnych śladów – odrzekł Pendergast. – Poruszałem się z wielką

ostrożnością. Resztą zajął się deszcz.

– Przeszedłeś ponad pięć kilometrów w deszczu z poważną raną postrzałową w klatce piersiowej aż do domu doktora?

Pendergast spojrzał na niego.

– Tak.

– Jezu Chryste, jakim cudem...?

– Nagle stwierdziłem, że mam po co żyć.

D'Agosta pokręcił głową.

– Roscommon to nadzwyczaj inteligentny i subtelny człowiek. Szybko zorientował się w mojej sytuacji. Na moją korzyść działały dwa czynniki: kula o włos minęła tętnicę podobojczykową i przeszła na wylot, dzięki czemu nie trzeba było wyjmować jej operacyjnie. Roscommon doprowadził zapadnięte płuco do właściwego stanu i zdołał opanować krwotok. Pod osłoną nocy sprowadził mnie do tej chatki. I od tej pory opiekuje się mną jego ciotka.

– Jego ciotka?

Pendergast pokiwał głową.

– Dbanie o nią to jedyny powód, dla którego doktorek wciąż pozostaje w tym zakątku Szkocji, zamiast prowadzić lukratywną praktykę przy Harley Street. Wiedział, że z nią będę bezpieczny.

– I przebywałeś tu przez cały zeszły miesiąc.

– Co więcej, pobędę tu jeszcze trochę, dopóki całkiem nie wrócę do zdrowia, by dokończyć tę sprawę.

– Potrzebujesz mnie – odparł D’Agosta.

– Nie – rzucił Pendergast z przejęciem. – Nie. Im szybciej wrócisz do domu, tym lepiej. Na miłość boską, Vincencie, całkiem możliwe, że przez swoje niefortunne odkrycie doprowadziłeś wilka do drzwi tej chaty.

D’Agosta zamilkł.

– Sama twoja obecność naraża mnie na niebezpieczeństwo. Judson z całą pewnością jest gdzieś w pobliżu. Ogarnia go coraz większa panika. Nie wie, czy żyję, czy nie. Jeżeli jednak cię zobaczy, a zwłaszcza w pobliżu tej chaty...

– Mogę pomóc ci w inny sposób.

– Wykluczone. Już raz omal przeze mnie nie zginąłeś.

Kapitan Hayward nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby znów coś ci się stało. Najlepszą i jedyną rzeczą, którą możesz dla mnie zrobić, to wrócić do Nowego Jorku, do pracy i nie wspominać nikomu ani słowem o tym, co się tu wydarzyło. Nic nikomu nie mów, ani Proctorowi, ani Constance, ani Laurze Hayward. Rozumiesz? Muszę odzyskać siły, aby dopaść Judsona. I dopadnę go. O ile on nie dopadnie mnie pierwszy.

D'Agosta poczuł się trochę dotknięty ostatnimi słowami agenta. Spojrzał na Pendergasta leżącego na łóżku, tak słabego ciałem i tak niepohamowanego duchem. Znów poruszyła go fanatyczna obsesja czająca się w tych srebrzystych oczach. Boże, jak on musiał kochać tę kobietę.

– W porządku – powiedział z ogromnym wahaniem.

– Zrobię tak, jak powiedziałeś. Z jednym wyjątkiem.

Muszę powiedzieć Laurze. Obiecałem, że już nigdy jej nie

oszukam.

– Dobrze. Kto wie o twoich planach poszukiwania mnie w tej okolicy?

– Ten inspektor, Balfour. I kilka innych osób. Wypytywałem trochę to tu, to tam.

– Wobec tego Esterhazy wie. Możemy to wykorzystać na naszą korzyść. Powiedz wszystkim, że twoje poszukiwania nic nie dały i że nie masz już wątpliwości, że nie żyję. Wróć do domu i niech wszyscy widzą, jak oplakujesz moją śmierć.

– Skoro naprawdę tego chcesz.

Pendergast spojrział na niego spod półprzymkniętych powiek.

– Nalegam.

19

Nowy Jork

Doktor John Felder szedł rozbrzmiewającym echem korytarzem szpitala Mount Mercy, trzymając pod pachą cienką teczkę, a obok niego podążał ordynator zakładu, doktor Ostrom.

– Dziękuję, że zezwolił pan na tę wizytę, doktorze Ostrom – powiedział Felder.

– Nie ma za co. Zakładam, że pańskie zainteresowanie jej osobą nie zakończy się na tej jednej wizycie?

– Tak. Jej stan jest... jedyny w swoim rodzaju.

– Wiele spraw związanych z rodziną Pendergastów jest jedynych w swoim rodzaju. – Ostrom chciał coś dodać, ale zamilkł, jakby i tak już powiedział za dużo.

– Gdzie jest jej opiekun, Pendergast? – zapytał Felder. – Próbowałem się z nim skontaktować.

– Obawiam się, że stanowi dla mnie niepojętą

zagadkę. Pojawia się i znika w najdziwniejszych momentach, wysuwa żądania, a potem zapada się pod ziemię. Uważam go za, delikatnie mówiąc, osobę, z którą trudno się współpracuje.

– Rozumiem. A więc nie ma pan nic przeciwko temu, abym nadal odwiedzał pacjentkę?

– Absolutnie. Z przyjemnością podzielę się też z panem moimi spostrzeżeniami, jeżeli pan sobie życzy.

– Dziękuję, doktorze.

Dotarli do drzwi, a Ostrom zapukał delikatnie.

– Proszę – dobiegł głos z drugiej strony.

Ostrom otworzył drzwi kluczem i przepuścił Feldera. Pokój wyglądał podobnie jak ostatnim razem, kiedy Felder go widział, tyle że teraz było tu dużo więcej książek. Na regale, gdzie wcześniej stało zaledwie kilka woluminów, znajdowało się ich kilkakrotnie więcej. Zerkając na tytuły, Felder zauważył *Poezje zebrane Johna Keatsa*, *Symbole przemiany Junga*, *120 dni Sodomy* marikza de Sade'a, *Cztery kwartety* Eliota, *Sartor resartus*

Thomasa Carlyle'a. Bez wątpienia książki pochodziły z biblioteki szpitala Mount Mercy. Felder był wstrząśnięty, że niektóre z nich znajdowały się w dostępnym dla pacjentów obiegu.

Była też jeszcze jedna różnica – na jedynym w pokoju stoliku leżały arkusze papieru kancelaryjnego pokryte gęsto linijkami odręcznego pisma, poprzedzielanymi złożonymi wymyślnymi szkicami, profilami, martwą naturą, równaniami i diagramami jak z rycin Leonarda da Vinci. Za stołem siedziała Constance. Pisała zawzięcie ze staroświeckim gęsim piórem w dłoni i buteleczką atramentu stojącą na blacie obok niej. Uniosła wzrok, kiedy mężczyźni weszli do pokoju.

– Dzień dobry, doktorze Ostrom. Dzień dobry, doktorze Felder.

Pozbierała kartki i przykryła pierwszą stronę swoich zapisków czystym arkuszem papieru.

– Dzień dobry, Constance – rzucił doktor Ostrom. – Dobrze spałaś?

– Doskonale, dziękuję.

– Wobec tego zostawię was teraz samych. Doktorze Felder, przyślę kogoś, żeby czuwał za drzwiami. Proszę zapukać, kiedy będzie pan chciał już wyjść.

Ostrom opuścił pokój. Po chwili Felder usłyszał szcęk klucza przekręcanego w zamku. Odwrócił się, by ujrzeć Constance patrzącą na niego dziwnymi oczami.

– Proszę usiąść, doktorze Felder.

– Dziękuję.

Usiadł na jedynym wolnym krześle w pokoju, plastikowym, ze stalowymi nóżkami przymocowanymi do podłogi. Ciekawiły go jej zapiski, ale postanowił podjąć ten temat innym razem. Położył teczkę na kolanach i skinął głową w stronę gęsiego pióra.

– Ciekawe narzędzie do pisania.

– Miałam do wyboru to albo kredki świecowe – przerwała. – Nie spodziewałam się zobaczyć pana tak szybko.

– Mam nadzieję, że nie uważasz naszych rozmów za

nieprzyjemne.

– Wręcz przeciwnie.

Felder poruszył się na krzeselku.

– Constance, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym jeszcze raz porozmawiać z tobą – ale nie za długo – o twoim dzieciństwie.

Constance wyprostowała się nieznacznie.

– Najpierw chciałem upewnić się, czy dobrze rozumiem. Zeznałaś, że urodziłaś się na Water Street w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, choć nie wiesz, w którym konkretnie roku. Rodzice zmarli na gruźlicę i oboje rodzeństwo, twój brat i starsza siostra, zmarło wkrótce potem, na przestrzeni paru lat. To by oznaczało, że masz... – Przerwał, by policzyć. – Ponad sto trzydzieści lat.

Przez chwilę Constance nie opowiadała. Patrzyła tylko ze spokojem na Feldera, który znów był oszołomiony jej urodą, wyrazem twarzy, inteligencją kryjącą się w oczach i krótko obciętych kasztanowymi

włosami. Wydawała się bardziej opanowana, niż zazwyczaj potrafi być kobieta wyglądająca na dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata.

– Doktorze – odezwała się w końcu. – Chciałam panu serdecznie podziękować. Potraktował mnie pan z życzliwością i szacunkiem. Jeśli jednak zamierza pan ze mnie pokpiwać, obawiam się, że ucierpi przez to moje dobre zdanie o panu.

– Nie przyszedłem tu, by z ciebie pokpiwać, Constance – rzekł ze szczerością w głosie Felder. – Tylko żeby ci pomóc. Najpierw jednak muszę cię lepiej zrozumieć.

– Powiedziałam panu prawdę. Albo mi pan wierzy, albo nie.

– Chcę ci wierzyć, Constance. Ale postaw się na moim miejscu. Jest biologicznie niemożliwe, abyś miała sto trzydzieści lat. Dlatego szukam innych wyjaśnień.

Znów przyglądała mu się przez chwilę.

– Biologicznie niemożliwe? Doktorze, jest pan

człowiekiem nauki. Czy wierzy pan, że ludzkie serce można przetransplantować z jednego ciała do innego?

– Oczywiście.

– Czy wierzy pan, że aparatura rentgenowska i urządzenie do rezonansu magnetycznego mogą wykonywać zdjęcia wewnętrznej budowy ciała ludzkiego bez konieczności uciekania się do inwazyjnych procedur?

– Oczywiście.

– W czasach, kiedy się urodziłam, takie rzeczy uznawane były za niemożliwe z biologicznego punktu widzenia. Czy naprawdę niemożliwe jest, że medycyna potrafi opóźnić starzenie i przedłużyć długość życia ludzkiego?

– No cóż... może przedłużać ludzkie życie. Ale żeby po stu latach dziewczyna wciąż wyglądała na dwudziestoparolatkę? Nie, przykro mi, ale to niemożliwe.

Kiedy to mówił, Felder poczuł, że jego pewność siebie zaczyna słabnąć.

– Chcesz powiedzieć, że właśnie to cię spotkało? Że

byłaś obiektem jakiegoś medycznego eksperymentu, wskutek którego twoje życie zostało wydłużone?

Constance nie odpowiedziała. Felder poczuł nagle, że wpadł na ważny trop.

– Jak to się stało? Co to spowodowało? Kto przeprowadził ten eksperyment?

– Aby powiedzieć coś więcej, musiałabym zdradzić czyjeś zaufanie. – Constance wygładziła przód sukni. – Już i tak powiedziałam więcej, niż powinnam. Jedynym powodem, dla którego mówię to panu, jest przekonanie, że naprawdę chce mi pan pomóc. Nic więcej nie mogę jednak powiedzieć. To wyłącznie pańska sprawa, w co zechce pan uwierzyć, doktorze. Decyzja należy do pana.

– W rzeczy samej. Dziękuję, że postanowiłaś podzielić się tym ze mną. – Felder zawahał się. – Zastanawiam się, czy zechciałabyś wyświadczyć mi drobną przysługę.

– Oczywiście.

– Chciałbym, żebyś wróciła pamięcią do swojego

dzieciństwa przy Water Street. Do najważniejszych wspomnień z twojego dzieciństwa.

Constance popatrzyła na niego bardzo uważnie, jakby doszukiwała się w jego twarzy oznak fałszu lub jakiegoś podstępu. Po chwili skinęła głową.

– Czy dobrze pamiętasz Water Street?

– Pamiętam ją doskonale.

– Świetnie. O ile sobie przypominam, powiedziałaś, że mieszkałaś przy Water Street pod numerem szesnastym.

– Tak.

– Miałaś około pięciu lat, kiedy zmarli twoi rodzice.

– Tak.

– Opisz mi swoje najbliższe sąsiedztwo, jak wyglądała okolica domu, w którym mieszkałaś.

Na chwilę wyraz czujności znikł z oczu Constance.

– Tuż obok był sklep tytoniowy. Pamiętam zapach cavendisha i latakii wpadający przez frontowe okno do naszego mieszkania. Naprzeciwko był sklep rybny. Koty z

całej okolicy lubiły zbierać się przy ceglanym murze w ogrodzie na tyłach sklepiku.

– Pamiętasz coś jeszcze?

– Z drugiej strony był zakład kapeluszniczy. Nosił nazwę London Town. Pamiętam model, jaki prezentowano na tablicy reklamowej. A nieco dalej w głębi ulicy był sklep z artykułami chemicznymi – u Huddella. Pamiętam to, bo ojciec zabrał nas tam kiedyś i weszliśmy do środka, żeby kupić torbę czekoladek za jednego centa.

Jej oblicze się rozpromieniło na to wspomnienie.

Te odpowiedzi wprawiły Feldera w jeszcze większe zakłopotanie.

– A szkoła? Czy chodziłaś do szkoły na Water Street?

– Na rogu ulicy była szkoła, ale ja tam nie chodziłam. Rodziców nie było stać, żeby mnie do niej posłać. Darmowej edukacji jeszcze wtedy nie było. Jak już wspomniałam, jestem samoukiem. – Przerwała – Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania, doktorze

Felder?

– Jestem ciekaw, jak wyraziście są twoje wczesne wspomnienia.

– Dlaczego? Aby mógł pan dla własnej satysfakcji stwierdzić, że są urojone?

– Bynajmniej.

Serce biło mu jak szalone i próbował ukryć swoje podniecenie oraz zmieszanie.

Constance odnalazła jego spojrzenie i jakby wejrzała w głąb niego.

– Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, doktorze, jestem zmęczona.

Ujął teczkę dłońmi i wstał.

– Raz jeszcze dziękuję, Constance – powiedział. – Dziękuję za twoją szczerłość.

– Nie ma za co.

– I skoro już o tym mowa – ciągnął – wierzę ci. Nie potrafię tego zrozumieć, ale ci wierzę.

Jej oblicze złagodniało. Delikatnie pochyliła głowę.

Odwrócił się i zapukał do drzwi. Co w niego wstąpiło, że wypowiedział tak impulsywne słowa? Po chwili klucz szczęknął w zamku i w drzwiach pojawił się pielęgniarz.

Na zewnątrz, w korytarzu, kiedy pielęgniarz ponownie zamknął drzwi na klucz, Felder otworzył teczkę, którą przyniósł. Znajdował się w niej artykuł z dzisiejszego porannego wydania „New York Timesa”. Opisywał historyczne znalezisko, które ogłoszono właśnie tego dnia: odkrycie dziennika młodego mężczyzny, Whitfielda Speeda, który mieszkał przy Catherine Street od 1869 roku aż do przedwczesnej śmierci pod kołami powozu w 1883. Speed, pełen entuzjazmu nowojorczyk, najwyraźniej był pod wpływem *Wędrówek po Londynie* Stowa i miał nadzieję opisać w równie wyczerpujący i przejrzysty sposób uliczki oraz sklepiki Manhattanu. Przed swoją śmiercią zdołał zapełnić tylko jeden dziennik. Notes był zamknięty w kufrze na poddaszu wraz z kilkoma rzeczami osobistymi Speeda i spoczywał w

zapomnieniu od dnia jego śmierci aż do chwili, kiedy niedawno przypadkiem odkryto zawartość skrzyni. Uznano ją za ważny przyczynek do historii miasta, dziennik zawierał bowiem informacje o wyglądzie tej części miasta w owym czasie, informacje niemożliwe do zdobycia z innego źródła.

Dom przy Catherine Street, w którym mieszkał Speed, stał tuż za rogiem nieopodal Water Street. Na jednej z wewnętrznych stron „Timesa” wydrukowano złożony szkic ołówkowy z prowadzonego przez Speeda dziennika zawierający szczegółową mapę okolicy dwóch ulic, Catherine i przylegającej do niej Water Street. Aż do tego ranka nikt z żyjących nie wiedział dokładnie, jakie sklepy znajdowały się przy tych ulicach w latach 70. XIX wieku.

Gdy Felder przeczytał ten artykuł przy śniadaniu, wpadł mu do głowy pewien pomysł. Oczywiście to zakrawało na szaleństwo, on tylko zachęcał Constance do ujawnienia mu swoich urojeń – była to jednak idealna

okazja, aby sprawdzić otrzymane od niej informacje. W obliczu prawdy – prawdziwego rozkładu sklepów i budynków przy Water Street w latach 70. XIX wieku – może Constance da się przekonać, by porzucić świat fantazji.

Stojąc w korytarzu, Felder uważnie przyjrzał się zdjęciu z gazety, usiłując rozszyfrować odręczne pismo, którym opatrzone szkic. I nagle zeszywniał. Był tam sklep tytoniowy. A dwa budynki dalej sklep chemiczny u Huddella. Po drugiej stronie ulicy znajdował się zakład kapeluszniczy London Town, a na rogu Akademia dla Młodszych Dzieci pani Sarratt.

Powoli zamknął teczkę. Wytłumaczenie było oczywiste. Constance widziała dzisiejszą gazetę. Umysł tak przenikliwy jak jej na pewno chciał wiedzieć, co się działo na świecie. Ruszył w stronę recepcji. Gdy zbliżał się do dyżurki, zauważył Ostroma, który stał w otwartych drzwiach i rozmawiał z pielęgniarką.

– Doktorze? – zapytał z pewnym pośpiechem.

Ostrom spojrział na niego, unosząc brwi w pytającym geście.

– Constance widziała poranną gazetę? Dzisiejszego „Timesa”?

Ostrom pokręcił głową.

Felder zamarł.

– Nie? Jest pan pewien?

– Oczywiście. Gazety, radio i telewizja dostępne są dla pacjentów tylko w bibliotece. A Constance przez cały rano przebywała w swoim pokoju.

– Nikt się z nią nie spotykał? Nikt z personelu?

– Nikt. Od wczoraj wieczorem nie otwierano drzwi do jej pokoju. Można to sprawdzić, dziennik wizyt nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. – Ostrom zmarszczył brwi. – Coś się stało?

Felder uświadomił sobie, że wstrzymał oddech. Zrobił powoli wydech.

– Nie, nic. Dziękuję.

I wyszedł na oślepiające słońce.

Corrie Swanson miała cały czas ustawiony w Google rutynowy alert na hasło „Aloysius Pendergast”, więc kiedy o drugiej w nocy włączyła swój laptop i odebrała maile, zauważyła, że trafił się jej cenny łup. To był mało znany dokument, kopia dochodzenia przeprowadzonego w miejscu o nazwie Cairn Barrow w Szkocji. Dochodzenie miało datę sprzed kilku tygodni, ale w internecie kopię zamieszczono dopiero dzisiaj.

Gdy Corrie czytała treść dokumentu napisaną surowym prawniczym językiem, ogarnęło ją uczucie kompletnego niedowierzania. Pozbawiona komentarza, analizy czy choćby konkluzji, kopia nie była niczym więcej jak zapisem zeznań różnych świadków o wypadku na polowaniu na odległych szkockich moczarach. Przerażliwym, absolutnie nieprawdopodobnym wypadku.

Dziewczyna przeczytała dokument ponownie i jeszcze raz, coraz bardziej poddając się uczuciu

nierealności. Z całą pewnością ta dziwna historia była tylko wierzchołkiem góry lodowej, podczas gdy prawdziwa sprawa pozostawała ukryta pod powierzchnią. Corrie targały różne emocje – od niedowierzania przez uczucie nierealności aż po desperacki niepokój. Pendergast zastrzelony podczas wypadku na polowaniu? Niemożliwe.

Drżącymi lekko dłońmi wyjęła notes i odnalazła w nim numer telefonu. Zawahała się, po czym zaklęła cicho pod nosem i wystukała cyferki. To był domowy numer D'Agosty i na pewno policjant nie ucieszy się z telefonu o tej porze, ale chrzanić to, gliniarz miał do niej oddzwonić, nie zrobił tego, choć obiecał, że zajmie się tą sprawą. Zaklęła ponownie, ale głośniejszym głosem, bo wybrała przez pomyłkę niewłaściwy numer i musiała zacząć jeszcze raz. Po pięciu sygnałach usłyszała głos kobiety.

– Halo?

– Chcę mówić z Vincentem D'Agostą. – Usłyszała drżenie w swoim głosie.

Cisza.

– Kto mówi?

Wzięła głęboki oddech. Jeżeli nie chciała, żeby połączenie zostało przerwane, musiała wziąć się w garść.

– Corrie Swanson. Chciałabym rozmawiać z porucznikiem D'Agostą.

– Porucznika nie ma – padła chłodna odpowiedź. –
Może coś przekazać?

– Proszę powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił. Do Corrie Swanson. Ma mój numer.

– A w jakiej sprawie...?

Ponownie wzięła głęboki oddech. Wyładowywanie złości na żonie czy dziewczynie D'Agosty nic jej nie da.

– Chodzi o agenta Pendergasta. Próbuję dowiedzieć się czegoś o Pendergaście – wyjaśniła i dodała: –
Pracowałam z nim przy pewnej sprawie.

– Przykro mi. Agent Pendergast nie żyje.

Sam dźwięk tych słów kompletnie ją oszołomił. Przełknęła ślinę, próbując wydobyć z siebie głos.

– Jak to się stało?

– Wypadek na polowaniu. W Szkocji.

No i tak. Potwierdzenie. Zastanawiała się, co może jeszcze powiedzieć, ale w głowie miała pustkę. Dlaczego D’Agosta do niej nie zadzwonił? Nie było sensu dłużej rozmawiać z tą kobietą.

– Naprawdę proszę, żeby porucznik do mnie oddzwonił. Jak najszybciej.

– Przekażę. – Usłyszała w odpowiedzi.

Skuliła się w fotelu z wzrokiem wlepionym w ekran komputera. To jakieś szaleństwo. Co mogła zrobić? Ogarnęły ją przygnębienie i smutek, jakby straciła ojca. No i nie miała z kim porozmawiać, nie miała z kim podzielić się swoim żalem. Ojciec był teraz sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, w Allentown w Pensylwanii. Poczowała się przeraźliwie osamotniona.

Spojrzała na ekran komputera i wybrała link do strony internetowej poświęconej Pendergastowi, którą pieczołowicie się zajmowała:

www.agentpendergast.com

Pracując szybko, niemal automatycznie, stworzyła szeroką czarną ramkę i zaczęła pisać wewnątrz niej.

Właśnie się dowiedziałam, że agent P. – agent specjalny A.X.L. Pendergast – zginął w dziwnym, tragicznym wypadku. To straszne. Nie mogę uwierzyć, że to prawda. Nie chce mi się wierzyć, że świat może nadal się kręcić, gdy jego już na nim nie ma.

To się stało podczas polowania w Szkocji...

Jeszcze kiedy pisała nekrolog, powstrzymując cisnące się do oczu łzy, nabierała coraz silniejszego przekonania o surrealizmie całej tej sprawy. Gdy wreszcie skończyła i umieściła nekrolog w internecie, zaczęła poważnie się zastanawiać, czy choć przez chwilę wierzyła w to, co właśnie napisała.

Grzędawisko

Judson Esterhazy przystanął, by złapać oddech. Był wyjątkowo słoneczny poranek i otaczające go ze wszystkich stron moczary skrzyły się odcieniami brązów i zieleni. W oddali widać było ciemną linię bagien Inish. A między pagórkami na wprost niego, kilkaset metrów dalej, stała nieduża kamienna chata znana jako Glims Holm.

Esterhazy słyszał o niej, ale w pierwszym odruchu uznał, że znajdowała się zbyt daleko od miejsca zdarzenia i była zbyt prymitywna, aby Pendergast mógł otrzymać tu pomoc medyczną, jakiej z pewnością potrzebował. Dowiedział się jednak, że do Inverkirkton przyjechał D'Agosta, wypytywał o Pendergasta i właśnie Glims Holm było ostatnim miejscem, które porucznik odwiedził, zanim zawiedziony wrócił do Stanów.

Czy naprawdę był zawiedziony? Im dłużej Esterhazy się nad tym zastanawiał, tym bardziej – na swój pokrętny

sposób – dochodził do wniosku, że ta stara chata mogła być dokładnie takim miejscem, jakiego poszukiwał Pendergast.

Wtedy właśnie – zupełnie przypadkowo, podczas grzebania w starych archiwach Shire of Sutherland – Esterhazy odkrył coś bardzo ważnego, co upewniło go w jego przekonaniach. Mianowicie, że stara kobieta mieszkająca w kamiennej chatce, którą miał przed sobą, była ciotką doktora Roscommona. Tę informację Roscommon, człowiek powściągliwy i małomówny, ukrył przed mieszkańcami Inverkirrton.

Esterhazy ukrył się za kępą kolcolistu, wyjął lornetkę i zaczął obserwować chatkę. Przez okno na dole widział staruszkę krzątającą się przy piecu i zajmującą się przygotowywaniem czegoś. Po chwili zdjęła coś z pieca i zniknęła mu z oczu. Przez kilka sekund jej nie widział... i nagle spostrzegł ją przechodzącą obok okna na piętrze i trzymającą w dłoni coś, co wyglądało jak kubek. Na stryszku prawie jej nie widział, ale zorientował się, że

nachyliła się nad kimś, kto, najwyraźniej chory, leżał w łóżku, pomogła mu usiąść i przytrzymała dla niego kubek, żeby mógł się napić.

Serce Esterhazyego zabiło szybciej. Wbijając swoją laskę w miękki grunt, obszedł chatę dookoła. Z tyłu znajdowały się małe drzwiczki z nieheblowanego drewna połączone z niedużym przydomowym ogródkiem, szopa i kamienna zagroda dla owiec. Nie było tam okien.

Rozejrzał się ostrożnie wokoło. Nikogo nie było widać, otaczające go ze wszystkich stron bagna i moczary wydawały się pozbawione życia. Wyjął z kieszeni mały pistolet i upewnił się, że w komorze tkwi nabój. Z wielką czujnością podszedł do chaty od strony, skąd nie mógł zostać dostrzeżony.

Przykucnął obok tylnych drzwi. Jednym palcem poskrobał w drewno i czekał.

Starucha miała dobry słuch i musiała to usłyszeć. Z głębi chaty jego uszu doszły jej kroki i mamrotane pod nosem słowa, których jednak nie zdołał zrozumieć.

Szczęknął odsuwany rygiel i drzwi się otworzyły. Kobieta wyjrzała na zewnątrz.

I zaklęła cicho.

Jednym szybkim, płynnym ruchem Esterhazy poderwał się, dłonią zatkał jej usta i jedną ręką odciągnął staruszkę od drzwi. Stuknął ją solidnie kolbą pistoletu w tył głowy, a następnie nieprzytomną ułożył na ziemi. Po chwili bezszelestnie wślizgnął się do chatki. Na parterze znajdowała się tylko jedna izba, rozejrzał się po niej pospiesznie, dostrzegając emaliowany piec, stare fotele, poroża na ścianach i strome schody prowadzące na strych. Z góry dochodziły dźwięki głośnego charczącego oddechu. Rozlegały się nieprzerwanie.

Z największą ostrożnością przeszedł przez izbę, stawiając stopy powoli i delikatnie, z fanatycznym wręcz pietyzmem, sprawdzając kredens, szafę i upewniając się, że nikt się tam nie ukrywa. Następnie ściskając mocno w dłoni pistolet, zbliżył się do schodów. Były zrobione z grubych sękatych desek, które mogły zatrzeszczeć pod

jego ciężarem lub nie.

Zaczekał u podnóża schodów, nasłuchując. Oddech wciąż się rozlegał, nieco wysilony, a raz usłyszał też, jak mężczyzna na górze przewraca się na łóżku i stęka z wyraźnym niezadowoleniem. Esterhazy wciąż czekał, aż upłynie pięć minut. Wszystko wyglądało normalnie. Uniósł nogę i postawił stopę na najniższym schodku, wzmagając stopniowo nacisk, aż nacisnął na niego całym ciężarem. Drewno nie zaskrzypiało. Postawił drugą nogę na wyższym schodku, wykonując tę samą długotrwałą i powolną operację, ale i tym razem nic nie zaskrzypiało. Wspiął się w ten sposób po schodach z nieznośną wręcz powolnością, zajęło mu to sporo czasu, ale w końcu znalazł się na samej górze. Półtora metra od niego widać było nogi prymitywnego łóżka. Esterhazy wolno podniósł się i spojrzał w stronę łóżka. Leżała na nim jakaś postać odwrócona do niego plecami, przykryta kocem, śpiąca, oddech miała ciężki, lecz regularny. To był wychudzony staruszek w grubej koszuli nocnej i z włosami niemal

równie siwymi i zwichrzonymi jak u tamtej starej wiedźmy. A przynajmniej tak wyglądały.

Esterhazy wiedział jednak swoje.

Przez wezłowie przełożona była dodatkowa poduszka. Esterhazy schował pistolet i sięgnął po poduszkę, nie spuszczać ani na chwilę wzroku ze staruszka. Sprężył się do skoku jak tygrys, trzymając poduszkę oburącz, dał susa i przycisnął poduszkę do twarzy mężczyzny, napierając z całej siły. Spod poduszki wydobył się zduszony krzyk i gwałtownie uniosła się dłoń, która zaczęła drapać atakującego, jednak nie było w niej broni i Esterhazy wiedział, że atak zaskoczył leżącego. Docisnął poduszkę jeszcze mocniej, aż stłumione odgłosy ucichły i osłabiony mężczyzna miotał się teraz cicho, usiłując wymachującymi na oślep rękami schwycić napastnika za koszulę. Człowiek na łóżku zaczął się szaleńczo miotać i wydawał się zadziwiająco silny jak na kogoś, kto niedawno odniósł niemal śmiertelną ranę. Duża koścista dłoń pochwyciła koc i zaczęła szarpać go w

tę i z powrotem, jakby omyłkowo wzięła koc za ubiór napastnika. Wreszcie, wraz z ostatnim silnym szarpnięciem rąk i wierzgnięciem nogi mężczyzny, koc zsunął się na podłogę, odsłaniając górną połowę ciała, jednak Pendergast słabł w błyskawicznym tempie i jego koniec był już bliski.

Wtem Esterhazy zastygł w bezruchu – stało się to, kiedy zobaczył poskręcane stare dłonie tamtego. Spojrzał w słabym świetle na dolną część ciała mężczyzny, jego nogi chude jak patyki, skórę szorstką jak pergamin i widoczne pod skórą żyłaki. To było ciało starego człowieka. Nikt nie stworzyłby równie drobiazgowej charakteryzacji. Ale istotniejszy był brak bandaży, blizny czy czegokolwiek, co choćby pobieżnie przypominałoby ranę postrzałową sprzed miesiąca na unoszącej się ciężko klatce piersiowej tamtego.

Umysł Esterhazyego pracował jak szalony, by przewyciężyć wściekłość i szok. Był przecież taki pewny, tak bardzo pewny...

Czym prędzej puścił poduszkę, odsłaniając zniekształcone oblicze staruszka, z językiem wystającym z ust i oczyma przepełnionymi przerażeniem. Mężczyzna zakasłał raz i drugi, usiłując złapać oddech, a jego zapadnięta klatka piersiowa zadygotała z wysiłku.

Ogarnięty zaślepiającą paniką Esterhazy odrzucił poduszkę i potykając się, zbiegł po schodach. Starucha tymczasem już wróciła tylnym wejściem do chaty i powłócząc nogami, szła w jego stronę, a po jej twarzy ściekała krew.

– Ty czorcie! – wrzasnęła.

Chciała go dosięgnąć swoimi kościstymi, zakrzywionymi w szpony palcami, kiedy przebiegał obok niej, ale szarpnięciem otworzył drzwi frontowe na oścież i pognał co sił w nogach przez rozległe puste moczary.

Malfourche

Łagodne nocne powietrze wpadało przez otwarte okno, poruszając muślinowymi firankami w salonie. Gdy podmuch wiatru omiół jej twarz, June Brodie uniosła wzrok znad wypełnianego właśnie formularza Wydziału Zdrowia Stanu Missisipi. Pomijając cichy szum wiatru, noc była spokojna. Spojrzała na zegarek: druga w nocy. Z głębi domu dochodził głos narratora z jakiegoś filmu dokumentalnego w telewizji; Carlton oglądał jeden ze swoich ulubionych programów historycznych o wojnach i słynnych bitwach.

Upiła łyk coli z butelki, która stała tuż obok niej. Zawsze lubiła pić colę ze szklanej butelki, przypominało jej to dzieciństwo i staroświeckie automaty, w których otwierało się małe wąskie okienko i wyciągało butelkę za szyjkę. Była przekonana, że napój z butelki smakował inaczej. Jednak przez ostatnią dekadę, na bagnach,

musiała zadowalać się aluminiowymi puszkami. Charles Slade nie mógł znieść odbłasków słońca na szkłe i na Spanish Island prawie w ogóle nie było niezmатовionego szkła. Nawet wszystkie strzykawki były plastikowe.

Odstawiła butelkę na tacę. Powrót do normalnego życia miał też inne dobre strony. Carlton mógł oglądać swoje ulubione programy dokumentalne, nie zakładając do tego słuchawek. Można było podnosić żaluzje i wpuszczać do domu światło i świeże powietrze. Mogła udekorować dom świeżymi kwiatami – różami i gardeniami oraz jej ulubionymi kaliami – bez obaw, że ich aromat wywoła desperackie protesty. Utrzymywała się w formie, lubiła dobre ciuchy i modne fryzury, teraz będzie mogła pokazywać się w nich innym. To prawda, miejscowi otwarcie się na nich gapili – jedni z zaciekawieniem, inni z podejrzliwością, ale chyba z wolna zaczynali przyzwyczajać się do ich obecności i pogodzili się z ich powrotem. Policyjne dochodzenie zostało zakończone. Upierdliwy dziennikarz z „Ezerville Bee” nie

wrócił. I choć jego artykuł trafił na łamy podrzędnej gazety w Houston, sprawa się nie rozeszła. Po śmierci Slade'a nie spieszyli się – odczekali prawie pięć miesięcy – aby mieć pewność, że nikt nigdy nie dowie się, jak żyli i czym się zajmowali. Dopiero wtedy zdecydowali się wrócić. Tajemnica ich życia na bagnach pozostanie na zawsze sekretem.

June Brodie pokręciła głową w wyrazie tęsknej zadumy. Choć próbowała się z tym pogodzić, bywały chwile, takie jak teraz, w środku nocy, kiedy tęsknota za Charlesem Slade'em sprawiała jej niemal fizyczny ból. Po latach opiekowania się jego wyniszczonym ciałem i umysłem trawionymi chorobą oraz toksyczną wrażliwością na wszelkie bodźce zmysłowe jej miłość się wypaliła. A mimo to kiedyś bardzo kochała tego człowieka. Wiedziała, że była nieuczciwa wobec męża. Jednak Slade jako prezes Longitude był tak potężny, przystojny, charyzmatyczny i na swój sposób życzliwy wobec niej. Dlatego z własnej i nieprzymuszonej woli, w

pełni świadomie porzuciła pracę dyplomowanej pielęgniarki i poświęciła się jemu, oddając mu się całkowicie, także fizycznie.

W pokoju zapadła cisza. Carlton musiał wyłączyć telewizor i zapewne zajął się drugą spośród swoich pasji, a mianowicie rozwiązywaniem krzyżówek z londyńskiego „Timesa”.

Westchnęła i spojrzała na papiery, które trzymała na kolanach. Powinna jak najszybciej wypełnić te formularze. Jej licencja dyplomowanej pielęgniarki wygasła w 2004 roku, a zgodnie z prawem stanu Missisipi konieczne było, aby...

Nagle uniosła wzrok. Jej mąż stał w drzwiach z dziwnym wyrazem twarzy.

– Carltonie? – rzuciła. – O co chodzi? Co się...

W tej samej chwili z ciemności za jej mężem wyłoniła się jeszcze jedna postać. June wstrzymała oddech. To był mężczyzna, wysoki i szczupły, ubrany w ciemny, sądząc z wyglądu, drogi trencz. Czarną skórzaną

czapkę nasadził nisko na czoło, a jego oczy patrzyły na nią z chłodną obojętnością. W jednej dłoni w rękawiczce trzymał pistolet wymierzony w podstawę czaszki jej męża. Lufa broni wydawała się dziwnie wydłużona, dopóki June nie uświadomiła sobie, że do lufy był dokręcony tłumik.

– Usiądź – rzekł mężczyzna i na pół popchnął, na pół szturchnął Carltona, aby zajął miejsce na sofie obok żony.

Pomimo przyływu adrenaliny, który ożywił jej kończyny, i nagłego łomotania serca, June Brodie wychwyciła obcy akcent w głosie tamtego. Był europejski, może duński albo raczej niemiecki.

Mężczyzna rozejrzał się po pokoju, zauważył otwarte okno, zamknął je i zaciągnął zasłony. Zdjął trencz i powiesił na sąsiednim krześle. Przystawił krzesło przed sofę, na której siedziało małżeństwo, rozsiadł się na nim i założył nogę na nogę. Broń trzymał luźno przy boku. Podciągnął nogawki spodni, żeby nie wypychać kolan, i machinalnie poprawił mankiety, jakby miał na sobie

garnitur za tysiąc dolarów, a nie ubiór włamywacza. Nachylił się do June, a ona dostrzegła, że pod jednym okiem miał długi, cienki, przypominający robaka pieprzyk. Absurdalna myśl przyszła jej do głowy: dlaczego nie pozbędzie się tego paskudztwa?

– Zastanawiam się – powiedział miłym głosem – czy moglibyście mi coś wyjaśnić.

June Brodie spojrzała ukradkiem na męża.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, czym jest placek księżycowy?

W pokoju zapadła cisza. June nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– Interesują mnie miejscowe przysmaki i rarytasy – ciągnął mężczyzna. – Jestem od wczoraj w tym osobliwym zakątku waszego kraju. Dowiedziałem się, co to jest langusta. Spróbowałem tutejszej kaszy perłowej i – jak to się u was nazywa – *hush puppies*. Ale nie zdołałem się dowiedzieć, czym właściwie jest placek księżycowy.

– To rodzaj ciasta – odparł z napięciem w głosie

Carlton. – Dużego ciasta. Zrobionego z pianki żelowej i krakersów grahamków. I, ee, z czekolady.

– Rozumiem. Dziękuję.

Mężczyzna przerwał, by przyjrzeć się im kolejno.

– A teraz czy bylibyście tak uprzejmi wyjaśnić mi, gdzie byliście oboje przez ostatnie dwanaście lat?

June Brodie wzięła głęboki oddech. Kiedy się odezwała, zdziwił ją spokój w jej głosie.

– To żadna tajemnica. Było o tym w gazetach. Prowadziliśmy pensjonat w San Miguel w Meksyku. Nazywał się Casa Magnolia i ...

Jednym krótkim ruchem mężczyzna uniósł broń i przy wtórze stłumionego puf! przestrzelił lewą rzepekę kolanową Carltona. Całym ciałem Brodiego targnęły konwulsje, jakby potraktowano go elektrycznym pastuchem, i zgiął się w pół z rykiem zdziwienia i bólu, a spomiędzy palców zaciśniętych na jego kolanie popłynęła krew.

– Jeżeli zaraz nie zamilknie – rzekł do niego

chłodnym tonem mężczyzna – następną kulę dostaniesz prosto między oczy.

Carlton zacisnął drugą rękę w pięść i zagryzł na niej zęby. Łzy ciekły mu z oczu. June poderwała się z miejsca, by do niego podejść, ale ruch pistoletu zmusił ją, by ponownie usiadła w fotelu.

– Czuję się urażony, kiedy ktoś próbuje mnie okłamać – rzekł mężczyzna. – Więcej tego nie rób.

W pokoju zapadła cisza. Mężczyzna zdjął najpierw jedną, a potem drugą rękawiczkę. Przesunął czapkę nieco do tyłu, odsłaniając twarz o wyrazistych orlich rysach: wąskim nosie, wysoko osadzonych kościach policzkowych, krótko przyciętych blond włosach, spiczastym podbródku, zimnych niebieskich oczach i ustach, których kąciki wywinięte były ku dołowi. Mężczyzna popatrzył na nich kolejno, ponownie opuszczając broń do boku.

– Wiemy, pani Brodie, że pani rodzina ma niedaleko stąd, na Czarnych Bagnach, chatkę myśliwską. Wyspa ze

znajdującą się na niej chatką nosi nazwę Spanish Island.

June Brodie spojrzała na niego. Serce boleśnie kołatało się jej w piersi. Na sofie jej mąż pojękiwał i dygotał, ściskając strzaskane kolano.

– Nie tak dawno temu, na krótko przed waszym powrotem, na bagnach znaleziono ciało mężczyzny nazwiskiem Michael Ventura, którego zastrzelono niedaleko Spanish Island. Był kiedyś szefem ochrony w Longitude Pharmaceuticals. Interesowaliśmy się tym człowiekiem. Czy wiecie coś na ten temat?

Wiemy, powiedział. Interesowaliśmy się.

June Brodie przypomniała sobie słowa, które Slade wypowiadał często szeptem z naciskiem w głosie: „Pozostań w ukryciu. Nie mogą się dowiedzieć, że żyjemy. Przyszliby po nas”. Czy to możliwe, czy istniała możliwość, że to wszystko nie było rojeniami na wpół obłąkanego paranoika? Przełknęła ślinę.

– Nie, nic nie wiemy – powiedziała głośno. – Spanish Island zbankrutowała dziesiątki lat temu, od tamtej pory

jest zamknięta na głucho i opusz...

Mężczyzna znów uniósł pistolet i jakby od niechcienia strzelił Carltonowi Brodiemu w krocze. Krew, strzępy tkanek i płyny ustrojowe zbryzgały obicie sofy. Brodie zawył w agonii, ponownie zgiął się wpół, zsunął się z siedzenia i zwinął w kłębek na podłodze.

– Już dobrze! – krzyknęła June. – Już dobrze, na miłość boską, przestań, błagam! – zawołała rozpaczliwie.

– Ucisz go – rzekł mężczyzna. – Albo ja to zrobię.

June wstała i podbiegła do skulonego i wyjącego z bólu męża. Położyła dłoń na jego ramieniu. Krew ze strzaskanego kolana ściekała swobodnie między jego nogami. Przy wtórze nieprzyjemnego czknięcia Carlton wymiotował na swoje spodnie i buty.

– Mów – rzucił jakby mimochodem mężczyzna.

– Byliśmy tam – odparła, z przerażenia niemal wypluwając z siebie słowa. – Na bagnach. Na Spanish Island.

– Jak długo?

– Od czasu pożaru.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Od pożaru w Longitude?

Pokiwała energicznie głową.

– Co robiliście na bagnach?

– Opiekowaliśmy się nim.

– Nim?

– Charlesem. Charlesem Slade'em.

Po raz pierwszy z twarzy tamtego spadła maska spokoju i obojętności. Pojawił się na niej wyraz zaskoczenia i niedowierzania.

– Niemożliwe. Slade zginął w pożarze...

Zamilkł, a jego oczy lekko się rozszerzyły, rozbłyły delikatnie jakby na znak postępującego zrozumienia.

– Nie. Pożar został zaaranżowany – powiedziała June.

Mężczyzna spojrział na nią i rzucił ostro:

– Po co? Żeby zniszczyć dowody w laboratorium?

Pokręciła głową przecząco.

– Nie wiem dlaczego. Większość prac

laboratoryjnych wykonywana była na Spanish Island.

Kolejny wyraz zdumienia pojawił się na twarzy mężczyzny. June spojrzała na męża, który jęczał i dygotał w niekontrolowany sposób. Wydawał się bliski omdlenia. Może nawet umierał. Szlochała, krztusząc się, próbowała nad sobą zapanować.

– Błagam...

– Dlaczego się tam ukrywaliście? – spytał mężczyzna. Mówił obojętnym tonem, ale dziwny błysk w jego oczach nie zniknął.

– Charles zachorował. Nabawił się ptasiej grypy. To go... odmieniło.

Mężczyzna pokiwał głową.

– I zamieszkaliście tam oboje, żeby się nim opiekować?

– Tak. Na bagnach. Tam, gdzie nie można było go znaleźć. Gdzie mógł pracować i, kiedy choroba zaczęła postępować coraz bardziej, można było się nim zająć.

Gardło miała niemal całkiem ściśnięte ze zgrozy.

Mężczyzna był bezwzględny, ale jeśli ona powie mu wszystko, absolutnie wszystko, może puści ich wolno. I będzie mogła zawieźć męża do szpitala.

– Kto jeszcze wiedział o Spanish Island?

– Tylko Mike. Mike Ventura. Przywoził nam prowiant, upewniał się, że mamy wszystko, czego potrzebujemy.

Mężczyzna zawahał się.

– Ale Ventura nie żyje.

– On go zabił.

– Kto? Kto go zabił?

– Agent Pendergast. Z FBI.

– Z FBI? – Po raz pierwszy mężczyzna wyraźnie podniósł głos.

– Tak. Wraz z policjantką z Nowego Jorku. Z kapitan Hayward.

– Czego chcieli?

– Agent FBI szukał człowieka, który zabił jego żonę.

Miało to coś wspólnego z Projektem Aves – tajną ekipą

badawczą pracującą w Longitude nad wirusem ptasiej grypy. Slade kazał ją zabić. Wiele lat temu.

– Ach – rzekł mężczyzna, jakby uświadomił sobie coś nowego. Przerwał, by obejrzeć paznokcie lewej ręki. – Czy ten agent wiedział, że Slade wciąż żyje?

– Nie. Nie, dopóki... dopóki nie dotarł na Spanish Island i Slade sam się nie ujawnił.

– Co było potem? Czy ten agent FBI zabił również Slade'a?

– Poniekąd. Slade zginął.

– Czemu nie było o tym w wiadomościach?

– Agent FBI chciał, żeby cała ta sprawa została pogrzebana na bagnach.

– Kiedy to było?

– Ponad pół roku temu. W marcu.

Mężczyzna zamyślił się przez chwilę.

– Co jeszcze?

– To wszystko, co wiem. Proszę. Powiedziałam już wszystko. Muszę pomóc mężowi. Błagam, niech pan nas

puści!

– Wszystko? – rzucił mężczyzna z nutką sceptycyzmu w głosie.

– Wszystko.

Co jeszcze mogłaby powiedzieć? Opowiedziała mu o Sładzie, o Spanish Island, o Projekcie Aves. Niczego nie zataiła.

– Rozumiem.

Mężczyzna patrzył na nią przez chwilę. A potem uniósł pistolet i strzelił Carltonowi Brodiemu prosto między oczy.

– Boże, nie!

June poczuła, jak ciało męża drgnęło konwulsyjnie w jej ramionach. Krzyknęła.

Mężczyzna powoli opuścił pistolet.

– Nie! – zaszlochała June. – Carltonie!

Czuła, jak ciało męża powoli wiotczeje w jej uścisku, a z jego ust wydobył się cichy szept uchodzącego z płuc powietrza. Krew spływająca strużkami z roztrzaskanej

potylicy czerniła obicie sofy.

– Zastanów się dobrze – powiedział mężczyzna. –
Jesteś pewna, że powiedziałaś mi wszystko?

– Tak – zaszlochała, wciąż tuląc ciało męża. –
Wszystko.

– Doskonale.

Mężczyzna znieruchomiał na chwilę. Zachichotał pod
nosem.

– Placek księżycowy. Ohyda.

Następnie wstał i wciąż poruszając się bardzo wolno,
podszedł do fotela, przy którym June wypełniała
formularz Wydziału Zdrowia. Pochylił się nad papierami i
przyjrzał im się, wsuwając pistolet za pasek spodni.
Następnie sięgnął po napoczętą butelkę coli, opróżnił jej
zawartość do pobliskiej doniczki i jednym zdecydowanym
uderzeniem o kant stołu stłukł butelkę, odbijając z niej
denko. Odwrócił się w stronę June, trzymając
poszczerbioną szyjkę butelki na wysokości biodra.

Spojrzała na ostre krawędzie stłuczonej butelki, a

szkło zabłysło w świetle lampy.

– Ale przecież powiedziałam już wszystko –
wyszeptała.

– Rozumiem – odparł, kiwając głową z
wyróżumiałością. – Ale muszę mieć pewność.

Inverkirkton

– Dzień dobry, panie Draper. Piękny mamy dziś dzień, nawiasem mówiąc.

– To prawda, Robbie.

– Był pan już na porannej przejażdżce?

– O tak. Pojechałem rowerem do Fenkirk i z powrotem.

– Niezły kawałek.

– Chciałem skorzystać z dobrej pogody. Rano wyjeżdżam.

– Szkoda mi tracić takiego dobrego klienta, panie Draper. Spodziewałem się jednak, że nie zabawi pan u nas długo. I tak mam szczęście, że zechciał pan zostać aż tyle.

– Prosiłbym o przygotowanie rachunku, chciałbym go już uiścić.

– Zaraz się tym zajmę.

– Był pan bardzo gościnnie. Pójdę teraz do pokoju i

trochę się odświeżę, a potem wpadnę do Half Moon na ostatnią przed wyjazdem porcyjkę puddingu ze stekiem i nereczkami.

– Doskonale, proszę pana.

Na piętrze Esterhazy opłukał ręce w umywalce i wytarł je w ręcznik. Po raz pierwszy od wielu tygodni poczuł ogromną ulgę. Przez cały czas nie potrafił przekonać samego siebie, że Pendergast nie żyje. Poszukiwania Pendergasta przerodziły się w obsesję, przepełniając jego myśli i dręcząc go w snach. Jednak wizyta w Glims Holm ostatecznie – i nareszcie – przekonała go, że agent naprawdę jest martwy. Gdyby bowiem Pendergast nadal żył, to podczas długich, wyczerpujących poszukiwań można było w końcu trafić na jakiś jego ślad. Gdyby agent żył, Roscommon z pewnością musiałby pisać choć słówkiem na ten temat podczas którejś z wizyt Esterhazyego w jego klinice. Gdyby agent żył, Esterhazy odnalazłby go tego ranka w kamiennej chatce. Miał wrażenie, jakby z jego barków

zdjęto ogromne brzemię. Mógł wrócić do domu i do swojego życia, które stanęło na głowie, odkąd Pendergast i D'Agosta odwiedzili go po raz pierwszy.

Pogwizdując, zamknął drzwi do pokoju i zszedł po schodach. Nie obawiał się, że staruszka zjawi się w miasteczku, by zgłosić napaść, a gdyby nawet, tutejsi mieszkańcy mieli ją za wariatkę i na pewno by jej nie uwierzyli. Przejazdźka rowerem i dwunastokilometrowy marsz na bagna i z powrotem zaostrzyły mu apetyt i wreszcie od wielu tygodni ten apetyt nie był przytłumiony przez niepokój.

Esterhazy wszedł do ciemnego, pachnącego apetycznie wnętrza pubu Half Moon i z zadowoleniem usadowił się na stołku. Jennie Prothero i barman MacFlecknoe byli na swoich stanowiskach – jedno przed, a drugie za kontuarem.

– Dzień dobry, panie Draper – rzekł MacFlecknoe, nalewając Esterhazyemu kufel guinnessa.

– Dzień dobry, Paulie. Jennie.

Wypite w ostatnich tygodniach kufle ciemnego gorzkiego piwa sprawiły, że zyskał przywilej zwracania się do obojga po imieniu. Pani Prothero pokiwała głową i uśmiechnęła się.

– Witaj, mój drogi.

MacFlecknoe postawił kufel przed Esterhazym, po czym odwrócił się do Jennie Prothero.

– To dziwne, że go wcześniej nie widzieliśmy – powiedział.

– Cóż, powiedział przecież, że przebywał w Braes of Glenlivet. – Starsza kobieta napiła się piwa. – Myślisz, że poszedł w tej sprawie do konstabla?

– Nie. Bo niby po co? Poza tym na pewno nie życzyłby sobie, żeby w coś go wmieszano, przecież jest na urlopie.

Esterhazy nadstawił uszu.

– Czy coś mnie ominęło?

MacFlecknoe i sklepikarka-praczka wymienili spojrzenia.

– Pastor – odparł barman. – Minał się pan z nim.

Wpadł na jednego.

– Na więcej niż jednego – dodała Jennie, mrugając porozumiewawczo.

– To miły starszy mężczyzna – powiedział MacFlecknoe. – Jak na Walińczyka. Ma niewielki kościółek w Anglesey. Zjawił się w Górach Szkockich w zeszłym miesiącu.

– Frotaż nagrobków – parsknęła Jennie Prothero, kręcąc głową.

– Przestań, Jennie – upomniał ją barman. – To całkiem przyzwoity sposób spędzania wolnego czasu, zwłaszcza dla duchownego.

– Być może – przyznała starsza kobieta. – Mówił, że jest antykwariatem.

– Antykwariuszem – poprawił MacFlecknoe.

Esterhazy przerwał mu delikatnie.

– Paulie, poproszę o pudding ze stekiem i nereczkami. – I jakby mimochodem dodał: – A o co

chodzi z tym konstablem?

MacFlecknoe zawahał się.

– Cóż, panie Draper, szczerze mówiąc, nie wiem, czy mogę o tym mówić. Zanim opowiedział nam tę historię, był już po trzech whisky.

– Och, nie bądź durniem, Paulie! – skarciła go Jennie Prothero. – Pan Draper to porządny człowiek. Na pewno nie przysporzy kłopotów temu staruszkowi.

Barman zamyślił się przez chwilę.

– No dobrze. To było parę tygodni temu. Pastor właśnie zjawił się w tej okolicy i zmierzał do Auchindown. Zauważył cmentarz przy kaplicy Ballbridge – właściwie to same ruiny na obrzeżach bagien Inish – i zatrzymał się tam, by przyjrzeć się kamieniom nagrobnym. I w pewnej chwili, kiedy wszedł na teren cmentarza, z mgły wyłonił się mężczyzna. Był pijany i chory, mocno rozdygotany, cały we krwi i błocie.

– Ten duchowny był pewien, że to zbieg – powiedziała sklepikarka, przykładając palec do nosa –

uciekający przed prawem.

Esterhazy wiedział o ruinach kaplicy – znajdowały się między Grzędzawiskiem a Inverkirkton.

– Jak wyglądał ten mężczyzna? – zapytał, a serce w jego piersi zaczęło się miotać jak szczur uwięziony w blaszanej puszcze.

MacFlecknoe znowu się zamyślił.

– Cóż, tego nie powiedział. Ale ten mężczyzna był mocno zdesperowany, bredził o czymś przez cały czas. Pastor uznał, że tamten chce się wyświadczyć, wyznać coś, więc słuchał uważnie. Powiedział, że ten człowiek praktycznie odchodził od zmysłów. Był cały rozdygotany, szcząkał zębami. Opowiedział duchownemu jakąś historyjkę i dopytywał się o drogę wokół moczarów. Pastor narysował mu prostą mapkę. Tamten uprosił duchownego, żeby pod żadnym pozorem nikomu nie mówił o ich spotkaniu. Biedny księżulo poszedł do samochodu, żeby przynieść zapasowy koc, który miał w bagażniku. Ale zanim wrócił na przykościelny cmentarz,

mężczyzny już nie było.

– Dzisiejszej nocy starannie pozamykam drzwi frontowe na cztery spusty – oznajmiła Jennie Prothero.

– Jaką właściwie historyjkę opowiedział tamten mężczyzna pastorowi? – zapytał Esterhazy.

– Ależ panie Draper, przecież pan wie, jacy są duchowni – odparł barman. – Tajemnica spowiedzi i takie tam.

– Ten pastor był z parafii w Anglesey? – rzucił nieśmiało Esterhazy. – I co, już tam wrócił?

– Nie. Wciąż jeszcze zostało mu kilka dni urlopu. Powiedział, że zamierza zatrzymać się nad Lochmoray. To małe miasteczko, na zachód stąd. – Ton głosu MacFlecknoe zdawał się sugerować, że w porównaniu z tamtą osadą Inverkirrton jest prawdziwą metropolią.

– W St. Muns jest mnóstwo starych nagrobków – dodała Jennie Prothero, ponownie kiwając głową.

– W St. Muns – powtórzył powoli, jakby mówiąc do siebie, Esterhazy.

Lochmoray, Szkocja

Judson Esterhazy pedałowal pod góre, pozostawiając niewielkie miasteczko daleko w tyle. W miarę jak droga wiła się coraz dalej wśród granitowych wzgórz, zniknęły jakikolwiek ślady cywilizacji i dopiero półtorej godziny później na horyzoncie pojawiła się szara kamienna wieża kościoła.

To z całą pewnością musiała być kaplica kościoła St. Muns z historycznym cmentarzem, gdzie przy odrobinie szczęścia odnajdzie tego klechę.

Wlepił wzrok w długą krętą drogę, nabrał powietrza i zaczął podjazd pod góre.

Droga wiodła wśród sosen i jodeł, ciągnęła się szerokim łukiem wzdłuż krawędzi wzgórza, opadała w dolinę, po czym znów wznosiła się na ostatnim odcinku prowadzącym wprost do stojącego na uboczu kościółka. Powiał chłodny wiatr, przeganiając chmury po niebie, gdy

Esterhazy przystanął na poboczu, by zlustrować okolicę.

I co się okazało: pastor rzeczywiście był na przykościelnym cmentarzu, ubrany nie na czarno, lecz w tweedową marynarkę i spodnie, a o jego profesji świadczyła jedynie koloratka pod szyją. Rower duchownego stał oparty o jeden z nagrobków, a sam pastor pochylał się nad płasko położoną płytą nagrobną, odtwarzając na arkuszu papieru przez pocieranie węglem fakturę kamienia i widniejące na nim inskrypcje. Esterhazy poczuł się trochę niezręcznie, kiedy dotknął pistoletu, który miał przy sobie, ale chciał się upewnić, że z łatwością może po niego sięgnąć, po czym wsiadł na rower i zaczął zjeżdżać ze wzgórza.

To było zdumiewające. Ten łajdak Pendergast wciąż sprawiał mu problemy nawet zza grobu. Bo właśnie na Pendergasta musiał się natknąć na bagnach ten pastor. Agent był z całą pewnością osłabiony z upływu krwi, na wpół oszalały z bólu, a od śmierci dzieliły go jedynie minuty. Co powiedział duchownemu? Nie, Esterhazy nie

może opuścić Szkocji, dopóki się tego nie dowie.

Pastor wyprostował się ciężko, kiedy Esterhazy zbliżył się do niego, strzepnął z kolan drobne gałązki i źdźbła trawy. Na płycie nagrobnej leżał rozpostarty duży arkusz papieru ryżowego; frotaż był na wpół gotowy. Opodal znajdowało się portfolio innych prac, rozłożone na kawałku płótna z kredkami pastelowymi i węglem.

– Uch! – stęknął pastor, poprawiając ubranie. – Dzień dobry.

Miał melodyjny walijski akcent i poczerwieniałe oblicze poprzecinane drobnymi żyłkami. Zwyczajowa ostrożność Esterhazyego wyparowała, kiedy pastor wyciągnął do niego rękę. Dłoń miał wyjątkowo wilgotną i dość brudną.

– Pan musi być pastorem z Anglesey – rzekł Esterhazy.

– Zgadza się. – Tamten uśmiechnął się z lekkim zamieszaniem. – A skąd pan to wie?

– Właśnie jadę z pubu w Inverkirrton. Wspominano

mi, że jest pan w tej okolicy. I że w technice frotażu odwzorowuje pastor napisy na kamieniach nagrobnych i ich fakturę.

Staruszek rozpromienił się.

– W rzeczy samej. W rzeczy samej!

– Co za zbieg okoliczności, że się tak spotkaliśmy.

Nazywam się Wickham.

– Miło mi pana poznać.

Stali przez chwilę w przyjaznym milczeniu.

– Wspominano mi również, że opowiadał pastor ciekawą historię – ciągnął Esterhazy. – O jakimś nieszczęśniku, którego spotkał pastor na mokradłach.

– Tak właśnie było!

Gorliwość malująca się na twarzy duchownego uświadomiła Esterhazyemu, że był jednym z tych ludzi, którzy chętnie służyli innym pomocą. Esterhazy rozejrzał się dokoła, udając obojętność.

– Chętnie o tym posłucham.

Energiczny ruch głową.

– Tak, oczywiście... ma się rozumieć... To było...
jakoś tak... na początku października.

Esterhazy czekał niecierpliwie, ale nie chciał
ponaglać pastora.

– Natknąłem się na mężczyznę. Błąkał się na
moczarach.

– Jak wyglądał?

– Okropnie. Był chory, a przynajmniej tak mówił...
Chyba był pijany albo może uciekał przed stróżami
prawa. Musiał się poślizgnąć i spaść na skały, miał całą
twarz we krwi. Był bardzo blady, cały utyłłany w błocie i
przemoknięty do suchej nitki. Tego popołudnia lało jak z
cebra, o ile sobie przypominam. Tak. Pamiętam tę ulewę.
No oczywiście zabrałem ze sobą gruby płaszcz
przeciwdeszczowy...

– Ale jak wyglądał? Jaki miał kolor włosów?

Duchowny przerwał, jakby dopiero teraz coś sobie
uświadomił.

– Czemu właściwie to pana interesuje, jeżeli wolno

zapytać?

– Piszę kryminały. Stale szukam nowych pomysłów.

– Skoro tak, to o ile dobrze pamiętam, miał bladą cerę, jasne włosy i był wysoki. Ubrany w tweedowy strój myśliwski. – Pastor pokręcił głową i zacmokał głośno. – Ten nieszczęśnik był z całą pewnością niespełna rozumu i na wpół żywy.

– Mówił coś?

– Ależ tak. Ale sam pan rozumie, nie wolno mi o tym mówić. Treść spowiedzi wobec Boga jest objęta tajemnicą.

Pastor mówił powoli, z takim namaszczaniem, że Esterhazy czuł, iż sam jest bliski popadnięcia w obłąd.

– Cóż za fascynująca historia. Czy może pastor powiedzieć mi coś jeszcze?

– Spytał mnie o drogę, by ominąć moczary. Powiedziałem mu, że to dobrych kilkanaście kilometrów.

– Duchowny wydał wargi. – Ale ponieważ nalegał, narysowałem mu mapkę.

– Mapkę?

– Przynajmniej tyle mogłem dla niego zrobić. Musiałem narysować mu drogę. To bardzo zdradliwa okolica, śmiertelnie niebezpieczna, wszędzie mokradła.

– Ale przecież pastor jest z Anglesey. Skąd pastor zna tę okolicę?

Duchowny zachichotał.

– Przyjeżdżam tu od lat. Od dziesiątków lat! Stale krążyłem po tych bagnach. Odwiedziłem każdy przykościelny cmentarzyk stąd aż do Loch Linnhe. To, widzi pan, region o wielkim znaczeniu historycznym. Odtworzyłem w technice frotażu setki kamieni nagrobnych i płyt, włącznie z tymi, które należały do lordów...

– Tak, tak. Proszę jednak opowiedzieć mi o tej mapie, którą pastor naszkicował. Mógłby pastor narysować taką samą dla mnie?

– Oczywiście! Z przyjemnością! Widzi pan, wysłałem go dłuższą drogą, omijającą bagna, bo szlak

przy Kilchurn Lodge jest jeszcze bardziej niebezpieczny. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak w ogóle zdołał tam dotrzeć. – Znow zacamokał, rysując na kartce papieru prostą, niemal prymitywną mapkę. – My jesteśmy tutaj – oznajmił, wskazując na znak X na mapce.

Esterhazy, aby lepiej się przyjrzeć, musiał mocno się pochylić.

– Gdzie?

– Tutaj.

Zanim Esterhazy zdołał się zorientować, poczuł piekielnie silne szarpnięcie. Został brutalnie przewrócony i przygwożdżony do ziemi, wykręcono mu ręce do tyłu, a w ucho wpiła mu się zimna lufa pistoletu, naciskająca tak mocno, że rozcięła skórę małżowiny usznej aż do krwi.

– Gadaj – rzucił duchowny.

To był głos Pendergasta.

Esterhazy próbował się wyrywać, w głowie miał mętlik, ale lufa wciąż bezlitośnie wwiercała mu się w ucho. Poczul falę przerażenia. To już koniec. Pendergast

ostatecznie zwyciężył. Świadomość klęski kompletnie go zdruzgotała. Miał wrażenie, jakby do jego żył wpuszczono zabójczą truciznę.

– Powiedziałaś, że Helen żyje – rozległ się cichy, złowieszczy szept. – Teraz powiesz mi resztę. Całą resztę.

Esterhazy próbował opanować gonitwę myśli, przezwyciężyć szok, ustalić, co ostatecznie powie i w jaki sposób. Zapach ziemi wypełniał mu nozdrza, wywołując odruch wymiotny.

– Chwileczkę – wysapał. – Pozwól, że wyjaśnię ci wszystko od początku. Pozwól mi wstać.

– Nie. Leż. Mamy dużo czasu. A ja bez skrępowań zmuszę cię do mówienia. Będziesz mówił. Ale jeśli spróbujesz mnie okłamać, jeżeli chociaż raz skłamiesz, zabiję cię. Bez ostrzeżenia.

Esterhazy walczył z niemal nieprzepartym lękiem.

– Ale wtedy... wtedy nigdy się nie dowiesz.

– Mylisz się. Teraz, kiedy wiem, że ona żyje, prędeziej czy później i tak ją odnajdę. Ty natomiast możesz mi

oszczędzić czasu i fadygi. Powtarzam: mów prawdę albo zginiesz.

Esterhazy usłyszał szczeł odwodzonego kurka.

– Tak, rozumiem... – Jeszcze raz spróbował pozbierać myśli, uspokoić się. – Nie masz pojęcia – wychrypiał – nie masz pojęcia, w co się pakujesz. Ta historia sięga duzo dalej wstecz, znacznie dalej niż do czasów Longitude. – Dyszał ciężko, łapiąc łapczywie powietrze wśród wilgotnych od rosy traw. – Ta historia sięga czasów na długo przed naszym urodzeniem.

– Słucham.

Esterhazy oddychał z dużym wysiłkiem. To było trudniejsze, niż mógł sobie wyobrazić. Prawda była straszna, potworna...

– Zaczynij od początku.

– Czyli od kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku...

Nagle przestał czuć broń na swojej skroni.

– Ależ, mój drogi przyjacielu, cóż ci się stało, że się

przewróciłeś? Pozwól, że pomogę ci wstać.

Głos Pendergasta zmienił się, ponownie pojawił się w nim charakterystyczny walijski akcent.

Przez chwilę Esterhazy był kompletnie zdezorientowany.

– Skaleczyłeś się w ucho! Ojej, co za pech!

Pendergast przyłożył mu do ucha chustkę, a Esterhazy poczuł, że pistolet, który agent wsunął ukradkiem do kieszeni, boleśnie wpija mu się w bok. W tej samej chwili usłyszał trzaśnięcie drzwiczek samochodu i głosy, cały chór głosów. Uniósł głowę i zamrugał nerwowo. Zbliżała się do nich spora gromadka ludzi, mężczyzn i kobiet, z laskami, płaszczami nieprzemakalnymi, notesami, aparatami fotograficznymi i piórami. Furgonetka, którą tu przyjechali, zaparkowała tuż za starym kamiennym murem otaczającym przykościelny cmentarz. Żaden z nich nie usłyszał nadjeżdżającego pojazdu, tak byli zaaferowani swoją walką.

– Witajcie! – zawołał przywódca grupy, niski,

korpułentny, pełen wigoru mężczyzna, który kuśtykał w ich stronę, wymachując złożonym parasolem. – Wszystko w porządku?

– Potknął się tylko – odrzekł Pendergast, pomagając Esterhazyemu wstać, ale równocześnie chwytając go dłonią jak ze stali i wbijając lufę pistoletu w ciało na wysokości nerek.

– Cóż to za osobliwy zbieg okoliczności spotkać innych ludzi w tak odległym zakątku Szkocji! W dodatku kogoś, kto przyjechał tu rowerem! Co was sprowadza w te rejony?

– Ikonografia płyt nagrobnych – odpowiedział z niezmaconym spokojem Pendergast, ale w jego oczach nie było ani krzty spokoju.

Esterhazy zebrał się w sobie, by odzyskać rezon. Pendergast był tymczasowo niegroźny, ale Judson wiedział, że agent nie przegapi nawet najdrobniejszej okazji, aby dokończyć to, co zaczął.

– A my jesteśmy genealogami! – oznajmił

mężczyzna. – Interesują nas nazwiska. – Wyciągnął rękę.
– Rory Monckton ze Szkockiego Towarzystwa
Genealogicznego.

Esterhazy zorientował się, że właśnie teraz los daje mu szansę. Gdy mężczyzna uścisnął dłoń niechętnego agenta, ten zmuszony był na moment puścić ramię Esterhazyego.

– Miło pana poznać – odparł Pendergast – ale obawiam się, że musimy już iść.

Esterhazy odbił ramieniem ukryty pod materiałem kształt pistoletu, obrócił się gwałtownie i rzucił na ziemię. Pendergast wystrzelił, ale spóźnił się o ułamek sekundy i do tego czasu Esterhazy zdążył już wyciągnąć swoją broń.

– Matko Boska! – zakrzyknął korpulentny mężczyzna i jednym susem rozciągnął się na trawie.

Całą grupkę, która w pierwszej chwili rozproszyła się i ukryła między grobami, ogarnęła gwałtowna histeria, jedni próbowali znaleźć schronienie, inni gnali na łeb na szyję w kierunku pobliskich wzgórz. Drugi strzał rozdarł

połę płaszcza Esterhazyego, który ponownie wypalił do Pendergasta. Agent odturlał się za kamień nagrobny, strzelił raz jeszcze i chybił, nie był w dobrej formie, najwyraźniej wciąż osłabiony po postrzale.

Esterhazy wypalił dwa razy, zmuszając Pendergasta, by ponownie ukrył się za nagrobkiem, po czym popędził jak szalony w stronę furgonetki, obiegnął ją z drugiej strony i wskoczył do środka, pochylając nisko głowę.

Kluczyki były w stacyjce.

Kula strzaskała boczną szybę, zasypując Esterhazyego gradem odłamków. Odpowiedział ogniem.

Uruchamiając silnik furgonetki, wciąż strzelał, z jedną ręką wyciągniętą przez strzaskaną szybę, nad głowami genealogów i pomiędzy kamieniami nagrobnymi, nie pozwalając Pendergastowi oddać celnego trafienia. Z cmentarza dobiegły strwożone okrzyki, gdy Esterhazy wrzucił wsteczny, a spod kół furgonetki jak śruciny posypały się drobiny żwiru. Usłyszał odgłos kul wbijających się w tył samochodu, gdy zawrócił i ruszył z

piskiem opon, wciskając pedał gazu do podłogi.

Kolejna kula dosięgnęła furgonetki, zanim pojazd zniknął za skalistym występem i znalazł się poza zasięgiem strzałów. Esterhazy nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Z Lochmoray do St. Muns było jakieś osiemnaście kilometrów. Komórki tu nie działały. I nie było żadnych aut, tylko dwa stare rowery.

Miał dwie godziny, może mniej, żeby dostać się na lotnisko.

Edynburg, Szkocja

– Może pan już włożyć koszulę, panie Pendergast.

Podstarzały doktor precyzyjnymi, energicznymi ruchami włożył do znoszonej lekarskiej torby swoje rzeczy – stetoskop, ciśnieniomierz, otoskop, ołówkową latarkę, oftalmoskop i przenośny monitor EKG. Kiedy zamknął torbę, zlustrował wzrokiem wnętrze luksusowego apartamentu hotelowego, po czym raz jeszcze spojrzął z dezaprobatą na Pendergasta.

– Rana nie zagoiła się najlepiej.

– Tak, wiem. Warunki rekonwalescencji były... dalekie od ideału.

Doktor zawahał się.

– Ranę ewidentnie spowodowała kula.

– W istocie – przyznał Pendergast, zapinając guziki białej koszuli, po czym nałożył na nią jedwabny szlafrok w pastelowych kolorach. – Wypadek na polowaniu.

– Takie wypadki należy zgłaszać, o czym pan dobrze wie.

– Dziękuję, władze wiedzą wszystko, co powinny wiedzieć.

Lekarz sposepniał jeszcze bardziej.

– Jest pan bardzo osłabiony. Ma pan daleko posuniętą anemię i początki bradykardii. Zalecałbym co najmniej dwutygodniowy odpoczynek w łóżku, najlepiej w szpitalu.

– Dziękuję panu za diagnozę, doktorze, wezmę to pod uwagę. A teraz gdyby zechciał pan przekazać mi raport o moim stanie zdrowia wraz z wynikami EKG, z przyjemnością ureguluję rachunek.

Pięć minut później lekarz opuścił apartament, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Pendergast umył ręce w umywalce w łazience, po czym podszedł do telefonu.

– Czym mogę służyć, panie Pendergast?

– Poproszę o dostawę do mojego pokoju. Gin Old Raj i Noilly Prat. Z cytryną.

– Oczywiście, proszę pana.

Pendergast odłożył słuchawkę, wszedł do salonu, otworzył podwójne przeszklone drzwi i wyszedł na niewielki taras. Otoczyły go odgłosy miasta. Był chłodny wieczór; poniżej na Princes Street przy wejściu do hotelu stało kilka taksówek z włączonymi silnikami, opodal przejechała półciężarówka. Podróżni wchodzili do budynku dworca Waverly. Agent powiódł wzrokiem ponad starym miastem w kierunku rozległego masywnego kształtu piaskowej barwy, zamku Edynburg skąpanego w świetle i odcinającego się na tle purpurowej poświaty zmierzchu.

Rozległo się pukanie i drzwi do apartamentu otworzyły się. Wszedł boj hotelowy w służbowym uniformie, niosąc srebrną tacę ze szklankami, lodem, shakerem, małym spodkiem z plasterkami cytryny i dwiema butelkami.

– Dziękuję – rzekł Pendergast, schodząc z tarasu i wciskając bojowi hotelowemu banknot do ręki.

– Cała przyjemność po mojej stronie, sir.

Boj hotelowy wyszedł. Pendergast napełnił shaker lodem, po czym nalał do środka ginu na kilka palców i odrobinę wermutu. Potrząsał tą mieszaninę przez sześćdziesiąt sekund, następnie wlał zawartość do jednej ze szklanek. Włożył plasterek cytryny, wrócił z drinkiem na patio, usadowił się w fotelu i pogrążył w głębokiej zadumie.

Minęła godzina. Dolał sobie drinka, wrócił na patio i ponownie zastygł w bezruchu na kolejną godzinę. Następnie opróżnił zawartość szklanki, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer. Po kilku sekundach i paru sygnałach rozległ się zaspany głos.

– D’Agosta.

– Witaj, Vincencie.

– Pendergast?

– Tak.

– Gdzie jesteś? – W głosie porucznika nagle pojawiła się czujność.

- W hotelu Balmoral w Edynburgu.
- Jak się czujesz?
- Tak, jak można się było spodziewać.
- A co z Esterhazym?
- Zdołał mi się wyślizgnąć.
- Jezu? Jak to się stało?
- Szczegóły są nieistotne. Powiem tylko, że nawet najlepiej opracowane plany mogą zawieść wskutek nieprzewidzianych zbiegów okoliczności.
- Gdzie jest teraz?
- W powietrzu. Na pokładzie samolotu. Lot zagraniczny.
- Skąd możesz być tego pewien?
- Bo furgonetkę, którą ukradł, odnaleziono na drodze dojazdowej do edynburskiego lotniska.
- Kiedy?
- Dziś po południu.
- Świetnie. A więc samolot jeszcze nie wylądował. Powiedz mi, dokąd wybiera się ten skurwiel, a ja

przyszykuję dla niego komitet powitalny.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić.

– Czemu nie, do cholery? Nie mów, że zamierzasz puścić go wolno.

– To nie tak. Sprawdziłem już w urzędzie imigracyjnym i w punkcie kontroli paszportowej. Nie ma dowodów na to, że Judson Esterhazy opuścił Szkocję. Setki innych Amerykanów tak, ale nie on.

– Dobrze, a zatem porzucona furgonetka to był tylko sprytny fortel. A on wciąż gdzieś tam się ukrywa.

– Nie, Vincencie, przemyślałem to wszystko bardzo gruntownie, z każdej możliwej perspektywy. On z całą pewnością opuścił Szkocję i najprawdopodobniej wybrał się do Stanów.

– Jak mógłby tego dokonać, nie przechodząc przez kontrolę paszportową?

– Po zakończeniu dochodzenia Esterhazy z wielką pompą opuścił Szkocję. W kontroli paszportowej zarejestrowano datę i numer lotu. Ale nie ma żadnych

dowodów na to, aby powrócił do Szkocji, choć obaj wiemy, że tak się stało.

– To niemożliwe, nie w obecnych czasach, kiedy ochrona na lotniskach jest mocno zaostrzona.

– Owszem, możliwe, jeżeli posługujesz się fałszywym paszportem.

– Fałszywym paszportem?

– Musiał go zdobyć po powrocie do Stanów, kiedy zakończono dochodzenie.

Zapadła krótka cisza.

– Czasy są takie, że podrobienie amerykańskiego paszportu jest praktycznie niemożliwe. Musi być jakieś inne wyjaśnienie.

– Nie ma. On ma fałszywy paszport i ten fakt głęboko mnie zaniepokoił.

– Nie zdoła się ukryć. Wytropimy go.

– Teraz wie, że żyję i będę próbował za wszelką cenę go dopaść! Dlatego z pewnością gdzieś się zaszyje. Innymi słowy poszukiwanie go jest bezcelowe. Musi mieć

wyspecjalizowaną pomoc. W tej sytuacji moje śledztwo musi zostać poprowadzone w innym kierunku.

– Tak mówisz? A w jakim?

– Muszę odkryć miejsce pobytu mojej żony.

Zapadła długa chwila ciszy.

– Ee... Pendergast... wybacz, ale przecież wiesz, gdzie jest twoja żona. Spoczywa na cmentarzu rodzinnym.

– Nie, Vincencie. Helen żyje. Jestem tego pewien jak niczego innego w całym swoim życiu.

D'Agosta westchnął przeciągle.

– Nie pozwól mu, aby ci to zrobił. Nie rozumiesz, co się dzieje? On wie, jak wiele ona dla ciebie znaczyła. Wie, że jesteś gotów zrobić wszystko, poświęcić wszystko, aby ją odzyskać. Miesza ci w głowie z sobie tylko znanych sadystycznych pobudek.

Kiedy Pendergast nie odpowiedział, D'Agosta zaklął pod nosem.

– Przypuszczam, że nie będziesz dłużej się ukrywał.

– To już nie ma sensu. Chociaż zamierzam w

najbliższej przyszłości działać, jak to się mówi, po cichu, poza zasięgiem radaru. Nie ma powodu, abym miał afiszować się ze swoimi poczynaniami.

– Czy mogę coś zrobić, żeby ci pomóc?

– Możesz mieć oko na Constance w szpitalu Mount Mercy. Zrób to dla mnie. Dopilnuj, żeby niczego jej nie brakowało.

– Możesz być pewien, że to zrobię. A ty? Co teraz zamierzasz?

– Tak jak wspomniałem. Zamierzam odnaleźć swoją żonę.

Po tych słowach Pendergast się rozłączył.

Bangor, Maine

Bez najmniejszych przeszkód przeszedł odprawę celną i odebrał swoje bagaże. Mimo to Judson Esterhazy nie był w stanie zmusić się do opuszczenia punktu odbioru bagażu. Siedział na końcu długiego rzędu plastikowych krzesełek, nerwowo lustrując twarze wszystkich, którzy go mijali. Bangor w stanie Maine miał najmniej szczelną obsługę portu lotniczego w całym kraju. Esterhazy zmieniał samoloty dwukrotnie – raz w Shannon, a następnie w Quebecu – w nadziei, że zatrze za sobą ślad i utrudni Pendergastowi pościg.

Obok niego usiadł ciężko mężczyzna, a on nagle zrobił się bardzo podejrzliwy. Jednak podróżny ważył ponad sto trzydzieści kilo, nawet Pendergast nie byłby w stanie odtworzyć w przekonujący sposób masywnego brzucha, który przelewał się nad paskiem mężczyzny. Esterhazy powrócił do lustrowania twarzy mijających go

podróżnych. Pendergast z łatwością mógł znajdować się wśród nich. Albo, wykorzystując swoje układy w FBI, mógł siedzieć teraz w biurze ochrony nieopodal i obserwować go przez kamery monitoringu. Mógł też czekać w samochodzie zaparkowanym pod domem Esterhazyego w Savannah. Albo gorzej, zaczął się na niego w jego rezydencji.

Zasadzka w Szkocji śmiertelnie go przeraziła. Raz jeszcze poczuł ogarniającą go zaślepiającą panikę zmieszaną z nieprzemyślanym gniewem. Tyle lat zacierania śladów, ostrożnych działań... a teraz Pendergast zniweczył to wszystko. Agent FBI nie ma pojęcia, że stara się otworzyć puszkę Pandory. Kiedy oni wejdą do gry... Poczuł się brutalnie zgniatany z jednej strony przez Pendergasta, z drugiej przez Przymierze.

Oddychając ciężko i skubiąc palcami kołnierz, próbował stłumić panikę. Poradzi sobie z tym. Dysponuje odpowiednią wiedzą i środkami. Pendergast nie jest niezwyciężony. Musi być jakiś sposób, aby on, Judson,

uporał się z tą sprawą. Ukryje się, zaszyje gdzieś głęboko, dając sobie czas do namysłu.

Czy jednak istniało miejsce dostatecznie odludne i odległe, aby Pendergast go tam nie odnalazł? Zresztą nawet gdyby zamelinował się w jakiejś zacisznej kryjówce, nie byłby w stanie żyć ze strachu z dnia na dzień, z roku na rok jak Slade i małżeństwo Brodiech.

Małżeństwo Brodiech. Czytał w gazecie o tym, co ich spotkało. Umarli straszną śmiercią. Bez wątpienia zostali odnalezieni przez Przymierze. To był dla niego wielki szok, ale mógł się tego spodziewać. June Brodie nie znała nawet połowy prawdy o sprawie, w jaką wplątali ją on i Charles Slade. Gdyby wiedziała, nigdy nie opuściłaby bagien. To zdumiewające, że Slade mimo swojego szaleństwa i podupadającego zdrowia nigdy nie zdradził tego jednego, największego, głównego sekretu.

W tej krótkiej chwili strachu i desperacji Esterhazy zrozumiał w końcu, co ma robić. Odpowiedź była tylko jedna. Nie może działać w pojedynkę. Teraz, gdy

Pendergast podążał bezlitośnie jego tropem, potrzebował ostatniej deski ratunku. Musiał szybko skontaktować się z Przymierzem i przejść do kontrataku. Musiał przejąć inicjatywę. Byłoby dla niego bardzo niebezpieczne, gdyby niczego im nie powiedział i gdyby oni dowiedzieli się o wszystkim z innego źródła. Chciał, aby postrzegali w nim sprzymierzeńca. Człowieka godnego zaufania. Nawet gdyby oznaczało to ponowne oddanie się w ich władzę.

Tak, im dłużej zastanawiał się nad tym, co musi zrobić, tym bardziej wydawało mu się to nieuniknione. W ten sposób mógł kontrolować informacje, jakie otrzymywali, i tuszować pewne fakty, których nie powinni nigdy poznać. A gdyby znalazł się pod ich ochroną, Pendergast nie byłby w stanie go dosięgnąć. Co więcej, gdyby chciał przekonać ich, że Pendergast stanowi zagrożenie, wówczas dni agenta FBI, mimo jego sprytu, byłyby już policzone. Tymczasem jego tajemnica pozostałaby bezpieczna.

Gdy podjął ostateczną decyzję, odczuł wyraźną ulgę.

Raz jeszcze rozejrzał się wokoło, lustrując twarze podróżnych. W końcu podniósł się, wziął swój bagaż i wyszedł z terminalu przylotów, kierując się w stronę postoju taksówek. Stało tam kilka aut z włączonymi silnikami. Doskonale. Podszedł do czwartej taksówki i nachylił się do okna od strony kierowcy.

– Jak tam dzisiejsze kursy? – spytał.

Taksiarz pokręcił głową.

– Wieczór dopiero się rozkręca, stary.

Esterhazy otworzył tylne drzwiczki, wrzucił bagaż do środka i usadowił się na tylnej kanapie.

– Zawieź mnie, proszę, do Bostonu.

Mężczyzna spojrział w lusterko wsteczne.

– Do Bostonu?

– Back Bay, Copley Square. – Esterhazy sięgnął do kieszeni i rzucił taksiarzowi kilka setek. – To na początek. Bądź pewien, że ci się opłaci.

– Wedle życzenia szanownego pana – rzekł taksiarz i wyprowadził samochód z kolejki taksówek na postoju, by

odjechać w noc.

Ezerville, Missisipi

Ned Betterton obejrzał się w lewo i w prawo, po czym przeszedł przez rozległą i zakurzoną Main Street z białą papierową torbą w jednej ręce i dwiema puszkami dietetycznej coli w drugiej. Zdezelowany chevrolet impala stał z włączonym silnikiem przy chodniku pod Della's Launderette. Betterton obszedł wóz od przodu i zajął miejsce na fotelu pasażera. Za kierownicą siedział niski muskularny mężczyzna w ciemnym okularach i spranej czapeczce baseballowej.

– Cześć, Jack – rzekł Betterton.

– Taa – burknął tamten w odpowiedzi.

Betterton podał mu puszkę, po czym wyjął z torby kanapkę owiniętą w zatłuszczony papier.

– Z langustą, na ostro, z remuladą, bez sałaty. Tak jak chciałeś.

Dał ją kierowcy, po czym znów sięgnął do torby i

wyjął lunch dla siebie – wielką kanapkę z klopsikami i parmezanem.

– Dzięki – powiedział jego kompan.

– Nie ma za co. – Betterton ugryzł kanapkę. Umierał z głodu. – Co nowego u naszych dzielnych niebieskich chłopców? – spytał, przeżuwając klopsika.

– Pogie znów wyżywa się na wszystkich.

– Znów? Co tym razem ugryzło komendanta?

– Może nocny tyłek daje mu się we znaki.

Betterton zachichotał i odgryzł kolejny kawałek kanapki. Nocny tyłek oznaczał w gliniarskim żargonie hemoroidy, które nawiasem mówiąc, stanowiły częstą dolegliwość funkcjonariuszy, gdyż godzinami musieli siedzieć w radiowozach.

– A więc – ciągnął Betterton – co możesz mi powiedzieć na temat zabójstwa małżeństwa Brodiech?

– Nic.

– Daj spokój. Fundnąłem ci lunch.

– Podziękowałem. Darmowy lunch nie jest wart

upomnienia w papierach.

– Nic takiego się nie stanie. Wiesz, że nigdy nie napisałbym niczego, co mogłoby wskazywać na ciebie jako na źródło przecieku. Po prostu zafrapował mnie temat i chcę się nim zająć.

Mężczyzna imieniem Jack spojrzał na niego spod łąba.

– Nie myśl sobie, że możesz liczyć za każdym razem na cynk ode mnie, gdy upatrzysz sobie jakąś grubszą sprawę, tylko dlatego, że mieszkamy po sąsiedzku.

Betterton udał urażonego.

– Daj spokój, o czym ty w ogóle mówisz. Przecież jesteś moim przyjacielem, chcesz, żeby trafił mi się naprawdę dobry temat.

– Jesteś moim przyjacielem i powinieneś pomyśleć też o mnie, żebym przez to nie ucierpiał. Poza tym nie wiem więcej niż ty.

Betterton odgryzł kolejny kawałek kanapki.

– Bzdury gadasz.

– Wcale nie. To grubsza sprawa, zbyt duża jak dla nas. Na miejsce sprowadzono chłopaków ze stanowej, a także ekipę wydziału zabójstw aż z Jackson. Odcięli nas od tego śledztwa.

Dziennikarz zamyślił się przez chwilę.

– Posłuchaj, wiem tylko, że małżeństwo, z którym niedawno przeprowadziłem wywiad, zostało w brutalny sposób zamordowane. Musisz wiedzieć coś więcej na ten temat.

Mężczyzna za kierownicą westchnął.

– Wiadomo tylko, że to nie była napaść rabunkowa. Niczego nie zabrano. I że to nie był nikt stąd.

– Skąd to wiesz? – spytał Betterton, przeżuwając duży kawałek klopsika.

– Bo nikt stąd nie zrobiłby czegoś takiego. – Mężczyzna sięgnął w stronę teczki leżącej obok jego fotela i wyjął z niej kolorowe błyszczące zdjęcia w formacie 20 na 25 cm i podał dziennikarzowi. – I nie pokazałem ci tego.

Betterton spojrział na zdjęcie z miejsca zbrodni. W jednej chwili poblekł jak ściana. Jego szczęki poruszały się coraz wolniej, aż w końcu zupełnie znieruchomiały. Po chwili otworzył drzwiczki auta i wypluł to, co miał w ustach, do rynsztoka.

Kierowca pokręcił głową.

– Pięknie.

Betterton oddał mu zdjęcie, nie spojrzawszy na nie ponownie. Otarł usta wierzchem dłoni.

– Boże – wyszeptał z przejęciem.

– Już rozumiesz?

– Boże – powtórzył Betterton, który nagle stracił apetyt.

– Teraz wiesz to samo co ja. – Gliniarz dokończył kanapkę z langustą i oblizał palce. – Z jednym wyjątkiem, nie mamy w tej sprawie kompletnie żadnego tropu. Nic. Miejsce zbrodni było czyste. To robota zawodowca, jakich się tu raczej nie spotyka.

Betterton nie odpowiedział.

Gliniarz spojrział na niego i zerknął na napoczętą kanapkę z klopsikami.

– Zamierzasz ją skończyć?

Nowy Jork

Corrie Swanson siedziała na ławce przy Central Park West z torbą od McDonalda u boku i udawała, że czyta książkę. To był miły poranek, urzekające barwy parku z tyłu za nią niedawno zaczęły blednąć, niebo zasnuły cumulusy, a przechodnie na ulicy cieszyli się babim latem. Wszyscy poza Corrie. Jej uwaga skupiona była na fasadzie rezydencji Dakota i wejściu do budynku przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, tuż za rogiem.

I wtedy to zobaczyła: srebrnego rolls-royce'a jadącego Central Park West. Znała tę limuzynę – nie mogłaby jej zapomnieć. Zgarnęła papierową torbę i poderwała się, strącając przy tym książkę na ziemię, po czym przebiegła co sił w nogach przez ulicę, nie zważając na czerwone światła i wymijając samochody. Zatrzymała się przy rogu Central Park West i Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i patrzyła, czy limuzyna tam podjedzie.

Podjechała. Kierowca – którego nie widziała – zjechał na lewy pas, włączył kierunkowskaz i zwolnił, gdy zbliżył się do zakrętu. Corrie przebiegła wzdłuż Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy do gmachu Dakoty, docierając tam kilka sekund przed rolls-royce'em. Kiedy samochód zaczął powoli kierować się ku bramie wjazdowej, stanęła mu na drodze. Rolls zahamował, a Corrie spojrzała na kierowcę przez przednią szybę.

To nie był Pendergast. Ale limuzyna z całą pewnością należała do niego; w całych Stanach nie było drugiej takiej.

Czekała. Szyba po stronie kierowcy została opuszczona i wysunęła się przez nią głowa mężczyzny o grubym karku i mocno ciosanych rysach.

– Przepraszam panienkę – rzekł mężczyzna spokojnym, życzliwym tonem. – Czy zechciałaby panienka...? – Nie dokończył pytania, pozostawiając je w zawieszaniu.

– Nie zechciałabym – wycedziła Corrie.

Mężczyzna wciąż na nią patrzył.

– Blokuje panienska podjazd.

– To masz pecha. – Postąpiła krok naprzód. – Kim jesteś i dlaczego prowadzisz samochód Pendergasta?

Mężczyzna obserwował ją jeszcze przez chwilę, po czym cofnął głowę do wnętrza limuzyny. Naraz drzwiczki auta otworzyły się i kierowca wysiadł. Uśmiech niemal całkiem zniknął z jego ust. Mężczyzna był mocno zbudowany, miał ramiona pływaka i tors ciężarowca.

– A ty kim jesteś?

– Nie twoja sprawa – odpowiedziała Corrie. – Chcę wiedzieć, kim ty jesteś i dlaczego prowadzisz jego limuzynę.

– Nazywam się Proctor i pracuję dla pana Pendergasta.

– To miło. Zauważyłam, że użyłeś czasu teraźniejszego.

– Słucham?

– Powiedziałeś: pracuję dla pana Pendergasta. Jak to

możliwe, skoro on nie żyje? Wiesz coś, czego ja nie wiem?

– Posłuchaj, panienko, nie wiem, kim jesteś, ale z pewnością moglibyśmy kontynuować tę rozmowę w jakimś wygodniejszym miejscu.

– Porozmawiamy tutaj, choć może nie jest to zbyt wygodne miejsce, ale nie zamierzam zejść z tego pojazdu. Mam dość bycia przeganianą z miejsca na miejsce.

Ze stróżówki wyszedł ochroniarz budynku Dakota.

– Jakiś problem? – zapytał, a jego jabłko Adama zafalowało.

– Tak – odparła Corrie. – Całkiem spory. Nie ruszę się stąd, dopóki ten człowiek nie powie mi wszystkiego, co wie na temat właściciela tej limuzyny, i jeżeli jest z tym jakiś problem, to niech pan wezwie gliny i zgłosi zakłócenie porządku publicznego. Bo na to się zanoszą i tak właśnie się to skończy, jeżeli nie otrzymam jasnych i konkretnych odpowiedzi.

– To nie będzie konieczne, Charles – rzekł spokojnie mężczyzna imieniem Proctor. – Szybko to załatwimy i już nas nie ma.

Ochroniarz zmarszczył brwi z powątpiewaniem.

– Wracaj na posterunek – powiedział Proctor. – Panuję nad sytuacją.

Mówił cicho i spokojnie, ale w jego głosie dało się wyczuć władczy ton. Ochroniarz wykonał polecenie.

Proctor odwrócił się do Corrie.

– Znasz pana Pendergasta?

– Oczywiście. Pracowałam z nim w Kansas. Nad zabójstwami znanymi jako „Martwa natura z krukami”.

– Wobec tego musisz być Corrie Swanson.

To zbiło ją z tropu, ale szybko się opanowała.

– A zatem mnie znasz. Świetnie. Co to za ściema ze śmiercią Pendergasta?

– Z żalem muszę stwierdzić, że...

– Nie wciskaj mi kitu! – zawołała Corrie. – Zastanawiałam się nad tym i cała ta afera z wypadkiem na

polowaniu cuchnie gorzej niż stringi Brada Hazena. Mów wszystko albo zobaczysz, co naprawdę znaczy zakłócenie spokoju.

– Nie ma potrzeby się unosić, panno Swanson. Dlaczego właściwie zależy pani, aby skontaktować się...

– Dosyć!

Corrie wyjęła z papierowej torby McDonalda młotek stolarski i uniosła go nad szybą limuzyny.

– Panno Swanson – rzekł Proctor. – Proszę nie robić nic pochopnie...

Postąpił krok w jej stronę.

– Stój! – zakrzyknęła i uniosła rękę.

– W ten sposób nie zdobędziesz informacji...

Z całej siły uderzyła młotkiem w szybę. Na szkle pojawiła się błyszcząca w promieniach słońca pajęczyna pęknięć.

– Boże – rzucił z niedowierzaniem w głosie Proctor.
– Wiesz, ile to...?

– Żyje czy nie? – Znow uniosła rękę, a kiedy Proctor

sprężył całe ciało do kolejnego kroku, krzyknęła: –
Dotknij mnie, a zacznę krzyczeć, że próbowałeś mnie
zgwałcić.

Charles stał w stróżówce i patrzył na to wszystko z
rozdziawionymi ustami.

Proctor zastygł w bezruchu.

– Chwileczkę. Udzielę ci odpowiedzi, ale musisz być
cierpliwa. Jeżeli nie skończysz z przejawami wrogości,
nic nie osiągniesz.

Zapadła chwila ciszy. W końcu Corrie powoli
opuściła młotek. Proctor wyjął komórkę i uniósł tak, by
dziewczyna mogła ją zobaczyć. A potem zaczął
wystukiwać numer.

– Lepiej się pospiesz. Charles mógł już wezwać gliny
– ponagliła.

– Wątpię.

Proctor mówił cicho do telefonu przez blisko minutę.
A potem podał komórkę Corrie.

– Kto to?

Zamiast odpowiedzieć, Proctor wciąż podsuwał telefon w jej stronę, przypatrując się dziewczynie spod półprzymkniętych powiek. Wzięła telefon.

– Słucham.

– Moja droga Corrie – rozległ się jedwabisty głos, który tak dobrze znała. – Jest mi niezmiernie przykro, że przepadł nam lunch w Le Bernardin.

– Mówili, że pan nie żyje! – rzuciła Corrie, usiłując powstrzymać łzy cisnące się jej do oczu. – Oni...

– Pogłoski o mojej śmierci – kontynuował głos – są mocno przesadzone. Właśnie powróciłem z ukrycia. Awantura, jaką wywołujesz, jest mi, delikatnie mówiąc, nie na rękę.

– Jezu, mógł mi pan powiedzieć. Okropnie się martwiłam! – stwierdziła z ulgą, która przerodziła się w gniew.

– Może powinienem był to zrobić. Zapomniałem, jaka jesteś pomysłowa. Biedny Proctor nie miał pojęcia, kogo ma naprzeciw siebie. Obawiam się, że będzie ci

bardzo trudno odzyskać jego przychylność. Musiałaś stłuc przednią szybę rollsa, żeby zwrócić jego uwagę?

– Przykro mi. To był jedyny sposób. – Poczwała, że się czerwieni. – Pozwolił mi pan myśleć, że pana zabili! Jak pan mógł?

– Corrie, wybacz, ale nie mogłem zdradzić ci miejsca mojego pobytu.

– Co to w ogóle za sprawa?

– Nie mogę o niej mówić. Jest ściśle osobista. Nieoficjalna i podjąłem się jej, racz wybaczyć ten żargon, jako wolny strzelec. Żyję, właśnie wróciłem do Stanów, ale działam na własną rękę i nie potrzebuję pomocy. Niczyjej. Bądź pewna, że zrekompensuję ci tamten lunch, ale trudno mi powiedzieć, kiedy w najbliższej przyszłości to nastąpi. Do tego czasu, proszę, byś ponownie zajęła się nauką. Ta sprawa jest wyjątkowo niebezpieczna i nie wolno ci w żaden sposób mieszać się w nią. Rozumiesz?

– Ale...

– Dziękuję. Nawiasem mówiąc, wzruszyłem się tym,

co napisałaś na stronie internetowej. Ten nekrolog był moim zdaniem całkiem miły. Jak Alfred Nobel miałem osobliwą okazję przeczytać własny nekrolog. A teraz czy mogłabyś szczerze obiecać mi, że nie będziesz się mieszać w tę sprawę?

Corrie zawahała się.

– Tak. Ale czy nadal ma pan uchodzić za martwego?

Co powinnam mówić?

– Konieczność dalszego przedłużania tego sprytnego wybiegu stała się zbędna. Wróciłem do gry, choć zamierzam działać po cichu i na ograniczoną skalę. Raz jeszcze przepraszam za wszelkie przykrości, których przeze mnie doświadczyłaś.

Przez chwilę Corrie wpatrywała się w komórkę, po czym oddała ją Proctorowi, który schował ją do kieszeni i spojrzał chłodno na dziewczynę.

– Mam nadzieję – powiedział lodowatym tonem – że już cię tu więcej nie zobaczę.

– Nie ma sprawy – odparła, chowając młotek do

papierowej torby. – Ale na twoim miejscu odpuściłabym dalsze pakowanie na siłowni. Takiej klaty mogłaby ci pozazdrościć nawet Dolly Parton.

Obróciła się i ruszyła z powrotem w stronę parku. Nekrolog był całkiem miły, pomyślała. Może pozostawi go na stronie jeszcze przez jakiś czas, ot tak, dla żartu.

Plankwood, Luizjana

Marcellus Jennings, szef Wydziału Zdrowia Okręgu St. Charles, siedział za swoim olbrzymim biurkiem pogrążony w spokojnej zadumie. Wszystko było w należytych porządku, tak jak lubił. Ani jeden okólnik nie znajdował się poza staroświecką tacą na dokumenty, nigdzie nie walał się choćby jeden spinacz biurowy i wszystko lśniło czystością. Cztery świeżo zatemperowane ołówki leżały w równej linii jeden przy drugim, obok skórzanej narożnej podkładki na biurko. Komputer stał po prawej stronie biurka, teraz wyłączony. Na ścianie wisiały trzy oficjalne pochwały na piśmie oprawione w ramki i rozmieszczone w równych odległościach, wszystkie za doskonałą obsługę podczas konferencji stanowych. Na regale za nim stała cała kolekcja kodeksów i przewodników, starannie odkurzonych i z rzadka otwieranych.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi gabinetu.

– Proszę – rzekł Jennings.

Drzwi otworzyły się i do środka zajrzała jego sekretarka Midge.

– Pan Pendergast do pana.

Choć było to jego jedyne zaplanowane tego ranka spotkanie, Jennings wysunął szufladę biurka, by zajrzeć do kalendarza. Punktualny, bardzo punktualny.

– Proszę go wprowadzić – powiedział, chowając kalendarz.

Po chwili gość wszedł. Jennings wstał, aby go powitać, i zamarł zaskoczony. Mężczyzna wyglądał, jakby stał jedną nogą nad grobem. Chudy jak tyka, o posępnym obliczu, blady jak woskowa kukła, ubrany w czarny garnitur wyglądał niczym kostucha. Brakowało mu jedynie kosy. Jennings, który już wysuwał dłoń na powitanie, nagle się odwrócił i machnął ręką w stronę kilku krzeseł stojących po drugiej stronie biurka.

– Proszę usiąść.

Jennings patrzył, jak gość robi kilka kroków i powoli, niemal z trudem, sadowi się na jednym z krzeseł. Pendergast... To nazwisko coś mu mówiło... Wychylił się do przodu, opierając łokcie o blat i krzyżując grube przedramiona.

– Przyjemny dzień – zaczął.

Mężczyzna nazwiskiem Pendergast najwyraźniej nie podzielał jego zachwyty.

– Cóż – odchrząknął Jennings. – Czym właściwie mogę panu służyć, panie Pendergast?

W odpowiedzi gość wyjął z wewnętrznej kieszeni niewielki skórzany portfelik, otworzył i położył na blacie biurka.

Jennings spojrział na zawartość.

– FBI. A więc chodzi o pomoc w jakimś oficjalnym śledztwie?

– Nie. – Głos był cichy, lecz melodyjny, z łagodnym południowym akcentem. – Chodzi o sprawę osobistą.

Jednak odznaka FBI pozostawała rozłożona na biurku

jak amulet lub może totem.

– Rozumiem.

– Chodzi o ekshumację.

– Rozumiem – powtórzył Jennings. – Chodzi o ekshumację, która została już przeprowadzona albo jest konieczna do procesu?

– Chodzi o nowy nakaz ekshumacji.

Jennings zdjął łokcie z blatu, usiadł prosto, ściągnął okulary i zaczął czyścić szkła szerszym końcem poliestrowego krawata.

– A kogo chciałby pan ekshumować?

– Moją żonę. Helen Esterhazy Pendergast.

Jennings na chwilę przerwał polerowanie szkieł. Zaraz jednak powrócił do tej czynności, choć zdecydowanie wolniej niż dotychczas.

– I powiada pan, że nie ma na to nakazu sądowego? A może zlecenie policji w celu ustalenia przyczyny zgonu?

Pendergast pokręcił głową.

– Jak już wspomniałem, to sprawa osobista.

Jennings uniósł dłoń do ust i zakasłał delikatnie.

– Musi pan zrozumieć, panie Pendergast, że takie rzeczy przeprowadza się na ściśle ustalonej drodze służbowej. Mamy określone reguły postępowania, które są wyraźne i nie bez powodu uzasadnione. Ekshumacji pogrzebanych szczątków nie wolno przeprowadzać ot tak, z byle powodu.

Ponieważ Pendergast nic nie powiedział, Jennings zachęcony brzmieniem własnego głosu mówił dalej:

– Jeżeli nie mamy nakazu sądu albo innego oficjalnie usankcjonowanego żądania, takiego jak autopsja przeprowadzona przez eksperta sądowego w celu ustalenia przyczyny zgonu, gdy jest ona wątpliwa lub istnieją co do niej podejrzenia, pozostaje tylko jedna okoliczność, w jakiej prośba o ekshumację może zostać zaakceptowana...

– Jeżeli rodzina osoby zmarłej pragnie przenieść szczątki do innego miejsca spoczynku – dokończył Pendergast.

– Tak, właśnie tak – przyznał Jennings. To, że mu przerwano, zbiło go z tropu i potrzebował dłuższej chwili, aby odzyskać rezon. – Czy o to właśnie chodzi?

– Tak.

– Cóż, myślę, że w tej sytuacji możemy wdrożyć proces aplikacji.

Jennings odwrócił się do stojącej przy regale szafki z aktami, wyjął formularz i położył na podkładce na biurku. Patrzył przez chwilę na dokument.

– Zdaje pan sobie sprawę, że niezbędne są pewne przedwstępne procedury... Na przykład będziemy potrzebować kopii aktu zgonu pańskiej... zmarłej żony.

Pendergast ponownie sięgnął do kieszeni marynarki, tym razem po kartkę papieru, którą położył na biurku obok swojej odznaki.

Wychylając się do przodu, Jennings spojrział na dokument.

– Ach, doskonale. Ale co to ma być? Widzę, że jako pierwotne miejsce pochówku podano Saint-Savin. To

drugi koniec tego okręgu. Obawiam się, że musi pan udać się z tą prośbą do odpowiedniej instytucji w tamtym regionie.

Poczuł na sobie świdrujące spojrzenie srebrzystych oczu.

– Ale pańskie kompetencje także tam sięgają, że się tak wyrażę.

– Owszem, musimy jednak trzymać się przepisów. Obowiązuje ścisły protokół. Saint-Savin podlega instytucji zachodniego okręgu.

– Wybrałem pana, panie Jennings, z bardzo konkretnego powodu. Tylko pan może to dla mnie zrobić, nikt inny.

– Przyznaję, że mi pan pochlebia. – Jennings poczuł się mile połączony tą deklaracją zaufania. – Przypuszczam, że moglibyśmy uczynić wyjątek. Przejdźmy zatem do sprawy opłaty manipulacyjnej za wystawienie podania...

I znów blada szczupła dłoń zniknęła w kieszeni

marynarki. A kiedy pojawiła się tym razem, trzymała czek, datowany, podpisany i wystawiony na ściśle określoną żadaną kwotę.

– No, no – mruknął Jennings, patrząc na czek. – Potrzebna będzie zgoda kierownictwa cementarza, na którym obecnie spoczywają szczątki.

Jeszcze jeden formularz został wyjęty i położony na biurku.

– A także pisemna zgoda kierownictwa cementarza, na który szczątki mają zostać przeniesione.

Na gładko polerowane biurko położono następny dokument.

Jennings patrzył na leżące przed nim dokumenty.

– No proszę, ależ jesteśmy zorganizowani!

Spróbował się uśmiechnąć, ale posępny wyraz twarzy gościa pozbawił go resztek dobrego humoru.

– Cóż, wydaje mi się, że mamy tu wszystko, czego nam potrzeba. Z wyjątkiem formularza z firmy przewozowej, która zajmie się przetransportowaniem

szczątków ze starego miejsca spoczynku do nowego.

– To nie będzie konieczne, panie Jennings.

Mężczyzna zamrugał wyraźnie zdumiony tym, co usłyszał od siedzącej po drugiej stronie biurka zjawy w garniturze.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Myślę, że wszystko pan pojmie, jeżeli przyjrzy się pan uważnie obu formularzom zezwoleń.

Jennings nałożył okulary na nos i przez chwilę studiował oba pisma. A potem energicznie uniósł wzrok.

– Przecież te dwa cmentarze to w gruncie rzeczy jedno i to samo miejsce!

– Zgadza się. Widzi pan zatem, że transport nie będzie konieczny. Zarząd cmentarza zajmie się przeniesieniem zwłok.

– Czy coś jest nie tak z obecnym miejscem pochówku ciała?

– Obecne miejsce jest jak najbardziej w porządku. Sam je wybrałem.

– Chodzi o jakieś prace renowacyjne? Czy ciało musi zostać przeniesione z powodu prac prowadzonych na cmentarzu?

– Wybrałem cmentarz Saint-Savin głównie ze względu na to, że nic się tam nigdy nie zmienia i nie przyjmują nowych ciał do pochówku.

Jennings wychylił się nieznacznie do przodu.

– Czy zatem mogę spytać, dlaczego przenosi pan ciało?

– Ponieważ, panie Jennings, przeniesienie ciała to jedyny sposób, abym miał do niego tymczasowy dostęp.

Jennings oblizał wargi.

– Dostęp?

– Przy ekshumacji będzie obecny licencjonowany koroner, akredytowany przez stan Luizjana. Oględziny zwłok odbędą się w mobilnym laboratorium medycyny sądowej zaparkowanym na terenie cmentarza. Następnie ciało zostanie ponownie złożone w ziemi, w grobie przylegającym bezpośrednio do parceli, na której

spoczywało dotychczas, na terenie rodzinnego cmentarza Pendergastów.

– Oględziny? – powtórzył Jennings. – Czy ma to jakiś związek z... kwestią dziedziczenia?

– Nie. To sprawa ściśle prywatna.

– To niespotykane, panie Pendergast, nad wyraz niespotykane. Nie potrafię powiedzieć, czy miałem kiedykolwiek do czynienia z podobnym żądaniem. Przykro mi, ale nie mogę się na to zgodzić. Będzie pan musiał dochodzić tego na drodze postępowania sądowego.

Pendergast przyglądał mu się przez chwilę.

– Czy to pańskie ostatnie słowo w tej sprawie?

– Procedury ekshumacji są ściśle określone. Nic nie mogę zrobić. – Jennings rozłożył ręce.

– Rozumiem. – Pendergast zabrał swoją odznakę i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dokumenty pozostawił na biurku. – Czy zechciałby pan wyjść ze mną na chwilę?

– Ale dokąd...?

– To zajmie tylko chwilę.

Jennings z wahaniem wstał z miejsca.

– Chciałbym panu pokazać, dlaczego właśnie do pana zwróciłem się z tym szczególnym żądaniem.

Przeszli przez sekretariat i głównym korytarzem dotarli do holu, a następnie opuścili budynek. Pendergast zatrzymał się na szerokich betonowych stopniach. Jennings rozejrzał się po ruchliwej ulicy.

– Jak już wspomniałem, bardzo miły mamy dzień – zauważył z przesadnym zadowoleniem, próbując zagaić rozmowę.

– W rzeczy samej miły dzień – padła odpowiedź.

– To właśnie uwielbiam w tej części Luizjany. Słońce zdaje się świecić jaśniej i mocniej niż gdziekolwiek indziej.

– Tak, nadaje osobliwy efekt złocistości wszystkiemu, co spowija swoim blaskiem. Jak na przykład tej tablicy.

Pendergast wskazał ręką na starą mosiężną tablicę

wmurowaną w ceglaną fasadę budynku. Jennings przyjrzał się jej. Mijał ją każdego ranka, kiedy szedł do swojego biura, ale upłynęło wiele lat, odkąd przeczytał treść umieszczonego na niej napisu.

GMACH RATUSZA MIEJSKIEGO W PLANKWOOD
W LUIZJANIE

ZOSTAŁ WZNIESIONY Z FUNDUSZY Z HOJNYCH
DAROWIZN PRZEKAZANYCH

NA TEN CEL PRZEZ COMSTOCKA ERASMUSA
PENDERGASTA

W ROKU PAŃSKIM 1892

– Comstock Pendergast – wymamrotał pod nosem Jennings. Nic dziwnego, że nazwisko wydało mu się znajome.

– Mój stryjeczny pradziadek. Widzi pan, ród Pendergastów ma długą tradycję wspierania pewnych miasteczek w okręgach zarówno Nowego Orleanu, jak i

St. Charles, miejscach, gdzie różne gałęzie naszej rodziny mieszkały przez minione stulecia. I choć nie ma nas już w większości z tych miasteczek, nasze dziedzictwo wciąż żyje.

– Oczywiście – rzekł Jennings, wciąż wpatrując się w tablicę.

Zaczął mieć nieprzyjemne podejrzenia co do powodu, dla którego Pendergast wybrał akurat jego biuro, aby przedstawić swoje nietypowe żądanie.

– Nie obnosimy się z tym. Ale prawda jest taka, że rozliczne fundusze i organizacje charytatywne założone przez Pendergastów do dziś przekazują hojne darowizny na rzecz kilku miasteczek, w tym także Plankwood.

Jennings przeniósł wzrok z tablicy na Pendergasta.

– Plankwood?

Pendergast pokiwał głową.

– Nasze fundusze powiernicze zapewniają stypendia dla wybitnych studentów wyższych uczelni, wspierają dofinansowanie służb policyjnych, pomagają w

nabywaniu książek do bibliotek i finansują także właściwe funkcjonowanie pańskiego biura. Szkoda by było, gdyby te fundusze zostały nagle okrojone... albo całkiem wstrzymane.

– Wstrzymane? – powtórzył Jennings.

– Programy mogą zostać zlikwidowane. – Na wymizerowanym obliczu Pendergasta pojawił się wyraz głębokiego smutku. – Zmniejszenie wynagrodzeń, redukcja etatów.

Ostatnie słowa wypowiedział ze szczególnym naciskiem, wpatrując się srebrnoszarymi oczami w Jenningsa, który uniósł podbródek i potarł go w zamyśleniu.

– Wydaje mi się, panie Pendergast, że pańskie podanie może jednak zostać rozpatrzone pozytywnie, o ile zapewni mnie pan, że sprawa jest naprawdę wyjątkowej wagi.

– Jest taka, panie Jennings.

– Wobec tego pozwolę sobie wdrożyć proces

aplikacyjny. – Ponownie przeniósł wzrok na ulicę. – Mogę nawet obiecać, że niezbędne procedury zostaną przyspieszone. Za tydzień, góra dziesięć dni, zaaprobujemy pańskie podanie...

– Wpadnę po nie jutro po południu, bardzo dziękuję – powiedział Pendergast.

– Co takiego? – Jennings zdjął okulary i zamrugał oślepiiony słońcem. – Ach, no tak. Jutro po południu.

Boston, Massachusetts

Mężczyzna z zapadniętymi oczami i cieniem zarostu na policzkach szedł, powłócząc nogami, przez Copley Square, w cieniu John Hancock Tower. Z wyjątkiem krótkich spojrzeń, jakimi obrzucał innych przechodniów, trzymał głowę pochyloną i dłonie wsunięte do kieszeni brudnego płaszcza przeciwdeszczowego.

Dotarł do końca Dartmouth Street i wszedł na stację metra Copley. Minął kolejkę osób kupujących bilety miejskie, lekko zgarbiony zszedł po betonowych schodach i przystanął, by rozejrzeć się wokoło. Na prawo od niego, pod wyłożoną kafelkami ścianą, ciągnął się rząd krzesełek. Skierował się w ich stronę i przysiadł na jednym z nich. Zastygł w bezruchu z rękami wciśniętymi w kieszenie i wzrokiem utkwionym w pustkę.

Kilka minut później pojawił się drugi mężczyzna. Nie mógł bardziej różnić się od pierwszego. Był chudy,

wysoki, ubrany w elegancki garnitur i trench Burberry. W jednej ręce trzymał starannie złożony egzemplarz „Boston Globe”, w drugiej czarny parasol. Szara fedora z szerokim rondem ocieniała jego twarz. Jedyнным znakiem rozpoznawczym mógł być dziwaczny pieprzyk pod prawym okiem. Siadając obok bezdomnego, rozłożył gazetę i zaczął przeglądać treść artykułów.

Kiedy na stację wjechał skład Green Line, mężczyzna w kapeluszu zaczął mówić. Mówił cicho, tak by zagłuszyły go odgłosy pociągu, i nie odrywał wzroku od gazety.

– W czym tkwi problem? – odezwał się po angielsku z silnym obcym akcentem.

Bezdomny zwiesił głowę nisko, odpowiadając:

– Chodzi o Pendergasta. Mojego szwagra. Dowiedział się prawdy.

– Prawdy? Całej prawdy?

– Jeszcze nie. Ale dowie się. Jest wyjątkowo kompetentnym i niebezpiecznym człowiekiem.

– Co właściwie zdołał odkryć?

– Wie, co wydarzyło się w Afryce. Wie, że atak lwa był w rzeczywistości sprytnie przygotowanym morderstwem. Wie wszystko o Projekcie Aves. I wie... – Esterhazy zawahał się. – Wie o Sladzie, Longitude Pharmaceuticals, rodzinie Doane’ów i Spanish Island.

– Ach tak, Spanish Island – mruknął mężczyzna. – My też właśnie się o tym dowiedzieliśmy. Wiemy już, że śmierć Charlesa Slade’a dwanaście lat temu została w wymyślny sposób sfingowana i że zmarł on niedawno, jakieś siedem miesięcy temu. To dość niefortunne wieści. Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś?

– Też nie miałem o tym pojęcia – skłamał Esterhazy, mając nadzieję, że dostatecznie przekonująco. – Przysięgam, nic o tym nie wiedziałem. – Musiał umieścić dzina z powrotem w butelce i to raz na zawsze, bo w przeciwnym wypadku mógł już zacząć żegnać się z życiem. Stwierdził, że jego głos podniósł się nieznacznie, i zmusił się, żeby go zniżyć. – To Pendergast odkrył całą

tę aferę. A to, czego dotąd nie wie, odkryje, jak sądzę, niebawem.

– Pendergast. – W głosie mężczyzny w kapeluszu pojawiła się nuta powątpiewania. – Czemu go nie zabiłeś? Obiecałeś, że to zrobisz.

– Próbowałem, nawet kilkakrotnie.

Mężczyzna w fedorze nie odpowiedział. Zamiast tego przewrócił stronę w gazecie i kontynuował lekturę. Po kilku minutach znów się odezwał.

– Rozczarowałeś nas, Judsonie.

– Przepraszam. – Esterhazy poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

– Nigdy nie zapominaj o swoich korzeniach. Zawdzięczasz nam wszystko.

Esterhazy pokiwał głową bez słowa, jego twarz płonęła – wstydził się swojego strachu, uległości, posłuszeństwa, zależności i porażki.

– Czy ten Pendergast wie o istnieniu naszej organizacji?

– Jeszcze nie. Ale on jest jak pitbull. Nie podda się. Nie odpuści. Musicie go usunąć. Nie możemy sobie pozwolić, aby dalej nam bruździł. Mówię wam, że musimy go zabić.

– To ty nie możesz sobie pozwolić na to, żeby ci nadal bruździł – odparł mężczyzna. – I to ty musisz się z nim rozprawić raz na zawsze.

– Bóg mi świadkiem, że próbowałem!

– Nie dość skutecznie. To oburzające, że pomyślałeś, że możesz obarczyć nas tym problemem. Każdy ma jakiś słaby punkt. Znajdź go i uderz w to miejsce.

Esterhazy poczuł, że dygocze z frustracji.

– Żądacie niemożliwego. Proszę, potrzebuję waszej pomocy.

– Oczywiście możesz liczyć na wszelką pomoc z naszej strony. Załatwiliśmy ci paszport i pomożemy ci znowu. Pieniądze, broń, bezpieczne domy. No i mamy Vergeltunga. Ale z tym człowiekiem musisz rozprawić się sam. Prawdę mówiąc, jeśli uporasz się z nim szybko,

sprawnie i definitywnie, masz szansę zapewnić sobie ponowny powrót do łask.

Esterhazy milczał przez chwilę, pozwalając, by te słowa do niego dotarły.

– Gdzie cumuje Vergeltung?

– Na Manhattanie. Na przystani przy Siedemdziesiątej Dziewiątej. – Mężczyzna przerwał. – W Nowym Jorku... Tam właśnie mieszka agent Pendergast, zgadza się?

Zaskoczenie było tak silne, że Esterhazy przez chwilę nie mógł oderwać wzroku od tamtego. Mężczyzna ostentacyjnie wrócił do lektury gazety, dając tym jasno do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną. Po dłuższej chwili Esterhazy wstał, by odejść. Gdy to zrobił, mężczyzna odezwał się raz jeszcze:

– Słyszałeś, co się stało z małżeństwem Brodiech?

– Tak – odparł półgłosem Esterhazy. Zastanawiał się, czy to pytanie było zawoalowaną pogrózką.

– Nic się nie martw, Judsonie – ciągnął mężczyzna. –

Zajmiemy się tobą. Jak zawsze.

I kiedy na stację wjechał kolejny skład, mężczyzna ponownie wrócił do lektury gazety i już się nie odezwał.

Malfourche

Ned Betterton jechał swoim rozklekotanym nissanem główną ulicą, a właściwie jedyną ulicą Malfourche. Choć teoretycznie był to jego rewir, starał się unikać tego miejsca, za bardzo przesiąkniętego mentalnością bayou. Jednak małżeństwo Brodiech mieszkało właśnie tutaj. Mieszkało... Kranston pozwolił mu podążać tym tropem tylko dlatego, że potworne podwójne morderstwo było zbyt wielką sprawą i wydawałoby się dziwne, gdyby redakcja „Bee” udawała, iż nic się nie stało. „Miejmy to już za sobą – burknął Kranston. – Byle szybko. A potem zajmiemy się czymś innym”.

Choć Betterton pokiwał głową potakująco, nie zamierzał zajmować się innym tematem. Zrobił coś, co powinien uczynić już wcześniej – sprawdził historię, którą opowiedziało mu małżeństwo Brodiech. Teraz ich wersja całkiem się posypała. Wystarczyło kilka telefonów, by

potwierdzić, że choć pensjonat Casa Magnolia w San Miguel istnieje naprawdę, Brodie nigdy nim nie kierowali, nie byli jego właścicielami. Mieszkali tam tylko przez kilka dni parę lat temu.

Skłamali w żywe oczy.

A teraz zostali zamordowani – to była najokrutniejsza zbrodnia od dziesiątków lat w tej okolicy – Betterton zaś miał pewność, że ta śmierć miała związek z ich dziwnym zniknięciem i jeszcze dziwniejszym powrotem. Narkotyki, szpiegostwo przemysłowe, handel bronią – to mogło być cokolwiek.

Betterton był przekonany, że centrum tej tajemnicy stanowiło właśnie Malfourche. To właśnie w Malfourche pojawili się ponownie Brodie i tam zostali w brutalny sposób zamordowani. Co więcej, docierały do niego plotki o dziwnych rzeczach, jakie działy się w tym miasteczku na kilka miesięcy przed zagadkowym powrotem małżeństwa. W knajpce i sklepiku U Małego doszło do eksplozji, która rozniosła w pył szemrany lokal.

Oficjalnie jako powód wybuchu podano nieszczelność zbiornika z propanem, ale krążące plotki sugerowały coś znacznie bardziej interesującego.

Minął niewielki dom Brodiech, gdzie nie tak dawno przeprowadził z nimi wywiad. Teraz frontowe drzwi zabezpieczono taśmą policyjną, a przy chodniku stał radiowóz z biura szeryfa.

Main Street łagodnym łukiem skręcała na zachód i widać stąd było obrzeża Czarnych Bagien – zielonobrazową ścianę roślinności przywodzącą na myśl nisko wiszącą ciemną chmurę, choć po południu świeciło słońce. Pojechał dalej, do tej części miasteczka, gdzie znajdowały się podupadające stare sklepiki z brudnymi, na wpół zapomnianymi witrynami i szyldami z obłazącą farbą. Zatrzymał nissana przy przystani i wyłączył silnik. W miejscu, gdzie stał lokal U Małego, na ruinach, wznoszono nową konstrukcję. Przy przystani wałała się sterta na wpół spalonych desek i kreozytowych pali. Od frontu przy ulicy ukończono właśnie odbudowę nowych

schodów i siedziało na nich kilku zaniedbanych, obszarpanych mężczyzn gawędzących między sobą i popijających piwo z papierowych toreb. Betterton wysiadł z auta i podszedł do nich.

– Dzień dobry, panowie – powiedziało.

Mężczyźni zamilkli i popatrzyli na niego podejrzliwie.

– Dobry – odburknął w końcu jeden z nich.

– Ned Betterton z „Ezerville Bee” – przedstawił się. – Ależ dziś gorąco. Ma któryś z was ochotę na chłodnego browarka?

Nerwowe poruszenie.

– W zamian za coś?

– Jakżeby inaczej? Jestem reporterem. Chodzi mi o informację.

Cisza.

– Mam w bagażniku kilka zimnych piw.

Betterton powoli przeszedł do tyłu swojego samochodu, bo gdy ma się do czynienia z takimi ludźmi,

nie należy wykonywać gwałtownych ruchów. Otworzył bagażnik, wytaszczył dużą styropianową chłodziarkę, zbliżył się z nią do schodów i postawił na najniższym stopniu. Wyjął z niej jedną puszkę, otworzył ją i pociągnął długi łyk. Niebawem kolejne ręce zaczęły sięgać po schłodzone puszki z topniejącego lodu.

Betterton odchylił się do tyłu z westchnieniem.

– Piszę artykuł o zabójstwie małżeństwa Brodiech.

Domyślcie się, kto mógł ich zamordować?

– Może aligatory – podsunął ktoś, a słowa te wywołały wybuch rehotliwego śmiechu.

– Psiarnia już tu była i nas wypytała – powiedział chudy mężczyzna w obcisłym podkoszulku i z pięciodniowym zarostem. – Nic nie wiemy.

– Myślę, że to ten gość z FBI ich sprzątnął – dodał stary, prawie bezzębny mężczyzna bełkotliwym głosem, bo pomimo wczesnej pory był już mocno podpity. – Ten skurwiel to kompletny szajbus.

– Agent FBI? – rzucił natychmiast Betterton. To było

coś nowego.

– Ten, co przyjechał tu z policjantką z Nowego Jorku.

– Czego chcieli?

Betterton zorientował się, że zdradzał zbyt wielkie zainteresowanie. Aby przyćmić to wrażenie, napił się jeszcze piwa.

– Pytali o drogę na Spanish Island – odparł ten bezzębny.

– Spanish Island? – Betterton nigdy nie słyszał o tym miejscu.

– Taa. To dziwny zbieg okoliczności, że... – Nie dokończył.

– Co za zbieg okoliczności? O czym mówisz?

Wymiana niepewnych spojrzeń. Nikt się nie odezwał. A niech to, pomyślał Betterton, jego poszukiwania przyniosły skutek – dokopał się do prawdziwej żyły złota.

– Zamknij się – warknął chudy, łypiąc groźnie na starego pijaczynę.

– No co, Larry. Przecie nic zem nie powiedział.

To było takie proste. Betterton widział wyraźnie, że ci ludzie coś ukrywają. Coś wielkiego. Tępaki. Ale on już za chwilę wszystkiego się dowie.

W tej samej chwili padł na niego wielki cień. Z mrocznego wnętrza odbudowywanego budynku wyłonił się olbrzymi mężczyzna. Jego różowa czaszka była gładko ogolona, a oponka tłuszczu grubości niedużego koła ratunkowego opasywała jego gruby kark najeżona drobnymi blond włoskami. Jeden policzek miał napęczniały od prymki tytoniu, którą żuł zapamiętale. Skrzyżował masywne ramiona i popatrzył najpierw na siedzącą grupkę, a potem na Bettertona.

Dziennikarz zorientował się, że to musi być Mały. Ten człowiek był tutejszą legendą, watażką z zalewiska. Betterton nagle uświadomił sobie, że dobranie się do żyły złota mogło okazać się trudniejsze, niż przypuszczał.

– Czego tu, kurwa? – rzucił przyjaznym tonem Mały.

Betterton instynktownie odparował:

– Chodzi mi o tego agenta FBI.

Na twarzy Małego pojawił się nieprzyjemny grymas.

– O Pendergasta?

Pendergast. A więc tak się nazywał. To nazwisko coś mu mówiło, brzmiało znajomo. No tak, nosiła je jedna z tych zamożnych, podupadających, przedwojennych rodzin z Nowego Orleanu.

Nieduże oczka Małego zwężyły się jeszcze bardziej.

– Jesteś kumplem tego białasa?

– Jestem z gazety „Bee”. Piszę artykuł o zabójstwie małżeństwa Brodiech.

– Pismak.

Oblicze Małego spochmurniało. Po raz pierwszy Betterton zauważył zaognioną bliznę na szyi olbrzyma. Pulsowała w rytm żyły tętniącej pod skórą. Mały otaksował całą grupę wzrokiem.

– O czym gadaliście z pismakiem?

Skrzyknął brązową strużką tytoniu. Pijaczkowie zaczęli się podnosić i oddalać jeden po drugim, wcześniej jednak zgarnęli z chłodziarki kilka puszek piwa.

– Pismak – powtórzył Mały.

Betterton zauważył zbliżający się wybuch, ale nie zdążył się uchylić. Mały schwycił jego kołnierz i mocno skręcił.

– Możesz powiedzieć ode mnie temu skurwielowi – wycedził – że jeśli jeszcze kiedyś zobaczę w tej okolicy jego biały, albinoski tyłek, to tak mu dołożę, że będzie pluł zębami przez całą drogę stąd do Nowego Jorku.

Równocześnie mocniej szarpnął Bettertona za kołnierz, wzmacniając uścisk, aż dziennikarz prawie nie mógł oddychać. Wreszcie Mały z całej siły machnął ręką, rzucając nim na ziemię.

Betterton leżał w pyle. Zaczekał chwilę. Podniósł się.

Mały stał przed nim z zaciśniętymi pięściami, szykując się do walki.

Betterton był niski. Kiedy był młodszy, większe dzieciaki często przewracały go na ziemię, uważając, że nie stanowi dla nich godnego przeciwnika. To się zaczęło w przedszkolu i trwało aż do pierwszej klasy liceum.

- Ej – rzucił Betterton, wysokim, piskliwym głosem.
- Przecież się stąd wynoszę, już mnie tu nie ma! Nie musisz mnie bić, do cholery!

Mały rozluźnił się.

Betterton zrobił zbolałą minę i podchodząc bliżej do Małego, pochylił głowę jakby w wyrazie pokory.

- Nie szukam rozróby. Naprawdę.
- To właśnie chciałem usłyszeć...

Betterton podniósł się nagle i wykorzystując ten impet, wymierzył potężnego haka w szczękę Małego. Olbrzym runął na beton jak kostka nadtopionego masła.

Tę lekcję Ned przyswoił sobie jako uczeń pierwszej klasy liceum, kiedy nauczył się, że niezależnie od tego, z jak wielkim przeciwnikiem przychodzi się zmierzyć, trzeba zareagować. Nie można odpuścić. W przeciwnym wypadku następnym razem byłoby tylko gorzej. Mały przetoczył się po ziemi, klnąc, ale był zbyt oszołomiony, by podnieść się i rzucić w pogoń za dziennikarzem. Betterton szybkim krokiem wrócił do swojego auta,

mijając mężczyzn, którzy wciąż stali w pobliżu i patrzyli z rozdziawionymi ustami.

– Dopijcie wasze browarki, panowie.

Odjeżdżając i czując tępy, pulsujący ból w dłoni, przypomniał sobie, że za pół godziny miał uczestniczyć w dorocznym festynie wypieków domowych, z którego powinien napisać artykuł do gazety. Chrzanić to. Nie zamierzał zawracać sobie głowy byle wypiekami.

Okręg St. Charles, Luizjana

Doktor Peter Lee Beaufort podązał za mobilnym laboratorium medycyny sądowej pomalowanym na nierzucający się w oczy szary kolor, gdy pojazd skręcił w stronę bocznej bramy prowadzącej na cmentarz Saint-Savin. Dozorca zamknął za nimi bramę, przekręcając klucz w zamku. Dwa pojazdy, jego furgonetka i mobilne laboratorium, sunęły wolno wąską żwirową alejką otoczoną z dwóch stron przez pełne gracji derenie i magnolie. Saint-Savin należał do najstarszych cmentarzy zarejestrowanych w Luizjanie, a jego działki i trawniki były nienagannie utrzymane. Przez ostatnie dziesięć lat pochowano tu kilka najświetniejszych postaci w całym Nowym Orleanie.

Ależ zdziwiliby się członkowie zarządu cmentarza, pomyślał Beaufort, gdyby dowiedzieli się, jaką procedurę miano tu niebawem przeprowadzić.

Alejka rozwidlała się raz i drugi. Teraz przed mobilnym laboratorium Beaufort dostrzegł niewielką grupkę pojazdów – radiowozów, luksusowego rolls-royce’a i furgonetkę cementarną. Laboratorium zatrzymało się na wąskim poboczu za nimi, a Beaufort zrobił to samo, zerkając przy okazji na zegarek.

Było dziesięć po szóstej i słońce dopiero zaczęło się wspinać po niebie, rzucając złocisty blask na połacie traw i marmurowe płyty. Aby zapewnić maksimum prywatności, ekshumacji zawsze dokonywano możliwie jak najwcześniej.

Beaufort wysiadł z furgonetki. Kiedy zbliżył się do rodzinnej parceli, zobaczył robotników w strojach ochronnych rozstawiających parawany wokół jednego z grobów. Dzień był wyjątkowo chłodny nawet jak na początek listopada i Beaufort bardzo się cieszył z tego powodu. Ekshumacje w upalne dni były zdecydowanie nieprzyjemne.

Biorąc pod uwagę zamożność i długą historię rodziny

Pendergastów, na cmentarzu znajdowało się niewiele grobów. Beaufort, który znał tę rodzinę od dziesięcioleci, wiedział, że większość jej członków wolała, by pochowano ich przy Plantacji Penumbra. Niektórzy jednak żywili szczególną niechęć wobec tamtego spowitego we mgle, zarośniętego cmentarza – czy też krypt pod nim – i woleli, by ich doczesne szczątki pochowano w bardziej tradycyjny sposób.

Doktor wszedł za parawany i pokonał niski płot z kutego żelaza, którym otoczono teren cmentarzyka. Prócz techników zauważył grabarzy, kierownika zarządu cmentarza Saint-Savin, tutejszego nadzorcę i korpulentnego, wyraźnie zdenerwowanego mężczyznę, którym, jak przypuszczał Beaufort, był niejaki Jennings, szef Wydziału Zdrowia. Opodal stał sam Aloysius Pendergast, nieruchomy, milczący, cały w czerni i bieli jak monochromatyczna zjawia. Beaufort przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Nie widział agenta FBI od czasu, gdy ten był jeszcze młodzieńcem. Choć jego twarz niewiele się

zmieniła, wydawał się jeszcze bardziej wychudzony niż zwykle. Na czarny garnitur zarzucił długi kremowy płaszcz, chyba z wielbłądziej wełny, ale sądząc po jedwabistym połysku, Beaufort uznał, że musiał być raczej z wigonia.

Beaufort po raz pierwszy zetknął się z rodziną Pendergastów jako młody patolog w okręgu St. Charles, kiedy wezwano go do Plantacji Penumbra po serii otrucí dokonanych przez szaloną starą stryjeczną babkę – jak ona miała na imię... Cordelia? Nie, Cornelia. Wzdrygnął się na to wspomnienie. Aloysius był wtedy chłopcem i spędzał letnie miesiące w Penumbrze. Pomimo okropnych okoliczności wizyty Beauforta młody Aloysius przyczepił się do niego jak pijawka i nie odstępował go na krok, zafascynowany medycyną sądową. Od tej pory przez kilka kolejnych lat odwiedzał laboratorium Beauforta w podziemiach szpitala. Chłopak bardzo szybko się uczył i cechowała go nienasycona ciekawość. Osobliwie rzadka i niepokojąco mroczna. Oczywiście mroczne fascynacje

Aloysiusa nie umywały się do zainteresowań jego brata... Ta refleksja jednak była zbyt niepokojąca i Beaufort odegnał ją od siebie.

Jak na zawołanie Pendergast uniósł wzrok i wychwycił jego spojrzenie. Podszedł z wawym krokiem i uścisnął dłoń doktora.

– Mój drogi Beauforcie – powiedział – dziękuję, że się zjawileś.

Pendergast zawsze, jeszcze jako chłopiec, zwracał się do niego wyłącznie po nazwisku.

– To dla mnie prawdziwa przyjemność, Aloysiusie. Miło znów cię widzieć po tylu latach, choć przyznaję, szkoda, że w tak niemiłych okolicznościach.

– Gdyby nie śmierć, nigdy byśmy się nie poznali, czyż nie?

Piękne srebrne oczy znów zaczęły go świdrować, a Beaufort po zastanowieniu się nad tą uwagą poczuł lekki dreszcz przebiegający mu po kręgosłupie. Nigdy dotąd nie widział Aloysiusa Pendergasta spiętego albo

zdenerwowanego. A mimo to pod maską zewnętrznego spokoju agent był wyraźnie czymś poruszony.

Parawany wokół grobu zostały rozstawione, a Beaufort skoncentrował całą uwagę na przebiegu wydarzeń. Jennings popatrywał na zegarek i pociągał palcami za kołnierzyk pod szyją.

– Zaczynamy – powiedział wysokim, pełnym zdenerwowania głosem. – Czy mogę prosić o zezwolenie na ekshumację?

Pendergast wyjął dokument z wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał mu.

– Przypominam, że przede wszystkim naszym obowiązkiem jest ochrona zdrowia publicznego oraz zapewnienie godności i poszanowania dla zmarłych.

Spojrzał na nagrobek, na którym widniało jedynie:

HELEN ESTERHAZY PENDERGAST

– Czy wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że znajdujemy się przy właściwym grobie?

Zdecydowane skinienie głów.

Jennings cofnął się o krok.

– Dobrze. Możemy zatem rozpocząć ekshumację.

Dwóch grabarzy w rękawiczkach, maseczkach na twarzy i w ochronnych strojach zaczęło wycinać prostokąt w grubej zielonej darni, po czym z wprawą i starannie oddzielając i rolując ją w pasy, odłożyli wykrojony pas zieleni na bok. Nieopodal stał operator wraz ze swoją niedużą cmentarną koparką.

Teraz dwaj grabarze zaczęli kopać szpadlami, wymierzając na zmianę zdecydowane, silne uderzenia w czarną glebę i wygarniając ją na plastikową folię rozłożoną po jednej stronie. Dół powoli zaczynał się formować, grabarze wprawnie wytyczyli jego kontury i kąty. W końcu wycofali się, a do przodu podjechała miniaturowa koparka i jej nieduża łyżka wgryzła się w ciemną ziemię.

Maszyna i grabarze pracowali na przemian: mężczyźni powiększali dół, podczas gdy łyżka koparki

wybierała z niego ziemię. Zebrani obserwowali te prace niemal w nabożnej ciszy. W miarę jak dół się pogłębiał, w powietrzu zaczął się rozchodzić silny gliniasty zapach, dziwnie aromatyczny jak woń głębi lasu. Otwarty grób parował delikatnie w słabych promieniach porannego słońca. Jennings sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął z niej maseczkę ochronną i nałożył na usta i nos.

Beaufort spojrział ukradkiem na agenta FBI. Mężczyzna wpatrywał się w pogłębiający się dół jak zahipnotyzowany, a pełen napięcia wyraz jego twarzy pozostawał dla Beauforta nieodgadniony. Pendergast nie podał konkretnej przyczyny ekshumacji ciała żony – polecił jedynie, aby na miejscu znalazło się mobilne laboratorium medycyny sądowej, które miało być gotowe do przeprowadzenia wszelkich możliwych testów potwierdzających tożsamość zmarłej. Nawet w rodzinie tak ekscentrycznej jak Pendergastowie wydawało się to niepokojące i niewytłumaczalne.

Kopanie trwało przez kolejnych piętnaście minut, pół

godziny. Dwaj mężczyźni w maskach i strojach ochronnych zrobili sobie krótki odpoczynek, po czym znów zabrali się do pracy. Kilka minut później jedna z łopat uderzyła w coś twardego z głośnym, pustym łup!

Mężczyźni zebrani wokół grobu popatrzyli na siebie nawzajem. Wszyscy z wyjątkiem Pendergasta, którego wzrok ani na chwilę nie oderwał się od ziejącego u jego stóp powiększającego się dołu.

Grabarze teraz ostrożniej niż dotychczas zaczęli wyrównywać ściany grobu, po czym kontynuowali pogłębianie, powoli odsłaniając standardową betonową pokrywę, pod którą spoczywała trumna. Łyżka koparki, do której przypięto pasy, wydobyła betonową płytę, odsłaniając tkwiącą pod nią trumnę. Była wykonana z mahoni, jeszcze czarniejsza niż gleba, w której została zakopana, z mosiężnymi uchwytami i wykończeniami.

Teraz przy grobie pojawiło się jeszcze czterech mężczyzn dźwigających „skorupę” – nową trumnę, w której miały się znaleźć stara trumna i ekshumowane

szczątki. Położyli ją na ziemi i podeszli do grabarzy, by im pomóc. Zebrani przyglądali się w milczeniu, jak do dołu są opuszczane kolejne pasy. Następnie sześciu mężczyzn powoli, ostrożnie zaczęło wydobywać zamocowaną na pasach trumnę z wnętrza grobu.

Beaufort patrzył. W pierwszej chwili wydawało się, że trumna stawia opór, nie chcąc opuścić miejsca spoczynku. Wreszcie przy wtórze cichego skrzypnięcia poddała się i zaczęła się unosić.

Gdy świadkowie się cofnęli, by zrobić miejsce, robotnicy z cmentarza Saint-Savin wydobyli trumnę z grobu i ułożyli na ziemi obok skorupy. Jennings podszedł bliżej, nakładając lateksowe rękawiczki. Klęknął u wezłowia trumny i nachylił się, by spojrzeć na tabliczkę z nazwiskiem.

– Helen Esterhazy Pendergast – przeczytał przez maseczkę. – Niniejszym dla potrzeb protokołu stwierdzam zgodność nazwiska na trumnie z tym, które widnieje w podaniu o ekshumację.

Teraz została otwarta skorupa. Beaufort zauważył, że jej wewnątrz wyłożono powlekaną cynkowaną wyściółką z warstwą plastiku i zabezpieczono izoponem. Standard. Na znak Jenningsa, który natychmiast się cofnął, robotnicy z cmentarza ponownie dźwignęli przypiętą na pasach trumnę z Helen Pendergast, przenieśli w stronę otwartej skorupy i umieścili w jej wnętrzu. Pendergast patrzył jak urzeczony, twarz miał bladą niczym płótno, oczy podkrążone. Od chwili rozpoczęcia ekshumacji agent nawet nie drgnął i tylko od czasu do czasu mrugał powiekami, wpatrując się w grób.

Pokrywa skorupy została zamknięta i zabezpieczona. Kierownik cmentarza postąpił naprzód z niewielką mosiężną tabliczką. Gdy robotnicy zdjęli ochronne jednorazowe stroje i umyli ręce środkiem odkażającym, mężczyzna przybił tabliczkę do pokrywy skorupy.

Beaufort poruszył się nerwowo. Za chwilę on przystąpi do swoich czynności. Robotnicy dźwignęli skorupę za uchwyty, a on poprowadził ich w stronę

tylnych drzwiczek ruchomego laboratorium medycyny sądowej zaparkowanego nieopodal w żwirowej alejce. Furgonetka stała w cieniu magnolii, a jej generator pomrukiwał cicho. Asystent otworzył tylne drzwiczki i pomógł robotnikom z cmentarza podnieść, a następnie wstawić skorupę do wnętrza furgonetki.

Beaufort zaczekał, aż drzwiczki ponownie zostaną zamknięte, po czym wrócił z robotnikami na odgrodzoną parawanami parcelę. Zebrani wciąż stali w zwartej grupie i pozostaną tam do zakończenia procedur. Grabarze zajęli się zasypywaniem starego grobu, a koparka zaczęła kopać nowy, tuż obok. Kiedy Beaufort zakończy badanie zwłok, zostaną one na powrót pogrzebane, ale spoczną w nowym grobie. Beaufort wiedział, że przeniesienie szczątków – nawet na tak niewielką odległość – było dla Pendergasta jedynym sposobem uzyskania zgody na przeprowadzenie ekshumacji. Ale mimo to zastanawiał się, jakich środków perswazji użył agent, by przekonać do tego spoconego, rozdygotanego Jenningsa.

Wreszcie Pendergast drgnął. Na bladym obliczu pojawił się wyraz wyczekiwania i pełnej napięcia czujności.

Beaufort podszedł do niego i odezwał się półgłosem:

– Jesteśmy gotowi. Jakie testy chciałbyś, żeby zostały przeprowadzone?

Agent FBI spojrzał na niego.

– DNA, próbek włosów, analiza odcisków palców, o ile to możliwe, oraz rentgen zębów. Wszystko.

Beaufort próbował wyrazić się możliwie jak najtaktowniej.

– Pomocna byłaby dla mnie informacja, jaki cel ma to wszystko.

Pendergast odpowiedział po dłuższej chwili:

– Ciało, które spoczywa w tej trumnie, to nie jest moja żona.

Beaufort odczekał kilka sekund, aby przyswoić sobie to, co usłyszał.

– Co pozwala ci sądzić, że doszło do... pomyłki?

– Po prostu przeprowadź te analizy, bardzo proszę – odparł półgłosem Pendergast. Jego biała dłoń wysunęła się spod poły marynarki. Agent trzymał szczotkę do włosów w plastikowej zamykanej torebce na materiały dowodowe. – Będziesz potrzebował próbki DNA.

Beaufort wziął torebkę, zastanawiając się nad motywami kierującymi człowiekiem, który przechowywał należącą do jego żony szczotkę do włosów nietkniętą przez ponad dziesięć lat od jej śmierci. Odchrząknął.

– A jeśli to jednak jest jej ciało?

Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi na to pytanie, zadał kolejne:

– Czy... ee... chciałbyś być obecny podczas otwarcia trumny?

Niepokojące spojrzenie dziwnych, jakby nawiedzonych oczu agenta zmroziło Beaufortowi krew w żyłach.

– Jest mi to obojętne.

Odwrócił się ponownie w stronę grobu i nie

powiedział już nic więcej.

Nowy Jork

Kolejka po odbiór darmowych posiłków w misji przy Bowery Street ciągnęła się powoli wzdłuż pierwszego rzędu stołów ustawionych jak w stołówce i prowadziła do garkuchni.

– Szlag – mruknął stojący przed nim mężczyzna. – Znow nie ma kurczaka ani pierożków.

Esterhazy jakby mimochodem wziął dla siebie tacę, poczęstował się kukurydzianym chlebem i powłócząc nogami, przesuwał się wraz z całą kolejką naprzód.

Starał się nie rzucać się w oczy. Zaszył się. I to głęboko. Przyjechał tu z Bostonu autobusem i przestał używać kart kredytowych oraz pobierać pieniądze z bankomatów. Korzystał z nazwiska widniejącego w fałszywym paszporcie i na nie kupił nową komórkę. Jego rzeczy, a nie było ich wiele, zostały w taniej noclegowni przy Drugiej Ulicy, gdzie preferowano płatność gotówką.

Kiedy tylko mógł, tak jak teraz, zadowalał się darmowymi posiłkami. Miał sporo gotówki, jaka pozostała mu z podróży do Szkocji, więc przynajmniej na razie kwestia pieniędzy nie stanowiła dla niego problemu, ale musiały mu wystarczyć na czas bliżej nieokreślony. Zasoby Pendergasta wydawały się niewyczerpane, nie zamierzał więc ryzykować. Poza tym wiedział, że oni zawsze mogą dać mu więcej.

– Cholerna galaretka – skarżył się nadal stojący przed nim mężczyzna.

Miał ze czterdzieści lat, rzadką kozią bródkę i nosił spraną flanelową koszulę. Jego brudna blada twarz zdradzała zamiłowanie do wszelkiego rodzaju używek, typowo męskich słabostek i świadczyła o ogólnym zepsuciu.

– Czemu nigdy nie ma czerwonej galaretki, tylko zawsze to zielone paskudztwo?

Banalność zła, pomyślał Esterhazy, nakładając na tacę przystawki, na które nawet nie spojrział. Nie da się tak

żyć. Trzeba przestać uciekać i przejść do ofensywy. Pendergast musi umrzeć. Już dwukrotnie mógł zostać zabity. Do trzech razy sztuka, jak mówi stare porzekadło.

Każdy ma jakiś słaby punkt. Znajdź go i uderz w to miejsce.

Podszedł z tacą do najbliższego stolika i usiadł, zajmując jedyne wolne miejsce, obok mężczyzny z kozią bródką. Wziął widelec do ręki, przez chwilę grzebał nim w jedzeniu, po czym odłożył na bok.

Teraz, kiedy się nad tym zastanawiał, uświadomił sobie, jak niewiele wiedział o Pendergaście. Ten człowiek poślubił jego siostrę. A jednak, choć się przyjaźnili, agent pozostawał dla Judsona nieodgadnioną tajemnicą, kompletną zagadką. Był wobec niego chłodny i zdystansowany. Judson nie zdołał zabić Pendergasta przede wszystkim dlatego, że nie potrafił go zrozumieć. Musiał dowiedzieć się o nim czegoś więcej: co lubił, czego nie lubił, co go fascynowało i pociągało. O co dbał. O co się troszczył. Co nim powodowało.

Zajmiemy się tobą. Jak zawsze.

Esterhazy nie był w stanie prawie nic przełknąć, gdy przypomniał sobie nagle echo tych słów. Odłożył widelec i odwrócił się do bezdomnego z bródką siedzącego tuż przy nim. Patrzył tak długo, aż tamten przestał jeść i uniósł wzrok.

– Masz jakiś problem?

– Właściwie tak. – Esterhazy uśmiechnął się do tamtego przyjaźnie. – Mogę o coś zapytać?

– O co? – Mężczyzna stał się nagle bardzo podejrzliwy.

– Ktoś mnie ściga. Nastaje na moje życie. Grozi mi. Nie potrafię go zgubić.

– Zabij sukinkota – odrzekł tamten, pochłaniając łapczywie galaretkę.

– Otóż to. Nie potrafię dostatecznie się do niego zbliżyć, żeby go załatwić. Co ty byś zrobił?

W głęboko osadzonych oczach tamtego pojawiły się złowrogie błyski, gdy mężczyzna odłożył łyżkę. Na takich

problemach się znał. To mógł zrozumieć.

– Spróbuj dopaść kogoś, kto jest blisko niego. Kogoś słabego. Bezradnego. Dobierz się do jego suki.

– Do suki – powtórzył Esterhazy.

– Nie do jakiejś tam suki, tylko do jego suki. Dorwij frajera przez jego sukę.

– To ma sens.

– Pewno, że tak. Miałem zatarg z jednym gościem, stary, takim tam dilerem, chciałem go dorwać, ale frajer stale miał wokół siebie ekipę. Okazało się, że gnój ma młodszą siostrzyczkę, prawdziwe cacuszko, palce lizać...

Historia ciągnęła się jeszcze długo. Esterhazy już nie słuchał. Pogrzyżył się w zadumie.

Jego suka...

Savannah, Georgia

Elegancka miejska rezydencja drzemała w aromatycznym chłodzie jesiennego wieczoru. Na zewnątrz, na Hebarsham Street i jeszcze dalej, na Whitfield Square, przechodnie gawędzili z ożywieniem, a turyści robili zdjęcia parkowej kopuły i otaczających ją historycznych ceglanych budowli. Jednak w rezydencji panował niezmacony spokój.

Aż do chwili, gdy przy wtórze cichego zgrzytu metalu o metal zamek ustąpił i tylne drzwi uchyliły się delikatnie.

Agent specjalny Pendergast wślizgnął się do kuchni; w słabym świetle wyglądał jak rozmyty cień. Przekręcił zasuwkę, zamykając za sobą drzwi, po czym odwrócił się, oparł się o nie i nasłuchiwał. Dom był pusty, ale agent i tak zamarł w ciszy i bezruchu. Powietrze było zatechłe, a story zaciągnięte. Sporo czasu minęło, odkąd ktoś

wchodził ostatnio do tego budynku.

Przypomniwał sobie, kiedy zjawił się tutaj po raz ostatni, przed kilkoma miesiącami, w zupełnie innych okolicznościach. Teraz Esterhazy zaszył się w jakiejś kryjówce, nieuchwytny dla nikogo. Ale musiał zostawić po sobie jakiś trop. Drobne ślady. I spośród wszystkich miejsc ta rezydencja mogła zawierać niezbędne informacje, ponieważ nikt nie był w stanie zniknąć zupełnie bez śladu.

Może z wyjątkiem Helen.

Pendergast zlustrował wnętrze kuchni spojrzeniem swoich jasnych srebrzystych oczu. Panował tu niemal obsesyjny ład i jak w całej reszcie domu doboru mebli dokonano w typowo męskim stylu: ciężki dębowy stół śniadaniowy, wielki kontuar kuchenny z masywnymi nożami rzeźnickimi do krojenia mięsiwa, ciemnowiśniowe szafki i czarne granitowe blaty.

Wyszedł z kuchni, minął hol i po schodach skierował się na piętro. Drzwi na górze były pozamykane, więc

otworzył je po kolei. Jedne prowadziły na poddasze i kiedy tam dotarł, ujrzał niewykończone pomieszczenie ze spadzistym dachem, cuchnące naftaliną i kurzem. Pociągnął za sznureczek przy gołej żarówce i wewnątrz wypełniło się ostrym światłem; znajdowało się tu wiele pudeł i kufrów ustawionych starannie pod ścianą. Wszystkie pozamykane. W kącie stało olbrzymie lustro, zmętniałe i zasnute pajęczynami.

Pendergast wyjął z kieszeni marynarki nóż sprężynowy z rękojeścią wyłożoną masą perłową. Metodycznie, bez pośpiechu porozcinał nim zaklejone pudła i przejrzał ich zawartość, a kiedy skończył, na powrót zakleił je taśmą. Potem zajął się skrzyniami – poszły w ruch wytrychy – a po ich przejrzaniu ponownie je pozamykał.

Zbliżając się w stronę schodów, przystanął przed lustrem i rękawem czarnego garnituru wytarł je do czysta w jednym miejscu, po czym przejrzał się w nim. Twarz, którą zobaczył, wydała mu się niemal obca; odwrócił się.

Zgasiwszy światło, zszedł na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się dwie łazienki, sypialnia Esterhazyego, gabinet i sypialnia dla gości. Pendergast skierował się najpierw do łazienek, w których otworzył szafki, by przejrzeć ich zawartość. Wycisnął tubki pasty do zębów, opróżnił puszki kremu do golenia i pojemniki z proszkiem do czyszczenia toalet, aby upewnić się, że są prawdziwe, że nie służą jako skrytki do przechowywania cennych rzeczy, po czym zgniecione i puste odstawił z powrotem na miejsce. Następnie przeszedł do sypialni dla gości. Nie natrafił na nic ciekawego.

Oddech Pendergasta stał się lekko przyspieszony.

Wszedł do sypialni Esterhazyego. Panował w niej nienaganny porządek, tak jak w całym domu: na półkach w równych rzędach stały powieści w twardej oprawie i biografie, a w niewielkich wnękach zabytkowa ceramika wedgewoodowska i quimperska.

Pendergast zdjął pościel z łóżka i sprawdził materac: ściągnął go, obmacał, po czym starannie przyjrzał się

sprężynom. Zbadał poduszki i ramę łóżka, a następnie skrętnie pościelił łóżko. Otworzył szafkę na ubrania i dokładnie sprawdził każdą sztukę garderoby, szukając czegokolwiek, co mogło być ukryte. Wysunął wszystkie szuflady ze starego kredensu Duncana Phyfe'a i przejrzał ich zawartość, nie zadając sobie trudu, by odłożyć wszystko na miejsce. Jedną po drugiej pozdejmował książki z półek, przejrzał je i odłożył z powrotem na chybił trafił. Jego ruchy stawały się bardziej nerwowe, wręcz desperackie.

Przyszła kolej na gabinet. Pendergast zbliżył się do szafki na akta, zdecydowanym szarpnięciem wsuniętego w szczelinę ostrza sforsował zamek szuflad i otworzył kolejno każdą z nich, wyjął dokumenty, przestudiował je uważnie, a następnie odłożył na miejsce. Przestudiowanie wszystkich rachunków, formularzy podatkowych, korespondencji, ksiąg rachunkowych i innych dokumentów zajęło prawie godzinę, ale okazało się interesujące z uwagi na to, w jakim świetle ukazało

Esterhazyego, choć tak naprawdę nie miało przełomowego znaczenia. Potem Pendergast zajął się ciężkimi półkami z podręcznikami z dziedziny medycyny i tekstami tematycznymi. Po nich skoncentrował się na zawartości biurka. Na nim leżał laptop; śrubokrętem agent odkręcił jego dolną część, wyjął twardy dysk i włożył do kieszeni. Na ścianach wisiały nagrody, dyplomy i listy pochwalne oprawione w ramki. Zdjął je, obejrzał z każdej strony i odwiesił bezceremonialnie.

Zanim zszedł na dół, przystanął w drzwiach. To, co znajdowało się w gabinecie – i ogólnie w całym domu – wydawało się uporządkowane, zwyczajne i takie też pozostało; nikt nie zorientowałby się, że każdy centymetr powierzchni został gruntownie zbadany, poruszony i zinfiltrowany... jedynie Judson mógłby się w tym połapać. On na pewno by się zorientował.

Równie starannie Pendergast spenetrował jadalnię, a potem przeszedł do dolnej części rezydencji. Wtem za jednym z dyplomów natknął się na ukryty w ścianie sejf,

który zostawił sobie na później. Otworzył i przejrzał szafkę z bronią, ale nie napotkał niczego istotnego.

Wreszcie dotarł do salonu, najwytworniejszego pokoju w całym domu, z lakierowaną mahoniową boazerią, starymi tapetami i kilkoma przepięknymi płótnami z XVIII i XIX wieku. Ale prawdziwe arcydzieło znajdowało się pod jedną ze ścian. Była to ciężka komódka w stylu Ludwika XV z kolekcją starożytnych greckiej ceramiki czerwonofigurowej.

Pendergast zlustrował wnętrze salonu, zatrzymując się przed komódką. Jednym szybkim ruchem sforsował jej zamek i przejrzał zawartość. Od dawna wiedział o tej kolekcji, ale mimo to nie mógł się nadziwić jej urokowi – to najprawdopodobniej najpiękniejszy tego typu zbiór na świecie. Składał się zaledwie z sześciu eksponatów, ale każdy z nich był bezcennym, niepowtarzalnym przykładem dzieła starożytnych greckich artystów: Egzekiasza, Brygosa, Eufroniosa, Meidiasa, Makrona, Achillesa. Powiódł wzrokiem po wazach, misach,

kyliksach i kraterach stanowiących nieporównywalny z niczym majstersztyk i testament największego, najrzadszego z możliwych artystycznego geniuszu. To nie była kolekcja na pokaz czy dla prestiżu, by się nią chwalić. Te eksponaty zostały zebrane z najwyższym trudem i za astronomiczną cenę przez człowieka obdarzonego nieomylnym okiem i bezgranicznym umiłowaniem sztuki. Tylko ktoś, kto prawdziwie i głęboko kochał sztukę, mógł zgromadzić tak doskonałą kolekcję, której utrata uczyniłaby świat znacznie uboższym.

Salon stopniowo wypełnił się odgłosem urywanego, nerwowego oddechu.

Nagłym, brutalnym ruchem ręki Pendergast strącił całą kolekcję z półki i ciężkie ceramiczne naczynia spadły na dębowy parkiet, roztrzaskując się w drobny mak; odłamki posypały się na wszystkie strony. Sapiąc z wysiłku, owładnięty eksplozją gniewu, agent roztarł walające się po podłodze kawałki na pył.

W pokoju znów zapanowała cisza przerywana jedynie odgłosami ciężkiego oddechu. Pendergast wciąż był osłabiony po przeżyciach w Szkocji i potrzebował czasu, aby jego oddech powrócił do normy. Po dłuższej chwili otrzepał garnitur z drobinek ceramicznego pyłu i sztywnym krokiem ruszył w stronę drzwi piwnicy. Po sforsowaniu ich zszedł na dół i rozpoczął staranną inspekcję piwniczki.

Była praktycznie pusta, jeżeli nie liczyć pieca i kanalizacji. Jednak we wnęce natknął się na drzwi, które po wyważeniu ukazały sporą piwniczkę z winem, wyłożoną korkiem, z urządzeniami kontrolującymi temperaturę i wilgotność powietrza zamontowanymi na ścianie. Wszedł do środka i obejrzał butelki. Esterhazy miał wyjątkową piwniczkę, głównie wina francuskie ze wskazaniem na pauillacs. Pendergast przebiegł wzrokiem po długim rzędzie butelek: lafite rothschild, lynch-bages, pichon-longueville comtesse da lalande, romanée-conti. Zwrócił uwagę, że choć jego zapasy wina w Dakocie i

Penumbrze były obszerniejsze, Esterhazy dysponował pierwszorzędną kolekcją roczników, jakich brakowało w jego piwniczkach.

Pendergast zmarszczył brwi.

Wybrał najlepsze roczniki – 1892, 1923, 1934, bajeczny 1945, 1955, 1961 i jeszcze kilka innych – wyciągnął je z nisz i starannie postawił na podłodze. Nie sięgnął po ani jedno wino, które miałyby mniej niż trzydzieści lat. Musiał obrócić cztery razy, żeby przenieść je wszystkie, bardzo ostrożnie, do gabinetu na górze.

Ustawił je na stole, przyniósł z kuchni korkociąg, karafkę i duży kieliszek do wina. Otworzył kolejno każdą butelkę, by przez chwilę trunek pooddychał, tymczasem skupił się na wytężonej pracy. Na zewnątrz zrobiło się już ciemno i nad drzewami palmetto rosnącymi przy placu wisiał blady księżyc. Przez chwilę Pendergast patrzył na księżyc, przypominając sobie – mimo woli – pierwszy wschód księżyca, który podziwiał wspólnie z Helen. To było zaledwie dwa tygodnie po tym, jak się poznali.

Tamtej nocy ich miłość ujawniła się w tak namiętny sposób. Piętnaście lat temu – a wspomnienie pozostało tak żywe, jakby stało się to wczoraj.

Pendergast jeszcze przez chwilę napawał się tym wspomnieniem jak cennym skarbem, po czym pozwolił mu się rozproszyć. Odwracając się od okna, zlustrował wzrokiem wnętrze gabinetu, afrykańskie rzeźby, piękne mahoniowe meble, nefryty i regały z książkami o złoconych brzegach. Nie wiedział, kiedy Esterhazy wróci, ale chciał móc być wtedy tutaj.

Pozwolił, by wina pooddychały jeszcze przez pół godziny – w wypadku starszych roczników nie było to wskazane – a potem zabrał się do próbowania. Zaczął od rocznika 1892. Nalał do karafki zaledwie łyżeczek i zakręcił winem powoli, badając jego kolor w świetle. Następnie przelał zawartość do kieliszka, wdychał przez chwilę aromat i w końcu upił nieco. Odstawił odkorkowaną butelkę na parapet okienny i zajął się następnym, młodszym rocznikiem.

Cały proces trwał jeszcze godzinę i zanim skończył, Pendergast całkiem odzyskał wewnętrzną równowagę.

Wreszcie odstawił karafkę i kieliszek i wstał z fotela. Dopiero teraz skupił swoją uwagę na niedużym sejfie odkrytym za jednym z wiszących na ścianie dyplomów. Sejf dość dzielnie opierał się wysiłkom Pendergasta, by go otworzyć, i poddał się dopiero po dziesięciu minutach.

W chwili gdy otwierał drzwiczki sejfu, Pendergast usłyszał sygnał swojej komórki. Spojrzał na numer na wyświetlaczu, zanim odebrał.

– Tak?

– Aloysius? Mówi Peter Beaufort. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Zapadła cisza, ale w końcu Pendergast powiedział:

– Rozkoszowałem się jedynie kieliszkiem wybornego wina w ciszy i spokoju.

– Mamy wyniki.

– I?

– Chyba wolałbym pomówić o tym z tobą w cztery

oczy.

– Chciałbym wiedzieć już teraz.

– To nie jest rozmowa na telefon. Przyjedź tu najszybciej, jak tylko możesz.

– Jestem w Savannah. Złapię nocny lot i zjawię się w twoim biurze jutro z samego rana. O dziewiątej.

Pendergast schował komórkę do kieszeni i ponownie skupił całą uwagę na sejfie. Zawierał to, co zwykle: klejnoty, trochę akcji, akt własności rezydencji, ostatnią wolę i testament oraz plik innych, mniej wartościowych dokumentów, wśród których znajdowały się stare rachunki z domu opieki w Camden w Maine dotyczące pacjentki nazwiskiem Emma Grolier. Pendergast zwinął dokumenty i włożył je do kieszeni, aby przejrzeć je później. Następnie usiadł przy biurku z wysuwającym blatem, sięgnął po czystą kartkę papieru i napisał krótki list.

Mój drogi Judsonie,

Pomyślałem, że zainteresują cię wyniki testu

organoleptycznego poszczególnych roczników twoich latour, który pozwoliłem sobie przeprowadzić. Ze smutkiem muszę stwierdzić, że rocznik 1918 okazał się zwietrzały, a rocznik 1949 mocno jak na mój gust przereklamowany: skończył się gorzej, niż rozpoczął, z wyraźnym taninowym posmakiem. Takoż rocznik 1958 niestety okazał się korkowy. Reszta absolutnie wyborna. Najlepszy zaś, bez wątpienia, jest rocznik '45, wciąż bogaty i zaskakująco wytworny, z aromatem porzeczek i grzybów oraz długim, słodkim zakończeniem. Szkoda, że miałeś tylko jedną butelkę.

Bardzo przepraszam za to, co stało się z twoją kolekcją starych skorup. Zostawiam ci za nie małą rekompensatę.

P.

Pendergast położył list na blacie biurka. Sięgnął do kieszeni i wyjął z portfela pięciodolarowy banknot, który zostawił obok kartki.

Był już przy drzwiach, kiedy coś mu przyszło do głowy. Zawrócił, podszedł do okna i zgarnął z parapetu butelkę château latour rocznik '45. Zakorkował ją starannie i zabrał ze sobą, po czym już bez przeszkód kuchennym wyjściem opuścił rezydencję, rozplywając się w ciemnościach nocy.

Armadillo Crossing, Missisipi

Betterton wyszedł właśnie na poranną kawę, kiedy wpadł na ten pomysł. Był ryzykowny, ale nie na tyle, by nie zaryzykować piętnastokilometrowego objazdu, żeby to sprawdzić. Zawrócił swojego nissana i ponownie ruszył w kierunku Malfourche; zatrzymał się kilka kilometrów od smętnego rozwidlenia dróg znanego jako Armadillo Crossing. Wedle starej opowieści wiele lat temu ktoś potracił tu pancernika, a zmiażdżone szczątki leżały dostatecznie długo, by rozwidlenie dróg zyskało swoją nazwę. Jedyne budynki przy rozwidleniu dróg, stary, kryty papą barak, był zamieszkały przez niejakiego Billy'ego B. „Grassa” Hoppera.

Dziennikarz zaparkował przed starą chałupą Hoppera, niemal niewidoczną pod grubą warstwą kudzu. Jego dłoń pulsowała tęym bólem. Wyjął ze schowka na rękawiczki paczkę papierosów, wysiadł z auta i w świetle budzącego

się dnia ruszył w stronę ganku. Zauważył, że Billy B. kołysze się leniwie w bujanym fotelu. Pomimo wczesnej pory w sękatą dłoń trzymał puszkę budweisera. Odkąd kilka lat temu huragan zmiotł tablicę drogową wskazującą skręt do Malfourche, Billy B., nieustannie przesiadujący w bujanym fotelu, stale był wypytywany przez przyjezdnych o drogę do miasteczka.

Betterton wspiął się po starych, skrzypiących schodach.

– Siema, Grass – powiedział.

Mężczyzna spojrzał na niego spod półprzymkniętych powiek.

– Cześć, Ned. Co u ciebie, synu?

– Świetnie, naprawdę świetnie. Mogę się przysiąc?

Billy B. wskazał mu najwyższy stopień.

– Klapnij sobie.

– Dzięki. – Betterton rozsiadł się wygodnie, po czym wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wysunął jednego. – Fajka?

Billy B. wyłuskał papierosa, Betterton przypalił mu, po czym włożył paczkę z powrotem do kieszeni. Sam nie palił.

Przez kilka następnych minut, kiedy Grass palił papierosa, mężczyźni gawędzili luźno o tym i owym. Wreszcie Betterton postanowił wyjawić powód swojej wizyty.

– Widziałeś tu ostatnio jakichś obcych, Grass? – rzucił jakby mimochodem.

Billy B. ostatni raz zaciągnął się dymem z papierosa, wyjął niedopałek z ust i zgasił o rosnący opodal pęd kudzu.

– Paru – odparł.

– Tak? Opowiedz mi o nich.

– Niech no pomyślę. – Billy B. skrzywił się w grymasie głębokiego zamyślenia. – Była jedna kobieta. Świadek Jehowy. Pytając o drogę do Malfourche, próbowała mi wcisnąć jedno z ich pisemek. Powiedziałem, żeby skręciła w prawo.

Betterton zarechotał przesadnie, wiedząc, że tamten wskazał kobiecie niewłaściwy kierunek.

– No i był jeszcze ten cudzoziemiec.

Betterton, starając się nie okazywać poruszenia, powtórzył:

– Cudzoziemiec?

– Miał obcy akcent.

– Jak sądzisz, skąd mógł być ten facet?

– Z Europy.

– A niech mnie. – Betterton pokręcił głową. – Kiedy to było?

– Pamiętam dokładnie, kiedy to było. – Mężczyzna odliczył na palcach. – Osiem dni temu.

– Skąd ta pewność?

Billy B. pokiwał głową z powagą.

– To było na dzień przed odnalezieniem zwłok małżeństwa Brodiech.

Betterton nawet w najskrytszych marzeniach nie liczył na taki obrót wydarzeń. Czy na tym właśnie

polegała praca dziennikarza śledczego?

– Jak wyglądał ten facet?

– Wysoki. Chudy. Jasne włosy, paskudna brodawka pod jednym okiem. Miał długi płaszcz, wyglądał jak gość z filmu szpiegowskiego.

– Pamiętasz, jaki miał samochód?

– Forda fusion. Granatowego.

Betterton w zamyśleniu podrapał się po brodzie. Wiedział, że fordki fusion były najczęściej oferowanymi samochodami w wypożyczalniach aut.

– Mówiłeś o tym policji?

Na twarzy tamtego pojawił się grymas niepewności i podejrzliwości.

– Nie pytali, to nie mówiłem.

Betterton z trudem się pohamował, by nie zeskoczyć z ganku i nie wrócić pędem do swojego auta. Zmusił się jednak, żeby pozostać na miejscu i kontynuować rozmowę.

– Ciężka sprawa – powiedział. – Z tym małżeństwem

Brodiech.

Billy B. przyznał, że tak.

– Zrobił się w związku z tym spory hałas w całej okolicy – ciągnął Betterton. – I jeszcze ten wypadek U Małego.

Billy B. splunął na ziemię.

– To nie był wypadek.

– Jak to?

– To ten agent FBI. On wysadził w powietrze tę budę.

– Wysadził w powietrze? – powtórzył Betterton.

– Wpakował kulę w zbiornik z propanem. Rozpirzył wszystko w cholerę. I rozwalił też kilka łodzi.

– Ożeż... Ale dlaczego miałyby to zrobić?

To były niesamowite nowiny.

– Widzi mi się, że Mały i jego kumple mocno zależli za skórę jemu i jego partnerce.

– Niejednemu w tej okolicy zależli za skórę. – Betterton zamyślił się przez chwilę. – Czego tu chciało FBI?

– Nie mam pojęcia. Teraz wiesz już wszystko to co ja.

Otworzył kolejne piwo. Ostatnie zdanie było sygnałem, że Billy B. znudził się pogawędką. Betterton wstał.

– Wpadnij znowu – rzucił Billy.

– Nie omieszkam.

Betterton zszedł po schodach. I nagle przystanął, sięgnął do kieszeni i wyjął papierosy.

– Zatrzymaj całą paczkę – powiedział.

Rzucił ją delikatnie w stronę Billy'ego B. i powoli, tłumiąc w sobie emocje, ruszył w do swojego nissana.

Przyjechał tu kierowany przeczuciem i intuicją, a wracał z historią, za którą niejeden reporter z „Vanity Fair” albo „Rolling Stone” byłby nawet gotów zabić. Małżeństwo, które sfingowało swoją śmierć i wkrótce po swoim powrocie zostaje zamordowane. Wysadzony w powietrze sklepik z przynętami. Tajemnicze miejsce o nazwie Spanish Island. Podejrzany cudzoziemiec. A

wśród tego wszystkiego szalony agent FBI nazwiskiem Pendergast.

Ręka wciąż go bolała, ale teraz prawie nie czuł już tępego pulsowania. Zapowiadał się naprawdę udany dzień.

Nowy Orlean, Luizjana

Pokój przyjęć Petera Beauforta wyglądał bardziej jak gabinet zamożnego profesora niż lekarza. Na półkach stały oprawne w skórę woluminy. Na ścianach wisiały piękne olejne pejzaże. Wszystkie meble były antykami, nienagannie wypolerowanymi i dobrze utrzymanymi, żadnej stali czy chromu ani tym bardziej linoleum. Brakowało rycin medycznych, rysunków anatomicznych, traktatów z dziedziny medycyny czy ruchomych szkieletów wiszących na hakach. Sam doktor Beaufort miał na sobie gustownie skrojony garnitur bez lekarskiego kitla i zawieszzonego na szyi stetoskopu. Ani ubiorem, ani manierami nie przypominał lekarza.

Pendergast zajął miejsce w fotelu dla gości. W młodości spędził tu wiele godzin, zasypując doktora pytaniami z dziedziny anatomii i fizjologii, dyskutując o tajemnicach diagnozy i leczenia.

– Beaufort – powiedział – dziękuję, że zechciałeś zobaczyć się ze mną o tak wczesnej porze.

Koroner uśmiechnął się.

– Odkąd pamiętam, zwracasz się do mnie po nazwisku – stwierdził. – Nie uważasz, że już jesteś w takim wieku, że mógłbyś mówić mi po imieniu?

Pendergast uniósł głowę. Lekarz mówił swobodnym, niemal żartobliwym tonem. Ale agent znał Beauforta na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest spięty i podenerwowany. Na blacie leżała szara teczka. Lekarz otworzył ją, nałożył okulary i przejrzał znajdujące się wewnątrz kartki.

– Aloysiusie... – Głos zaczął mu się łamać, więc odchrząknął.

– W tej sprawie takt nie jest wskazany – zachęcił go Pendergast.

– Rozumiem. – Beaufort zawahał się. – Wobec tego będę brutalnie szczery. Dowody są niepodważalne. Ciało spoczywające w grobie to Helen Pendergast.

Kiedy Pendergast się nie odezwał, Beaufort mówił

dalej:

– Mamy zgodność na wielu poziomach. Na początek DNA ze szczotki pasowało do DNA szczątków.

– Jak dalece?

– Ponad wszelką wątpliwość. Zamówiłem kilka testów każdej z czterech próbek ze szczotki oraz szczątków. Ale nie chodzi tylko o DNA. Rentgen zębów także jest zgodny, ukazuje niewielki ubytek w dwójce, prawym górnym siekaczu. Twoja żona nadal miała piękne zęby pomimo upływu czasu...

– Odciski palców?

Beaufort ponownie odchrząknął.

– Z uwagi na wilgoć i upały panujące w tej części kraju... udało mi się pozyskać tylko kilka częściowych odcisków, ale to, co zdobyłem, także jest zgodne. – Beaufort przekreślił stronę. – Przeprowadzona przeze mnie analiza wykazała, że ciało zostało częściowo pożarte przez lwa. Poza... ee... pozostawionymi na ciele fizycznymi dowodami – śladami zębów na kościach i tak

dalej – odnaleziono DNA *Panthera leo*. DNA lwa.

– Powiedziałaś, że odciski palców były tylko częściowe. To nie wystarczy.

– Aloysiusie, dowody DNA są rozstrzygające i ostateczne. To ciało należało do twojej żony.

– Niemożliwe, bo Helen wciąż żyje.

Zapadła długa cisza. Beaufort rozłożył szeroko ręce w geście rezygnacji.

– Jeżeli wolno mi wyrazić swoją opinię, to do ciebie niepodobne. Nauka mówi nam co innego, a ty jak mało kto zawsze szanowałaś naukę.

– Nauka się myli.

Pendergast oparł dłoń na podłokietniku fotela, aby wstać. Nagle jednak dostrzegł wyraz twarzy Beauforta i znieruchomiał. Nie ulegało wątpliwości, że koroner chce powiedzieć coś jeszcze.

– Pomijając tę kwestię – rzekł Beaufort – jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. Może to nic takiego. – Próbował nadać lekki ton swoim słowom, ale Pendergast

wyczuł wewnętrzne napięcie. – Czy wiesz, na czym polega badanie mitochondrialnego DNA?

– Najogólniej rzecz biorąc, jest wykorzystywane jako narzędzie badań ekspertów sądowych.

Beaufort zdjął okulary, wytarł je starannie i ponownie nałożył na nos. Wydawał się dziwnie zmieszany.

– Wybacz zatem, jeżeli powtórzę to, co już wiesz. Mitochondrialne DNA jest zupełnie odmienne od zwykłego, ludzkiego DNA. To strzępek materiału genetycznego znajdujący się w mitochondriach każdej komórki ciała i jest dziedziczony w niezmięnionej postaci z pokolenia na pokolenie w linii żeńskiej. To oznacza, że wszyscy potomkowie – mężczyźni i kobiety – tej konkretnej kobiety będą mieć identyczne mitochondrialne DNA, które nazywamy w skrócie mtDNA. Ten rodzaj DNA jest wyjątkowo przydatny w pracach ekspertów sądowych i te informacje przechowywane są w osobnych bazach danych.

– I co w związku z tym?

– W ramach rozlicznych badań, jakie przeprowadziłem na szczątkach twojej żony, przepuściłem zarówno DNA, jak i mtDNA przez konsorcjum blisko trzydziestu pięciu połączonych medycznych baz danych. Poza potwierdzeniem DNA Helen natrafiłem na reakcję zwrotną z... jednej z najbardziej niezwykłych baz danych. To dotyczyło jej mtDNA.

Pendergast czekał.

Zmieszanie Beauforta pogłębiało się.

- Informacje znajdowały się w bazie danych GŚL.
- GŚL?
- Grupy Ścigania Lekarzy.
- Tej organizacji zajmującej się polowaniem na nazistów?

Beaufort pokiwał głową.

- Zgadza się. Założonej, by postawić przed obliczem sprawiedliwości nazistowskich lekarzy pracujących na rzecz Trzeciej Rzeszy, tych wszystkich, którzy wspierali holocaust i przyłożyli do niego rękę. Organizacja powstała

i rozwinęła się po procesie lekarzy w Norymberdze po wojnie. Wielu lekarzy uciekło z Niemiec po wojnie i przedostało się do Ameryki Południowej, a GŚL od tej pory bezlitośnie ich tropi. Właśnie ta organizacja ma naukowo nieskazitelną bazę danych informacji genetycznych dotyczących tych lekarzy.

Kiedy Pendergast znów się odezwał, jego głos brzmiał bardzo cicho:

– Co właściwie udało ci się odkryć?

Koroner wyjął z teczki kolejną kartkę.

– Zgodność z doktorem Wolfgangiem Faustem.

Urodzonym w Ravensbrück w Niemczech w tysiąc dziewięćset ósmym roku.

– A co to dokładnie znaczy?

Beaufort wziął głęboki oddech.

– Faust był doktorem SS w Dachau w ostatnich latach drugiej wojny światowej. Zniknął po wojnie. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku Grupa Ścigania Lekarzy w końcu go odnalazła. Było już jednak za późno,

by postawić go przed sądem, bo zmarł z przyczyn naturalnych w siedemdziesiątym ósmym roku. GŚL odnalazła jego grób i ekshumowała szczątki, aby poddać je badaniom. W ten sposób mtDNA Fausta trafiło do bazy danych GŚL.

– Dachau – wyszeptał Pendergast i spojrzał przenikliwie na Beauforta. – A co niby łączy tego doktora z Helen?

– To, że oboje pochodzą od tego samego żeńskiego przodka. To może być jedno pokolenie wstecz albo równie dobrze sto pokoleń.

– Masz więcej informacji na temat tego lekarza?

– Jak możesz się tego spodziewać, GŚL jest raczej tajną organizacją powiązaną rzekomo z Mossadem. Poza publicznie dostępną bazą danych ich akta są utajnione. Danych o Fauście jest niewiele i podążając dalej tym tropem, nie dotarłem daleko.

– Implikacje?

– Tylko badanie genealogiczne może określić relacje

pomiędzy Helen a doktorem Faustem. Musiałyby łączyć gruntowne wzięcie pod lupę przodków twojej żony w linii żeńskiej: matkę, babkę ze strony matki, prababkę ze strony matki i tak dalej. Tak samo w przypadku Fausta. Wszystko to oznacza, że ten nazistowski lekarz i twoja żona mieli wspólnego żeńskiego przodka. Równie dobrze mogłaby to być jakaś kobieta ze średniowiecza.

Pendergast zawahał się przez chwilę.

– Czy moja żona mogła wiedzieć o Fauście?

– Tylko ona mogłaby odpowiedzieć na to pytanie.

– Wobec tego – rzekł jakby do siebie Pendergast – zapytam ją, kiedy ją tylko zobaczę.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Beaufort powiedział:

– Helen nie żyje. Twoja donkiszoteria zaczyna coraz bardziej mnie niepokoić.

Pendergast wstał. Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

– Dziękuję, Beaufortcie, byłeś nad wyraz pomocny.

– Rozważ, proszę, to, co powiedziałem. Zastanów się

nad historią twojej rodziny... – Beaufort nie dokończył.

Pendergast uśmiechnął się lodowato.

– Twoja dalsza pomoc nie jest już konieczna. Życzę miłego dnia.

Nowy Jork

Laura Hayward zaczęła kroić soczyste, krwiste mięso, oddzielając je od kości, nabiła kawałek na widelec i włożyła do ust. Zamknęła oczy.

– Vinnie, to po prostu poezja smaku.

– Tak tylko upichciłem coś na szybko, ale dziękuję.

D’Agosta machnął ręką obojętnie, po czym wlepił wzrok w swój talerz, by ukryć wyraz zadowolenia, jaki pojawił się na jego twarzy. Zawsze lubił gotować, ale niezobowiązująco, po kawalersku, trochę jakby od niechcienia: klopsiki, mięso z rusztu, kurczak pieczony i od czasu do czasu jakiś włoski specjał według przepisu jego babci. Odkąd jednak zamieszkał z Laurą Hayward, stał się poważniejszym szefem kuchni. To się wzięło z poczucia winy, w ramach rekompensaty za to, że mieszkał u niej, ale nie dokładał się do czynszu. Niemniej kiedy Hayward w końcu zgodziła się, aby dzielili czynsz pół na

pół, jego zamiłowanie do piczenia nie osłabło. Po części powodem tego była sama Laura, która nie wzbraniała się, gdy chodziło o pomoc przy szykowaniu różnych, zwłaszcza atrakcyjnych potraw. Po części zaś wpływ na to miały zaskakujące i wyrafinowane gusty kulinarne agenta Pendergasta. Bez wątpienia miało to również związek z jego relacją z panią kapitan. Uważał za coś niezmiennie wspaniałego samą czynność wspólnego przygotowywania posiłku, uwielbiał to i między innymi w ten sposób wyrażał swoje uczucia do niej, co więcej, było to niekiedy wymowniejsze niż kwiaty czy biżuteria. Przeszedł z kuchni włoskiej na francuską, co pozwoliło mu stworzyć wiele szlachetniejszych potraw i wypróbować różnych wariacji na temat sosów według przepisów matki, za którymi przepadał. Zainteresował się też różnymi regionalnymi przepisami kuchni amerykańskiej. Hayward zwykle zostawała w pracy dłużej niż on, dzięki czemu miał czas, by posiedzieć wieczorem w kuchni z rozłożoną na blacie książką kucharską, przygotowując nowe danie,

którym mógł ją uraczyć i zaskoczyć. I im dłużej się tym zajmował, tym znakomiciej mu się to udawało. Z coraz większą finezją posługiwał się nożem, potrawy powstawały znacznie szybciej i sprawniej, a on z coraz większą pewnością siebie opracowywał własne wariacje na temat powszechnie znanych przepisów. Tego wieczoru zaś, kiedy zaserwował Laurze jagnięcinę w burgundzie z persiladą z granatów, mógł z pełnym przekonaniem stwierdzić, że przyrządził ją bez najmniejszego wysiłku.

Przez kilka minut jedli w milczeniu, ciesząc się wspólnie spędzonym czasem. Wreszcie Hayward otarła usta serwetką, upiła łyk pellegrini i z przyjazną ironią w głosie zagadnęła:

– To co wydarzyło się dzisiaj w biurze, kochanie?

D'Agosta zaśmiał się.

– Singleton wszczął kolejną kampanię podnoszenia morale całego naszego wydziału.

Pokręciła głową.

– Ach, ten Singleton. Stale stara się nadażyć za

najnowszymi trendami psychologii policyjnej *du jour*.

D'Agosta skosztował *épinards à la crème*.

– I wpadła do mnie Corrie Swanson. Znowu.

– Już trzeci raz cię nachodzi.

– Wcześniej wydawała się nieznośna jak wrzód na tyłku, ale teraz jakbyśmy się trochę zaprzyjaźnili. Wciąż wypytuje o Pendergasta, o jego plany, o to, kiedy wróci.

Hayward zmarszczyła brwi. Wyglądało na to, że każda wzmianka o Pendergacie działała na nią jak płachta na byka, chociaż współpracowała z nim niedawno, na początku tego roku.

– Co jej powiedziałaś?

– Prawdę. Że sam chciałbym to wiedzieć.

– Nie kontaktował się z tobą?

– Od tamtego telefonu z Edynburga już nie. Kiedy powiedział, że nie chce mojej pomocy.

– Pendergast mnie przeraża – powiedziała Hayward.

– No wiesz, sprawia wrażenie niezwykle chłodnego, opanowanego. Ale pod racjonalizmem... zdaje się kryć

szaleniec.

– Szaleniec, który rozwiązuje sprawy.

– Vinnie, sprawy nie można uznać za należycie rozwiązana, jeżeli podejrzany kończy jako zimny trup. Kiedy ostatni raz Pendergast doprowadził jakąś sprawę do końca w wyniku procesu sądowego? A teraz ta afera z jego żoną, która jakoby żyje...

D'Agosta odłożył widelec, nagle stracił apetyt.

– Wolałbym nie rozmawiać w ten sposób o Pendergaście. Nawet jeśli...

– Nawet jeśli mam rację?

Nie odpowiedział. Dotknęła czułego miejsca, jeszcze nigdy D'Agosta nie martwił się tak o swojego przyjaciela. Zapadła chwila ciszy. I nagle – z pewnym zaskoczeniem – D'Agosta poczuł na swojej dłoni rękę Laury.

– Uwielbiam tę twoją lojalność – powiedziała. – I niezależność. Chcę, żebyś wiedział, że szanuję Pendergasta bardziej niż dotychczas, chociaż jego metody budzą we mnie odrazę. Ale wiesz co? Miał rację, że

wykluczył cię z tej sprawy. Postąpił słusznie. Ten człowiek jest jak trucizna dla kariery w służbie prawa. Dla twojej kariery. Dlatego cieszę się, że postąpiłeś zgodnie z jego zaleceniem i odpuściłeś sobie tę sprawę. – Uśmiechnęła się i uścisnęła jego rękę. – A teraz chodź, pomożesz mi pozmywać.

Fort Meade, Maryland

Aloysius Pendergast wszedł do holu nierzucającego się w oczy budynku w kampusie Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Zdał broń i odznakę żołnierzowi czekającemu przy wejściu, przeszedł przez bramkę wykrywacza metali i zatrzymał się przed recepcją.

– Nazywam się Pendergast. O wpół do jedenastej jestem umówiony na spotkanie z generałem Galuszą.

– Chwileczkę.

Sekretarka zadzwoniła, a potem wypełniła identyfikator dla gościa. Skinęła głową i do stołu podszedł uzbrojony żołnierz.

– Proszę za mną.

Przypinając identyfikator do kieszonki marynarki na piersi, Pendergast podążył za uzbrojonym żołnierzem do windy. Zjechali kilka pięter w dół i drzwi kabiny otworzyły się, ukazując ponury labirynt korytarzy z

gazobetonu, którymi w końcu doszli do zwyczajnych drzwi zaopatrzonych w prostą tabliczkę: „Gen. Galusha”.

Strażnik zapukał delikatnie, a głos ze środka odpowiedział: „Wejść”. Strażnik otworzył drzwi, a Pendergast wszedł do środka. Strażnik zamknął za nim drzwi i stanął na baczność, czekając na zakończenie wizyty.

Galusha był schludnym, dobrze zbudowanym mężczyzną w typie wojskowego, ubranym w zwyczajny mundur polowy, a o jego randze świadczyła jedynie czarna gwiazda przypięta na rzepy do materiału na wysokości piersi.

– Proszę spocząć – powiedział; wydawał się chłodnym człowiekiem.

Pendergast usiadł.

– Muszę z góry zaznaczyć, agencie Pendergast, że nie mogę odpowiedzieć na pańską prośbę, dopóki pan i pańscy przełożeni z FBI nie zwrócicie się z tym do mnie odpowiednimi kanałami. Poza tym nie bardzo rozumiem,

jak mógłbym panu pomóc w jakikolwiek sposób.

Pendergast milczał przez chwilę. Wreszcie odchrząknął.

– Jako jeden ze strażników M-LOGOS-u mógłby mi pan pomóc i to bardzo, generale.

Galusha znieruchomiał.

– Co właściwie wie pan o M-LOGOS-ie, agencie Pendergast... Zakładając, że coś takiego w ogóle istnieje.

– Wiem co nieco. Na przykład że jest to najpotężniejszy komputer zbudowany przez człowieka i tak się składa, że znajduje się we wzmocnionym bunkrze pod tym budynkiem. Wiem, że ma system obliczeń masywnie równoległych z wykorzystaniem specjalnej sztucznej inteligencji znanej jako Stutter-Logic i opracowano go tylko w jednym celu: do gromadzenia informacji na temat potencjalnych zagrożeń dla bezpieczeństwa narodowego. Mogą to być wszelkie zagrożenia: terroryzm, szpiegostwo przemysłowe, aktywność rodzimych grup siejących nienawiść i zamęt,

manipulacje rynkowe, przestępstwa podatkowe, a nawet zagrożenie pandemią. – Delikatnie założył nogę na nogę.

– M-LOGOS dysponuje bazą danych zawierającą wszelkie rodzaje informacji: od nagrań z telefonów komórkowych i maili przez śledzenie nagrań z budek poboru opłat na autostradach po archiwa medyczne i prawnicze, portale społecznościowe i bazy danych uniwersyteckich centrów badawczych. Mówi się, że ta baza danych zawiera nazwiska i informacje równo stu procent wszystkich ludzi przebywających w granicach Stanów Zjednoczonych, odpowiednio zestawione i powiązane z innymi. Nie wiem, jaki obejmuje procent poza obszarem Ameryki, ale mogę śmiało powiedzieć, że M-LOGOS ma wszelkie informacje, jakie istnieją w formie zapisu cyfrowego na temat większości populacji istot ludzkich w całym zindustrializowanym świecie.

Przez cały czas trwania monologu generał pozostawał w bezruchu i nie odezwał się ani słowem. Dopiero teraz przemówił:

– To było całkiem dobre wystąpienie, agencie Pendergast. Skąd ma pan te informacje?

Pendergast wzruszył ramionami.

– Moja praca w FBI zaprowadziła mnie w wyniku dochodzeń w pewne... powiedzmy... dość egzotyczne rejony. Ale odpowiem panu pytaniem na pytanie: jak pana zdaniem zareagowałoby Amerykanie, gdyby wiedzieli, jak ogromna, pojemna, gruntowna i dobrze zorganizowana jest baza danych M-LOGOS-u i ile informacji posiada rząd na temat obywateli amerykańskich cieszących się poważaniem i nienaganną opinią.

– Ale nie dowiedzą się, prawda? Bo ujawnienie tego faktu byłoby uznane za zdradę.

Pendergast uniósł głowę.

– Nie jestem zainteresowany ujawnieniem tajemnic państwowych. Interesuje mnie jedna konkretna osoba.

– Rozumiem. I zakładam, że chciałby pan, abyśmy odnaleźli tę osobę w bazie danych M-LOGOS-u.

Pendergast skrzyżował nogi i spojrzał generałowi Galushy prosto w oczy. Nic nie powiedział.

– Skoro tyle pan wie, musi pan wiedzieć również, że dostęp do M-LOGOS-u jest ściśle ograniczony. Nie mogę udzielić do niego dostępu każdemu agentowi, który tu wejdzie z ulicy... nawet komuś tak nieustraszonemu jak pan.

Pendergast wciąż milczał. Jego milczenie, nawet po tak długim monologu, najwyraźniej zirytowało Galuszę.

– Jestem zajęтым człowiekiem – dodał.

Pendergast wyprostował nogi.

– Generale, proszę potwierdzić, czy ma pan kompetencje, by spełnić moją prośbę bez konieczności wdrażania procedur służbowych, czy też nie.

– Mam, ale nie zamierzam grać w te pańskie gierki. To wykluczone, abym zezwolił na realizację pańskiego żądania.

Pendergast ponownie pozwolił, aby cisza narastała, aż Galusha znów popatrzył na niego, marszcząc brwi.

– Nie chcę być nieuprzejmy, ale myślę że na tym zakończymy to spotkanie.

– Nie – rzucił krótko Pendergast.

Galusha uniósł brwi.

– Nie?

Płynnym ruchem Pendergast wyjął z kieszeni marynarki jakiś dokument i położył na biurku.

Galusha spojrział na papiery.

– Co, u licha, przecież to moje résumé!

– Tak. Bardzo imponujące.

Galusha popatrzył na agenta spod półprzymkniętych powiek.

– Generale – mówił Pendergast – widzę, że jest pan w gruncie rzeczy dobrym oficerem, lojalnym wobec ojczyzny, której służył pan z wielkim oddaniem. Właśnie dlatego szczerze żałuję tego, co muszę zrobić.

– Grozi mi pan?

– Chciałbym, aby odpowiedział pan na jeszcze jedno pytanie: dlaczego musiał pan posunąć się do kłamstwa?

Długa cisza.

– Był pan w Wietnamie. Odznaczono pana Srebrną Gwiazdą, Brązową Gwiazdą i dwoma Purpurowymi Sercami. Awansował pan wyłącznie dzięki swoim zdolnościom, nikt panu nie pomagał. A jednak to wszystko zbudowane zostało na kłamstwie, ponieważ nigdy nie ukończył pan studiów na Uniwersytecie Teksańskim wbrew temu, co widnieje w pańskim résumé. Nie ma pan magisterium. Rzucił pan studia na drugim semestrze ostatniego roku. Co oznacza, że nie mógł pan dostać się na studia oficerskie. To zdumiewające, że nikt tego wcześniej nie sprawdził. Jak pan tego dokonał? Jak pan się dostał na studia oficerskie?

Galusha wstał cały czerwony na twarzy.

– Ty parszywy bękarcie.

– Nie jestem bękartem. Jestem tylko skrajnie zdesperowanym człowiekiem, który zrobi wszystko, by uzyskać to, czego chce.

– A czego pan właściwie chce?

– Aż boję się poprosić. Bo teraz, kiedy pana poznałem, wyczuwam, że jest pan człowiekiem dostatecznie silnym i nieugiętym, by oprzeć się próbie szantażu, którą przygotowałem. Śmiem twierdzić, że byłby pan gotów raczej poświęcić wszystko, z własną karierą włącznie, niż udzielić mi dostępu do tej bazy danych.

Długa cisza.

– Tu ma pan rację.

Pendergast widział, że Galusha już zdążył się pozbierać, przyswoić sobie te okropne wieści, i przygotował się na to, co miało nastąpić. Miał pecha, że natknął się na człowieka takiego jak Galusha zajmującego to stanowisko.

– Dobrze więc. Ale zanim wyjdę, powiem panu, co mnie tu sprowadziło. Dwanaście lat temu moja żona umarła w przerażających okolicznościach. A przynajmniej tak właśnie myślałem. Niedawno jednak dowiedziałem się, że ona żyje. Nie mam pojęcia, dlaczego się ze mną nie

skontaktowała. Może jest gdzieś uwięziona, przetrzymywana wbrew swojej woli. Może ktoś ją zastraszył. Tak czy inaczej muszę ją odnaleźć. A najlepiej nadaje się do tego M-LOGOS.

– Niech pan robi, co zechce, panie Pendergast, ale nigdy nie udzielię panu dostępu do tej bazy danych.

– Nie proszę pana o to. Chciałbym raczej poprosić, aby pan sam to sprawdził. Jeżeli ją pan znajdzie, po prostu niech mi pan powie. To wszystko. Nie chcę żadnych poufnych czy utajnionych informacji. Tylko nazwiska i miejsce.

– Albo ujawni pan moje kłamstwo.

– Albo ujawnię pańskie kłamstwo.

– Nie zrobię tego.

– Proszę dobrze się zastanowić nad tą decyzją, generale. Wiem, jak to się może zakończyć. Gruntownie to zbadałem. Straci pan swoją pozycję, zostanie pan zdegradowany i najprawdopodobniej wydalony z wojska. Cała pańska szczytna wojskowa kariera zostanie

sprowadzona do kłamstwa. Pańskie wojskowe dokonania staną się niezręcznym tematem w pańskiej rodzinie, czymś, co należy taktownie przemilczeć. Powróci pan do życia w cywilu zbyt późno, by móc jeszcze coś osiągnąć albo odkupić dawne grzechy, a wiele ścieżek kariery dostępnych dla byłych oficerów wojskowych z wiadomych przyczyn będzie dla pana niedostępnych. Już zawsze będzie pan definiowany przez to jedno kłamstwo. Jakie to nieuczciwe: wszyscy jesteśmy kłamcami, a pan jest człowiekiem lepszym od wielu innych. Świat to paskudne miejsce. Dawno temu pogodziłem się z tym faktem i zaakceptowałem to, że jestem jego częścią. To wiele mi ułatwiło. Jeżeli nie zrobi pan tego, o co proszę, co nawiasem mówiąc, nie wyrządzi nikomu szkody, a tylko pomoże innemu człowiekowi, bardzo szybko przekona się pan, jak paskudny może być świat.

Galusha spojrzał na Pendergasta, a w jego oczach było tyle smutku i gniewu wobec samego siebie, że agent nieomal się wzdrygnął. Oto miał przed sobą człowieka,

który już nie raz widział w życiu to, co najgorsze.

Kiedy generał znów się odezwał, jego głos brzmiał jak szept.

– Aby przeprowadzić poszukiwania, będę potrzebował osobistych informacji o pana żonie.

– Przyniosłem całe mnóstwo informacji. – Pendergast wyjął z kieszeni marynarki złożoną teczkę. – Znajdzie pan tu dane DNA, próbki pisma, historię medyczną, rentgen zębów, znaki szczególne, charakterystykę fizyczną i dużo więcej. Ona gdzieś żyje, w jakimś zakątku świata. Proszę, niech pan ją dla mnie znajdzie.

Galusha wyciągnął rękę po teczkę, jakby to było coś obrzydliwego, ale nie mógł zebrać się w sobie, by ją przyjąć. Dłoń zawisała w powietrzu, drżąc leciutko.

– Mam też dla pana coś na zachętę – ciągnął Pendergast. – Pewien mój znajomy posiada niezwykle umiejętności komputerowe. Zmodyfikuje archiwum Uniwersytetu Teksasńskiego, by miał pan w papierach, że zrobił pan to magisterium, w dodatku *cum laude*,

dokładnie tak, jak by się stało, gdyby nie śmierć pańskiego ojca, która zmusiła pana do rzucenia studiów na ostatnim semestrze.

Galusha pochylił głowę. W końcu jego poprzecinana żyłami dłoń schwyciła teczkę.

– Jak długo to potrwa? – spytał niemal szeptem Pendergast.

– Cztery godziny, może mniej. Proszę tu poczekać. Niech pan z nikim nie rozmawia. Sam się tym zajmę.

Trzy i pół godziny później generał wrócił. Twarz miał poszarzałą, wydawał się przybity, zdruzgotany. Położył teczkę na biurku i usiadł, a jego krzesło zaskrzypiało powoli; poruszał się jak starzec. Pendergast zastygł w bezruchu, obserwując go.

– Pańska żona nie żyje – powiedział ze znużeniem Galusha. – Musi być martwa. Bo dwanaście lat temu znikł po niej wszelki ślad. Po tym... – Uniósł głowę i spojrzał zmęczonym wzrokiem na Pendergasta. – Po tym, jak

została zabita przez lwa, w Afryce.

– To niemożliwe.

– Obawiam się, że nie tylko możliwe, ale wręcz nieuchronne. Chyba że przebywa teraz na terenie Korei Północnej, w pewnych częściach Afryki, Papui-Nowej Gwinei albo w jednym z nielicznych już, mocno odizolowanych zakątków świata. Wiem teraz o niej wszystko i o panu również, doktorze Pendergast. Wszelkie danej na jej temat, wszystkie nagrania, wszelkie ślady i dowody jej istnienia kończą się w Afryce. Ona nie żyje.

– Myli się pan.

– M-LOGOS się nie myli. – Galusha popchnął teczkę z powrotem w stronę Pendergasta. – Znam już pana na tyle dobrze, żeby mieć pewność, że dotrzyma pan swojej części umowy. – Wziął głęboki oddech. – Nie zostało nam zatem nic innego, jak tylko się pożegnać.

Czarne Bagna, Luizjana

Ned Betterton wyjął z kieszeni chustkę i chyba już po raz setny otarł spocone czoło. Miał na sobie luźny podkoszulek i bermudy, ale nie spodziewał się, że o tej porze roku na bagnach wciąż będzie tak parno i duszno. A ciasno założony opatrunek na poobijanych kłykciach zdawał się palić żywym ogniem.

Hiram, stary, prawie bezzębny mężczyzna, z którym rozmawiał na schodach przed tym, co zostało z lokalu U Małego, stał za sterem zdezelowanej płaskodennej łodzi motorowej; nacisnął głęboko na uszy bezkształtną czapkę. Przechylił się nad okrężnicą, spluwając do wody strużką brązowej, przesyconej tytoniem śliny, po czym znowu się wyprostował i powrócił spojrzeniem w stronę wąskiego kanału flisackiego prowadzącego na wprost przed nimi w otchłań zieloności.

Godzina poszukiwań w archiwum hrabstwa pozwoliła

Bettertonowi ustalić, że Spanish Island była wysepką z dawnym obozem myśliwsko-rybackim, znajdującą się głęboko wśród Czarnych Bagien, a jej właścicielami była rodzina June Brodie. Kiedy tylko dziennikarz to odkrył, natychmiast zdecydował o wynajęciu Hiram. Długo przekonywał tego starego piernika, zanim ten zgodził się zabrać go na Spanish Island. Ostatecznie studolarowy banknot i dodatkowa zachęta w postaci pokazania ćwiartki old grand-dad spełniły swoje zadanie, ale nawet wtedy Hiram uparł się, aby spotkali się na najdalej położonym, północno-zachodnim skraju Lake End, z dala od wścibskich oczu Małego i reszty ferajny.

Kiedy wyruszyli, Hiram był ponury, niespokojny i małomówny. Dziennikarz nie próbował nakłonić go do mówienia. Pozostawił butelkę old grand-dad w zasięgu jego ręki i teraz – dwie godziny i wiele łyków później – Hiramowi zaczął się rozwiązywać język.

– Daleko jeszcze? – spytał Betterton, ponownie robiąc użytek z chustki.

– Piętnaście minut – odrzekł Hiram, strzykając za burtę sokiem z tytoniu. – Może dwadzieścia. Teraz będzie ciężko.

On nie żartuje, pomyślał Betterton. Wokół nich z obu stron zacieśniły się cyprysy, a powyżej splątana zielonobrzazowa roślinność przesłoniła dostęp promieni słonecznych. Powietrze było tak gęste i parne, jakby przebywali w saunie. Ptaki i owady brzęczały i świergotały bez przerwy, a od czasu do czasu słychać było plusk wpełzającego do wody aligatora.

– Myślisz, że ten agent FBI zdołał dotrzeć na Spanish Island? – spytał Betterton.

– Nie wiem – odparł Hiram. – Nie powiedział.

Betterton spędził kilka wielce zajmujących dni, zapoznając się z danymi na temat agenta Pendergasta. To nie było łatwe, równie dobrze mógłby przeznaczyć na to cały tydzień. Albo nawet miesiąc. Mężczyzna pochodził ze starego rodu nowoorleańskich Pendergastów, dawnej rodziny szczycającej się francuskimi i angielskimi

korzeniami. Słowo „ekscentryczni” w żadnym stopniu nie oddawało prawdy na ich temat – byli naukowcami, badaczami, szemranymi lekarzami, handlarzami, magikami, oszustami... i zabójcami. Tak, zabójcami. Stryjeczna babka otruła całą swoją rodzinę i została zamknięta w zakładzie dla obłąkanych. Prapradziadek był słynnym magikiem i nauczycielem Houdiniego. Sam Pendergast miał brata, który najwyraźniej zniknął we Włoszech i na którego temat krążyło wiele plotek, a odpowiedzi było zaskakująco mało.

Ale to pożar najbardziej zaintrygował Bettertona. Kiedy Pendergast był dzieckiem, tłum nowoorleańczyków spalił do fundamentów rodzinną posiadłość przy Dauphine Street. Dochodzenie nie ustaliło, dlaczego tak się stało. Choć nigdy nikt nie przyznał się do uczestnictwa w tym zdarzeniu, wiele przesłuchanych przez policję osób podawało różne, nierzadko sprzeczne powody puszczenia rezydencji z dymem. Mówiono, że rodzina praktykowałą wudu, że syn zabijał zwierzęta w całej okolicy, że rodzina

spiskowała w celu zatrucia zapasów wody. Kiedy jednak Betterton posortował te wszystkie sprzeczne informacje, wyczuł, że za działaniami tłumu kryło się coś jeszcze: starannie opracowana, subtelna kampania dezinformacji przeprowadzona przez jedną lub więcej osób, której zamiarem było zniszczenie rodziny Pendergastów.

Wyglądało na to, że rodzina miała potężnego ukrytego wroga.

Płaskodenna łódź motorowa pokonała piaszczystą mieliznę, a Hiram zwiększył obroty silnika. W oddali widać było rozwidlenie zarośnięte gęstą roślinnością kanału. Hiram zwolnił, nieomal zatrzymując łódź. Dla Bettertona obie odnogi kanału wyglądały jednakowo: ciemne i ponure, z gałęziami cyprysów i pnączami winorośli zwieszającymi się jak pęta kiełbas w wędzarni. Hiram potarł podbródek z zastanowieniem, po czym uniósł wzrok, jakby szukał niebiańskiego natchnienia w zielonym baldachimie powyżej.

– Zgubiliśmy się, prawda? – spytał Betterton.

Zorientował się, że nie powinien ufać temu sędziwemu kmiotowi. Gdyby staremu coś się tu stało, to on sam pożegnałby się z życiem. Nie było mowy, aby samodzielnie zdołał wydostać się z tego bagiennego labiryntu.

– Nie – odparł Hiram, po czym pociągnął łyk z butelki i skierował łódź w lewą odnogę.

Kanał zwężał się coraz bardziej zarośnięty rzęsą i hiacyntami wodnymi. Pohukiwania i świergoty niewidocznych stworzeń przybrały na sile. Wyminęli pień starego cyprysu wystający z mulistej wody jak cokół zniszczonego pomnika. Hiram znów zwolnił, by pokonać ostry zakręt kanału, i spojrzał przez gęste girlandy zwieszającego się mchu przesłaniającego wszystko, co znajdowało się przed nimi.

– To już niedaleko – powiedział.

Delikatnie zwiększając obroty silnika, wprowadził łódź w ciemny, gęsty od mułu i szlamu przesmyk. Betterton schylił głowę, gdy przebijali się przez mech, po

czym znowu się podniósł i spojrzał przed siebie. Paprocie i wysokie trawy ustąpiły miejsca posepnemu prześwitowi. Betterton przyjrzał się uważniej i nagle na chwilę aż wstrzymał oddech.

Na zalewisku pojawiła się niewielka okrągła wysepka podmokłego gruntu, otoczonego starymi cyprysami. Cały otwarty obszar był kompletnie spalony, jakby miejsce to potraktowano napalmem. Szczątki kilkudziesięciu grubych kreozotowych pali wznosiły się ku niebu poczerńnięte i osmalone jak pieńki zepsutych zębów. Wszędzie walały się zwęglone kawałki drewna, poskręcane fragmenty metalu i inne szczątki. Wilgotny, kwaśny odór spalenizny unosił się jak mgła.

– To jest Spanish Island? – spytał z niedowierzaniem Betterton.

– To, co z niej zostało, o ile wiem – odparł Hiram.

Łódź motorowa popłynęła naprzód przez mętne zalewisko i wślizgnęła się na błotnisty brzeg, a Betterton wysiadł. Ruszył zwawo przed siebie, pokonując stromiznę

terenu i rozgarniając stopą szczątki. Zajmowały około pół hektara powierzchni i znajdowały się wśród nich najróżniejsze rzeczy: metalowe blaty stołów, sprężyny łóżek, utensylia kuchenne, osmalone szczątki kanap, poroża, stopione szkło, grzbiety książek i ku wielkiemu zdziwieniu dziennikarza także poczerńiałe szczątki urządzeń nieznanego przeznaczenia, potrzaskane i nieprawdopodobnie poskręcane. Ukląkł przed jednym z nich i wziął je do ręki. Pomimo ogromnego gorąca, na jakie narażone zostały urządzenia, dziennikarz rozpoznał, że był to jakiś przyrząd pomiarowy; przetarł metalową powierzchnię i zobaczył podziałkę i igłę wskaźnika odmierzającego coś w milimetrach. W jednym rogu widniało małe, wyblakłe logo: Precyzyjne Urządzenia Medyczne, Fall River, Massachusetts.

Co tu się stało, u licha?

Usłyszał za sobą głos Hirama, wysoki, piskliwy, pełen napięcia.

– Może powinniśmy już wracać?

Nagle Betterton uświadomił sobie, że zrobiło się cicho. W przeciwieństwie do reszty zalewiska tutaj ptaki i owady zupełnie ucichły. Było coś przeraźliwego w tej pełnej wyczekiwania ciszy. Znow spjrzał na plątaninę szczątków, dziwne, spalone kawałki metalu i pogięte urządzenia służące Bóg wie czemu. To miejsce wydawało się martwe.

Co więcej, wydawało się nawiedzone.

W jednej chwili Betterton zdał sobie sprawę, że chce czym prędzej znaleźć się jak najdalej stąd. Odwrócił się i ruszył z powrotem. Hiram, który najwyraźniej podzielał jego odczucia, był już w połowie drogi do łodzi motorowej. Opuścili wymarłe zalewisko, pokonując załomy wąskich, krętych kanałów prowadzących do Lake End.

Tylko raz – jeden jedyny – Betterton obejrzał się przez ramię w stronę gęstej ściany zieleni poza nimi, zasnutej cieniami, tajemniczej, oplecionej na bokach i od góry przez korony drzew i pnącza kudzu. Jakie skrywała

tajemnice – jakie straszliwe wydarzenie rozegrało się na Spanish Island – tego nie potrafił powiedzieć. Ale był pewien jednego. W jakiś sposób za tym wszystkim krył się podejrzany agent Pendergast.

River Pointe, Ohio

Na zamieszkanym przez przedstawicieli klasy średniej przedmieściach Cleveland zegar na wieży kościoła św. Pawła wybił północ. Szerokie ulice pogrążone były w ciszy i sennym odrętwieniu. Zeschłe liście szeleściły w rynsztokach poruszane nocnym wietrzykiem, a gdzieś z oddali dobiegało szczekanie psa.

Tylko w oknie na piętrze białego domu z desek stojącego przy rogu Church Street i Sycamore Terrace paliło się światło. Za oknem, zamkniętym na zasuwkę i zabitym gwoździami, a na dodatek przesłoniętym podwójnymi storami, znajdował się pokój pełen różnorodnych urządzeń. Jeden regał sięgający od podłogi aż po sufit zawierał gęsto upakowane serwery typu blade pierwszego poziomu niezawodności, wiele czterdziestoportowych switchy gigabitowych warstwy trzeciej, kilka macierzy NAS skonfigurowanych

jako RAID-2. Kolejny regał zawierał bierne i czynne urządzenia monitorujące, packet sniffery do namierzania i przechwytywania pakietów danych oraz skanery policyjnych i cywilnych częstotliwości. Każda płaska powierzchnia była zasłana klawiaturami, bezprzewodowymi wzmacniaczami sygnałów, cyfrowymi termometrami na podczerwień, testerami sieciowymi i ekstraktorami firmy Molex. Na jednej z wyższych półek stał staroświecki modem z akustycznym sprzęgaczem, najwyraźniej wciąż użytkowanym. Powietrze było ciężkie od woni kurzu i mentolu. Jedyne światło płynęło z monitorów LCD i mnóstwa rozmaitych wyświetlaczy.

Pośrodku pokoju na wózku inwalidzkim siedziała skurczona postać. Mężczyzna był ubrany w spraną, wyblakłą pizamę i szlafrok frotté. Przesuwał się wolno od terminala do terminala, odczytując wskazania, spoglądając na linijki zagadkowego kodu i od czasu do czasu wystukując na bezprzewodowych klawiaturach pospiesznie jak serię z automatu ciąg komend. Jedna dłoń

mężczyzny była uschnięta, palce skurczone i zdeformowane, ale wykonywał te czynności ze zdumiewającą łatwością.

Nagle znieruchomiał. Na niewielkim urządzeniu umieszczonym nad centralnym monitorem zapaliło się żółte światełko. Szybko podjechał do głównego terminala i wstukał szereg komend. W jednej chwili monitor rozdzielił się w istną szachownicę czarno-białych obrazów przesyłanych z dwudziestu czterech kamer ochrony rozmieszczonych wewnątrz i wokół domu. Pospiesznie zerknął na obrazy. Nic. Panika, która w jednej chwili go ogarnęła, nagle osłabła. Miał pierwszorzędny system ochrony i w dodatku zdublowany: gdyby doszło do przerwania zabezpieczeń, zostałby ostrzeżony przez kilka czujników ruchu i alarmów zbliżeniowych. To musiała być jakaś usterka, nic więcej. Rano przeprowadzi diagnostykę – to jeden z podsystemów, który nie powinien...

Nagle obok żółtego światełka zapaliło się czerwone i

rozległ się cichy sygnał alarmowy.

Strach i niedowierzanie zalały go jak fala przyływu. Przerwanie systemów ochronnych i to bez żadnego ostrzeżenia? To było niemożliwe, nie do pomyślenia... Uschnięta ręka sięgnęła w stronę małej metalowej skrzynki przymocowanej do jednego z podłokietników wózka inwalidzkiego, uniosła klapkę, pod którą znajdował się przycisk alarmowy. Jeden zakrzywiony jak szpon palec zawisł w powietrzu nad nim. Gdy go naciśnie, równocześnie wydarzy się kilka rzeczy: najbliższe posterunki policji, straży pożarnej i pogotowia odbiorą zgłoszenia alarmowe, wokół domu i wewnątrz niego zapalą się lampy sodowe, alarmy w piwnicy i na poddaszu zaczną emitować przeciągły, rozdierający sygnał, a degaussery rozmieszczone strategicznie w całym pokoju przez piętnaście sekund będą wytwarzać ukierunkowane pole magnetyczne, czyszcząc twarde dyski z wszystkich danych, na koniec zaś generator wyemituje impuls elektromagnetyczny, który całkowicie zniszczy wszystkie

obwody elektroniczne w pomieszczeniu na piętrze.

Palec dotknął przycisku.

– Dobry wieczór, Mimie – z ciemności korytarza dobiegł znajomy głos.

Palec cofnął się od guzika.

– Pendergast?

Agent specjalny pokiwał głową i wszedł do pokoju.

Przez chwilę mężczyzna na wózku wydawał się zbity z tropu.

– Jak się tu dostałeś? Mój system ochrony to prawdziwe dzieło sztuki.

– W rzeczy samej. Bądź co bądź zapłaciłem za jego zaprojektowanie i instalację.

Mężczyzna ściślej otulił szlafrokiem swoje szczupłe pokurczone ciało. Szybko jednak odzyskał rezon.

– Zawarliśmy układ. Mieliśmy już nie spotykać się twarzą w twarz.

– Zdaję sobie z tego sprawę. I szczerze żałuję, że musiałem złamać tę zasadę. Mam jednak do ciebie jedną

prośbę i odniosłem wrażenie, że przychodząc z nią do ciebie osobiście, dam ci wyraźniej do zrozumienia, jakie to dla mnie pilne.

Blade oblicze Mima rozjaśnił cyniczny słaby uśmiezek.

– Rozumiem. Tajny agent ma prośbę. A raczej żądanie. Powinienem powiedzieć, kolejne żądanie dla udręczonego, cierpiącego Mima.

– Nasze relacje zawsze były oparte na... jak by to ująć... zasadzie symbiozy. Zaledwie kilka miesięcy temu kazałem tu doprowadzić specjalny światłowód, prawda?

– Tak, zgadza się. Dzięki czemu można było się pławić w dostępie do danych przesyłanych z prędkością trzystu megabitów na sekundę, koniec z sączeniem informacji jak przez słomkę.

– Poza tym dopilnowałem, aby kłopotliwe oskarżenia wobec ciebie zostały wycofane. Pamiętasz, o czym mówię, o tych oskarżeniach Departamentu Obrony, jakoby...

– Dobra, tajny agencie, nie zapomniałem o tym wszystkim. Co zatem mogę dla ciebie zrobić w ten jakże miły wieczór? Cybersklepik Mima jest otwarty i może zhakować wszystko, czego ci akurat potrzeba. Żaden firewall nie jest za gruby, żaden algorytm szyfrujący nie jest za silny.

– Potrzebuję informacji na temat pewnej osoby. A ściślej rzecz biorąc, chcę wiedzieć, gdzie się obecnie znajduje. Choć w gruncie rzeczy wszystko mi się przyda: akta medyczne, kwestie natury prawnej, zmiany miejsca pobytu. Począwszy od dnia jej rzekomej śmierci aż do teraz.

Twarz Mima, dziwnie zapadnięta i przypominająca dziecięcą, ożywiła się nieznacznie na dźwięk tych słów.

– Od dnia jej rzekomej śmierci?

– Tak. Jestem przekonany, że ta kobieta żyje. I mam stuprocentową pewność, że używa fałszywego nazwiska.

– Zakładam, że znasz jej prawdziwe nazwisko?

Pendergast milczał przez chwilę.

– Helen Esterhazy Pendergast.

– Helen Esterhazy Pendergast. – Na twarzy Mima pojawił się wyraz jeszcze silniejszego zainteresowania. – Cóż, pora odkurzyć moją miotłę. – Zamyślił się przez kilka sekund. – Oczywiście będę potrzebował wielu danych osobowych, ile tylko możesz mi zapewnić, jeżeli mam przeprowadzić maksymalnie skuteczne i zakrojone na najszerszą z możliwych skalę poszukiwania awatara twojej... twojej...

– Żony – dokończył Pendergast i podał mu grubą teczkę.

Mim sięgnął po nią skwapliwie i zaczął przewracać strony zniekształconą dłonią.

– Wygląda na to, że nie jestem pierwszą osobą, do której zwracasz się w tej sprawie – powiedział.

Pendergast nie odpowiedział wprost.

– Poszukiwania oficjalnymi kanałami nic nie dały.

– Ach, zatem M-LOGOS zawiódł?

Kiedy Pendergast nie odpowiedział, Mim zachichotał.

– A teraz tajny agent chce, żebym spróbował szczęścia z drugiego końca cyberuliczki. Abym podniósł wirtualny dywan i sprawdził, co pod nim jest. Wysondował mroczne podbrzusze superautostrady informacyjnej.

– Dość niefortunny dobór metafor, ale tak, o to najogólniej chodzi.

– Cóż, to może trochę potrwać. Przepraszam za brak krzesła, możesz przynieść sobie jedno z sąsiedniego pokoju. Tylko nie zapalaj światła, bardzo proszę.

Mim wskazał gestem w stronę dużego, zabezpieczonego folią pojemnika na żywność stojącego w rogu pokoju.

– Batonika Twinkie?

– Jednak podziękuję.

– Jak chcesz.

Przez następne dziewięćdziesiąt minut nie padło ani jedno słowo. Pendergast siedział w ciemnym kącie

nieruchomo jak Budda, podczas gdy Mim przesuwał się od jednego terminala do drugiego, od czasu do czasu wpisując pospiesznie ciąg jakichś komend, kiedy indziej zaś pochylając się nad długimi linijkami odczytów pojawiających się na jednym z niezliczonych monitorów LCD. Minuty mijały powoli, a postać na wózku wydawała się coraz bardziej skurczona i rozkojarzona. Słysząc było często westchnienia. Od czasu do czasu dłoń uderzała z rozdrażnieniem w klawiaturę. Wreszcie Mim wycofał się sprzed centralnego komputera wyraźnie zawiedziony.

– Przykro mi, agencie Pendergast – powiedział niemal ze skrucą w głosie.

Pendergast spojrział na hakera, ale Mim patrzył w inną stronę i był odwrócony do niego plecami.

– Nic?

– Och, jest całkiem sporo informacji, ale wszystkie sprzed wyprawy do Afryki. Jej praca dla organizacji Lekarze ze Skrzydłami, oceny w szkole, na studiach medycznych. Książki wypożyczone z różnych bibliotek...

a nawet wiersz, który napisała w college'u, kiedy dorabiała jako opiekunka do dziecka.

– Dla dziecka, które straciło pierwszy ząbek – wymamrotał Pendergast.

– Tak. Ten. Ale po ataku lwa nic. – Mim zawahał się.
– A to zwykle oznacza jedno.

– Tak, Mimie – odrzekł Pendergast. – Dziękuję. – Zamyślił się przez chwilę. – Wspomniałeś mi o wynikach ze szkoły i studiów medycznych. Czy natknąłeś się na coś niezwykłego... cokolwiek? Może coś wydało ci się dziwne, dające do zastanowienia?

– Nie. Była okazem zdrowia. Ale musiałeś to wiedzieć. I wydaje mi się, że była dobrą studentką. Nieźle oceny w liceum i najwyższe noty na studiach. Nawet w podstawówce nieźle sobie radziła, choć to może wydawać się zaskakujące, zważywszy na jej sytuację.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że ona nie знаła angielskiego. Nie mówiła po angielsku.

Pendergast poderwał się z krzesła.

– Co takiego?

– Nie wiedziałaś? Tu jest wyraźnie napisane.

Mim wrócił do klawiatury i przez chwilę wystukiwał coś energicznie. Na ekranie pojawił się obraz, jakaś transkrypcja, napisana na maszynie starego typu, z odręcznymi uwagami u dołu.

– Kilka lat temu Wydział Edukacji Stanu Maine przeniósł wszystkie archiwalne akta na nośniki cyfrowe – wyjaśnił Mim. – Widzisz tę adnotację tutaj? To karta z raportem ocen Helen Esterhazy z drugiej klasy. – Nachylił się w stronę ekranu i przeczytał na głos: – „Biorąc pod uwagę, że Helen imigrowała do Stanów Zjednoczonych w połowie ubiegłego roku, a jej rdzennym językiem był portugalski i nie posługiwała się w ogóle językiem angielskim, jej postępy w szkole i rosnąca umiejętność władania językiem angielskim są imponujące”.

Pendergast podszedł bliżej i sam spojrział na wyświetlony obraz z wyrazem kompletnego zaskoczenia

na twarzy. Wreszcie wyprostował się i opanował emocje.

– Jeszcze jedno.

– Co takiego, tajny agencie?

– Chciałbym, abyś dostał się do bazy danych Uniwersytetu Tekszańskiego i wprowadził pewną poprawkę do ich archiwum. Niejaki Frederick Galusha miał rzekomo rzucić studia na drugim semestrze ostatniego roku, przed ukończeniem nauki. W archiwum powinna znaleźć się informacja, że ukończył studia *cum laude*.

– Bułka z masłem. Ale dlaczego tylko *cum laude*? Za jednego dolara więcej mogę sprawić, że będzie miał w papierach ukończenie studiów *summa cum laude*, przynależność do Phi Beta Kappa i co tylko zechcesz.

– *Cum laude* w zupełności wystarczy. – Pendergast przekrzywił lekko głowę. – I dopilnuj, żeby miał wszystkie fakultety niezbędne do uzyskania odpowiednich wyników i potwierdzające jego osiągnięcia. Pozwolisz, że się pożegnam.

– Doskonale. I pamiętaj, odtąd żadnych niespodziewanych wizyt. Nie zapomnij też, proszę, ponownie uruchomić wszystko, co mogłeś wyłączyć, aby się tu dostać.

Gdy Pendergast odwrócił się, by wyjść, człowiek nazywający siebie Mimem znów się odezwał:

– Hej, Pendergast?

Agent obejrzał się przez ramię.

– Jeszcze jedno. Esterhazy to węgierskie nazwisko.

– Zgadza się.

Mim podrapał się po szyi.

– Więc jak to możliwe, że jej rdzennym językiem był portugalski?

Kiedy jednak uniósł wzrok, okazało się, że mówił do pustych drzwi. Pendergast już zniknął.

Nowy Jork

Gdy Judson Esterhazy wysiadł z taksówki, uniósł wzrok, by spojrzeć na otaczające go kamienne wąwozy Dolnego Manhattanu, zanim odebrał swoją skórzaną aktówkę i zapłacił za kurs. Przeszedł przez wąski chodnik, wygładził krawat i pewnym, miarowym krokiem wmaszerował do gmachu, gdzie mieścił się nowojorski wydział zdrowia.

Dobrze było znów włożyć garnitur, nawet jeśli wciąż pozostawało się w ukryciu i korzystało z kamuflażu. Co więcej, lepiej było przejść do ofensywy, robić coś innego niż tylko uciekać. Strach i niepewność, które go zżerały, zastąpił – po wstępnym okresie paralizującej paniki – prostym, zdecydowanym planem. Takim, który raz na zawsze położy kres jego problemom związanym z Pendergastem. Ale co istotniejsze, jego plan zadowolił ich. Oni mu pomogą. Ostatecznie.

Dobierz się do faceta przez jego sukę.

Wspaniała rada, choć wyrażona w dość szorstkich słowach. A znalezienie „suki” okazało się dla Esterhazyego łatwiejsze, niż się tego spodziewał. Następne wyzwanie polegało na ustaleniu sposobu zbliżenia się do wspomnianej suki.

Wchodząc do holu głównego, spoglądając na tablicę biur i urzędów, zauważył, że Wydział Higieny Psychiczej mieści się na szóstym piętrze. Podeszedł do windy, wszedł do czekającej kabiny i nacisnął przycisk z cyfrą „6”. Drzwi się zamknęły i kabina ruszyła w górę.

Jego wiedza o bazach medycznych okazała się nieoceniona. Szybko zdobył znalazł w internecie potrzebne mu informacje i opracował plan ataku. Najpierw natrafił na wzmiankę o postępowaniu w celu ubezwłasnowolnienia i zamknięcia podejrzanej w zakładzie, podczas którego Pendergast miał być obecny jako osoba zainteresowana, ale ostatecznie się nie pojawił. Następnie znalazł pracę niejakiego doktora Feldera,

jeszcze nieopublikowaną, ale złożoną do lektury i recenzji członków Towarzystwa Medycznego, dotyczącą wyjątkowo ciekawego przypadku osoby tymczasowo umieszczonej w Zakładzie Poprawczym dla Kobiet w Bedford Hills, która jednak miała zostać wkrótce przeniesiona do szpitala Mount Mercy. Choć tożsamość pacjentki została rzecz jasna utajniona, dzięki postępowaniu w celu ubezwłasnowolnienia ustalenie jej prawdziwego nazwiska okazało się banalnie proste.

Po wyjściu z windy Esterhazy spytał o drogę do biura doktora Johna Feldera. Psychiatra pracował w swoim maleńkim schludnym gabinecie i wstał, kiedy Esterhazy wszedł do środka. Był równie mały jak jego gabinet, starannie ubrany, z krótkimi, mysiego koloru włosami i starannie przystrzyżoną bródką à la van Dyke.

– Doktor Poole? – zapytał, wyciągając rękę.

– Doktorze Felder – powiedział Esterhazy, ściskając dłoń tamtego. – Bardzo mi miło.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł

Felder, gestem wskazując gościowi wolne krzesło. – Poznanie kogoś, kto miał wcześniej możliwość leczenia Constance, stanowi nieoczekiwane dobrodziejstwo dla mojej pracy.

Dla mojej pracy. Było dokładnie tak, jak podejrzewał Esterhazy. Rozejrzał się po bezosobowym gabinecie, lustrując podręczniki i wystudiowanie neutralne obrazy. Z własnych obserwacji wiedział, że praca psychiatry wyznaczonego z nakazu sądu była wyjątkowo niewdzięczna. Połowa pacjentów takiego specjalisty to czystej wody socjopaci, natomiast druga połowa markowała symptomy choroby, aby uniknąć odpowiedzialności karnej. Esterhazy czuł, że Felder jest człowiekiem o znacznie większych ambicjach, a przekonania takiego nabrał po przejrzeniu przeznaczonej do recenzji wersji jego ostatniej pracy. Z całą pewnością był to ufny człowiek, gorliwy, otwarty i jak wielu inteligentnych ludzi odrobinę naiwny. Typowy frajer. W sam raz, aby go okpić.

Mimo to musiał bardzo ostrożnie opracować swój plan. Najdrobniejszy przejaw niewiedzy na temat pacjentki i jej przypadku natychmiast wzbudziłby podejrzenia. Sztuczka polegała na tym, by przekuć tę niewiedzę na swoją korzyść. Machnął ręką.

– Jej przypadek jest naprawdę wyjątkowy, tak przynajmniej wynika z mojego doświadczenia. Ucieszyłem się, widząc pańską pracę, bo to nie tylko interesujący przypadek, ale jak sędzę, może się okazać bardzo ważny. Może nawet przełomowy. Choć sam nie jestem zainteresowany publikacją, zajmują mnie inne kwestie.

Felder tylko pokiwał głową z wyrozumiałością, Esterhazy jednak dostrzegł w oczach psychiatry wyraz ulgi. Było ważne, aby Felder uświadomił sobie, że gość nie stanowi zagrożenia dla jego ambicji.

– Ile razy rozmawiał pan z Constance? – spytał Esterhazy.

– Miałem jak dotąd cztery konsultacje.

– Czy przejawiała już symptomy amnezji?

Felder zmarszczył brwi.

– Nie. W ogóle.

– To była część jej terapii, która stanowiła dla mnie największe wyzwanie. Kończyłem z nią sesję w przekonaniu, że uczyniłem postęp w dotarciu do niektórych z co groźniejszych jej urojeń. Kiedy jednak wracałem na następną sesję, okazywało się, że w ogóle nie pamiętała poprzedniej wizyty. A właściwie twierdziła, że wcale mnie nie pamięta.

Felder złączył dłonie koniuszkami palców.

– To dziwne. Mogę powiedzieć, że jej pamięć jest naprawdę wspaniała.

– Ciekawe. Amnezja jest zarazem dysocjacyjna i wysepkowata.

Felder zaczął sprawdzać notatki.

– Najciekawsze jest moim zdaniem to, że istnieją silne przesłanki, iż w tym przypadku mamy do czynienia z rzadką odmianą fugi dysocjacyjnej.

– Co mogłoby tłumaczyć na przykład ten rejs oceaniczny? – Felder wciąż notował.

– Tak. Jak również niewyjaśniony wybuch przemocy. Właśnie dlatego, doktorze Felder, uważam ten przypadek za wyjątkowy. Myślę, że mamy szansę – że pan ma szansę – w znaczący sposób rozszerzyć zakres wiedzy medycznej.

Felder notował szybciej.

Esterhazy poruszył się na krześle.

– Zastanawiam się często, czy jej... ee... niezwykle związki osobiste mogą być czynnikiem odpowiedzialnym w jakiejś mierze za te zaburzenia.

– Ma pan na myśli jej opiekuna? Tego, jak mu tam, Pendergasta?

– Cóż... – Esterhazy jakby się zawahał. – To prawda, że Pendergast używa określenia „opiekun”. Niemniej, i mówię to jak lekarz do lekarza, rozumie pan – ten związek był o wiele bardziej zażyły, niż można by przypuszczać. To może także tłumaczyć, dlaczego

Pendergast, jak rozumiem, nie zechciał pojawić się na przesłuchaniu w sprawie jej ubezwłasnowolnienia i umieszczenia w zakładzie.

Doktor Felder przestał notować i uniósł wzrok. Esterhazy powoli znacząco uniósł wzrok.

– To bardzo ciekawe – powiedział Felder. – Ona wyraźnie i stanowczo temu zaprzecza.

– Naturalnie – odparł niemal szeptem Esterhazy.

– Wie pan... – Felder przerwał na chwilę, jakby zastanawiał się nad czymś. – Gdyby w grę wchodziła jakaś silna, emocjonalna trauma, przymuszenie o charakterze seksualnym albo nawet molestowanie, może to wyjaśnić nie tylko stan fugi, ale również dziwne idee mające dotyczyć jej przeszłości.

– Dziwne idee mające dotyczyć jej przeszłości? – powtórzył Esterhazy. – To chyba coś nowego.

– Constance upiera się – i nie zamierzam tu owijać w bawełnę, doktorze Poole – że ma obecnie jakieś sto czterdzieści lat.

Esterhazy z trudem zdołał zachować niewzruszoną postawę.

– Naprawdę? – wykrztusił.

Felder pokiwał głową.

– Twierdzi, że urodziła się w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Że dorastała przy Water Street, o kilka przecznic od miejsca, w którym znajdujemy się obecnie. Że jej rodzice zmarli, kiedy była jeszcze mała, i że przez wiele, bardzo wiele lat żyła w rezydencji będącej własnością mężczyzny nazwiskiem Leng.

Esterhazy szybko poszedł tym tropem.

– To może być druga strona medalu, jej dysocjacyjnej amnezji i fugi.

– Chodzi o to, że jej wiedza o przeszłości – a przynajmniej o okresie, w którym rzekomo miała dorastać – jest wyjątkowo wyrazista. I zgodna z prawdą.

Co za bzdury.

– Constance jest niezwykle inteligentną, choć mocno

zaburzoną osobą.

Felder przez chwilę przeglądał swoje notatki. Następnie przeniósł wzrok na Esterhazyego.

– Doktorze, czy mogę prosić pana o przysługę?

– Oczywiście.

– Czy zechciałby pan skonsultować ze mną ten przypadek?

– Z wielką przyjemnością.

– Chętnie usłyszę drugą opinię. Pańskie wcześniejsze doświadczenia z pacjentką i pańska obserwacja z całą pewnością okażą się bezcenne.

Esterhazy poczuł dreszcz radości.

– Zamierzam spędzić w Nowym Jorku zaledwie tydzień czy dwa, na Uniwersytecie Columbia, ale ma się rozumieć, z przyjemnością udzielę panu wszelkiej pomocy.

Po raz pierwszy doktor Felder się uśmiechnął.

– Jeżeli chodzi o amnezję wysepkowatą, o której wspomniałem – rzekł Esterhazy – byłoby lepiej, gdyby

przedstawił mnie pan pacjentce, jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkali. Wówczas będzie pan mógł obserwować jej reakcję. Będzie ciekawie przekonać się, czy amnezja nie została zniwelowana przez stan fugi.

– Tak, to rzeczywiście ciekawe.

– Rozumiem, że obecnie przebywa w Mount Mercy?

– Zgadza się.

– Zakładam, że może pan zaaranżować dla mnie wszystko, co niezbędne, abym mógł zyskać status konsultanta?

– Chyba tak. Oczywiście będę potrzebował pańskiego CV, informacji na temat ośrodka, w którym pan pracuje, i innych danych niezbędnych do wypełnienia koniecznych dokumentów. Papierkowa robota, rozumie pan. – Felder zawiesił głos, lekko zmieszany.

– Oczywiście! Tak się składa, że mam wszystkie niezbędne dokumenty przy sobie. Przywiozłem je dla potrzeb działu kadr Uniwersytetu Columbia.

Otworzył aktówkę i wyjął teczkę z perfekcyjnie

podrobionym zestawem akredytacji i dokumentów dostarczonych przez Przymierze. Gdyby Felder zechciał to sprawdzić, dowiedziałby się, że doktor Poole istniał naprawdę, ale zważywszy na jego ufną naturę, Esterhazy wątpił, aby tamten zechciał wykonać w tej sprawie choćby jeden telefon.

– A tu jest krótkie podsumowanie mojej pracy z Constance.

Wyjął drugą teczkę, której zawartość bardziej podsyca ciekawość Feldera, niż dostarczy mu jakichkolwiek naprawdę istotnych informacji.

– Dziękuję. – Felder otworzył pierwszą teczkę, przejrzał pośpiesznie jej zawartość, po czym zamknął ją i oddał. Tak jak na to liczył Esterhazy, ten krok był czystą formalnością. – Na jutro powinienem mieć dla pana wszystko załatwione.

– Tu ma pan numer mojej komórki.

Esterhazy przesunął po blacie biurka wizytówkę. Felder włożył ją do kieszeni marynarki.

– Nie ma pan pojęcia, jak bardzo się cieszę, doktorze Poole, że zechciał pan udzielić mi swojego wsparcia w tej sprawie.

– Może mi pan wierzyć, doktorze, cała przyjemność po mojej stronie.

Esterhazy wstał, gorąco uścisnął dłoń Feldera, uśmiechnął się do niego, patrząc mu prosto w oczy, i wyszedł.

Plantacja Penumbra, okręg St. Charles

– Witam w domu, panie Pendergast – rzekł Maurice, kiedy otworzył frontowe drzwi, jakby Pendergasta nie było zaledwie kilka minut, a nie dwa miesiące. – Życzy pan sobie kolację, sir?

Pendergast wszedł do domu. Maurice zamknął drzwi, by nie wpuścić do środka chłodnej mgiełki mroźnego powietrza.

– Nie, dziękuję. Ale z przyjemnością wypiję w saloniku na piętrze kieliszek amontillado.

– Kominek już rozpalony.

– Cudownie.

Pendergast wszedł po schodach na piętro, do saloniku, gdzie płonął nieduży ogień, odganiając wiecznie obecną w domu wilgoć. Zajął miejsce w klubowym fotelu przy kominku, a chwilę później zjawił się Maurice, niosąc srebrną tacę z ustawionym na niej niedużym kieliszkiem

sherry.

– Dziękuję, Maurice.

Kiedy siwowłosa służący odwrócił się, by odejść, Pendergast rzekł:

– Wiem, że martwiłeś się o mnie.

Maurice przystanął, ale nie odpowiedział.

– Kiedy po raz pierwszy odkryłem okoliczności śmierci mojej żony, musiałeś być bardzo zaniepokojony.

– Martwiłem się – przyznał Maurice.

– Dziękuję. Wiem o tym. Ale już wróciłem do siebie i nie ma potrzeby, abyś kontrolował to, dokąd się wybieram, kiedy wracam, ani informował o tym mojego szwagra... – Przerwał. – Zakładam, że kontaktowałeś się z Judsonem w związku z moją sytuacją?

Maurice zaczerwienił się.

– Sir, on jest lekarzem i prosił mnie o pomoc, zwłaszcza jeżeli chodzi o pańskie poczynania. Bardzo się obawiał, by nie uczynił pan czegoś pochopnego. Pomyślałem, że zważywszy na historię rodziny... – Nie

dokończył.

– Rozumiem, rozumiem. Ale okazało się, że Judson nie miał na względzie mojego dobra. Obawiam się, że stosunki między nami pogorszyły się. Jak już wspomniałem, niemal całkiem wróciłem do formy. Widzisz zatem, że nie ma powodu, abyś miał jeszcze informować go odtąd o czymkolwiek.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że moje zaufanie wobec doktora Esterhazyego nie przysporzyło panu żadnych niedogodności?

– Najmniejszych.

– Czy życzy pan sobie coś jeszcze?

– Nie, dziękuję. Dobranoc, Maurice.

– Dobranoc, sir.

Godzinę później Pendergast siedział w bezruchu w niewielkim pomieszczeniu służącym kiedyś jego matce za garderobę. Drzwi były zamknięte na klucz. Ciężkie staroświeckie meble zostały usunięte i zastąpione fotelem

klubowym i ustawionym przed nim mahoniowym stolikiem. Elegancka tapeta Williama Morrisa została zerwana, a w jej miejsce rozciągnięto granatowy materiał wyłumniający dźwięki. W pokoju nie było nic, co mogłoby kogokolwiek zdezorientować albo wzbudzić zaniepokojenie. Jedyne źródło światła w pozbawionym okien pomieszczeniu stanowiła świeca z wosku pszczelego na małym stoliku, której migotliwy blask odbijał się na pozbawionych wzorów ścianach. To było najbardziej prywatne i odosobnione pomieszczenie w całej rezydencji.

W doskonałej ciszy Pendergast skupił wzrok na płomieniu świecy, z wielką rozwagą spowalniając oddech i tętno. Dzięki ezoterycznej technice medytacyjnej Chongg Ran, którą nauczył się praktykować w Himalajach wiele lat temu, przygotowywał się do wejścia w wyższy stan świadomości *stong pa nyid*. Pendergast połączył tę starożytną buddyjską praktykę z ideą pałacu wspomnień zawartą w *Ars memoriae* Giordana Bruna, by

stworzyć własną formę mentalnej koncentracji.

Patrzył na płomień i wolno – bardzo wolno – pozwolił, by jego spojrzenie przeniknęło migoczące serce. Kiedy tak siedział w bezruchu, czekał, aż jego świadomość wniknie do płomienia, by mógł ją pochłonąć, połączyć się z nią w organiczną jedność, a następnie – po upływie kolejnych minut – na jeszcze bardziej fundamentalnym poziomie, aż mogło się wydawać, że same cząsteczki jego odczuwającego istnienia połączyły się z cząsteczkami ognia.

Migoczący żar narastał, wypełniając jego umysł nieskończonym, nienasyconym płomieniem. I nagle, niespodziewanie ogień zgasł. Nastąpiła nieprzenikniona czerń.

Pendergast czekał w absolutnym spokoju, z niezmaconym umysłem na swój pałac wspomnień – skarbnicę wiedzy i pamięci, do której mógł się wycofać, gdy potrzebował jakichś wskazówek lub pomocy. Jednak z czerni nie wyłoniły się znajome marmurowe ściany.

Zamiast tego Pendergast znalazł się w mrocznym, przypominającym składzik pomieszczeniu, z sufitem opadającym ukośnie, nisko nad jego głową. Przed sobą miał okratowaną bramę prowadzącą do korytarza dla służby; dalej była ściana pokryta różnymi bohomazami i mapami skarbów narysowanymi przez chłopięce dłonie. To była kryjówka zwana jaskinią Platona, pod tylnymi schodami starego domu przy Dauphine Street, gdzie on i jego brat Diogenes dopracowywali swoje dziecięce plany... aż do zdarzenia, które na zawsze zdruzgotało łączące ich więzy przyjaźni.

Już drugi raz ścieżki pamięci doprowadziły niespodziewanie Pendergasta do tego miejsca. Z nagłym zaniepokojeniem zajrzał w ciemną przestrzeń jaskini Platona. Był tam jego brat, wyglądał na dziewięcio-, dziesięciolatek, ubrany w marynarski sweter i krótkie spodenki, które stanowiły element stroju w ich szkole Lushera. Przeglądał album z reprodukcjami dzieł Caravaggia. Uniósł wzrok, popatrzył na Pendergasta i

uśmiechnąwszy się sardonicznie, powrócił do albumu.

– To znowu ty – rzekł Diogenes. Może to dziwne, ale chłopiec mówił głosem dorosłego mężczyzny. – W samą porę. Maurice widział właśnie wściekłego psa biegnącego ulicą przy domu Le Prêtre'ów. Chodźmy, może uda się nam zagonić go do klasztoru św. Marii. Co ty na to? Jest południe, zakonnice pewnie właśnie schodzą się na mszę.

Kiedy Pendergast nie odpowiedział, Diogenes przewrócił stronę w albumie.

– To jeden z moich ulubionych – powiedział. – *Ścięcie św. Jana Chrzciciela*. Zwróć uwagę, jak kobieta po lewej opuszcza kosz, by pochwycić głowę. Cóż za autentyzm! I ten szlachcic stojący nad Janem, kierujący egzekucją – cóż za aura władczego spokoju! Tak właśnie chciałbym wyglądać, kiedy... – Zamilkł nagle i odwrócił kolejną stronę.

Pendergast wciąż milczał.

– Niech zgadnę – rzekł Diogenes. – To ma coś wspólnego z twoją ukochaną zmarłą żoną.

Pendergast pokiwał głową.

– Wiesz, widziałem ją raz – ciągnął Diogenes, nie unosząc wzroku znad albumu. – Byliście wtedy w altanie za domem, graliście w warcaby. Obserwowałem was spośród krzewów wisterii. Priap w gęstwinie i takie tam. Idylliczna scenka. Ona była taka zrównowazona, jej ruchy takie eleganckie. Przypominała mi Madonnę z *Niepokalanego Poczęcia* Murilla. – Przerwał. – Myślisz, że ona wciąż żyje, *frater*?

Pendergast odezwał się po raz pierwszy.

– Tak powiedział mi Judson, a nie miał powodu, by kłamać.

Diogenes nie uniósł wzroku znad albumu.

– Nie miał? Wręcz przeciwnie. Mógł chcieć, abyś umierając, cierpiał najgorsze katusze. Wywierasz taki efekt na ludzi. – Odwrócił kolejną stronę. – Zakładam, że odkopałeś jej ciało?

– Tak.

– I?

– DNA było zgodne.

– A mimo to wciąż uważasz, że ona żyje? – Kolejny ironiczny uśmiezek.

– Rentgen zębów także się zgadza.

– Czy ciału brakowało ręki?

Długa przerwa.

– Tak. Ale dowody w postaci odcisków palców nie były rozstrzygające.

– Ciało musiało być w okropnym stanie. Jakie to straszne, że właśnie taki obraz zapisał się w twojej pamięci – twoje ostatnie wspomnienie o niej. Znalazłeś już jej akt urodzenia?

Pendergasta zaskoczyło to pytanie. Teraz, kiedy ten temat się pojawił, agent przypomniał sobie, że nie pamiętał, aby kiedykolwiek widział akt urodzenia żony. Nie uważał tego za istotne. Zawsze zakładał, że urodziła się w Maine, ale najwyraźniej to było kłamstwo.

Diogenes postukał palcem w reprodukcję *Ukrzyżowania św. Piotra*.

– Zastanawiam się, jak powieszenie głową do dołu może wpływać na czyjeś procesy myślowe. – Uniósł wzrok – *Frater*. To ty posiadłeś, powiem wprost, jej serce i ciało. Byłeś jej bliźniaczą duszą, czyż nie?

– Tak sądziłem.

– No to zastanów się nad swoimi uczuciami. Co ci mówią?

– Że ona żyje.

Diogenes wybuchnął perlistym śmiechem, jego różowe chłopięce usta otworzyły się, a śmiech, który z nich wypłynął, był groteskowo dorosły. Pendergast czekał, aż tamten się uspokoi. W końcu Diogenes zamilkł, przygładził włosy i odłożył album na bok.

– To takie cudowne. Jak nadejście zabójczego przyływu. Rad jestem, widząc, że dobre, stare geny Pendergastów w końcu ujawniają się także w tobie. Teraz masz swoją szaleńczą obsesję. Gratulacje i witaj w rodzinie!

– To nie obsesja, jeżeli okaże się prawdą.

– O-ho-ho!

– Ty nie żyjesz. Co możesz wiedzieć?

– Czy aby na pewno na nie żyję? *Et in Arcadia ego!*

Nadejdzie taki dzień, kiedy my wszyscy, wszyscy Pendergastowie, weźmiemy się za ręce w wielkim ponownym zjednoczeniu całej rodziny w najniżej położonym kręgu piekieł. Cóż to będzie za feta! Hahahaha...!

Nagłym, gwałtownym ruchem woli Pendergasr opuścił ścieżkę wspomnień. Ponownie znalazł się w starej garderobie, siedział w skórzanym fotelu klubowym, mając do towarzystwa tylko migoczącą świecę.

Pendergast powrócił do saloniku na piętrze i sącył sherry w milczącej zadumie. Choć powiedział Maurice'owi, że już doszedł do siebie, w rzeczywistości było to kłamstwo, co uświadomił sobie właśnie teraz – dopuścił się bowiem przeoczenia, z którego dotąd nie zdawał sobie sprawy.

Podczas wcześniejszych poszukiwań dokumentów Helen nie zwrócił uwagi, że brakowało ważnego szczegółu – jej aktu urodzenia. Miał wszystkie inne dokumenty. Informacja, że przystąpiła do nauki w drugiej klasie, mówiąc tylko po portugalsku, była tak zaskakująca, że nie pomyślał nawet o nasuwającym się pytaniu o akt urodzenia – albo raczej o jego brak. Musiała ukryć go w dostępnym dla niej, ale równocześnie bezpiecznym miejscu. Co sugerowało, że wciąż znajdował się gdzieś w ostatnim domu, który zamieszkiwała.

Upił jeszcze łyk sherry, przerywając na chwilę, by

ponapawać się bogatą bursztynową barwą. Penumbra była wielką, rozległą rezydencją oferującą mnóstwo potencjalnych kryjówek dla kartki papieru.

Powoli zaczął eliminować możliwe schowki. To musiało być miejsce, gdzie spędzała czas, aby jej obecność tam nie budziła podejrzeń. Miejsce, gdzie czuła się swobodnie. Miejsce, gdzie nikt jej nie niepokoił. Jakiś kąt albo mebel, który nigdy nie został przeniesiony, opróżniony, odkurzony, przewietrzony czy przeszukany przez kogokolwiek innego.

Pendergast pozostał w saloniku przez kilka godzin pogrążony w głębokim zamyśleniu, mentalnie przeczesując każdy pokój i kąt rezydencji. Wreszcie, gdy definitywnie zawęził obszar poszukiwań do jednego pokoju, podniósł się bezszelestnie i zszedł po schodach do biblioteki. W progu przystanął i powiódł wzrokiem po całym pomieszczeniu, lustrując znajdujące się tam trofea, wielki stół refektarzowy, regały i dzieła sztuki, a następnie odrzucając kolejno dziesiątki potencjalnych schowków.

Po kolejnych trzydziestu minutach rozmyślań zawęził mentalne poszukiwania do jednego tylko mebla.

Ozdobna masywna szafa, w której znajdowało się podwójne portfolio Audubona w słoniowej skórze – ta ulubiona księga Helen stała pod ścianą po lewej stronie. Pendergast wszedł do biblioteki, zamknął masywne drzwi i zbliżył się do wielkiej szafy. Przyglądał się jej przez jakiś czas, po czym wysunął dolną szufladę z dwoma masywnymi woluminami w formacie folio. Przeniósł obie księgi na stół refektarzowy pośrodku pomieszczenia i ułożył starannie jedną przy drugiej. Następnie wrócił do szafy, wysunął szufladę do samego końca, by obejrzeć jej dno z obu stron.

Nic.

Pendergast pozwolił sobie na delikatny uśmiezek. Wewnątrz szafy były tylko dwa logicznie nasuwające się schowki. Pierwszy okazał się pusty. To oznaczało, że akt urodzenia musiał znajdować się w drugim.

Sięgnął do rowków na bokach szuflady i pomacał

uważnie, przesunął dłonią powyżej dna szuflady i dalej powiódł palcami po drewnie w głębi szafy.

Znowu nic.

Pendergast odskoczył od szafy jak oparzony.

Wstał, spoglądając na nią. Uniósł dłoń do ust, jego palce drżały leciutko. Wreszcie po długiej chwili odwrócił się i rozejrzał po bibliotece z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Maurice zazwyczaj wstawał wcześnie, nie później niż o szóstej. Rano sprzątał, kontrolował całą rezydencję i przygotowywał śniadanie. Dziś rano jednak jeszcze po ósmej był w łóżku.

Prawie nie zmrużył oka. Słyszał, jak Pendergast przez całą noc krząta się po domu, wchodzi i schodzi po schodach, przestawia meble, upuszcza jakieś rzeczy na podłogę, przesuwa przedmioty z miejsca na miejsce. Nasłuchiwał z rosnącym niepokojem, podczas gdy

stuknięcia, szurnięcia, trzaski i szelesty nie cichły ani przez chwilę, rozlegając się w całej rezydencji od poddasza przez salonik, pokój dzienny, sypialnie dla gości aż po piwnice. Trwało to wiele godzin. Teraz, choć słońce już wzeszło i pięło się po niebie, Maurice nieomal bał się wyjść z pokoju i zobaczyć, w jakim stanie był dom. W rezydencji musiał panować potworny, nieopisany bałagan.

Niemniej z westchnieniem służący odgarnął koc i podźwignął się do pozycji siedzącej.

Wstał i podszedł bezszelestnie do drzwi. W domu zaległa grobowa cisza. Oparł dłoń na klamce i nacisnął na nią. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Skwapliwie, z narastającym niepokojem wychylił głowę.

W korytarzu zobaczył nienaganny porządek.

Maurice po cichu krążył od pokoju do pokoju. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu; w Penumbrze panował doskonały porządek. A Pendergasta nie było.

Jedenaście tysięcy metrów nad Wirginią Zachodnią

– Życzy pan sobie jeszcze jeden sok pomidorowy, sir?

– Nie, dziękuję. To mi wystarczy.

– Doskonale.

Stewardesa ruszyła dalej środkowym przejściem między fotelami na pokładzie samolotu.

Siedzący w pierwszej klasie Pendergast obejrzał pożółkły dokument, który po wielu godzinach niezwykle wyczerpujących i żmudnych poszukiwań wy dobył w końcu z najdziwniejszego miejsca, jakie można sobie wyobrazić: był zwinięty w rurkę i włożony do lufy starej strzelby, co raz jeszcze uświadomiło mu, jak słabo znał swoją żonę. Znów zlustrował wzrokiem treść dokumentu.

República Federativa do Brasil

Registro Civil Das Pessoas Naturais

Certidão de Nascimento

Nome

Helen von Fuchs Esterházy

Local de Nascimento: Nova Godói, RIO GRANDE
do SUL

Filiação Pai: András Ferenc Esterházy

Filiação Mãe: Leni Faust Schmid

Helen urodziła się w Brazylii, w miejscu o nazwie Nova Godói. Nova Godói – Nova G. Przypomniał sobie, że zauważył tę nazwę na skrawku nadpalonego papieru, na który on i Laura Hayward natknęli się w ruinach laboratorium farmakologicznego Longitude.

Mim powiedział, że rdzennym językiem Helen był portugalski. Teraz to brzmiało sensownie.

Brazylia. Pendergast zamyślił się przez chwilę. Helen spędziła prawie pięć miesięcy w Brazylii, zanim się pobrali, przebywając tam na misji z Lekarzami ze Skrzydłami. A przynajmniej tak wtedy mówiła. Jak się boleśnie przekonał, w wypadku Helen wszelkie podejrzenia były z gruntu fałszywe.

Znów spojrzął na akt urodzenia. Na samym dole znajdowała się rubryka OBSERVAÇÕES/AVERBAÇÕES – obserwacje/adnotacje. Przyjrzał się jej uważniej, po czym wyjął z kieszeni nieduże szkło powiększające, aby lepiej ją zbadać.

Cokolwiek znajdowało się w tej rubryce, zostało nie tylko zaczernione, papier bowiem wycięto i starannie zastąpiono nieoznakowanym kawałkiem papieru z tym samym wzorem w tle. Skrawki papieru połączono ze sobą z największą wprawą. To była doprawdy misterna robota.

W końcu dotarło do niego, że tak naprawdę w ogóle nie znał swojej ukochanej żony. Jak wielu innych omylnych ludzi był zaślepiony miłością. Nawet nie zaczął rozszyfrowywać ostatecznej zagadki jej tożsamości.

Z niemal nabożną ostrożnością zrolował dokument i wsunął głęboko do kieszeni garnituru.

Nowy Jork

Doktor John Felder wspiał się po schodach mieszczącej się przy Czterdziestej Drugiej Ulicy filii Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Było późne popołudnie, a na szerokich stopniach roiło się od studentów i obwieszonych aparatami fotograficznymi turystów. Felder zignorował ich, przechodząc pomiędzy marmurowymi lwami strzegącymi fasady w stylu beaux-arts, i wszedł do rozbrzmiewającego echem holu.

Przez lata korzystał z tej filii biblioteki, traktując ją jak swój azyl. Uwielbiał tę mieszankę elegancji, bogactwa i badań uczonych. Dorastał w biedzie, otoczony książkami jako syn komiwojażera i nauczycielki, a to miejsce zawsze było jego przystanią, ucieczką od gwarnej Jewel Avenue. Nawet teraz, pomimo iż Wydział Zdrowia dysponował mnóstwem materiałów badawczych, nieodmiennie i bardzo często powracał do biblioteki.

Samo wejście do wnętrza przepelnionego zapachem książek przynosiło mu pocieszenie, pozwalało pozostawić plugawy świat za sobą.

Dzień dzisiejszy był jednak wyjątkiem. Wydawał się inny.

Felder pokonał dwie kondygnacje schodów do czytelni głównej i przeszedł wzdłuż dziesiątków długich dębowych stołów, by dotrzeć w przeciwległy róg pomieszczenia. Postawił aktówkę na porysowanym drewnianym blacie, przysunął do siebie najbliższą klawiaturę i nagle znieruchomiał.

Minęło prawie pół roku, odkąd zaangażował się w sprawę Constance Greene. Początkowo były to rutynowe działania: jeszcze jedno wyznaczone przez sąd przesłuchanie chorej psychicznie pacjentki mającej skłonności przestępcze. Szybko jednak przerodziły się w coś więcej. Nigdy dotąd nie spotkał się z taką pacjentką. Zaskakiwała go, wprawiała w zakłopotanie, intrygowała – i podniecała.

Podniecała. Tak, to także. W końcu przyznał to przed sobą. Ale nie chodziło tylko o jej urodę, lecz również o jej dziwną nieziemskość. W Constance Greene było coś wyjątkowego, co wykraczało poza jej ewidentne szaleństwo. I to właśnie powodowało, że Felder chciał ją rozszyfrować, choć sam nie do końca rozumiał po co. Ale czuł głęboką potrzebę udzielenia pomocy dziewczynie, uleczenia jej. Potrzebę tę podsycił jej wyraźny brak zainteresowania przyjęciem jego pomocy.

Właśnie w tę pełną napięcia i emocji sytuację wkroczył doktor Ernest Poole. Felder zdawał sobie sprawę, że miał mieszane odczucia względem Poole'a, który był w szczególny sposób zainteresowany Constance, a myśl, iż inny psychiatra wcześniej badał jej przypadek, wydała mu się dziwnie irytująca. Jednak doświadczenia Poole'a z Constance, najwyraźniej inne niż jego, mogły stanowić najlepszą jak dotąd okazję, by zgłębić jej tajemnicę. Fakt, że kliniczne oceny Poole'a tak różniły się od jego, równocześnie stanowił dla niego zachętę i powód

do zastanowienia. Mogły one rzucić nowe światło na przypadek, który – czego był coraz bardziej pewien – powinien okazać się najważniejszym studium choroby w całej jego karierze.

Przyłożył palce do klawiatury i ponownie znieruchomiał. *Rzeczywiście urodziłam się przy Water Street w latach siedemdziesiątych, ale w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku.* Intensywność przekonań Constance w połączeniu z jej fotograficzną, jak dotąd niewyjaśnioną, wiedzą o dawnym wyglądzie tamtej dzielnicy nieomal przekonały go, że faktycznie ma ona sto czterdzieści lat. Jednak słowa Poole'a o amnezji wysepkowej i fudze dysocjacyjnej sprowadziły go na ziemię. Niemniej odnosił wrażenie, że ma względem Constance dość kredytu zaufania, by jeszcze raz, ostatni już, przeprowadzić poszukiwania.

Stukając w klawiaturę, wybrał biblioteczną bazę danych wydawnictw periodycznych. Zamierzał skupić się na latach 70. XX wieku i późniejszych, czyli na okresie, w

którym zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem powinna przyjść na świat Constance.

Przesunął kursor w dół na ramkę „parametry poszukiwań”, po czym przerwał, żeby spojrzeć do swoich notatek. *Kiedy zmarli moi rodzice i siostra, zostałam bezdomną sierotą. Dom pana Pendergasta przy Riverside Drive numer osiemset dziewięćdziesiąt jeden należał wówczas do człowieka nazwiskiem Leng. W końcu dom opustoszał. Tam właśnie mieszkałam.*

Postanowił szukać trzech haseł: Greene, Water Street i Leng. Z doświadczenia wiedział, że nie powinien określać zbyt ściśle warunków poszukiwań, gdyż gazety były pełne literówek. Utworzył więc wyrażenie regularne, używając logicznego „i”.

Wystukał na klawiaturze następujące zapytanie przypominające SQL-a:

```
SELECT WHERE (match) = = 'Green*' && 'Wat*  
St*' && 'Leng*'
```

Niemal natychmiast otrzymał odpowiedź. Jedno

trafienie: artykuł sprzed trzech lat w „New York Timesie”. Kilka uderzeń w klawiaturę i artykuł pojawił się na ekranie. Felder zaczął czytać z niedowierzaniem, na chwilę wstrzymując oddech.

Niedawno odkryty list rzuca nowe światło na zabójstwa sprzed stu lat

Autor: William Smithback jr.

Nowy Jork, 8 października. W archiwach nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej odkryto list, który może pomóc w rozwikłaniu zagadki upiornego znaleziska, licznych szczątków odkrytych na początku ubiegłego tygodnia na Dolnym Manhattanie.

Robotnicy pracujący przy budowie nowego apartamentowca u zbiegu ulic Henry i Catherine natrafili na podziemny tunel, wewnątrz którego znajdowały się szczątki trzydziściorga sześciorga mężczyzn i kobiet. Wstępne analizy ekspertów wykazały, że ofiary rozcięto lub być może poddano autopsji, a ich ciała w specyficzny

sposób rozczłonkowano. Według opinii archeolog Nory Kelly z nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej do tych zabójstw musiało dojść między 1872 a 1881 rokiem, kiedy u zbiegu wspomnianych ulic stał dwupiętrowy budynek, w którym znajdowało się prywatne muzeum znane jako Gabinet Osobliwości i Cudów Natury J.C. Shottuma. Gabinet ten spłonął w 1881 roku, a sam Shottum zginął w pożarze.

Podczas prowadzonych badań doktor Kelly natrafiła na list napisany przez samego J.C. Shottuma. Na krótko przed śmiercią relacjonuje on, w jaki sposób odkrył, że jego lokator, taksonomista i chemik nazwiskiem Enoch Leng, prowadził podejrzanе eksperymenty medyczne.

W liście tym Shottum sugerował, iż Leng dokonywał eksperymentów chirurgicznych na ludziach, a celem jego badań było przedłużenie własnego życia. Wykopane szczątki przekazano do biura koronera i od tej pory są niedostępne dla osób postronnych. Podziemny tunel został niedawno zasypany zgodnie z decyzją kierownictwa firmy

Moegen-Fairhaven, zarządcy robót, a na placu u zbiegu ulic Henry i Catherine podjęto dalsze prace związane z budową apartamentowca.

Z miejsca wykopalisk zdołano ocalić jedną sztukę odzieży, sukienkę, którą przewieziono do muzeum. Przebadała ją doktor Kelly, która odnalazła zaszytą w podszewce kartkę. Młoda kobieta, która najwyraźniej zdawała sobie sprawę z tego, że nie pozostało jej wiele życia, napisała: „Jestem Mary Greene, lat 19, Watter [sic!] Street 16”. Badania wykazały, że notatkę tę sporządziła własną krwią.

Sprawą zainteresowało się Federalne Biuro Śledcze. Na miejscu znaleziska zauważono agenta specjalnego Pendergasta z Nowego Orleanu. W filiach FBI w Nowym Jorku oraz Nowym Orleanie odmówiono komentarza w tej kwestii.

Watter Street 16. Mary Greene napisała swój adres z błędem, dlatego wcześniej to przeoczył.

Felder przeczytał cały artykuł ponownie, a potem

jeszcze raz. Następnie usiadł prosto, zaciskając dłonie na podłokietnikach fotela tak mocno, że aż rozboleły go kłykcie.

Dziewięć pięter i pięćdziesiąt metrów niżej pod miejscem, gdzie przy stole w czytelni głównej siedział doktor Felder, agent specjalny Aloysius Pendergast słuchał z przejęciem starego badacza, bibliofila znanego jako Wren. Być może Wren miał imię, ale nikt, nawet Pendergast, go nie znał. Cała historia Wrena – to, gdzie mieszkał, skąd pochodził, co robił wieczorami i w niektóre dni w najgłębszych subpoziomach biblioteki – była prawdziwą zagadką. Lata bez wystawiania się na słońce sprawiły, że jego skóra wyblakła, przydając jej kolor pergaminu, a wokół niego unosiła się zawsze woń kurzu i kleju introligatorskiego. Zmierzwione włosy otaczające jego głowę przypominały białą aureolę, oczy były czarne i żywe jak u ptaka. Jednak pomimo ekscentrycznego wyglądu miał dwie zalety, które Pendergast cenił nade wszystko: wyjątkowy dar do poszukiwań i olbrzymią wiedzę o, zdawałoby się,

niewyczerpanych zasobach Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Wren przycupnął na dużej stercie papierów jak wychudzony Budda i mówił szybko, z ożywieniem, nerwowo przy tym gestykulując.

– Prześledziłem jej rodowód. Prześledziłem go skrupulatnie, *hypocrite lecteur*. Było to nie lada zadanie, bo ta rodzina zadała sobie wiele trudu, by zachować pewne szczegóły w tajemnicy. Dzięki Bogu za zbiór z Heiligenstadt.

– Zbiór z Heiligenstadt? – powtórzył Pendergast.

Wren pokiwał głową.

– To światowa kolekcja genealogiczna podarowana bibliotece na początku lat osiemdziesiątych przez dość ekscentrycznego genealoga, z bazą w Heiligenstadt w Niemczech. Biblioteka tak naprawdę wcale tego nie chciała, ale kiedy kolekcjoner wsparł swoją kolekcję hojną sumką paru milionów, ostatecznie zgodziła się ją przyjąć. Nie muszę chyba dodawać, że zbiór natychmiast trafił w najciemniejszy kąt, gdzie miał już pozostać. Ale

wiesz, jak ja lubię zaglądać w ciemne kąty i różne zakamarki. – Zacmokał i z lubością poklepał dłonią leżący obok niego wysoki na ponad metr stos wydruków komputerowych. – Jest wyjątkowo wszechstronny i wyczerpujący, jeżeli chodzi o niemieckie, austriackie i estońskie rody, co bardzo mu pomogło.

– To bardzo ciekawe – rzekł Pendergast, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Może mógłbyś wyjaśnić mi, co takiego odkryłeś?

– Oczywiście. Ale – niski człowieczek przerwał – obawiam się, że nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia.

Pendergast nieznacznie przymrużył powieki.

– Moje preferencje są bez znaczenia. Poproszę o szczegóły.

– Oczywiście, oczywiście! – Wren najwyraźniej świetnie się bawił, bo energicznie zatarł ręce. – Nie ma jak szczegóły! – Ponownie poklepał czule dłonią stertę wydruków. – Matka Wolfganga Fausta była prababką

Helen. Rodowód wygląda następująco. Matka Helen, Leni, poślubiła Andrása Esterházyego, który, tak się złożyło, był również lekarzem. Oboje rodzice Helen już od jakiegoś czasu nie żyją. – Zawahał się. – Nawiasem mówiąc, czy wiedziałeś, że Esterhazy to bardzo stare i szlachtetne węgierskie nazwisko? Za rządów Habsburgów...

– Czy możemy zostawić Habsburgów na później?

– Dobrze. – Wren zaczął wyliczać szczegóły, unosząc kolejno palce o długich pożółkłych paznokciach. – Babka Helen nazywała się Mareike Schmid, z domu von Fuchs. Wolfgang Faust był bratem Mareike. Łączy ich krewna, prababka Helen, Klara von Fuchs. Zwróć uwagę na żeńską linię rodowodową.

– Mów dalej – rzucił Pendergast.

Wren rozłożył ręce.

– Innymi słowy, doktor Wolfgang Faust, zbrodniarz wojenny, doktor SS w Dachau, zbiegły nazista ukrywający się w Ameryce Południowej... był

stryjecznym dziadkiem twojej żony.

Pendergast jakby nie zareagował.

– Narysowałem drzewo genealogiczne.

Pendergast sięgnął po kartkę z nagryzmołonym na nim rysunkiem z podpisami, złożył ją i wsunął do kieszeni bez patrzenia na nią.

– Wiesz, Aloysiusie... – Wren nie dokończył.

– Tak?

– W tym jednym wypadku wolałbym, aby moje poszukiwania zakończyły się niepowodzeniem.

Coral Creek, Missisipi

Ned Betterton wjechał na parking dla samochodów z wypożyczalni i wyskoczył z fotela kierowcy. Szybkim krokiem ruszył w stronę budynku, a na jego twarzy malował się szeroki uśmiech. Przez ostatnich kilka dni dokonywał coraz bardziej frapujących odkryć. Nie ulegało wątpliwości: Ned Betterton był cholernie dobrym dziennikarzem. Przez lata pisania reportaży z obiadów klubu rotariańskiego, festynów kościelnych, szkolnych wywiadówek, pogrzebów oraz porad z okazji Memorial Day nabrał większej wprawy niż po dwóch latach studiów dziennikarskich na Uniwersytecie Columbia. Zdumiewające. Kiedy Kranston zaczął wydzierać się na niego, że marnuje czas na tę sprawę, zamknął staremu gębę, biorąc urlop. Na to Kranston nic nie mógł poradzić. Ten stary łajdak powinien był wiele lat temu zatrudnić drugiego reportera. To jego wina, że teraz sam musi zająć

się wszystkim.

Nacisnął klamkę przeszklonych drzwi i otworzył je. Pora pozwolić działać instynktowi i przekonać się, czy wciąż dopisuje mu szczęście.

Wewnątrz, przy jednym z dwóch czerwonych kontenerów Hugh Fourier obsługiwał właśnie jakiegoś klienta. Betterton mieszkał z Fourierem w jednym pokoju na drugim roku studiów w Jackson State, a teraz Fourier prowadził jedyną wypożyczalnię samochodów w promieniu stu kilometrów od Malfourche – jeszcze jeden miły zbieg okoliczności, który przekonywał Bettertona, że wciąż ma dobrą passę. Zaczekał, aż Fourier wręczy klientowi kluczyki i złożony plik dokumentów, po czym podszedł do kontuaru.

– Siema, Ned! – rzekł Fourier, a jego zawodowy uśmiech nabrał większej szczerości, gdy rozpoznał dawnego współlokatora. – Jak leci?

– Jakoś się kręci – odrzekł Betterton, ściskając wyciągniętą ku niemu dłoń.

– Masz do opowiedzenia jakieś ciekawe historyjki? Ktoś z liceum ma kłopoty z literowaniem słówek? – Fourier zachichotał rozbawiony własnym poczuciem humoru.

Betterton zaśmiał się nieszczerze.

– A jak się kręcą interesy w wypożyczalni aut?

– Jestem zajęty, bardzo zajęty. A Carol poszła dziś na chorobowe. Uwijam się tu jak jednonogi kaleka na konkursie kopania w tyłek.

Betterton znów się zaśmiał, przypominając sobie, że Hugh uważał się za klasowego wesołka. Nie zdziwiło go, że firma pracuje pełną parą, gdyż teraz, kiedy Gulfport-Biloxi International przechodził poważną renowację, miejscowe lotnisko musiało obsługiwać większą liczbę pasażerów.

– Spotkałeś kogoś ze starej wiary w Jackson? – zapytał Fourier, układając starannie plik papierów.

Pogawędzili jeszcze przez kilka minut o dawnych czasach, zanim Betterton przeszedł do rzeczy.

– Wiesz co, Hugh – rzekł, nachylając się nad kontuarem. – Zastanawiam się, czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

– Jasne. Czego chcesz? Mogę dać ci dobrą tygodniową stawkę za kabriolet. – Fourier znów zachichotał.

– Jestem ciekaw, czy pewien człowiek wypożyczył u ciebie samochód.

Uśmiech Fouriera przygasł.

– Pewien człowiek? Po co chcesz to wiedzieć?

– Jestem reporterem.

– Jezu, nie chodzi o jakąś grubszą sprawę, prawda?

Od kiedy zajmujesz się czymś takim?

Betterton, siląc się na nonszalancję, wzruszył ramionami.

– Po prostu idę tropem pewnego tematu.

– Wiesz, że nie mogę udzielać informacji o moich klientach.

– Nie chodzi mi o nie wiadomo jakie informacje. –

Betterton jeszcze bardziej nachylił się w stronę Fouriera. – Posłuchaj. Opiszę ci tego faceta. Powiem, czym jeździ. Chcę wiedzieć tylko, skąd przyleciał, i poznać jego nazwisko.

Fourier zmarszczył brwi.

– No nie wiem...

– Przysięgam, że ani twoje nazwisko, ani nazwa firmy nie zostaną wykorzystane w treści mojego artykułu.

– Stary, naprawdę prosisz o wiele. W naszej branży poufność jest bardzo ważna.

– Ten facet to cudzoziemiec. Mówi z wyraźnym europejskim akcentem. Wysoki, szczupły. Ma pieprzyk pod okiem. Nosi drogi płaszcz przeciwdeszczowy albo trencz. Wynajął granatowego forda fusion, prawdopodobnie dwudziestego ósmego października.

Na twarzy Fouriera pojawił się dziwny grymas, a Betterton natychmiast zorientował się, że trafił na żyłę złota.

– Pamiętasz go, prawda?

– Ned...

– Daj spokój, Hugh.

– Nie mogę.

– Posłuchaj, sam widzisz, ile już wiem na temat tego faceta. Potrzebuję jeszcze tylko paru szczegółów, proszę.

Fourier zawahał się. I westchnął.

– Tak. Pamiętam go. Wygląda dokładnie tak, jak go opisałeś. Mocny akcent, niemiecki.

– To było dwudziestego ósmego?

– Chyba tak. Jakiś tydzień, dwa tygodnie temu.

– Możesz to sprawdzić?

Betterton miał nadzieję, że jeżeli zdoła przekonać Fouriera, aby wprowadził informację do swojego terminala, będzie mógł ukradkiem rzucić okiem na wyniki.

Ale Fourier nie dał się przekonać.

– Nie mogę.

A niech to.

– A nazwisko?

Fourier znów się zawahał.

– Chyba... Falkoner. Conrad Falkoner, tak mi się zdaje. Nie, Klaus Falkoner.

– Skąd przyleciał?

– Z Miami. Linie lotnicze Dixie.

– Skąd wiesz? Widziałeś bilet?

– Prosimy naszych klientów, aby informowali nas o szczegółach przylotu, abyśmy w razie opóźnienia mogli zatrzymać rezerwację.

Twarz Fouriera stała się beznamiętna, a Betterton zrozumiał, że nie wyciągnie od niego nic więcej.

– Dobra, dzięki Hugh. Jestem twoim dłużnikiem.

– Pewno, że tak.

Kiedy do biura wszedł kolejny klient, Fourier odwrócił się w jego stronę z nieskrywaną ulgą.

Siedząc w swoim nissanie na parkingu dla aut z wypożyczalni, Betterton włączył laptop i szybko wszedł na stronę linii lotniczych Dixie. Zwrócił uwagę, że na

lokalnym lotnisku każdego dnia lądowały tylko dwa samoloty tego przewoźnika, jeden z Miami, drugi z Nowego Jorku, w odstępie godziny.

Miał długi płaszcz, wyglądał jak gość z filmu szpiegowskiego. Tak powiedział Billy B.

Poszukał w sieci i zorientował się, że 28 października był w Miami upalnym, słonecznym dniem. W Nowym Jorku natomiast było chłodno i deszczowo.

A więc ten mężczyzna – Betterton nie miał wątpliwości, że to morderca – skłamał, mówiąc, skąd przyleciał. Nic dziwnego. Oczywiście możliwe, że skłamał również w kwestii przewoźnika. Ale to już za bardzo trąciło paranoją.

W zamyśleniu zamknął laptop. Falkoner przyleciał z Nowego Jorku, a w Nowym Jorku mieszka Pendergast. Czy byli w zмовie? Pendergast z całą pewnością nie przybył do Malfourche oficjalnie, w sprawie służbowej, zwłaszcza że podczas swojego pobytu tutaj wysadził w powietrze knajpę i zniszczył kilka łodzi. A ta policjantka z

Nowego Jorku... gliny z Nowego Jorku miały opinię skorumpowanych i nierzadko były zamieszane w handel narkotykami. Betterton zaczął postrzegać te wydarzenia z szerszej perspektywy – rzeka Missisipi, spalone laboratorium na bagnach, nowojorski łącznik, brutalna zbrodnia, albo raczej egzekucja, małżeństwa Brodiech, skorumpowane gliny...

Niech to szlag, musiało chodzić o prochy i była to raczej grubsza sprawa. Pojedzie do Nowego Jorku. Wyłuskał z kieszeni komórkę i wybrał numer.

– „Ezerville Bee” – rozległ się piskliwy głos. – Przy telefonie Janine.

– Janine, tu Ned.

– Ned! Jak urlop?

– Bardzo udany, dziękuję.

– Wrócisz jutro do pracy? Pan Kranston potrzebuje kogoś, kto zrobiłby dla gazety reportaż z zawodów w jedzeniu żeberek w...

– Przykro mi, Janine, ale zamierzam przedłużyć mój

urlop jeszcze o kilka dni.

Chwila ciszy.

– To kiedy wracasz?

– Jeszcze nie wiem. Za trzy, może cztery dni. Dam ci znać. Wciąż jeszcze przysługuje mi tydzień urlopu.

– Owszem, ale nie jestem pewna, czy pan Kranston też tak to widzi... – Nie dokończyła.

– Na razie. – Betterton przerwał połączenie, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej.

Nowy Jork

Judson Esterhazy odgrywający rolę doktora Ernesta Poole'a

szedł szybkim krokiem korytarzem szpitala Mount Mercy. Towarzyszył mu Felder. Podążali za doktorem Ostromem, dyrektorem szpitala, który wydawał się uprzejmy, dyskretny i wyjątkowo profesjonalny; doskonale kwalifikacje dla człowieka na jego stanowisku.

– Wierzę, że poranna konsultacja wyda się panu ciekawa – Esterhazy zwrócił się do Ostroma. – Jak już wyjaśniłem doktorowi Felderowi, szanse ujawnienia się u niej selektywnej amnezji związanej z moją osobą są naprawdę spore.

– Chętnie przekonam się o tym – odrzekł Ostrom.

– I nic jej pan o mnie nie mówił ani w żaden sposób nie przygotował jej na tę wizytę?

– Nic jej nie powiedziano.

– Doskonale. Powinniśmy dopilnować, aby ta wizyta nie była zbyt długa: cokolwiek ona zrobi albo będzie utrzymywać, że o czymś nie wie, napięcie emocjonalne, choć najprawdopodobniej podświadome, z całą pewnością okaże się bardzo silne.

– Rozsądne założenie – przyznał Felder.

Skręcili za róg i zaczekali, aż pielęgniarz otworzy kluczem metalowe drzwi.

– Z całą pewnością poczuje się skrępowana w mojej obecności – ciągnął Esterhazy. – Oczywiście będzie to związane z jej dyskomfortem wynikającym z tłumionych wspomnień o prowadzonej przeze mnie terapii.

Ostrom pokiwał głową.

– Jeszcze jedno. Pod sam koniec wizyty chciałbym przez minutę zostać z nią sam na sam.

Ostrom zwolnił i spojrzał pytająco przez ramię.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy jej zachowanie, kiedy wyjdą panowie z sali, zmieni się w jakikolwiek sposób, czy nadal będzie podtrzymywać iluzję

nierozpoznawania.

– Nie widzę w tym żadnego problemu – odparł Ostrom.

Zatrzymał się przed drzwiami oznakowanymi tak jak inne jedynie numerem, po czym zapukał delikatnie.

– Proszę – rozległ się głos z pokoju.

Ostrom otworzył drzwi, po czym wpuścił Feldera i Esterhazyego do niewielkiego, pozbawionego okien pokoju. Jedynymi meblami były tu: łóżko, stół, regał i plastikowe krzesło. Na krześle siedziała młoda kobieta i czytała książkę. Uniosła wzrok, kiedy weszło trzech mężczyzn.

Esterhazy spojrział na nią z zaciekawieniem. Zastanawiał się, jak wygląda podopieczna Pendergasta, i jego ciekawość została nagrodzona. Constance Greene była bardzo, naprawdę bardzo atrakcyjna: szczupła i drobna, o krótkich czarnych włosach i idealnie białej jak porcelana skórze i fiołkowych oczach, które choć czujne i mądre, wydawały się dziwnie niezgłębione.

Popatrzyła na nich kolejno. Kiedy otarła się wzrokiem o Esterhazyego, znieruchomiała, ale wyraz jej twarzy nie zmienił się.

Esterhazy nie martwił się, że może go rozpoznać jako szwagra Pendergasta. Agent nie należał do ludzi trzymających w swoim domu rodzinne portrety.

– Doktorze Ostrom – powiedziała, odkładając książkę i wstając kurtuazyjnie. Esterhazy zauważył, że czytała *Byt i nicość* Sartre’a. – Ach, doktor Felder, miło mi pana widzieć.

Esterhazy był zaintrygowany. Jej ruchy, sposób mówienia, cała postawa zdawały się echem dawniejszej, bardziej dystyngowanej epoki. Nieomal spodziewał się, że zaprosi ich, aby skosztowali kanapek z ogórkiem i napili się herbaty z dzikiej róży. Ani trochę nie wyglądała jak obłąkana zabójczyni dzieci zamknięta w szpitalu psychiatrycznym.

– Constance, usiądź, proszę – rzekł doktor Ostrom. – Przyszliśmy tu tylko na chwilę. Doktor Poole akurat

zjawił się w mieście i pomyśleliśmy, że mogłabyś chcieć zobaczyć się z nim.

– Doktor Poole – powtórzyła Constance, wracając na miejsce.

Ponownie spojrzała na Esterhazyego, a w jej dziwnie chłodnych oczach pojawiły się błyski zaciekawienia.

– Zgadza się – powiedział Felder.

– Nie pamiętasz mnie? – spytał Esterhazy, modulując głos, by pojawiła się w nim nuta łagodnego zatroskania.

Constance lekko zmarszczyła brwi.

– Nigdy dotąd nie miałam przyjemności pana poznać.

– Nigdy, Constance? – Tym razem Esterhazy dorzucił do tonu swojego głosu odrobinę rozczarowania i żalu.

Pokręciła głową.

Kątem oka Esterhazy zauważył, że Ostrom i Felder wymieniają krótkie, znaczące spojrzenia. Wyszło dokładnie tak, jak się tego spodziewał.

Constance popatrzyła na niego uważniej. A potem odwróciła się do Ostroma.

– Co dało panu podstawę, by przypuszczać, że chciałabym zobaczyć się z tym dżentelmenem?

Ostrom nieznacznie się zaczerwienił i skinął głową do Esterhazyego.

– Widzisz, Constance – rzekł Esterhazy. – Zajmowałem się tobą kiedyś, wiele lat temu, na prośbę twojego opiekuna.

– Kłamie pan – rzuciła ostro Constance i ponownie wstała. Odwróciła się do Ostroma, a na jej twarzy odmalował się wyraz zakłopotania i niepokoju. – Doktorze Ostrom, nigdy wcześniej nie widziałam tego człowieka. I bardzo bym prosiła, aby wyprowadził go pan z pokoju.

– Bardzo przepraszam za to zamieszanie, Constance.

Ostrom spojrział pytająco na Esterhazyego. Ten prawie niedostrzegalnym gestem dał mu znać, że pora iść.

– Pójdziemy już, Constance – dodał Felder. – Ale doktor Poole poprosił, aby mógł zostać z tobą przez chwilę sam na sam. Będziemy czekać na korytarzu.

– Ale... – zaczęła Constance, po czym zamilkła.

Spojrzała na Esterhazyego. Wrogość w jej spojrzeniu na moment zbiła go z tropu.

– Proszę się pospieszyć, doktorze – rzekł Ostrom, otwierając drzwi kluczem i uchylając je.

Wyszedł na korytarz, a za nim doktor Felder. Drzwi znów się zamknęły.

Esterhazy cofnął się o krok od Constance, opuszczając ręce do boków i przyjmując możliwie jak najbardziej obojętną postawę. Było w tej dziewczynie coś, co sprawiało, że w jego głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Musiał być ostrożny, wyjątkowo ostrożny.

– Masz rację, panno Greene – powiedział niemal szeptem. – Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Nigdy cię nie leczyłem. To był tylko sprytny fortel.

Constance patrzyła na niego zza stołu, a podejrzliwość wręcz biła od niej wyczuwalnymi falami.

– Nazywam się Judson Esterhazy. Jestem szwagrem Aloysiusa.

– Nie wierzę panu – powiedziała Constance. – Nigdy o panu nie wspominał. – Głos miała cichy i całkiem beznamiętny.

– To do niego podobne, prawda? Posłuchaj, Constance. Helen Esterhazy była moją siostrą. Jej śmierć w paszczy lwa była prawdopodobnie najgorszą rzeczą, jaka kiedykolwiek dotknęła Aloysiusa, może z wyjątkiem śmierci rodziców w pożarze domu w Nowym Orleanie. Z całą pewnością znasz go na tyle dobrze, że wiesz, iż rzadko mówi o swojej przeszłości, zwłaszcza o bolesnych wydarzeniach. Ale poprosił mnie o pomoc, bo jestem jedyną osobą, której może naprawdę zaufać.

Constance milczała i tylko patrzyła na niego zza stołu.

– Jeżeli wątpisz w moje słowa, oto mój paszport. – Wyjął go i otworzył. – Esterhazy nie jest popularnym nazwiskiem. Znałem stryjeczną babkę Cornelie, trucicielkę, która mieszkała w tym pokoju. Byłem w Plantacji Penumbra. Wyjeżdżałem z Aloysusem do

Szkocji na polowanie. Jakich jeszcze potrzebujesz dowodów?

– Po co pan tu przyjechał?

– Aloysius wysłał mnie, żeby pomóc ci się stąd wydostać.

– To bez sensu. Sam mnie tu umieścił i wie, że jest mi tu naprawdę dobrze.

– Nie rozumiesz. Nie przysłał mnie, żebym pomógł tobie. Przysłał mnie, bo sam potrzebuje twojej pomocy.

– Mojej pomocy? – spytała Constance.

Esterhazy pokiwał głową.

– Widzisz, dokonał straszliwego odkrycia. Wygląda na to, że śmierć jego żony, a mojej siostry, nie była przypadkowa.

Constance zmarszczyła brwi.

Esterhazy wiedział, że jego jedyną szansą było nieodbieganie od prawdy.

– Strzelba Helen była nabita ślepakami w dniu, kiedy odbyło się polowanie na lwa. A teraz Pendergast

postanowił znaleźć ludzi, którzy byli za to odpowiedzialni. Tyle tylko, że sprawy wymknęły się spod kontroli. Sam sobie nie poradzi. Potrzebuje pomocy tych, którym ufa najbardziej. Czyli mojej i twojej.

– A co z porucznikiem D’Agostą?

– Porucznik mu pomagał. I w nagrodę zarobił kulkę w serce. Nie zginął, ale jest ciężko ranny.

Constance wyraźnie drgnęła.

– Mówiłem, że sprawy wymknęły się spod kontroli. Pendergast siedzi w tym po uszy. Grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Dlatego podjąłem kroki, aby się z tobą skontaktować. Skłamałem, że cię znam... że prowadziłem twój przypadek. Ale był to tylko sprytny wybieg.

Constance wciąż na niego patrzyła. Wrogość z dużej mierze zniknęła, ale niepewność pozostała.

– Wymyślę jakiś sposób, żeby cię stąd zabrać. A tymczasem proszę, w dalszym ciągu upieraj się, że mnie nie znasz. Możesz również udawać, że coś sobie

przypominasz, to zależy od ciebie. Rób to, co dla ciebie wygodniejsze. Współpracuj ze mną. Proszę cię tylko o jedno, abyś pomogła mi wydostać cię stąd. Bo czas nagli. Nie zostało go już dużo. Pendergast potrzebuje twojego bystrego umysłu, twoich instynktów i umiejętności wyszukiwania różnych rzeczy. Każda godzina się liczy. Nie wyobrażasz sobie, a ja nie mam teraz czasu, by ci to wyjaśnić, jakie siły sprzysięgły się przeciw niemu.

Constance tylko na niego patrzyła z mieszaniną podejrzliwości, zatroskania i niezdecydowania. Lepiej ją teraz zostawić, niech przemyśli sobie to wszystko. Esterhazy odwrócił się i delikatnie zapukał do drzwi.

– Doktorze Ostrom? Doktorze Felder? Możemy już iść.

Myrtle Beach, Karolina Południowa

Osiemnasty dołek na Palmetto Spray Golf Links cieszył się największą niesławą na Wschodnim Wybrzeżu: mierzący pięćset dwanaście metrów drive par 5, z podstępными doglegami i kilkoma szerokimi bunkrami ciasno opasującymi fairway.

Meier Weiss podjechał na swoim wózku w stronę miejsca rozpoczęcia rozgrywki, ściągnął koc ze swoich niesprawnych nóg, sięgnął po kule wiszące przy torbie golfowej, podźwignął się do pozycji stojącej i zablokował zaciski klamer ortezy opasującej jego kończyny.

– Mogę dać panu jeszcze jedną radę?

Aloysius Pendergast postawił torbę golfową na ziemi.

– Jeżeli byłby pan tak łaskaw.

– To długi dołek, ale mamy wiatr w plecy. Zwykle staram się wykonać kontrolowany fade. Przy odrobinie szczęścia pozwoli to panu wstrzelić się na prawo od

fairwaya i w dwóch uderzeniach wróci pan na green.

– Jestem niestety sceptykiem, jeżeli chodzi o pojęcie szczęścia.

Staruszek przetarł spalone słońcem czoło i zachichotał.

– Zawsze lubiłem rozegrać rundkę, zanim przejdę do jakichkolwiek interesów. To mówi mi wszystko, co powinienem wiedzieć o moim partnerze. Zauważyłem, że pańskie umiejętności przy kilku ostatnich dołkach znacznie się poprawiły. Tylko proszę pamiętać o odpowiednim swingu i follow through, tak jak panu pokazywałem.

Weiss sięgnął po swój kij i pokuśtykał w stronę tee, miejsca rozpoczęcia rozegrania kolejnego dołka. Opierając się na kulach, zamachnął się kijem i zatoczył nim idealny łuk. Piłka wystrzeliła w powietrze z głośnym puf!, po czym zgrabnie skręciła w prawo i zniknęła za zasłoną drzew.

Pendergast patrzył, a potem odwrócił się do Weissa.

– W tym uderzeniu nie było ani krzty szczęścia.

Weiss poklepał kule i ortezy.

– Używam ich już dostatecznie długo, by radzić sobie z nimi do perfekcji.

Pendergast podszedł do miejsca rozpoczęcia gry, ustawił swoje ciało i główkę kija względem celu i wykonał uderzenie. Kij trafił w piłkę trochę za płasko i nie tyle wykonał fade, ile raczej slice.

Starszy mężczyzna pokręcił głową, zacmokał ze współczuciem, ale nie próbował ukryć swojego zadowolenia.

– Może pan pójść jej poszukać.

Pendergast zamyślił się przez chwilę, po czym zapytał:

– Zakładam, że nie zamierza pan zaproponować mi mulligana?

Znał już odpowiedź, ale był ciekaw reakcji Weissa.

– Zaskakuje mnie pan, Pendergast. Nigdy nie brałem pod uwagę, że jest pan z tych ludzi, którzy liczą na

mulligana.

Na twarzy Pendergasta pojawił się cień uśmiechu, podczas gdy Weiss, odblokowawszy klamry ortezy, ponownie usiadł na wózku. Mocno umięśnione ramiona popchnęły go gładko naprzód z taką energią, że wózek inwalidzki nieomal wystrzelił przed siebie, tocząc się po żwirowej ścieżce. Łowca nazistów miał niezłomną osobowość i był na tyle twardy, że porzucił luksusowy meleks golfowy na rzecz wózka inwalidzkiego, którym poruszał się po polu. To było osiemnaście długich dołków, ale nie okazywał żadnych oznak zmęczenia.

Gdy przemierzali fairway, omijając dogleg, zobaczyli swoje piłki: piłka Weissa znajdowała się w dogodnym miejscu, by wbić ją na green, a Pendergasta w piaszczystym bunkrze przy obrzeżu.

Weiss znów pokręcił głową.

– Pan pierwszy.

Pendergast obszedł bunkier, opracowując najlepszy sposób wybicia, po czym ukląkł obok piłki, by oszacować

trajektorię uderzenia, które miało posłać ją do dołka. Zaczekał na radę Weissa.

– Na pańskim miejscu wybrałbym lob wedge – powiedział po chwili tamten. – Jest bardziej wytrzymały niż pitching wedge.

Pendergast przez chwilę grzebał wśród kijów, wyjął z torby wedge'a i skwapliwie zajął pozycję, wykonał kilka zamachnięć próbnych, a następnie uderzył, wzbijając przy tym kaskadę piachu. Piłka przesunęła się o jakieś pół metra w stronę krawędzi bunkra.

Weiss zacmokał.

– Niech pan nie myśli o tym za dużo. Proszę spróbować wyobrazić sobie fizycznie odczucie uderzenia, zanim wykona pan zamach.

Pendergast znów złożył się do uderzenia. Tym razem wykonał nieco bardziej kontrolowane wybicie, które w normalnych warunkach okazałoby się przestrzelone, ale za sprawą silnego backspinu piłka wylądowała nieopodal, na greenie.

– *Mazel tov!* – zawołał Weiss, uśmiechając się promiennie.

– Obawiam się, że to zwykły łut szczęścia – powiedział Pendergast.

– Ach, przecież sam pan powiedział, że nie wierzy w szczęście. Nie, poszedł pan za moją radą i osiągnął pan doskonały rezultat.

Weiss wybrał żelazną siódemkę i wybił piłkę na trzy metry od dołka. Pendergast wykonał dwa niecelne uderzenia z sześciu metrów, po czym za trzecim razem posłał piłkę do dołka, kończąc grę na dołku ze stanem bogey. Weiss jednym uderzeniem zakończył grę, zdobywając eagle. Pendergast podał Weissowi kartę do zapisywania wyników.

– Zakończył pan rozgrywkę w sześćdziesięciu dziewięciu uderzeniach. Gratuluję.

– To moje domowe pole golfowe. I jestem pewien, że gdyby wykorzystał pan niektóre z moich wskazówek, szybko osiągnąłby pan o wiele lepszy wynik. Ma pan

budowę urodzonego golfisty. A teraz porozmawiajmy.

Udali się do domu Weissa, który znajdował się nieopodal tee przy piętnastym dołku. Mężczyźni usiedli na patiu, podczas gdy Heidi, żona Weissa, przyniosła im dzbanek likieru miętowego.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedział gospodarz będący w świetnym humorze, nalewając drinki i unosząc kieliszek. – A więc odwiedził mnie pan, aby porozmawiać o Wolfgangu Fauście.

Pendergast pokiwał głową.

– Wobec tego trafił pan do właściwego człowieka, Pendergast. Uczyniłem celem swojego życia schwywanie doktora z Dachau. Tylko to mnie powstrzymało. – Wskazał na przykryte kocem nogi. Odstawił kieliszek i sięgnął po grubą teczkę leżącą na blacie stolika. – To dzieło mojego życia, panie Pendergast – powiedział, poklepując teczkę dłonią. – Zamknięte między tymi kartonowymi okładkami. I znam je całe na pamięć. – Upił łyk likieru. – Wolfgang Faust urodził się w tysiąc

dziewięćset ósmym roku w Ravensbrück w Niemczech i studiował na uniwersytecie w Monachium, gdzie został protegowanym o trzy lata od niego starszego Josefa Mengelego. Pracował jako asystent Mengelego w Instytucie Biologii Dziedzicznej i Higieny Rasowej we Frankfurcie. W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku skończył medycynę i wstąpił do Waffen-SS. Później na polecenie Josefa Mengelego pracował dla niego w bloku klinicznym w Auschwitz. Wie pan, w jakiego rodzaju prace był zamieszany Mengele?

– Mam pewne pojęcie.

– Brutalne, okrutne i nieludzkie operacje wykonywane często bez znieczulenia. – Szczera, radosna twarz Weissa spochmurniała, stała się zimna i niewzruszona. – Niepotrzebne amputacje. Przeróżnie bolesne, zniekształcające eksperymenty medyczne przeprowadzane na małych dzieciach. Terapia wstrząsowa. Sterylizacje. Operacje mózgu mające zmienić percepcję czasu. Wstrzykiwanie obiektom badawczym

rozmaitych trucizn i wirusów. Zamrażanie ludzi na śmierć. Mengele był zafascynowany wszystkim, co niezwykle i nienormalne: heterochronią, karłowatością, identycznymi bliźniętami, polidaktylią. Jego ulubiony cel stanowili Romowie – Cyganie. Zainfekował setki z nich trądem, usiłując stworzyć doskonałą broń biologiczną. A kiedy jego diabelskie eksperymenty dobiegały końca, zabijał udręczoną ofiarę – zazwyczaj zastrzykiem z chloroformu prosto w serce – aby przeprowadzić jeszcze sekcję zwłok obiektu i udokumentować rozmiary zmian patologicznych, jakby miał do czynienia ze szczurami laboratoryjnymi.

Napił się jeszcze likieru.

– W Auschwitz Faust tak się wykazał, że został wysłany do Dachau, aby tam założyć własne laboratorium. Niewiele wiadomo o naturze eksperymentów w Dachau, Faustowi skuteczniej niż Mengelemu udało się zniszczyć swoje archiwa i zgładzić świadków. Wiemy jednak, że były równie odrażające jak

okrucieństwa Mengelego, a może nawet bardziej. Nie chcę tu wdawać się w szczegóły, są wymienione w tej teźce, jeżeli faktycznie chce pan poznać prawdziwą głąbię ludzkiego plugastwa i okrucieństwa. Porozmawiajmy zamiast tego o tym, co wydarzyło się po wojnie. Po upadku Berlina Faust zniknął, dzięki pomocy sympatyków nazistów ukrył się na poddaszu, jak na ironię niezbyt się to różniło od tego, co stało się z Anne Frank. Ci sympatycy mieli dobre układy albo byli zamożni, albo jedno i drugie.

– Skąd pan wie?

– Mieli możliwość wyrabiania fałszywych dokumentów bardzo wysokiej jakości. Akty ślubu, dokumenty tożsamości... Ci sympatycy dostarczyli Faustowi fałszywy paszport na nazwisko Wolfgang Lanser. W końcu lat czterdziestych, nie wiadomo, kiedy konkretnie, został wywieziony z kraju i przeszmuglowany do Ameryki Południowej. Pierwszym krajem, do którego zawiął, był Urugwaj. Odkrycie tego wszystkiego, co

właśnie panu opowiedziałem, zajęło mi dziesięć lat.

Pendergast lekko pochylił głowę.

– Mieszkał w niedużych odległych osadach i zarabiał na leczeniu wieśniaków, ale wyglądało na to, że nigdzie nie był mile widziany dłużej. Najwyraźniej kazał słono płacić za swoje usługi, a niekiedy zdarzało mu się też wykorzystywać różnego rodzaju... ee... leki, których efektem nie było uzdrowienie, lecz zgon pacjenta.

– Niepoprawny eksperymentator – mruknął Pendergast.

– W pięćdziesiątym ósmym roku dotarłem jego śladem do Urugwaju. W jakiś sposób dowiedział się, że podążam jego tropem. Znowu zmienił tożsamość, tym razem nazywał się Willy Linden, przeszedł operację twarzy i przeniósł się do Brazylii. Tam ślad się urywa. Około sześćdziesiątego roku zniknął zupełnie, jakby się zapadł pod ziemię. Nie udało mi się odkryć nic więcej na jego temat, absolutnie nic, nie dowiedziałem się, gdzie mógł się ukrywać ani czym się zajmował. Dopiero

dwadzieścia pięć lat później, w osiemdziesiątym piątym roku, natknąłem się na jego grób, co już samo w sobie było nieomal dziełem przypadku, szczęśliwym zrządzeniem losu anizeli wynikiem skrupulatnego dochodzenia. Szczątki zidentyfikowano na podstawie danych z kartotek dentystycznych, a później wyników analizy DNA.

– Kiedy zmarł? – spytał Pendergast.

– O ile udało mi się ustalić, pod koniec lat siedemdziesiątych, w siedemdziesiątym ósmym, dziewiątym...

– I nie ma pan pojęcia, co mógł robić przez te ostatnie dwadzieścia lat?

Weiss wzruszył ramionami.

– Próbowałem się tego dowiedzieć. Bóg mi świadkiem, próbowałem.

Dopił drinka jednym szybkim ruchem, jego dłoń drżała nieznacznie.

Mężczyźni zamilkli na kilka minut. Wreszcie Weiss

przeniósł wzrok na Pendergasta.

– A teraz proszę mi powiedzieć, panie Pendergast, dlaczego interesuje się pan Wolfgangiem Faustem?

– Mam powód, by wierzyć, że był w jakiś sposób powiązany ze śmiercią w mojej rodzinie.

– Ach tak. Naturalnie. On „dotknął” w ten sposób tysiące rodzin. – Weiss przerwał. – Kiedy natrafiłem na jego szczątki, sprawa była politycznie zamknięta. Inni łowcy nazistów nie byli szczególnie zainteresowani wypełnianiem luk w życiu Fausta. Ten człowiek nie żył, po co się trudzić na darmo? Jednak odnalezienie ciała albo postawienie kogoś przed obliczem sprawiedliwości to za mało. Wierzę, że musimy dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o tych potworach. To nasza odpowiedzialność i naszym obowiązkiem jest zrozumieć. A jeżeli chodzi o Fausta, pozostaje jeszcze wiele pytań bez odpowiedzi. Dlaczego został pogrzebany na odludziu w prostej sosnowej skrzyni? Dlaczego nikt z tamtej okolicy nie wiedział, kim on był? Nikt, kogo zapytałem w promieniu

dwudziestu kilometrów od miejsca, gdzie go pochowano, nigdy nie widział ani wcześniej nie słyszał o człowieku nazwiskiem Willy Linden. Jednak po moim wypadku... nie było nikogo, kto mógłby to po mnie przejąć. Meier, mówili mi, ten człowiek nie żyje. Odnalazłeś jego grób. Czego chcesz więcej? Staram się nie okazywać rozgoryczenia.

Weiss nagle odstawił pusty kieliszek i przesunął teczkę w stronę Pendergasta.

– Chce pan dowiedzieć się więcej o tym człowieku? Co robił przez ostatnie dwadzieścia lat swojego życia? Niech więc pan się tym zajmie. Niech pan kontynuuje moje dzieło.

Schwycił Pendergasta za przegub. Weiss był przykuty do wózka, ale pomimo łagodnego wyglądu miał w sobie drapieżność i zajadłość lwa. Pendergast próbował uwolnić rękę, ale Weiss nie puszczał.

– Niech pan kontynuuje moje dzieło – powtórzył. – Niech pan się dowie, gdzie się ukrywał ten diabeł i czym

zajmował. Wówczas wreszcie będziemy mogli ostatecznie zamknąć akta sprawy doktora z Dachau. – Spojrzał przenikliwie na Pendergasta. – Zrobi pan to?

– Uczynię, co w mojej mocy.

Po chwili Weiss się rozluźnił. Puścił przegub Pendergasta.

– Tylko niech pan będzie ostrożny. Nawet dziś takie demony jak doktor Faust mają swoich popleczników gotowych strzec tajemnic nazistów choćby nawet zza grobu.

Znaczącym gestem poklepał dłonią podłokietnik swojego wózka.

Pendergast pokiwał głową.

– Będę uważał.

Chwila pełnej napięcia pasji minęła i twarz Weissa znów przepełniły łagodność i spokój.

– Wobec tego proponuję, abyśmy napili się jeszcze, o ile nie odmówi pan kolejnego kieliszka.

– Z przyjemnością. Proszę powiedzieć żonie, że

przyrządza wyborny likier miętowy.

– Takie słowa z ust dżentelmena z Południa to prawdziwy komplement.

Stary mężczyzna sięgnął po dzbanek i napełnił oba kieliszki.

Nowy Jork

Biuro doktora Ostroma w szpitalu Mount Mercy pełniło kiedyś, jakże adekwatnie, pomyślał Esterhazy, funkcję gabinetu konsultacji szpitalnego „alienisty”. Wciąż nosiło ślady czasów, kiedy budynek był prywatnym szpitalem dla zamożnych – wielki marmurowy kominek w stylu rokoko, misternie cyzelowane zdobienia i witrażowe okna, w których zamontowano stylowe kraty. Esterhazy nieomal spodziewał się ujrzeć wchodzącego do gabinetu lokaja we fraku i w muszce, wnoszącego srebrną tacę z kieliszkami sherry.

– A więc, doktorze Poole – rzekł Felder, wychylając się do przodu i opierając dłonie na kolanach. – Co pan sądzi o wieczornej sesji?

Esterhazy przeniósł wzrok na psychiatrę i spojrział mu prosto w oczy. Mężczyzna był tak pochłonięty Constance

i dziwnymi aspektami jej przypadku, że przyćmiewało to jego zawodowy obiektywizm i zazwyczaj powściągliwą naturę. Esterhazy tymczasem ani trochę nie przejmował się Constance czy jej postępami poza tym, dzięki czemu mógł ją wykorzystać jako pionka w swojej grze. A obojętność dawała mu wielką przewagę.

– Uważam, że zajmuje się pan nią z wielkim taktem, doktorze – powiedział. – Nie odnosząc się bezpośrednio do jej urojeń, lecz w kontekście szerszej rzeczywistości obrał pan moim zdaniem wyjątkowo korzystną strategię. – Przerwał. – Przyznam szczerze, że kiedy po raz pierwszy zwróciłem się do pana w związku z tą sprawą, miałem pewne wątpliwości. Zna pan długoterminowe prognozy schizofrenii paranoidalnej równie dobrze jak ja, albo nawet lepiej. A terapia, jaką z nią przeprowadziłem, o czym już wspominałem, okazała się niezadowolająca. Pierwszy jednak gotów jestem przyznać, że tam, gdzie ja poniosłem porażkę, pan odnosi sukces, i to w stopniu, który mnie wydawał się niemożliwy.

Felder lekko się zaczerwienił i podziękował za komplement.

– Zwrócił pan uwagę, że jej selektywna amnezja w pewnym stopniu ustąpiła?

Felder odchrząknął.

– Zwróciłem na to uwagę.

Esterhazy uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie ulega wątpliwości, że ta placówka odegrała niepoślednią rolę w poprawie jej stanu zdrowia. Życzliwa i pobudzająca atmosfera Mount Mercy robi wielką różnicę. Moim zdaniem to dobrze rokuje na przyszłość i pozwala mieć nadzieję na bardziej optymistyczne niż dotąd prognozy.

Ostrom siedzący w sąsiednim fotelu klubowym pochylił głowę. Miał w sobie więcej rezerwy niż Felder i choć wyraźnie był zainteresowany sprawą, nie miał na jej punkcie obsesji. Esterhazy musiał odnosić się do niego z olbrzymią ostrożnością. Ale pochlebstwo było uniwersalne i równie skuteczne. Esterhazy przejrzał kartę,

którą zaprezentował mu Ostrom, próbując wyłuskać z niej coś, co mogłoby okazać się dla niego pomocne.

– Zauważyłem, że Constance preferuje szczególnie dwie formy rozrywki: korzystanie z biblioteki i rekreację na terenie zakładu.

Ostrom pokiwał głową.

– Przejawia niemal dziewiętnastowieczne zamiłowanie do spacerów na świeżym powietrzu.

– To pozytywny znak, który, jak sądzę, powinniśmy wykorzystać na naszą korzyść. – Esterhazy odłożył teczkę na bok. – Czy myślał pan może o zorganizowaniu całodziennego wyjazdu poza teren zakładu, dajmy na to, do ogrodu botanicznego?

Ostrom spojrział na niego.

– Muszę przyznać, że nie.

– Zazwyczaj wycieczki poza teren zakładu muszą zostać zaaprobowane odgórnie i wymagają zgody sądu.

– Rozumiem. Mówi pan „zazwyczaj”. Wydaje mi się jednak, że z medycznego punktu widzenia, jeżeli

kierownictwo zakładu uzna, że Constance nie stanowi zagrożenia dla siebie samej czy innych osób, i co więcej, jeśli stwierdzi, że taki wyjazd byłby korzystny dla jej dalszej terapii, zgoda sądu nie jest konieczna.

– Rzadko korzystamy z tej procedury – odparł Ostrom. – Odpowiedzialność jest zbyt duża.

– Ale proszę pomyśleć o pacjentce. O dobru pacjentki.

Tu wtrącił się Felder, dokładnie tak, jak na to liczył Esterhazy.

– Z całego serca popieram pomysł doktora Poole’a. Constance nie przejawia najmniejszych nawet oznak agresji czy skłonności samobójczych. To nie tylko wzmocniłoby jej zainteresowanie aktywnością na świeżym powietrzu, ale z całą pewnością zgodzi się pan ze mną, że tego rodzaju przejaw zaufania z naszej strony może skłonić ją do większego otwarcia się przed nami.

Ostrom zamyślił się nad tym.

– Myślę, że doktor Felder ma absolutną rację –

ciągnął Esterhazy. – I po zastanowieniu wydaje mi się, że zoo w Central Parku mogłoby być jeszcze trafniejszym wyborem.

– Nawet gdyby nie były wymagane ściśle określone procedury postępowania – odrzekł Ostrom – z uwagi na ciężące na niej oskarżenie o popełnieniu przestępstwa kryminalnego, tak czy inaczej musiałbym uzyskać zgodę sądu.

– To nie powinno znacząco opóźnić naszych planów – odpowiedział Felder. – Mogę wdrożyć niezbędne procedury odpowiednimi kanałami, wykorzystując swoją pozycję w Wydziale Zdrowia.

– Doskonale. – Esterhazy rozpromienił się. – Jak pan sądzi, ile to może potrwać?

– Dzień, może dwa.

Ostrom odpowiedział dopiero po chwili.

– Chciałbym, abyście obaj jej towarzyszyli. I wyjście powinno być ograniczone do jednego przedpołudnia.

– Bardzo rozsądnie – odparł Esterhazy. – Czy

zadzwoń pan do mnie na komórkę, doktorze Felder, kiedy już upora się pan z niezbędnymi przygotowaniami?

– Z przyjemnością.

– Dziękuję. Panowie wybaczą, ale czas mnie nagli.

Esterhazy uściskał obu mężczyznom dłonie na pożegnanie, uśmiechnął się i wyszedł.

Mężczyzna nazywający siebie Klausem Falkonerem rozluźnił się na górnym pokładzie Vergeltunga. W kolejne miłe, ciepłe popołudnie przystań jachtowa przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy była skąpana w promieniach jesiennego słońca i sennym rozleniwieniu. Na niewielkim stoliku obok niego leżała paczka gauloise'ów i nieotwarty koniak Roi de France Fine Champagne oraz koniakówka.

Falkoner wyjął papierosa z paczki, zapalił go złotą zapalniczką Dunhill, zaciągnął się mocno dymem, po czym spojrzał na butelkę. Z największą ostrożnością ściągnął oryginalny dziewiętnastowieczny wosk z szyjki butelki, zwinął go w kulkę i wrzucił do cynowej popielniczki. Koniak załśnił w promieniach popołudniowego słońca niczym płynny mahoń; jak na tego rodzaju trunka miał wyjątkowo ciemną i bogatą barwę. W piwniczce na wino w ładowni Vergeltunga

znajdowało się jeszcze dwanaście takich butelek, niewielki procent łupów zdobytych przez przodków Falkonera podczas okupacji Francji.

Wydmuchnął dym, rozglądając się dokoła z zadowoleniem. Kolejny procent tych łupów – złoto, biżuteria, zawartość kont bankowych, dzieła sztuki i antyki zawłaszczone przed sześćdziesięcioma laty – pozwolił mu na zakup Vergeltunga. To był naprawdę wyjątkowy trójpokładowy jacht motorowy: czterdzieści metrów długości od dziobu do rufy, osiem i pół metra szerokości i sześć luksusowych kabin. Zbiorniki zdolne pomieścić sto pięćdziesiąt tysięcy litrów ropy pozwalały podwójnym silnikom firmy Caterpillar o mocy tysiąca ośmiuset koni mechanicznych pokonać każdy ocean z wyjątkiem Pacyfiku. Taka niezależność, możliwość działania zarówno poza prawem, jak i poza zasięgiem radarów, była absolutnie niezbędna do zadań, w które zaangażowany był Falkoner i jego organizacja.

Raz jeszcze zaciągnął się dymem z papierosa, zanim

zdusił niedopałek w popielniczce. Nie mógł się doczekać, aby skosztować koniaku. Bardzo ostrożnie nalał odrobinę do kieliszka o kształcie tulipana, który z uwagi na wiek i delikatność trunku wybrał zamiast bardziej tradycyjnej, pękatej koniakówki balonowej. Delikatnie zakręcił kieliszkiem, przez chwilę chłonał aromat, po czym z rozkoszną powolnością uniósł dłoń do ust i upił mały łyk. Koniak rozkwitł na jego podniebieniu z cudowną złożonością i zdumiewającą siłą jak na tak starą butelkę: legendarny comet rocznik 1811. Falkoner zamknął oczy i wypił większy łyk.

Na pokładzie z tekowego drewna rozległy się ciche kroki, a zaraz potem obok dało się słyszeć dyskretne kasznięcie. Falkoner uniósł wzrok. To był Ruger, jeden z członków załogi; stał w cieniu górnego mostka. Trzymał telefon.

– Telefon do pana, sir – powiedział po niemiecku.

Falkoner odstawił koniakówkę na niewielki stolik.

– Nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano, chyba że to

dzwoni Herr Fischer.

Herr Fischer. Ten człowiek był naprawdę przerażający.

– To ten dżentelmen z Savannah, sir.

Ruger podsunął nieznacznie telefon w jego stronę, zachowując jednak stosowny dystans.

– *Verlucht* – wymamrotał Falkoner pod nosem, biorąc aparat. – Tak?

Rozdrażnienie wywołane przerwaniem mu jego ulubionego rytuału przydało tonowi jego głosu nietypowej surowości i oschłości. Ten człowiek powoli z uciążliwej niedogodności stawał się prawdziwym problemem.

– Prosiłeś mnie, abym zdecydowanie rozprawił się z Pendergastem – rozległ się głos na drugim końcu łącza. – I właśnie zamierzam to zrobić.

– Nie chcę słyszeć, co zamierzasz. Chcę usłyszeć, czego dokonałeś.

– Zaproponowałeś mi pomoc. *Vergeltunga*.

– I?

- Zamierzam zaprosić na pokład gościa.
- Gościa?
- Gościa sprowadzonego pod przymusem. Kogoś bliskiego Pendergastowi.
- Mam rozumieć, że w charakterze przynęty?
- Tak. Zwabi Pendergasta na pokład, gdzie będzie można rozprawić się z nim raz na zawsze.
- To brzmi ryzykownie.
- Obmyśliłem wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Falkoner zrobił lekki wydech.

- Nie mogę się doczekać, aby gruntownie to z tobą omówić. Nie przez telefon.
- Doskonale. Ale jak na razie będę potrzebował narzędzi do krępowania: plastikowych kajdanek, knebli, sznura, taśmy klejącej i czego tam jeszcze.
- Mamy tego typu rzeczy w bezpiecznym domu. Muszę tam pojechać, aby je przywieźć. Wpadnij wieczorem, to omówimy szczegóły.

Falkoner rozłączył się, oddał telefon czekającemu członkowi załogi i patrzył, jak mężczyzna wycofuje się bez słowa. Dopiero wtedy znów sięgnął po koniakówkę w kształcie tulipana, a na jego twarzy powoli wykwitł wyraz nieskrywanego zadowolenia.

Ned Betterton jechał FDR Drive wypożyczonym chevroletem aero, czując się bardziej niż tylko trochę rozczarowany i przygnębiony. Za godzinę miał zwrócić samochód do wypożyczalni na lotnisku i tego wieczoru wracał samolotem do Missisipi.

Jego krótka dziennikarska przygoda dobiegała końca.

Trudno uwierzyć, że jeszcze kilka dni temu był zwykłym prowincjonalnym pismakiem. I wtedy wpadł na tego cudzoziemca. Wykorzystując strategię socjotechniki zwaną pretekstingiem, zadzwonił do biura linii lotniczych Dixie i podając się za policjanta, zdobył adres Klausego Falkonera, który przyleciał do Missisipi dwa tygodnie temu: East End Avenue nr 702. Łatwizna. Ale właśnie wtedy natrafił na mur. Po pierwsze nie było domu o numerze 702. Ulica miała zaledwie dziesięć przecznic i rozciągała się na skraju East River, nie było domu o tak wysokim numerze.

Następnie śladem agenta specjalnego Pendergasta dotarł do apartamentowca o nazwie Dakota. Tylko że ten gmach okazał się prawdziwą fortecą i wejście do środka graniczyło z niemożliwością. Na wartowni przy wejściu przez cały czas czuwał strażnik, a wewnątrz byli jeszcze odźwierni i operatorzy wind, którzy uprzejmię, acz zdecydowanie stawiali opór jego kolejnym próbom dostania się do wnętrza, czy zasięgnięcia jakichkolwiek informacji.

Później próbował dowiedzieć się czegokolwiek o kapitan z policji nowojorskiej. Ale kobiet w tej randze było w resorcie kilka i niezależnie od tego, kogo o to pytał, nie zdołał ustalić, która z nich współpracowała z Pendergastem albo odwiedziła Nowy Orlean, poza tym, że musiała to zrobić poza służbą, nieoficjalnie.

Podstawowy problem stanowił sam Nowy Jork. Szalone miasto. Ludzie, małomówni i zamknięci w sobie jak ostrygi, nie chcieli przekazać mu żadnych informacji, a ich dbałość o prywatność graniczyła z paranoją. Znalazł

się bardzo daleko od otwartego, gościnnego Południa. Nie wiedział, jak załatwiałoby się tutaj sprawy, nie wiedział nawet, jak należało podchodzić do ludzi i zadawać pytania. Problem stanowił nawet jego akcent, który zrażał do niego rozmówców.

Ponownie skoncentrował swoją uwagę na Falkonerze i omal nie osiągnął przełomu. Biorąc pod uwagę ewentualność, że Falkoner podał fałszywy numer domu, ale faktycznie mieszkał przy tej ulicy, choć East End Avenue niespecjalnie nadawała się do tego typu przekrętów, Betterton przeczesał ją całą od końca do końca, pukając do drzwi, zagadując przechodniów i pytając kolejnych ludzi, czy znają wysokiego blondyna mieszkającego w tej okolicy. Chudzielca z paskudnym pieprzykiem na twarzy i mówiącego z niemieckim akcentem. Większość ludzi – typowych nowojorczyków – odmawiała rozmowy z nim albo zbywała go niewybrednymi słowami. Jednak kilku starszych mieszkańców okazało się życzliwszych. To od nich

Betterton dowiedział się, że ta okolica, znana jako Yorkville, była niegdyś niemiecką enklawą. Starsi mieszkańcy z tęskną zadumą opowiadali o restauracjach Die Lorelei i Café Mozart, o przepysznych ciastkach serwowanych w Kleine Konditorei i o jasno oświetlonych salach, gdzie co wieczór urządzone były potańcówki, na których królowała polka. To wszystko odeszło bezpowrotnie, zastąpione przez anonimowe spożywczaiki, supermarkety i butiki.

Tak, kilka osób widziało chyba mężczyznę, o którego wypytywał. Pewien starszy pan zauważył takiego właśnie wysokiego blondyna, jak wchodził do jednego z zamkniętych na głucho budynków przy East End Avenue, a potem stamtąd wychodził; między Dziewięćdziesiątą Pierwszą a Dziewięćdziesiątą Drugą Ulicą, przy północnym krańcu Carl Schurz Park.

Betterton zaczął obserwować ten budynek. Szybko przekonał się, że kręcąc się w pobliżu, chcąc nie chcąc, zwracał na siebie uwagę albo wzbudzał podejrzenia

okolicznych mieszkańców. To zmusiło go do wypożyczenia auta i kontynuowania obserwacji z ulicy. Spędził tak trzy wyczerpujące dni. Godziny mijały, ale nikt nie wchodził do domu ani z niego nie wychodził. Kończyły mu się pieniądze i zaległy urlop. Co gorsza, Kranston zaczął wydzwaniać codziennie z pytaniem, gdzie się podziewa, i nawet sugerując, że zatrudni kogoś innego na jego miejsce.

Czas, jaki przeznaczył na pobyt w Nowym Jorku, dobiegł końca. Powrót do domu miał mu zapewnić bezzwrotny bilet, który gdyby chciał zmienić rezerwację, kosztowałby czterysta dolarów, a Berretron nie miał już pieniędzy.

Dlatego teraz, o piątej po południu, jechał FDR Drive na lotnisko, skąd miał wrócić samolotem w rodzinne strony. Kiedy jednak zobaczył tablicę ze zjazdem na East End Avenue, jakaś ulotna, choć nieodparta, perwersyjna nadzieja skłoniła go, by zjechał z autostrady. Rozejrzy się jeszcze tylko raz.

Nie było gdzie zaparkować i krążył po całym kwartale. To było szaleństwo: nie zdążył na samolot. Kiedy jednak po raz czwarty wyjechał z zakrętu, zauważył, że przed budynkiem stanęła taksówka. Zaintrygowany, podjechał i zatrzymał na drugiego przed taksówką stojącą z silnikiem pracującym na jałowym biegu, wyjął mapę i udał, że na nią patrzy, choć przez cały czas obserwował w lusterku wstecznym wejście do zamkniętego na głucho budynku.

Minęło pięć minut i nagle drzwi frontowe otworzyły się, z domu wyszła jakaś postać trzymająca w obu rękach torby podróżne, a Betterton na moment wstrzymał oddech. Wysoki, chudy blondyn. Nawet z tej odległości można było dostrzec pieprzyk pod jego prawym okiem.

– A niech mnie kule biją – wymamrotał Betterton.

Mężczyzna wrzucił torby podróżne do samochodu, wsiadł i zatrzasnął drzwiczki. Po chwili taksówka ruszyła, odjeżdżając przed dom i mijając chevroleta Bettertona. Reporter wziął głęboki oddech, wycierając ręce w

koszulę, i odłożył mapę na bok. A potem ponownie zacisnął dłonie na kierownicy i ruszył w ślad za taksówką, która skręciła w Dziewięćdziesiątą Pierwszą Ulicę i skierowała się na zachód.

Doktor John Felder czuł się jak przyzwoitka, kiedy Poole prowadził Constance pod rękę przez zoo w Central Parku. Odwiedzili lwy morskie i niedźwiedzie polarne, a teraz Constance poprosiła, aby mogła zobaczyć japońskie makaki zwane małpkami śnieżnymi. Okazywała więcej emocji niż dotychczas, ale nie była podekscytowana. Felder nie wyobrażał sobie, aby ktokolwiek o tak flegmatycznym usposobieniu mógł okazać choćby cień podniecenia, ale do pewnego stopnia się odsłoniła. Nie potrafił też stwierdzić, co czuje w związku z nagłym ociepleniem uczuć Constance do doktora Poole'a, wobec którego zachowywała wcześniej chłodną rezerwę.

Podejrzanie gwałtownym ociepleniem uczuć, pomyślał z goryczą Felder, idąc obok niej z drugiej strony.

Gdy zbliżyli się do wybiegu małpek śnieżnych, usłyszał pohukiwanie i wrzaski baraszkujących makaków

uganiających się na swoim skalisto-wodnym wybiegu i robiących przy tym mnóstwo hałasu.

Popatrzył na Constance. Wiatr rozwiewał jej włosy i wywołał rumieniec na zwykle bladych policzkach. Obserwowała małpki, śmiejąc się z wybryków jednego wyjątkowo młodego makaka, który pokrzykując radośnie, zeskoczył ze skały i wylądował w wodzie, jak mogłoby to zrobić dziecko, po czym wrócił na górę, aby powtórzyć ten wyczyn.

– To ciekawe, że nie jest im zimno – zauważyła Constance.

– Stąd nazwa „małpki śnieżne” – odparł ze śmiechem Poole. – Żyją w chłodnym klimacie.

Patrzyli jeszcze przez chwilę, a Felder ukradkiem zerknął na zegarek. Mieli jeszcze pół godziny, ale zależało mu na tym, aby Constance jak najszybciej wróciła do Mount Mercy. To miejsce było zbyt nieprzewidywalne i czuł, że doktor Poole niebezpiecznie zbliżał się do dopuszczalnej granicy stosunków lekarz–pacjentka, a

może nawet ją przekroczył swoim śmiechem, rzucającymi raz po raz żarcikami i przejawami bliskości, takimi jak trzymanie Constance pod rękę.

Dziewczyna wyszeptała coś do Poole'a, a on z kolei przeniósł wzrok na Feldera.

– Musimy odwiedzić damską toaletę. Wydaje mi się, że najbliższa jest w Pawilonie Tropikalnym.

– Dobrze.

Przeszli ścieżką w kierunku Pawilonu Tropikalnego. Miejsce było tak skonstruowane, że przywodziło na myśl las tropikalny, z żywymi zwierzętami i ptakami w ich naturalnym środowisku. Toalety znajdowały się na końcu długiego korytarza. Felder zaczekał na jego końcu, podczas gdy Poole odprowadził Constance do drzwi toalety, otworzył je dla niej, po czym stanął z boku, przy wyjściu.

Minęło kilka minut. Felder znów spojrzał na zegarek. Jedenasta czterdzieści. Wycieczka miała potrwać do południa. Spojrzał w głąb korytarza, na Poole'a stojącego

przy drzwiach z założonymi rękami i wyrazem zamyślenia na twarzy. Po kilku kolejnych minutach poczuł, że ogarnia go zaniepokojenie. Przeszedł przez cały korytarz.

– Sprawdźmy? – mruknął.

Żadnej odpowiedzi.

– Constance!

Felder zapukał do drzwi. Wciąż żadnego odzewu. Poole popatrzył z niepokojem na Feldera.

– Lepiej tam wejść.

Felder, tłumiąc w sobie nagłą panikę, pokiwał głową, a Poole wszedł do damskiej toalety, donośnym tonem oznajmiając swoją obecność wszystkim kobietom, które mogły znajdować się w środku. Drzwi zamknęły się, a Felder usłyszał, jak tamten nawołuje Constance po imieniu, otwierając i zamykając drzwi kolejnych kabin. Pojawił się chwilę później z twarzą szarą jak popiół.

– Nie ma jej! A okno w toalecie jest otwarte!

– Boże! – wyszeptał Felder.

– Nie mogła odejść daleko – rzekł Poole, pospiesznie wyrzucając z siebie słowa. – Musimy ją znaleźć. Wyjdźmy na zewnątrz, pan pójdzie w lewo, ja w prawo, obejdziemy cały budynek i... na miłość boską, niech pan ma oczy szeroko otwarte!

Felder pognał w stronę wyjścia, pchnięciem otworzył drzwi i skręcił w lewo, okrążając pędem cały budynek i wypatrując postaci Constance. Nic.

Dotarł na tyły budynku, gdzie znajdowały się toalety. Okno w toalecie damskiej było otwarte. Ale również zakratowane.

Zakratowane?

Zaczął rozpaczliwie wypatrywać Poole'a, który miał nadbiec z drugiej strony. Lecz Poole się nie zjawiał. Klnąc pod nosem, Felder pobiegł dalej, okrążając budynek, i sześćdziesiąt sekund później dotarł do głównego wejścia.

Ani śladu Poole'a.

Felder zmusił swój mózg, aby spowolnił działanie, bo potrzebował przemyśleć ten problem logicznie. Jak ona

mogła wydostać się stamtąd przez zakratowane okno? I gdzie, u licha, podział się Poole? Czy ruszył za nią w pościg? Zapewne tak. Felder przypomniał sobie, że całe zoo jest otoczone murem. Były stąd tylko dwa wyjścia: jedno przy Sześćdziesiątej Czwartej i Piątej Ulicy, drugie przy południowym końcu zoo. Pobiegnął co sił w nogach w stronę południowego wyjścia, przeszedł przez bramkę i zlustrował wzrokiem park, drzewa z pozbawionymi liści gałęziami, długie deptaki. Dostrzegł kilka spacerujących osób; biorąc pod uwagę porę dnia, park wydawał się dziwnie wyludniony.

Charakterystycznej sylwetki Constance nigdzie nie było widać. Doktora Poole'a też nie.

Z całą pewnością była jeszcze w zoo. A może skorzystała z innego wyjścia? Felder dopiero teraz poczuł powagę sytuacji: Constance była morderczynią uznaną przez sąd za niepoczytalną. A on zezwolił na wyjście do zoo, wykorzystując swoją pozycję zawodową. Gdyby uciekła, jego kariera runęłaby w gruzy.

Czy powinien wezwać policję? Jeszcze nie. Zakręciło mu się w głowie, gdy wyobraził sobie nagłówki w „Timesie”.

Musi wziąć się w garść. Poole na pewno odnalazł Constance. Na pewno. Felder musi teraz tylko zlokalizować Poole’a.

Pobiegł do wyjścia przy Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy, wrócił do zoo i do Pawilonu Tropikalnego. Starannie przeczesał całe pomieszczenie wzdłuż i wszerz, wypatrując Poole’a albo Constance. Poole miał ją pod kontrolą. Musiał ją dogonić i obezwładnić, pewnie są gdzieś w pobliżu. Poole mógł potrzebować pomocy.

Felder wyjął komórkę i wybrał numer Poole’a, ale natychmiast został przekierowany na pocztę głosową.

Wrócił i wszedł do damskiej toalety. Okno wciąż było otwarte, ale wyraźnie i mocno zakratowane. Felder znieruchomiał, bo dopiero teraz zrozumiał, co to znaczy.

Mógł przysiąc, że słyszał, jak Poole otwiera i zamyka drzwi kolejnych kabin, nawołując Constance po imieniu.

Czemu jednak miałyby to robić, skoro okno jest zakratowane i ucieczka tamtędy niemożliwa? Zlustrował wzrokiem wnętrze małej pustej toalety, gdzie z oczywistych względów nie było miejsca, w którym można by się ukryć.

I wtedy, przy wtórze nagłego, przerażającego olśnienia Felder zrozumiał: Poole był zamieszany w tę ucieczkę.

Corrie Swanson usłyszała cichy sygnał swojej komórki przez słuchawki, gdy leżała na łóżku w swoim pokoju w akademiku, słuchając Nine Inch Nails. Wstała, zdjęła słuchawki i rozgarnęła półmetrową warstwę ciuchów walającą się na podłodze, by znaleźć telefon. Nie rozpoznała numeru.

– Tak?

– Halo? – rozległ się głos. – Czy to Corinne Swanson?

– Corinne? – Mężczyzna miał akcent z dalekiego Południa, nie tak wyrafinowany i melodyjny jak u Pendergasta, ale dość podobny. To natychmiast sprawiło, że stała się czujna. – Tak, tu Corinne.

– Corinne, nazywam się Ned Betterton.

Czekała.

– Jestem reporterem.

– Skąd?

Wahanie.

– Z „Ezerville Bee”.

Corrie mimowolnie wybuchnęła śmiechem.

– Dobra, kto mówi i co ma znaczyć ten żart? Jesteś przyjacielem Pendergasta?

Na drugim końcu łącza zapadła cisza.

– To nie żart, ale właśnie tak się składa, że to z jego powodu dzwonię.

Czekała.

– Przepraszam, że kontaktuję się z tobą w taki sposób, rozumiem jednak, że to ty zajmujesz się stroną internetową o agencji Pendergaście?

– Zgadza się – przyznała z podejrzliwością w głosie.

– Właśnie z niej dowiedziałem się, jak się nazywasz – powiedział mężczyzna. – Aż do dziś nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś w mieście. Piszę artykuł o podwójnym morderstwie, które popełniono w Missisipi. Chciałabym z tobą pomówić.

– To mów.

– Nie przez telefon. Osobiście.

Corrie zawahała się. Instykt podpowiadał jej, że powinna go spławić, ale była ciekawa związku Pendergasta z tą sprawą.

– Gdzie?

– Nie znam Nowego Jorku zbyt dobrze. Co powiesz na cukiernię Carnegie?

– Nie znoszę pastrami.

– Słyszałem, że mają tam pyszny sernik. Może za godzinę? Będę w czerwonym szaliku.

– Dobra.

W cukierni było z dziesięć osób w czerwonych szalikach i zanim Corrie znalazła Bettertona, humor zdecydowanie jej się pogorszył. Wstał, kiedy podeszła, i wysunął dla niej krzesło.

– Mogę usiąść sama, dziękuję. Nie jestem jakąś wiotką, mdlejącą przy byle okazji damą z Południa – powiedziała, przejmując od niego krzesło, i usiadła.

Miał dwadzieścia parę lat, był niski, ale sprawiał wrażenie twardego i zajadłego, na dość przystojnej twarzy dostrzegła stare ślady po ospie wietrznej. Nosił wyświechtaną sportową marynarkę, miał gęste brązowe włosy i nos, który musiał być kiedyś złamany. Intrygujące.

Zamówił kawałek sernika z truflami, a Corrie wybrała firmową kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem. Kiedy kelnerka oddaliła się, Corrie skrzyżowała ramiona i spojrzała na Bettertona.

– Dobra, o co tu chodzi?

– Prawie dwa tygodnie temu Carlton i June Brodie zostali brutalnie zamordowani w Malfourche w Missisipi. Byli przed śmiercią torturowani, w okrutny sposób.

Przez chwilę jego słowa zagłuszył brzęk naczyń i kelner głośno powtarzający zamówienie.

– Mów dalej – ponagliła Corrie.

– Zbrodnia nie została wyjaśniona. Natknąłem się jednak na pewne informacje, których tropem podążam. To

nic konkretnego, ma się rozumieć, ale nasuwają się pewne przypuszczenia.

– Gdzie jest w tym wszystkim Pendergast?

– Zaraz do tego dojdę. Wiąże się z tym pewna historia. Ponad dziesięć lat temu małżeństwo Brodiech zniknęło. Żona sfingowała samobójstwo, a wkrótce po tym zniknął jej mąż. Kilka miesięcy temu pojawili się, wrócili jak gdyby nigdy nic, sprowadzili się do Malfourche i zaczęli tam nowe życie. Ona wyjaśniła sfingowanie samobójstwa kłopotami w małżeństwie i w pracy, a oboje tłumaczyli, że przez ten czas prowadzili pensjonat w Meksyku. Tylko że to wszystko nieprawda.

Corrie wychyliła się do przodu. To było ciekawsze, niż się spodziewała.

– Na krótko przed ich powrotem Pendergast zjawił się w Malfourche w towarzystwie policjantki z Nowego Jorku, pani kapitan.

Corrie pokiwała głową. To musiała być Hayward.

– Nikt nie chciał mi powiedzieć, co tam robili ani

dlaczego. Najwyraźniej interesowało ich odludne miejsce na bagnach, wysepka zwana Spanish Island.

Betterton opowiedział Corrie o wszystkim, czego się dowiedział, i o swoich podejrzeniach, że miało to jakiś związek z wytwarzaniem, przemytem i rozprowadzaniem narkotyków na ogromną skalę.

Corrie pokiwała głową.

– A więc nad tym pracował potajemnie Pendergast.

– Niecałe dwa tygodnie temu w Malfourche pojawił się mężczyzna z niemieckim akcentem. Małżeństwo Brodiech zostało w brutalny sposób zamordowane. Tropem tego mężczyzny dotarłem do Nowego Jorku. Używał fałszywego adresu, zdołałem jednak powiązać jego osobę z niedużą kamienicą czynszową przy East End Avenue czterysta dwadzieścia osiem. Popytałem trochę tu i tam. Budynek stoi w samym sercu niemieckiej enklawy Yorkville i znajduje się w posiadaniu tej samej firmy od lat czterdziestych. Mówię tu o firmie zarządzającej nieruchomościami. Poza tym wygląda na to, że ten facet

ma jacht cumujący na przystani jachtowej, całkiem spory. Dotarłem za nim od tamtej kamienicy aż do jachtu.

Kolejny ruch głową Corrie. Zastanawiała się, kiedy zechce w zamian wydobyć jakieś informacje od niej.

– No i? – zapytała.

– Śmiem twierdzić, że to właśnie Pendergast, którego tak dobrze znasz i o którym tyle wiesz, jest kluczem do tej sprawy.

– Bez wątpienia. Pracuje teraz nad jakąś wielką sprawą.

Niezręczna pauza.

– Nie wydaje mi się.

– To znaczy?

– Agent FBI prowadzący jakąś sprawę nie wysadza w powietrze knajpy i nie zatapia kilkunastu łodzi, nie mówiąc już o spaleniu laboratorium i wytwórni narkotyków na bagnach. Nie, to coś o wiele bardziej pokrętnego i złożonego. Wygląda, jakby facet działał na własną rękę.

– To możliwe. Często prowadzi dochodzenia jako... wolny strzelec.

– To nie było żadne dochodzenie. Raczej... akcja odwetowa. Zemsta. Moim zdaniem właśnie Pendergast stoi za całą tą operacją.

Spojrzała na niego.

– Za jaką operacją?

– Za zabójstwem Brodiech. I za przemytem narkotyków. Dzieje się tu jakaś grubsza i mocno nielegalna sprawa, bez dwóch zdań.

– Zaraz, zaraz. Chcesz powiedzieć, że Pendergast jest baronem narkotykowym albo nawet mordercą?

– Powiedzmy, że jego udział w tej sprawie wydaje się wysoce prawdopodobny. Moim zdaniem chodzi o narkotyki, a ten agent FBI jest po uszy zamieszany w całą tę aferę...

Corrie podniosła się gwałtownie, przewracając przy tym krzesło.

– Oszalałeś? – zawołała z przejęciem.

– Usiądź, proszę...

– Ani myślę! Pendergast miałby sprzedawać narkotyki?

Niesmak i niedowierzanie w jej głosie sprawiły, że ludzie w zatłoczonej restauracji zaczęli popatrywać w jej stronę. Nie dbała o to.

Betterton aż skulił się w sobie zaskoczony gwałtownością jej reakcji.

– Czy mogłabyś mówić ciszej...

– Pendergast to jeden z najuczciwszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam. Nie jesteś godzien nawet całować jego butów!

Zauważyła, że Betterton poczerwieniał na twarzy. Teraz uwaga wszystkich gości w cukierni zwrócona była na nią. Kilkoro kelnerów zmierzało szybkim krokiem w jej stronę. Było w tym coś nieodparcie zachęcającego.

Jej długotrwała frustracja spowodowana zniknięciem Pendergasta i gniew, że pozwolono, aby uwierzyła w śmierć agenta, znalazły ujście w wybuchu wściekłości

skierowanej przeciwko Bettertonowi.

– I ty nazywasz siebie reporterem? – zawołała. – Dupek z ciebie, nie reporter! Pendergast uratował mi życie! Dla twojej wiadomości, to dzięki niemu mogłam pójść na studia i nie myśl sobie, że coś nas łączy, bo to najbardziej przyzwoity człowiek na ziemi, ty pismaku zafajdany!

– Pani wybaczy.

Kelner zamachał rękami, jakby chciał sprawić, by zniknęła w magiczny sposób.

– Nie wybaczę i już mnie tu nie ma. – Odwróciła się i zlustrowała wzrokiem skonsternowanych gości cukierni. – No co, nie podoba się brzydkie słownictwo? Wracaj do Dubuque.

Wyszła z restauracji i dopiero gdy znalazła się na Siódmej Alei, wśród tłumów spieszących na lunch, zdołała odzyskać oddech i wewnętrzną równowagę.

Sprawa była poważna. Wyglądało na to, że Pendergast znów wpakował się w kłopoty – w poważne

kłopoty. Tylko że do tej pory zawsze radził sobie z nimi. Złożyła mu obietnicę, że nie wmiesza się w tę sprawę, i zamierzała dotrzymać danego słowa.

Constance siedziała z tyłu w prywatnym aucie mknącym przez Madison Avenue. Trochę się zdziwiła, że doktor Poole i kierowca samochodu rozmawiają po niemiecku, ale Poole nie wyjaśnił jej szczegółów planu, dzięki któremu miała ponownie spotkać się z Pendergastem. Bardzo chciała zobaczyć się z nim i znów znaleźć się w rezydencji przy Riverside Drive.

Judson Esterhazy, alias doktor Poole, siedział obok niej, a jego wysoka arystokratyczna sylwetka i szlachetne rysy odcinały się w promieniach południowego słońca. Ucieczka poszła gładko, bez najmniejszych problemów, tak jak została zaplanowana. Oczywiście Constance było żal doktora Feldera i zdawała sobie sprawę, że odciśnie to znaczące piętno na całej jego karierze, ale bezpieczeństwo Pendergasta liczyło się przede wszystkim.

Spojrzała na Esterhazyego. Pomimo rodzinnych koneksji było w nim coś, co się jej nie spodobało. Jego

język ciała, arogancki wyraz triumfu malujący się na twarzy. Prawdę mówiąc, od początku nie darzyła go sympatią, było coś w jego manierach i sposobie mówienia, co odruchowo obudziło jej podejrzliwość.

Nieważne. Złożyła dłonie na udach pełna determinacji i gotowa za wszelką cenę pomóc Pendergastowi.

Samochód zwolnił. Przez przyciemnione szyby zauważyła, że skręcali w Dziewięćdziesiątą Drugą Ulicę.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

– To tylko krótki postój, zanim dowieziemy cię... do celu.

Constance nie spodobał się też dobór słów.

– Zanim... dowieziecie mnie do celu?

– Tak. – Arogancki uśmiech Esterhazyego poszerzył się. – Widzisz, wszystko kończy się na zemście.

– Słucham?

– Podoba mi się, jak to brzmi – powiedział Esterhazy.

– Tak: wszystko kończy się na zemście.

Zesztywniała.

– A Pendergast?

– Pendergast się nie liczy.

Jego obcesowość, sposób, w jaki nieomal wypluł z siebie to nazwisko, sprawiły, że Constance poczuła narastający niepokój.

– O czym ty mówisz?

Esterhazy zaśmiał się szorstko.

– Jeszcze nie rozumiesz? Nie zostałam uratowana, lecz uprowadzona.

Odwrócił się do niej jednym płynnym ruchem i zanim zdążyła zareagować, poczuła zaciskającą się na jej ustach dłoń, a jej nozdrza wypełniła słodkawa woń chloroformu.

Świadomość powróciła powoli, wyłaniając się z oparów sennego otępienia. Constance czekała cierpliwie, aż dojdzie do siebie. Była przywiązana do krzesła, zakneblowana i miała opaskę na oczach. Miała również splecione nogi w kostkach. Stopniowo zaczęła orientować

się w otoczeniu: poczuła woń stęchlizny i usłyszała ciche dźwięki rozlegające się gdzieś w domu. Pokój był nieduży, pusty, jeśli nie liczyć regału, zakurzonego stołu i starego łóżka oraz krzesła, do którego była przywiązana. Ktoś krzątał się w pobliżu, zapewne Esterhazy, a z zewnątrz dochodziły odgłosy ruchu ulicznego.

Miała żal do samej siebie. Głupio, bezmyślnie i niewybaczalnie pozwoliła, by wywiódł ją w pole. Co więcej, przyłożyła rękę do własnego porwania.

Ostrożnie spłyciła i wyrównała oddech, po czym zaczęła się orientować w sytuacji. Była przywiązana, nie, przyklejona taśmą do krzesła. Kiedy poruszyła rękami, stwierdziła, że taśma nie jest mocno naprężona ani w żaden sposób zabezpieczona. To była pospieszna robota, tymczasowa. Esterhazy nawet sam o tym wspominał. *To tylko krótki postój, zanim dowieziemy cię do celu.*

Zanim dowieziemy cię do celu...

Zaczęła napinać ramiona i przeguby, rozciągając i naprężając taśmę. Powoli, lecz stopniowo zaczęła ją

rozluźniać. Usłyszała, jak Esterhazy krząta się na dole; lada moment mógł przyjść po nią na górę. Ostatnim wysiłkiem zdołała zerwać taśmę. Następnie zdjęła opaskę z oczu i najciszej, jak tylko potrafiła, podeszła do drzwi. Oczywiście były zamknięte na klucz i bardzo solidne.

Podeszła do pojedynczego okna wychodzącego na zapuszczony ogród. Było zamknięte i zakratowane. Wyjrzała przez brudną szybę. Typowe podwórze w Upper East Side, jednakowe ogródki na tyłach czynszówek stojących jedna przy drugiej, oddzielone wysokimi ceglanyymi murami. Ten na tyłach domu, który stał się jej więzieniem, był zarośnięty i pusty, ale w sąsiednim ogrodzie dostrzegła rudowłosą kobietę w żółtym swetrze pogrążoną w lekturze książki.

Constance próbowała pomachać rękami, a potem delikatnie zapukała w szybę, ale kobieta nie oderwała wzroku od książki.

Pospiesznie przeszukała pokój, otwierając szuflady pustego stołu i kredensu, i w głębi jednej z szuflad

znalazła ołówek ciesielski.

Z górnej półki regału zdjęła starą książkę. Zerwała obwolutę i pośpiesznie napisała na niej kilka słów. Następnie złożyła obwolutę i po zewnętrznej stronie napisała jeszcze:

*Proszę niezwłocznie dostarczyć ten list doktorowi
Felderowi
ze szpitala Mount Mercy na Little Governor's Island.
Błagam – TO SPRAWA ŻYCIA I ŚMIERCI.*

Po chwili dopisała:

Felder wypłaci pani nagrodę pieniężną.

Podeszła do okna. Kobieta wciąż czytała. Constance zastukała w szybę, ale kobieta nie zwracała na nią uwagi. Wreszcie z narastającą desperacją Constance sięgnęła po książkę i uderzyła w szybę jej wzmocnionym grzbietem. Szkło pękło z trzaskiem, a kobieta w sąsiednim ogrodzie uniosła wzrok.

Constance natychmiast usłyszała kroki Esterhazyego

wspinającego się po schodach. Włożyła liścik do książki, aby go odpowiednio dociążyć i cisnęła ją do ogródka przy sąsiednim domu.

– Proszę wyjąć liścik! – zawołała. – I niech go pani dostarczy pod podany adres! Szybko! Błagam!

Kobieta popatrzyła na nią, gdy książka spadła na ziemię u jej stóp, i Constance zobaczyła, jak kobieta, poruszająca się o lasce, pochyła się i podnosi książkę.

Constance odwróciła się od okna w chwili, gdy Esterhazy wpadł jak burza do pokoju i klnąc pod nosem, wyraźnie zdziwiony, podbiegł do niej. Uniosła ręce, by wydrapać mu oczy, próbował odbić jej ręce w bok, zdołała jednak pozostawić na jego policzku dwa długie głębokie zadrapania. Jęknął z bólu, ale szybko doszedł do siebie i obezwładnił ją. Runął na nią całym ciałem i przewrócił na podłogę. Moczyli się przez chwilę. W końcu Esterhazy unieruchomił jej ręce i przytknął do nosa i ust Constance chustkę nasączoną chloroformem. Poczwała, że traci świadomość, i ponownie pochłonęła ją

ciemność.

Camden, Maine

Budynek, w którym stał niegdyś dom opieki, został zburzony, a w jego miejscu wzniesiono nowoczesne osiedle: ciąg jednakowych eleganckich, choć dość banalnych, niezamieszkałych jeszcze rezydencji z falującymi bannerami obiecującymi korzystne obniżki cen i promocje.

Wchodząc do biura sprzedaży nieruchomości, Pendergast stwierdził, że jest puste, i nacisnął dzwonek znajdujący się na kontuarze. Z zaplecza wyszła dość zaniedbana młoda kobieta i najwyraźniej zdziwiła się na widok gościa. Powitała go zawodowym uśmiechem. Pendergast zdjął obszerną kurtkę i wygładził swój czarny garnitur, przywracając go do linearnej perfekcji.

- Dzień dobry – powiedział.
- Mogę w czymś pomóc?
- Owszem, tak. Szukam nieruchomości w tej okolicy.

To najwyraźniej zaskoczyło kobietę. Uniosła brwi.

– Interesuje pana jedna z naszych rezydencji?

– Tak. – Pendergast rzucił paskudną kurtkę na krzesło i usiadł. – Pochodzę z Południa, ale szukam chłodniejszego klimatu, miejsca, gdzie mógłbym osiąść, kiedy przejdę na emeryturę. Nie znoszę upałów, rozumie pani.

– Nie mogę pojąć, jak udaje wam się tam żyć – rzekła kobieta.

– W rzeczy samej, w rzeczy samej. A teraz proszę mi powiedzieć, co może mi pani zaproponować.

Kobieta przejrzała teczkę i wyjęła jakieś broszury, rozłożyła je na stole, po czym z zawodową swadą zaczęła recytować:

– Mamy domy z jedną, dwiema lub trzema sypialniami, wszystkie z wannami z marmuru i najnowocześniejszym wystrojem, lodówko-zamrażarki, zmywarki Bosch, kuchenki Wolf...

Mówiła, a Pendergast zachęcał ją skinieniem głowy

albo pełnymi aprobaty pomrukami. Kiedy skończyła, obdarzył ją ciepłym uśmiechem.

– Cudownie. Tylko dwieście tysięcy za dom z dwiema sypialniami? Z widokiem na morze?

To zaowocowało kolejnym monologiem, a Pendergast skwapliwie czekał, aż kobieta skończy. Siedział cierpliwie ze złożonymi dłońmi.

– Coś mi mówi, że właśnie tu powinienem zamieszkać – rzekł. – Bądź co bądź kilka lat temu mieszkała tu moja matka.

Kobieta wyglądała na zbitą z tropu.

– To miłe... ale my dopiero rozpoczęliśmy działalność...

– Oczywiście. Mam na myśli to, że wcześniej mieścił się tu dom opieki. Bay Manor.

– Ach, tak – powiedziała. – Bay Manor, no tak.

– Pamięta go pani?

– Jasne. Dorastałam tu. Zamknęli go, kiedy... to musiało być jakieś siedem, osiem lat temu.

– Była tam bardzo miła pielęgniarka, która opiekowała się moją matką. – Pendergast wydał wargi. – Znała pani ludzi, którzy tu pracowali?

– Przykro mi, ale nie.

– Szkoda. Była cudowną osobą. Miałem nadzieję ją odwiedzić, skoro już się tu zjawilem. – Spojrzał na kobietę przenikliwym wzrokiem. – Jestem pewien, że przypomniabym sobie jej nazwisko, gdybym je tylko usłyszał. Może mi pani pomóc?

– Mogę przynajmniej spróbować. Zadzwońię do kilku miejsc.

– To miło z pani strony. A ja tymczasem przejrzę te broszury.

Otworzył jedną i pogрузzył się w lekturze, podczas gdy kobieta sięgnęła po telefon. Pendergast przysłuchiwał się rozmowom kobiety, z matką, starą nauczycielką i w końcu z matką chłopaka.

– Cóż – powiedziała pracownica biura handlu nieruchomości, odkładając słuchawkę zdecydowanym

gestem. – Udało mi się czegoś dowiedzieć. Bay Manor zburzono parę lat temu, ale zdobyłam nazwiska trzech osób, które tam pracowały.

Z triumfalnym uśmiechem położyła przed nim kartkę papieru.

– Czy któraś z tych osób nadal tu mieszka?

– Ta pierwsza, Maybelle Payson. Wciąż mieszka w okolicy. Pozostałe dwie zmarły.

– Maybelle Payson... Ależ co za zbieg okoliczności, tak właśnie nazywała się ta pielęgniarka, która opiekowała się moją matką! – Pendergast uśmiechnął się do niej promiennie, biorąc od niej kartkę.

– A teraz, jeśli pan pozwoli, chętnie pokażę panu nasze wzorcowe domy.

– Doskonale! Kiedy wrócę tu z żoną, z przyjemnością pozwolimy, żeby nas pani oprowadziła. Była pani bardzo pomocna.

Zgarnął broszury, wsunął je do kieszeni, nałożył puchową kurtkę i wyszedł na siarczysty mróz.

Maybelle Payson zajmowała zaniedbany fourplex z dala od wody, w robotniczej części miasta. Mieszkali tu głównie poławiacze homarów; ich łodzie stały na trawnikach przed domami, zabezpieczone, obciążone łańcuchami i otulone szczelnie brezentem. Niektóre były nawet większe niż przyczepy, których służyły za lokum ich właścicielom.

Pendergast przeszedł ścieżką, wspiął się na skrzypiący ganek, nacisnął dzwonek i czekał. Po drugim dzwonku usłyszał, że w środku ktoś się kręci, i w końcu w szybce pośrodku drzwi pojawiła się pomarszczona sowa twarz otoczona aureolą niebieskawych włosów. Szeroko otwartymi, niemal dziecięcymi oczami patrzyła na niego stara kobieta.

– Pani Payson? – odezwał się Pendergast.

– Kto?

– Pani Payson? Mogę wejść?

– Nie słyszę pana.

– Nazywam się Pendergast. Chciałbym z panią porozmawiać.

– O czym? – Wodniste oczy patrzyły na niego podejrzliwie.

Pendergast rzucił podniesionym głosem:

– O Bay Manor. Mieszkała tam moja krewna. Mówiła o pani w samych superlatywach, pani Payson.

Usłyszał szcęk odsuwanych zasuwek, odblokowywanych zamków i zdejmowanych łańcuchów. Drzwi otworzyły się i Pendergast przeszedł za drobną kobieciną do małego saloniku. W pokoju panował bałagan, czuć też było kotami. Staruszka zgoniła jednego z fotela i usadowiła się na kanapie.

– Proszę spocząć.

Pendergast zajął fotel cały pokryty białą sierścią. Drobne włoski jak przyciągane magnetyczną mocą zdawały się przylepiać do jego czarnego garnituru.

– Napije się pan herbaty?

– Nie, dziękuję – odparł pośpiesznie Pendergast i wyjął notes. – Próbuję ogarnąć pewną drobną rodzinną historię i chciałem pomówić z panią o mojej krewnej, która była rezydentką Bay Manor przed kilkoma laty.

– Jak się nazywała?

– Emma Grolier.

Długa cisza.

– Pamięta ją pani?

Kolejna długa cisza. W kuchni zaczął gwizdać czajnik, ale kobieta jakby w ogóle go nie słyszała.

– Pani pozwoli – rzekł Pendergast, wstając, by zdjąć czajnik z gazu. – Jakiej herbaty pani sobie życzy?

– Co?

– Herbata. Jaką pani pija?

– Earl greya. Czarną.

W kuchni Pendergast otworzył leżące na kontuarze pudełko z herbatą, wyjął saszetkę, włożył do kubka i zalał wrzątkiem. Przyniósł kubek i z uśmiechem postawił na stole obok staruszki.

– To miło z pana strony. – Spojrzała na niego życzliwym wzrokiem. – Powinien pan częściej mnie odwiedzać

Pendergast znów zajął miejsce na oblepionym kocia sierścią fotelu i założył nogę na nogę.

– Emma Grolier – powiedziała stara pielęgniarka. – Dobrze ją pamiętam. – Wodniste oczy spojrzały na niego, powieki przymrużyły się nieznacznie w wyrazie nieskrywanej podejrzliwości. – Wątpię, aby wyrażała się życzliwie o mnie czy o kimkolwiek innym. Co chce pan wiedzieć?

Pendergast przerwał.

– Zbieram informacje z pobudek osobistych i chciałbym wiedzieć o niej wszystko. Jaka była?

– Rozumiem. Cóż, z przykrością muszę powiedzieć, że była trudna. Uszczypliwa, kapryśna, zjadliwa kobieta. Zrzedliwa. Przykro mi, że muszę być tak do bólu szczera. Nie należała do moich ulubionych pacjentek. Ciągłe się skarżyła, płakała, rzucała jedzeniem, miała skłonności do

przemocy, cierpiała na poważne zaburzenia kognitywne.

– Mówi pani, że miała skłonność do przemocy?

– W dodatku była silna. Biła ludzi, w gniewie niszczyła rzeczy. Raz mnie ugryzła. Kilka razy trzeba ją było przypiąć pasami.

– Czy odwiedzał ją ktoś z rodziny?

– Nikt jej nigdy nie odwiedzał. Choć musiała mieć rodzinę, bo zapewniono jej najlepszą opiekę, osobistego lekarza, płacono za okazjonalne wyjścia poza teren ośrodka, markowe ciuchy, a na Gwiazdkę otrzymywała prezenty.

– Osobisty lekarz?

– Tak.

– Jego nazwisko?

Długa cisza.

– Obawiam się, że jego nazwisko wyleciało mi z pamięci. Był cudzoziemcem. Przyjeżdżał dwa razy do roku. Wielki mężczyzna, kroczył dumnie, jakby był samym Zygmuntem Freudem. Bardzo ostry i

wymagający. Nic mu się nigdy nie podobało. Kiedy się zjawiał, mieliśmy z nim prawdziwe piekło. Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy w końcu zabrał ją ten drugi doktor.

– Kiedy to się stało?

Kolejna długa przerwa.

– Nie pamiętam dokładnie, tylu ich przyjeżdżało i wyjeżdżało. Ale pamiętam dzień. Ten doktor przyjechał bez zapowiedzi, podpisał jej zwolnienie z domu opieki i po prostu ją zabrał. To wszystko. Nie wzięła ze sobą żadnych rzeczy osobistych. To bardzo dziwne. Nigdy więcej jej nie widzieliśmy. Bay Manor miało w tym czasie spore kłopoty finansowe i kilka lat później dom opieki został zamknięty.

– Jak wyglądał ten doktor?

– Nie pamiętam zbyt dobrze. Wysoki, przystojny, dobrze ubrany. O ile dobrze sobie przypominam.

– Czy jest ktoś jeszcze z personelu ośrodka, z kim mógłbym porozmawiać?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie zostali tu na stałe.
Zimy są srogie, wie pan.

– Gdzie obecnie znajduje się archiwum domu opieki?

– Bay Manor? – Stara pielęgniarka zmarszczyła brwi.

– Takie rzeczy zwykle są wysyłane do archiwum stanowego w Auguście.

Pendergast wstał.

– Mówiła pani, że cierpiała na zaburzenia kognitywne. Na czym właściwie polegała jej choroba?

– Była upośledzona psychicznie.

– Nie mówimy tu o demencji starczej?

Staruszka popatrzyła na niego.

– Oczywiście, że nie! Emma Grolier była młodą kobietą. Nie miała więcej niż dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem lat!

Znów spojrzała na niego podejrzliwym wzrokiem.

– Mówił pan, że jest jej krewnym...

Pendergast zamilkł tylko na chwilę. To była szokująca informacja, której znaczenie nie od razu wydało

mu się jasne i oczywiste. Zatuszował swoją reakcję promiennym uśmiechem i skinął głową.

– Dziękuję za poświęcony mi czas.

Gdy znów wyszedł na mróz, wściekły, że został zdemaskowany przez przygłuchą osiemdziesięciolatkę, w głębi ducha pocieszał się myślą, że archiwa medyczne w Auguście pozwolą mu wypełnić luki brakującymi, nader ważnymi szczegółami.

Augusta, Maine

Aloysius Pendergast siedział w piwnicy gmachu Archiwum Stanu Maine otoczony teczkami z aktami zlikwidowanego domu opieki Bay Manor. Zmarszczył brwi, wlepiając wzrok w bieloną ścianę z gazobetonu, i nerwowo postukał wypiełgnowanym paznokciem w blat stołu.

Uporczywe poszukiwania akt medycznych Emmy Grolier zaowocowały odnalezieniem tylko jednej karty. Zgodnie z jej treścią wszystkie akta i pełna historia choroby miały zostać przesłane wedle wcześniejszych ustaleń doktorowi Judsonowi Esterhazyemu do jego kliniki w Savannah w Georgii. Data transferu wskazywała na pół roku po domniemanej śmierci Helen w Afryce. Karta została podpisana przez Esterhazyego, podpis był prawdziwy.

Co Esterhazy zrobił z tymi papierami? Nie było ich w

sejfie jego domu w Savannah. Wydawało się niemal pewne, że je zniszczył, o ile, rzecz jasna, teoria, która zaczęła kiełkować w umyśle Pendergasta, była prawdziwa. Całkiem możliwe, że po prostu przeoczył rachunki z domu opieki. Emma Grolier. Czy było możliwe, że...? Podniósł się powoli, z zamyśleniem, odsuwając krzesło z wielką pieczołowitością.

Gdy wrócił na górę i ponownie wyszedł na siarczasty mróz, rozległ się sygnał jego komórki. To był D'Agosta.

– Constance uciekła – powiedział bez żadnych wstępów.

Pendergast zastygł w bezruchu. Przez chwilę nie odezwał się słowem. W końcu otworzył drzwiczki wynajętego samochodu i wślizgnął się do środka.

– To niemożliwe. Nie miała powodów, by uciec.

– Ale uciekła. I mam nadzieję, że siedzisz, bo jeżeli stoisz, to po tym, co zaraz powiem, na pewno padniesz na ziemię.

– Kiedy to się stało? Jak?

– W porze lunchu. To dziwna sprawa. Była na wycieczce.

– Poza szpitalem?

– W zoo w Central Parku. Wygląda na to, że jeden z lekarzy dopomógł jej w ucieczce.

– Doktor Ostrom? Doktor Felder? Niemożliwe.

– Nie. Ten akurat nazywał się Poole. Ernest Poole.

– Kim, do diabła, jest Ernest Poole? – Pendergast uruchomił silnik. – I co, u licha, zabójczyni własnego dziecka, która sama przyznała się do popełnienia tego czynu, robiła poza murami zakładu zamkniętego?

– Oto jest pytanie. Możesz się założyć, że prasa będzie mieć używanie, kiedy się o tym dowie, a pewnie tak się stanie.

– Postaraj się utrzymać prasę z dala od tej sprawy. Za wszelką cenę.

– Rzecz jasna wydział zabójstw wszczął szeroko zakrojone poszukiwania.

– Odwołaj ich. Nie mogę dopuścić, aby śledczy

zaczęli za bardzo węszyć.

– Nic z tego. Śledztwo zostało wszczęte z urzędu.

Postępowanie proceduralne.

Pendergast przez blisko dziesięć sekund siedział w kompletnym bezruchu, myśląc intensywnie. Wreszcie znów się odezwał.

– Sprawdziłeś tego doktora Poole’a?

– Jeszcze nie.

– Skoro wydział zabójstw musi się czymś zająć, podsuń im to. Odkryją, że to oszust.

– Wiesz, kto to jest?

– Wolałbym teraz tego nie roztrząsać. – Pendergast znów przerwał na chwilę. – Byłem głupcem, że nie przewidziałem czegoś takiego. Byłem przekonany, że Constance jest w Mount Mercy absolutnie bezpieczna. Straszne przeoczenie. Kolejne straszne przeoczenie.

– Cóż, najprawdopodobniej nic jej nie grozi. Może zadurzyła się w lekarzu i wspólnie wybrali się na romantyczną wyprawę... – D’Agosta nie dokończył.

– Vincencie, powiedziałem ci już, że ona nie uciekła.

Została porwana.

– Porwana?

– Tak. Bez wątpienia przez tego fałszywego doktora, jak mu tam, Poole’a. Postaraj się, by prasa nie zwietrzyła tej sprawy, i dopilnuj, by wydział zabójstw nie zmaćił za bardzo wody.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Dziękuję.

Pendergast ruszył, wyjeżdżając na oblodzoną ulicę, wynajętym samochodem zarzuciło, a spod kół rozbryzgnęły się płaty śniegu, gdy agent skierował się w stronę lotniska i Nowego Jorku.

Nowy Jork

Ned Betterton stał przy wejściu na przystań przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, wpatrując się w cumujące tam niezliczone jachty i luksusowe łodzie motorowe kołyszące się leniwie na spokojnych wodach rzeki Hudson. Miał na sobie jedyną marynarkę, jaką zabrał ze sobą, granatową, kupił do tego fioletowy krawat, który zawiązał pod szyją, i białą czapkę, którą nałożył zawadiacko na głowę. Nie było jeszcze osiemnastej i słońce zaczęło wolno znikać za betonowymi murami New Jersey.

Z rękami w kieszeniach spojrzał na łódź, na której pokładzie poprzedniego dnia widział wchodzącego Niemca, zakotwiczoną w pewnej odległości od przystani. To była piękna jednostka, biała, z trzema rzędami przyciemnionych okien, dobrze ponad trzydzieści metrów długości. Na pokładzie nie dostrzegł żadnych oznak

aktywności.

Urlop Bettertona dobiegł końca i w telefonach od Kranstona z „Ezerville Bee” pojawiły się pogróżki. Naczelny był wściekły, że sam musi pisać relacje z festynów kościelnych i innych kretyńskich imprez. I dobrze, do diabła z nim. To był gorący trop ten jacht. Mógł stanowić dla niego przepustkę do świata wielkiego dziennikarstwa.

I ty nazywasz siebie reporterem? Dupek z ciebie, nie reporter! Betterton aż skulił się w sobie na wspomnienie tego, w jaki sposób potraktowała go Corinne Swanson. To kolejny powód, dla którego wrócił na przystań jachtową. Wiedział, że w jakiś sposób Pendergast był zamieszany w tę sprawę... i to bynajmniej nie jako agent operacyjny.

To ten granatowy blezer podsunął mu pewien pomysł. Wiedział, że powszechnym zwyczajem było, że żeglarze jachtowi, których jednostki kotwiczyły w pobliżu, odwiedzali się nawzajem, aby wspólnie się napić i pogawędzić o tym czy owym. Uda żeglarza, wejdzie na

pokład i trochę się rozejrzy. Może znajdzie to, czego szuka. Jeśli jednak to byli przestępcy – handlarze narkotyków – będzie musiał zachować wyjątkową ostrożność.

Wkrótce przekonał się, że dostanie się na teren przystani jachtowej wcale nie jest łatwe. Otacza go wysoka siatka, a na wartowni, przy zamkniętej bramie dostrzegł paru strażników. Na dużej tablicy przy wejściu widniał napis: „Wstęp tylko dla zaproszonych gości”. To miejsce aż cuchnęło szmałem, nie wpuszczano tu hołoty.

Spojrzał na drucianą siatkę rozciągniętą wzdłuż brzegu, w pewnym oddaleniu od wody i znikającą wśród krzewów. Upewnił się, że nikt nie patrzy, podążył wzdłuż siatki w gęstwinę nad brzegiem rzeki. Tam znalazł to, czego szukał – niedużą dziurę.

Przecisnął się przez nią, otrzepał starannie, nałożył czapkę, wygładził marynarkę i pomaszerował brzegiem, trzymając się blisko krzewów. Pięćdziesiąt metrów dalej dostrzegł w oddali hangar dla łodzi i początek pirsów

przystani. Raz jeszcze poprawił ubranie, wyszedł na otwartą przestrzeń, dotarł do chodnika przy pirsie, po czym ruszył przed siebie leniwym krokiem jak żeglarz, który wybrał się na przechadzkę. Tutejszy pracownik zajmował się czymś przy doku, obok hangaru dla łodzi, gdzie na ponumerowanych miejscach cumowało kilkadziesiąt małych jednostek zaopatrzeniowych.

– Dobry wieczór – powiedział Betterton.

Mężczyzna uniósł wzrok, pozdrowił go i wrócił do pracy.

– Zastanawiam się – zagadnął Betterton – czy zechciałby pan przewieźć mnie na tamten jacht?

Wyjął z kieszeni banknot dwudziestodolarowy i ruchem głowy wskazał białą jednostkę kotwiczącą o jakieś sto pięćdziesiąt metrów od przystani.

Mężczyzna wstał. Spojrzał na dwudziestkę, a potem na Bettertona.

– Na Vergeltunga?

– Zgadza się. I proszę zaczekać, żeby mógł pan

odwieźć mnie z powrotem. Zabawię na pokładzie pięć, góra dziesięć minut.

– Po co pan się tam wybiera?

– Ot przyjacielska wizyta. Jak to między żeglarzami. Podziwiałem tę jednostkę i pomyślałem, że mógłbym usprawnić moją w podobny sposób. Mój jacht stoi tam. – Skinął niedbale ręką w stronę redy.

– No cóż...

Z ciemności hangaru wyłonił się jakiś mężczyzna, miał około trzydziestu pięciu lat, pojaśniałe nieco od słońca kasztanowe włosy i mocną opaleniznę, pomimo iż był już listopad.

– Ja go tam zawiozę, Brad – rzekł przybyły, świdrując Bettertona wzrokiem.

– Dobra, Vik. Jest twój.

– Ale zaczeka pan na mnie, żeby odwieźć mnie z powrotem na ląd? – spytał Betterton.

Mężczyzna pokiwał głową, po czym wskazał na jedną z łodzi zaopatrzeniowych.

– Wskakuj pan.

Doktor Felder krążył w tę i z powrotem przed witrażowymi szybami gabinetu doktora Ostroma w szpitalu Mount Mercy. Wziął głęboki drżący oddech i spojrzał na brązowe moczary opodal; leciał klucz dzikich gęsi.

Cóż to było za popołudnie – koszmarne. Policja przyjechała i odjechała, ale najpierw przeczesła całą placówkę od piwnic po dach, zadała mnóstwo pytań, niepokoiła pacjentów, przeszukała też pokój Constance. Ostrom zobaczył, że Felder mu się przygląda, zmarszczył brwi z dezaprobatą i ponownie odwrócił się w stronę detektywa.

Jak dotąd udało im się utrzymać tę sprawę z dala od prasy, ale to nie poprawiało mu humoru. Nie da się tego przedłużyć w nieskończoność. Już odebrał telefon od burmistrza, który bez ogródek powiedział mu, że jeżeli Constance Greene nie wróci do Mount Mercy bez

zbytniego rozgłosu i przy ograniczeniu dopuszczalnych strat do minimum, Felder może zacząć odkurzać swoje CV.

To, że doktor Poole najwyraźniej był odpowiedzialny za ucieczkę Constance, ani trochę nie poprawiało jego sytuacji. Jedno nie ulegało wątpliwości – na podaniu o zezwolenie na wycieczkę Constance Greene poza teren zakładu widniał podpis Feldera. Czego mógł chcieć od Constance doktor Poole? Po co zadał sobie tyle trudu i podjął tak wielkie ryzyko, by wydostać ją z Mount Mercy? Czy działał w imieniu jakiegoś nieznanego zleceniodawcy? Czy mógł być w to zamieszany Pendergast?

Na myśl o Pendergaście Felder aż się wzdrygnął.

W korytarzu zrobiło się zamieszanie, przy wartowni, obok wejścia do szpitala. Ubrany na biało pielęgniarz podszedł do doktora Ostroma i detektywa. Felder zatrzymał się i patrzył, podczas gdy Ostrom zamienił kilka słów z pielęgniarzem.

Dyrektor zakładu Mount Mercy odwrócił się do Feldera.

– Jakaś kobieta chce się z panem zobaczyć.

Felder zmarszczył brwi.

– Kobieta?

Kto mógł wiedzieć, że jest on teraz tutaj, poza doktorem Ostromem i resztą personelu? Mimo to poszedł za pielęgniarzem w stronę wartowni. Przy wejściu faktycznie stała kobieta – niska, chuda jak patyk, dobrze po pięćdziesiątce, z burzą ognistorudych włosów i ustami pomalowanymi jasnoczerwoną pomadką. Przez ramię miała przewieszoną podróbkę torebki Burberry. Wspierała się na lasce.

– Jestem doktor Felder – powiedział, mijając wartownię. – Chciała pani się ze mną zobaczyć?

– Nie – odparła wysokim, zrzędlwym głosem.

– Nie? – powtórzył ze zdziwieniem Felder.

– Nie mam pojęcia, kim pan jest. A odnalezienie pana nie jest w moim odczuciu właściwym sposobem na

spędzenie miłego popołudnia. Nie mam samochodu, a wie pan, jak trudno tutaj dotrzeć bez auta? Ciężko nawet dowiedzieć się, gdzie się znajduje Mount Mercy. Little Governor's Island, ba! Mówię panu, dwa razy byłam bliska, żeby odpuścić sobie to wszystko. – Wychyliła się do przodu, stukając końcem laski w marmurową posadzkę. – Ale obiecano mi pieniądze.

Felder spojrzał na nią z zakłopotaniem.

– Pieniądze? Kto je pani obiecał? Co to ma wspólnego ze mną?

– Dziewczyna.

– Jaka dziewczyna?

– Ta, która dała mi liścik. Kazała dostarczyć go doktorowi Felderowi z Mount Mercy. Powiedziała, że dostanę za to pieniądze.

Kolejne uderzenie laską o posadzkę.

– Dziewczyna? – powtórzył Felder. Boże, to musiała być Constance. – Gdzie pani widziała tę dziewczynę?

– Zobaczyłam ją z mojego ogrodu za domem. Ale to

nieważne. Chcę wiedzieć jedno, czy dostanę pieniądze, czy nie?

– Ma pani ten list? – zapytał Felder.

Tak bardzo chciał go zobaczyć, że aż poczuł, iż się rumieni.

Kobieta pokiwała głową, ale z podejrzliwością, jakby bała się, że mógłby chcieć ją przeszukać, aby potwierdzić prawdziwość jej słów. Drżącymi rękami Felder sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął portfel, wyciągnął z niego pięćdziesiąt dolarów i podał jej.

– Musiałam brać dwa razy taryfę – powiedziała kobieta, chowając pieniądze do torebki.

Felder podał jej jeszcze dwudziestkę.

– I potrzebuję jeszcze forsy na taksówkę, żeby wrócić do domu. Czeka na zewnątrz.

Z portfela wyfrunęła jeszcze jedna dwudziestka, ostatni banknot, jaki posiadał Felder. Dopiero wtedy kobieta sięgnęła do torebki i wyjęła złożoną na pół kartkę papieru. Jeden koniec był postrzępiony, jakby została

wyrwana z książki. Na kartce widniał list nakreślony odręcznym, charakterystycznym, starannym pismem Constance:

*Proszę niezwłocznie dostarczyć ten list doktorowi
Felderowi ze szpitala Mount Mercy
na Little Governor's Island.
Błagam – TO SPRAWA ŻYCIA I ŚMIERCI.*

Felder wypłaci pani nagrodę pieniężną.

Jeszcze bardziej drżącymi dłońmi rozłożył kartkę. Jakie było jego zdziwienie, gdy okazało się, że wiadomość na kartce była przeznaczona dla kogoś innego, dla Pendergasta.

*Aloysiusie, zostałam porwana przez
człowieka, który twierdzi,
że jest twoim szwagrem,
Judsona Esterhazyego. Posługiwał się
nazwiskiem Poole. Jestem przetrzymywana
w domu gdzieś przy Upper East Side, ale
niedługo mają mnie stąd zabrać i niestety nie
wiem dokąd. Obawiam się, że
on chce mnie skrzywdzić. Jest coś,*

*co powtórzył przy mnie kilkakrotnie,
ze szczególnym naciskiem:
Wszystko się kończy na zemście.*

*Wybacz mi, proszę, moją nieroztropność
i łatwowierność. Cokolwiek się stanie,
pamiętaj, że powierzam twojej pieczy troskę
o ostateczne dobro mojego dziecka.*

Constance

Felder uniósł wzrok, bo nagle w jego umyśle pojawiła się cała lawina pytań, ale kobieta już się ulotniła. Wyjrzał na zewnątrz, lecz zniknęła. Wrócił do środka i podszedł do miejsca, gdzie czekali doktor Ostrom i detektyw z wydziału zabójstw.

– No i? – zapytał doktor Ostrom. – Czego chciała?

Felder bez słowa podał mu kartkę papieru. Zobaczył, jak Ostrom zadrżał wyraźnie, gdy przeczytał najpierw wiadomość zapisaną po jednej, następnie po drugiej stronie kartki.

– Gdzie ta kobieta? – rzucił szorstko Ostrom.

– Zniknęła.

– Wielkie nieba. – Ostrom podszedł do aparatu telefonicznego na ścianie i wziął do ręki słuchawkę. – Mówi doktor Ostrom – powiedział. – Łącz mnie z wartownią.

Po krótkiej wymianie zdań okazało się, że taksówka z kobietą już opuściła teren szpitala. Ostrom zrobił ksero listu, po czym przekazał oryginał detektywowi.

– Musimy zatrzymać tę kobietę. Proszę wezwać moich ludzi. Niech ją dogonią. Rozumie pan?

Detektyw odszedł na stronę, wyjął z futerału przy pasku krótkofalówkę i przez chwilę z kimś przez nią rozmawiał.

Felder odwrócił się do Ostroma, gdy dyrektor odwiesił słuchawkę telefonu.

– Ona twierdzi, że jej dziecko żyje. Co to może oznaczać?

Ostrom pokręcił tylko głową.

61

Esterhazy obserwował nagłe zamieszanie na pokładzie Vergeltunga, gdy ponton zaopatrzony w silnik zaburtowy podpłynął nieoczekiwanie do jachtu od strony przystani. Przyglądał się łodzi pomocniczej przez lornetkę, stojąc przy przyciemnionym oknie w głównym salonie. W pierwszej chwili zastanawiał się, czy mógł to być Pendergast – choć tak bezpośrednie podejście nie pasowało do agenta specjalnego. Ale nie, to był ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widział – niski mężczyzna stał, chwiejąc się, na dziobie niedużej łódki. Podszedł do niego Falkoner.

– To on? – zapytał.

Esterhazy pokręcił głową.

– Nie. Nie mam pojęcia, kto to może być.

– Dowiemy się. – Falkoner wyszedł na pokład rufowy.

– Ahoj, tam na jachcie! – zawołał mężczyzna w

pontonie.

Był ubrany aż do przesady na żeglarską modłę, w marynarski blezer, czapkę i fular.

– Witam – odkrzyknął przyjaźnie Falkoner.

– Cumuję tu, po sąsiedzku – rzekł mężczyzna. – Podziwiałem pański jacht. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Ani trochę. Chciałby pan wejść na pokład?

– Jeszcze jak.

Mężczyzna odwrócił się do pracownika z przystani obsługującego silnik zaburtowy pontonu.

– Proszę tu zaczekać.

Tamten pokiwał głową.

Przybysz wspiął się po drabince na rufie jachtu, podczas gdy Falkoner otworzył pawęż, aby wpuścić go na pokład. Kiedy się tam znalazł, mężczyzna wygładził blezer i wyciągnął rękę.

– Nazywam się Betterton – powiedział.

– Jestem Falkoner.

Esterhazy także uściskał dłoń Bettertona, ale nie przedstawił się. Kiedy się uśmiechnął, poczuł pieczenie zadrapań na twarzy. To się już nie powtórzy: Constance była zamknięta w ładowni, zakuta w kajdanki, z kneblem na ustach oklejonym taśmą dla pewności. Mimo to dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy przypomniał sobie wyraz jej twarzy w domu przy Upper East Side. Wychwycił w nim dwie rzeczy, co do których nie miał żadnych wątpliwości – nienawiść i przejrzystość umysłu. Ta kobieta nie była wariatką, za jaką ją uważał. A nienawiść, jaką pałała wobec niego, była niepokojąca, bo intensywna i przepełniona żądzą mordy. To go zaniepokoiło, nawet bardzo.

– Cumuję o tam. – Betterton machinalnie wskazał kciukiem za siebie. – I pomyślałem, że wpadnę, aby życzyć panom miłego wieczoru. No i, mówiąc szczerze, urzekł mnie pański jacht.

– To miło, że się pan fatygował – odrzekł Falkoner, zerkając z ukosa na Esterhazyego. – Może pana

oprowadzę?

Betterton skwapliwie pokiwał głową.

– Bardzo dziękuję.

Esterhazy zauważył, że tamten strzelał oczami na wszystkie strony, rozglądając się uważnie. Zdziwił się, że Falkoner zaproponował temu człowiekowi, że go oprowadzi, było w nim coś nieodparcie fałszywego. Tamten nie wyglądał jak żeglarz, granatowy blezer był marnego kroju, a w dodatku mężczyzna nosił tanią podróbkę butów żeglarzy jachtowych.

Gdy weszli do pięknie urządzonego salonu, Falkoner zaczął opowiadać gościowi o Vergeltungu i charakterystyce jachtu. Betterton słuchał z niemal dziecięcym oddaniem i wciąż sprawiał wrażenie, jakby starał się zapamiętać każdą podaną informację.

– Ilu ludzi jest na pokładzie? – spytał.

– Mamy ośmioosobową załogę. No i jestem jeszcze ja i mój przyjaciel, który wpadł na kilka dni w odwiedziny.

Falkoner uśmiechnął się.

– A co z pańską łodzią?

Betterton machnął ręką.

– Mam trzyosobową załogę. Wypływał pan gdzieś ostatnio swoim jachtem?

– Nie. Kotwiczymy tu od wielu tygodni.

– I przez cały czas był pan na pokładzie? To trochę szkoda, pomimo że jacht jest naprawdę piękny, ale kiedy Nowy Jork ma się dosłownie na wyciągnięcie ręki i to ze wszystkimi jego urokami...

– Niestety, nie mam czasu na podróże.

Przeszli przez jadalnię do kuchni, gdzie Falkoner wyciągnął egzemplarz wieczornego menu, chwając przy tym okrętowego kucharza. Esterhazy podążał za nimi w milczeniu, zastanawiając się, do czego to prowadzi.

– Sola z masłem truflowym i musem warzywnym – powiedział Betterton, spoglądając na kartę dań. – Dobrze tu jadacie.

– Może zechciałby pan zjeść z nami kolację? – spytał Falkoner.

– Dziękuję, ale mam już umówione spotkanie.

Przeszli korytarzem wyłożonym jasnoszarą boazerią.

– Chciałby pan zobaczyć mostek?

– Oczywiście.

Weszli po schodach na górny pokład i dotarli do sterówki.

– To kapitan Joachim – oznajmił Falkoner.

– Miło mi pana poznać – rzekł Betterton, rozglądając się dokoła. – To naprawdę imponujące.

– Cieszy mnie to – odrzekł Falkoner. – Nic nie daje takiego poczucia niezależności jak jacht taki jak ten, ale pan na pewno dobrze o tym wie. Loran na pokładzie nie ma sobie równych.

– Domyślam się.

– Ma pan Loran na swoim jachcie?

– Oczywiście.

– Wspaniały wynalazek.

Esterhazy spojrział na Falkonera.

– Loran? Ta stara technologia już dawno została

wyparta przez GPS.

I nagle Esterhazy zorientował się, do czego zmierza Falkoner.

– Jaki właściwie ma pan jacht? – zapytał Falkoner.

– To... ee... chris-craft. Dwudziestosześciometrowy.

– Ach tak. Dwudziestosześciometrowy chris-craft.

Ma porządny zasięg?

– No jasne.

– A jaki?

– Osiemset mil morskich.

Falkoner sprawiał wrażenie, jakby się nad tym zastanawiał. Po czym wziął Bettertona za rękę.

– Chodźmy. Pokażę panu jedną z kabin.

Opuścili mostek i zeszli dwa pokłady niżej do kabin dla pasażerów i załogi. Falkoner jednak nie zatrzymał się tutaj, lecz zszedł jeszcze poziom niżej, zmierzając do maszynowni jachtu. Dotarł korytarzem do nieoznakowanych drzwi.

– Ciekaw jestem – rzekł, otwierając drzwi – jaki

silnik ma pański jacht. I jaki jest pański port macierzysty?

Weszli nie do kabiny, lecz do spartańsko urządzonego składziku.

– Och, nie znam się aż tak dobrze na sprawach technicznych – rzekł Betterton, chichocząc i zbywając pytanie machnięciem ręki. – Pozostawiam to mojemu kapitanowi i załodze.

– To zabawne – odrzekł Falkoner, unosząc pokrywę skrzyni do przechowywania płótna żaglowego. – Ja niczego nie pozostawiam innym. Taką mam zasadę. – Wyciągnął ze skrzyni wielką płachtę płótna żaglowego i rozłożył na podłodze.

– To jest kabina? – spytał Betterton.

– Nie – odparł Falkoner, zamykając drzwi. Spojrzał na Esterhazyego, a w jego spojrzeniu krył się lodowaty chłód.

Betterton popatrzył na zegarek.

– Cóż. Dzięki za oprowadzenie Chyba będę się już zbierał...

Przerwał, kiedy ujrzał w ręku Falkonera nóż bojowy o obosiecznym ostrzu.

– Kim jesteś? – wycedził Falkoner. – I czego chcesz?

Betterton przełknął ślinę. Przeniósł wzrok z Falkonera na nóż i z powrotem.

– Już powiedziałem. Moja łódź cumuje nieopodal i...

Falkoner szybko jak atakujący wąż pochwycił Bettertona za rękę i wbił mu ostrze noża w miękką tkankę pomiędzy palcem wskazującym a środkowym. Betterton krzyknął z bólu, usiłując uwolnić rękę. Falkoner jednak tylko wzmógł uścisk i szarpnięciem pociągnął mężczyznę do przodu, zmuszając go, aby stanął na płachcie płótna żaglowego.

– Marnujemy czas – powiedział. – Nie każ mi się powtarzać. Judsonie, osłaniaj mnie.

Esterhazy wyjął nóż i cofnął się. Zrobiło mu się niedobrze. To nie wydawało się konieczne. A nadmierna gorliwość Falkonera pogorszyła sytuację.

– Popełniasz poważny błąd – zaczął Betterton, a jego

głos stał się nagle cichy i groźny.

Zanim jednak zdążył powiedzieć coś więcej, Falkoner poprawił uchwyt na nożu i wbił ostrze jeszcze głębiej, tym razem pomiędzy palce środkowy i serdeczny.

– Zabiję cię – wychrypiał Betterton.

Esterhazy patrzył z narastającą zgrozą, a Falkoner, trzymając przegub przybysza w żelaznym uścisku, drugą ręką obracał nożem, drażąc coraz głębiej.

Betterton zatoczył się na płachtę żaglowego płótna, stękając, ale nic nie powiedział.

– Mów, po co tu jesteś.

Falkoner skrzył nóż, wbijając ostrze głębiej.

– Jestem złodziejem – wysapał Betterton.

– Ciekawa historyjka. Ale ja w nią nie wierzę.

– Ja... – zaczął Betterton i nagle przy wtórze nagłego wybuchu przemocy Falkoner kopnął go kolanem w krocze, po czym trzasnął z byka w twarz, gdy tamten zgiął się wpół.

Betterton runął na rozłożone płótno, jęcząc, z jego

złamanego nosa pociekła krew. Falkoner przykrył go płótnem żaglowym, zawijając jeden jego róg, po czym ukląkł na brezencie, przyszpilając Bettertona do pokładu. Wyjął nóż i przesunął czubkiem klingi po miękkim ciele pod brodą tamtego. Betterton, kompletnie unieruchomiony i na wpół oszołomiony, poruszył głową z boku na bok, kwiląc z bólu.

Falkoner westchnął, z żalem lub zniecierpliwieniem, lecz Esterhazy nie był w stanie tego precyzyjnie określić, po czym wbił czubek noża na prawie trzy centymetry w miękkie ciało powyżej szyi i poniżej podbródka tamtego.

Teraz Betterton naprawdę krzyknął i zaczął miotać się dziko. Po chwili Falkoner wysunął nóż z rany. Betterton zakasłał i splunął krwią.

– Jestem reporterem – powiedział po chwili. Mówił niewyraźnie, bełkotliwie, krztusząc się krwią.

– Reporterem? W jakiej sprawie prowadzisz śledztwo?

– Śmierci... June i Carltona Brodiech.

- Jak mnie znalazłeś?
- Miejscowi... wypożyczalnia aut... linie lotnicze.
- To brzmi sensowniej – mruknął Falkoner. –

Mówiłeś komuś o mnie?

- Nie.
- To dobrze.
- Musisz mnie puścić... w łodzi... czeka na mnie człowiek...

Jednym brutalnym ruchem Falkoner przeciągnął ostrzem noża po gardle reportera, równocześnie uskakując w tył, by uniknąć obryzganania krwią.

– Boże! – krzyknął Esterhazy, cofając się w wyrazie szoku i konsternacji.

Betterton uniósł ręce w stronę rany, ale to był odruchowy, mimowolny gest. Gdy ciemna karmazynowa struga przelewała się między jego palcami, Falkoner owinał płótnem żaglowym kończyny, które zaczęły już drgać konwulsyjnie.

Esterhazy patrzył kompletnie wstrząśnięty. Falkoner

wstał, wytarł ostrze noża o płótno żaglowe, poprawił ubranie, oczyścił ręce i z niejaką satysfakcją spojrzął na konającego reportera. Odwrócił się do Esterhazyego.

– To dla ciebie trochę za mocne, Judsonie?

Esterhazy nie odpowiedział.

Przeszli dwa poziomy wyżej. Esterhazy był poruszony brutalnością Falkonera i tym, że zadawanie śmierci sprawiało mu przyjemność. Podążył za Falkonerem przez salon i wyszedł na pokład rufowy. W cieniu jachtu wciąż czekała niewielka łódź motorowa. Falkoner wychylił się nad relingiem i odezwał się do blondyna w pontonie motorowym, tego, który dowiózł Bettertona do jachtu:

– Vik, ciało jest na dole, w ładowni dziobowej. Wróć po zmierzchu i pozbądź się go. Dyskretnie.

– Tak jest, sir – odrzekł mężczyzna w łodzi.

– Będziesz potrzebował przekonującej historyjki tłumaczącej, dlaczego twój pasażer nie wrócił na ląd. Okazał się świetnym kompanem i zaprosiliśmy go na

krótki rejs.

– Doskonale, sir.

– Sugeruję, żebyś podrzucił ciało w parku Riverside.

W jakimś ustronnym zakątku. Upozoruj napad rabunkowy. Wyrzuciłbym go do morza, ale to byłoby jeszcze trudniej wytłumaczyć.

– Tak jest, panie Falkoner.

Mężczyzna uruchomił silnik i zawrócił w stronę przystani jachtowej.

Falkoner jeszcze przez chwilę patrzył na odpływającą łódź. A potem przeniósł wzrok na Esterhazyego. Jego oblicze stężało.

– Cholerny pismak z prowincji, a zdołał mnie odnaleźć. Odnalazł Vergeltunga. – Przymrużył powieki. – Przychodzi mi do głowy tylko jedno: podążał za tobą.

– Niemożliwe. Byłem wyjątkowo ostrożny. Poza tym nie zbliżałem się do Malfourche.

Falkoner spojrział na niego spod półprzymkniętych powiek, ale po dłuższej chwili zaczął się wreszcie

rozluźniać. Zrobił przeciągły wydech.

– Chyba możemy uznać naszą próbę generalną za udaną, *ja?*

Esterhazy nie odpowiedział.

– Jesteśmy gotowi na pojawienie się Pendergasta. O ile tylko odpowiednio zanęciłeś, jestem pewien, że on tutaj dotrze.

– Gdy chodzi o Pendergasta, nic nie jest pewne – mruknął Esterhazy.

Felder stał w rogu pokoju Constance Greene w szpitalu Mount Mercy. Był tam doktor Ostrom oraz agent Pendergast i nowojorski policjant D'Agosta. Poprzedniego dnia policja wywiozła wszystkie książki Constance, jej prywatne zapiski i różne przedmioty osobiste, a nawet obrazy wiszące na ścianach. Tego ranka otrzymali potwierdzenie, że Poole był oszustem, fałszywym lekarzem, i Felder musiał znieść nielichą reprimendę od prawdziwego doktora Poole'a, że nie sprawdził dokumentów rzekomego psychiatry.

Pendergast nie starał się nawet ukryć swojej pogardy wobec sposobu, w jaki pozwolono Constance na opuszczenie Mount Mercy. Część jego lodowatej złości była skierowana przeciwko Ostromowi, ale Felderowi także nieźle się dostało.

– Cóż, panowie – wycedził – pozwólcie, że pogratuluję wam pierwszej od stu dwudziestu lat ucieczki

z Mount Mercy. Gdzie zawiesimy tablicę pamiątkową?

Cisza.

Pendergast wyłuskał zdjęcie z kieszeni garnituru i pokazał je najpierw Ostromowi, a potem Felderowi.

– Poznajecie tego człowieka?

Felder przyjrzał się uważniej fotografii. Przedstawiało przystojnego mężczyznę w średnim wieku.

– Wygląda trochę jak Poole – powiedział Felder – ale jestem prawie pewien, że to nie ten sam człowiek. Może to jego brat?

– A pan, doktorze Ostrom?

– Trudno powiedzieć.

Pendergast wyjął z kieszeni flamaster i nachylił się nad zdjęciem. Potem użył jeszcze białego flamastra. Następnie odwrócił się do dwóch lekarzy i bez słowa pokazał im zdjęcie.

Felder znów spojrział na nie i tym razem wyraz jego twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że rozpoznał mężczyznę. Pendergast domalował na fotografii

szpakowatą bródkę à la van Dyke.

– Boże, to on, Poole.

Ostrom pokiwał smętnie głową.

– Naprawdę ten człowiek nazywa się Esterhazy – wyjaśnił Pendergast, z niesmakiem upuszczając zdjęcie na pusty stolik.

Usiadł przy stole, złączył dłonie koniuszkami palców i zamyślił się.

– Byłem cholernym głupcem, Vincencie. Sądziłem, że zmuszę go, żeby się gdzieś zaszył. Nie spodziewałem się, że on zawróci na ścieżkę i zajdzie mnie z tyłu jak bawół wodny.

Porucznik nie odpowiedział. W pokoju zaczęła narastać niezręczna cisza.

– W swoim liście – rzekł Felder – ona twierdzi, że jej dziecko wciąż żyje. Jak to możliwe? Jedynym powodem tego, że się tu znalazła, był fakt, że przyznała się do dzieciobójstwa.

Pendergast spiorunował go wzrokiem.

– Zanim przywrócimy dziecko do życia, może najpierw odnajdziemy jego matkę, doktorze?

Pauza. Pendergast odwrócił się do Ostroma.

– Czy tak zwany doktor Poole rozmawiał z panem o stanie zdrowia Constance, używając fachowej terminologii?

– Tak.

– I jego analiza wydała się panu spójna? Wiarygodna?

– To wydawało się zdumiewające, zważywszy na to, co wiedziałem o pannie Greene. Jakkolwiek jego wewnętrzna logika brzmiała przekonująco, uznałem, że jest słuszna. Twierdził, że była jego pacjentką. Nie miałem powodu, by wątpić w prawdziwość jego słów.

Długie wąskie palce Pendergasta zabębniły o podłokietnik krzesła.

– I twierdzi pan, że podczas pierwszej wizyty u Constance doktor Poole poprosił, aby mógł z nią zostać sam na sam?

– Tak.

Pendergast spojrział na D'Agostę.

– Myślę, że sytuacja jest jasna. Powiedziałbym nawet: jasna i przejrzysta.

Dla Feldera nie była ani trochę jasna ani przejrzysta, ale nie odezwał się.

Pendergast odwrócił się ponownie do Ostroma.

– I oczywiście to ten sam, rzeczony Poole, pierwszy zasugerował, że Constance powinna wybrać się na wycieczkę poza teren zakładu?

– Zgadza się – odparł Ostrom.

– Kto zajmował się papierkową robotą?

– Doktor Felder.

Pendergast spojrział posępnie na Feldera. Doktor aż się wzdrygnął. Agent FBI powiódł przeciągłym, badawczym spojrzeniem dokoła, lustrując wnętrze pokoju. Po czym znów popatrzył na porucznika D'Agostę.

– Vincencie... ten pokój i to miejsce... nie mamy tu już czego szukać. Musimy się skupić na liście. Czy

możesz go znowu wyjąć?

D'Agosta sięgnął do kieszeni garnituru i wyjął sporządzoną przez Ostroma kserokopię. Pendergast wziął od niego kartkę i przeczytał jej treść raz i drugi.

– Kobieta, która to dostarczyła... – powiedział. – Nie udało się odnaleźć tej taksówki?

– Nie. – D'Agosta ruchem głowy wskazał na list. – Tym tropem nie dotarliśmy daleko.

– Niezbyt daleko – mruknął Pendergast. – Ale może wystarczy.

– Nie rozumiem – stwierdził porucznik.

– W liście tym przemawiają dwa głosy. Jeden z nich zna ostateczny cel Constance – drugi nie.

– Chcesz powiedzieć, że pierwszy głos należy do Poole'a? Mam na myśli Esterhazyego.

– Tak. Zwróć uwagę, że być może mimowolnie pozwolił sobie na podanie pewnego zwrotu, który Constance tutaj cytuje. Wszystko kończy się na zemście.

– I?

– Esterhazy zawsze szczycił się błyskotliwością i swadą. Wszystko kończy się na zemście. To dość dziwny zwrot, nie uważasz, Vincencie?

– Szczerze mówiąc, sam nie wiem. O to właśnie w tym wszystkim chodzi: o zemstę.

Pendergast machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– A jeśli on nie ma na myśli działania, lecz obiekt?

Zapadła długa cisza.

– Esterhazy zabiera Constance do jakiegoś miejsca, które nazywa się „zemsta”. Może to stara rodzinna rezydencja. Dwór. Albo firma. Esterhazy z całą pewnością zdecydowałby się na tego rodzaju gierkę słowną, zwłaszcza w chwili triumfu, jak bez wątpienia postrzega całą tę sytuację.

D’Agosta pokręcił głową.

– To mało prawdopodobne. Kto mógłby nadać czemuś nazwę „zemsta”?

Pendergast spojrział na policjanta srebrzystymi oczami.

– Mamy jakiś inny trop?

– Nie, chyba nie.

– Czy uważasz, że stu pięćdziesięciu policjantów kręcących się po okolicy i wchodzących z drzwiami do domów ma większą szansę powodzenia niż ja, podążając za potencjalnym tropem?

– To jak szukanie igły w stogu siana. Jak mielibyśmy odnaleźć coś takiego?

– Znam kogoś, kto jest wyjątkowo utalentowany i zna się na takich rzeczach. Chodźmy już, czas nagli.

Odwrócił się do Feldera i Ostroma.

– Panowie, jesteśmy gotowi, by stąd wyjść.

Gdy opuścili pokój, Pendergast narzucił takie tempo, że Felder i Ostrom niemal musieli biec truchtem, by za nim nadążyć. Agent wyjął komórkę i wybrał numer.

– Mimie? – odezwał się do telefonu. – Tu Pendergast. Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie, choć obawiam się, że bardzo trudne...

Mówił szybko i bardzo cicho przez całą drogę do

głównego holu, zanim zakończył połączenie i z głośnym trzaskiem zamknął klapkę komórki. Odwrócił się w stronę Feldera i Ostroma, po czym głosem ociekającym ironią powiedział:

– Bardzo dziękuję, panowie, ale sami znajdziemy drogę do wyjścia.

Constance powoli odzyskała świadomość. Było bardzo ciemno. Czuła równocześnie narastające mdłości i rozdzierający ból głowy. Przez chwilę stała w bezruchu, przechylając się do przodu zdezorientowana, czekając, aż wróci jej jasność myślenia. I wtedy nagle przypomniała sobie, co się wydarzyło.

Próbowała się poruszyć, ale okazało się, że dłonie ma skute kajdankami połączonymi z łańcuchem, który oplatał ją w talii, a nogi spętane i przywiązane do czegoś, co znajduje się za nią, mocno, o wiele mocniej niż poprzednio. Usta zakleiono jej taśmą. Pomieszczenie, w którym było ciemno choć oko wykol, cuchnęło wilgocią, ropą, olejem silnikowym i pleśnią. Poczowała lekkie kołysanie i po odgłosach fal uderzających o kadłub zorientowała się, że jest na pokładzie statku.

Nasłuchiwała z uwagą. Na pokładzie byli ludzie – z góry dochodziły stłumione głosy. Znieruchomiła,

próbując pozbierać myśli, jej serce pracowało regularnym powolnym rytmem. Kończyny miała zeszywniałe i obolałe, a więc musiała być nieprzytomna przez wiele godzin.

Czas mijał. Nagle usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Pojawiła się smuga światła, a po chwili zapaliła się żarówka. Czekwała w napięciu. W drzwiach stał mężczyzna, który nazywał siebie Esterhazym albo doktorem Poole'em. Popatrzył na nią, a jego przystojne oblicze mącił wyraz zdenerwowania. Widziała wyraźnie na jego twarzy zadrapania, które były jej dziełem. Za nim w korytarzu dostrzegła drugą, niewyraźną postać. Podeszedł do niej.

– Musimy cię przenieść. Dla twojego dobra, proszę, nie rób niczego głupiego.

Tylko na niego patrzyła. Nie mogła się poruszyć ani nawet odezwać.

Wyjął z kieszeni nóż i rozciął szeroką taśmę krępującą jej nogi przy pionowym wsporniku wewnątrz

pomieszczenia, które, jak stwierdziła, miało być ładownią na statku. Chwilę później była wolna.

– Chodź.

Pociągnął ją za ramię. Zatoczyła się do przodu, stopy miała odrętwiałe, nogi targane skurczami, przy każdym kroku przeszywały je igielki bólu. Pomógł jej wstać i poprowadził w stronę niedużych drzwi. Pochyliła głowę, aby przez nie przejść, Esterhazy podążył za nią.

Na zewnątrz stała mroczna postać – kobieta. Constance rozpoznała ją, to była ta ruda z ogródka przy sąsiednim domu. Kobieta odnalazła jej spojrzenie i uśmiechnęła się pod nosem. A więc Pendergast nie dostał listu. Wszystko na darmo. To był tylko sprytny wybieg.

– Weź ją pod drugą rękę – rzekł do kobiety Esterhazy. – Jest skrajnie nieprzewidywalna.

Kobieta ujęła ją pod drugie ramię i wspólnie przeprowadzili ją korytarzem w stronę drugiego, jeszcze mniejszego luku. Constance nie stawiała oporu, pozwoliła, by ją powlekli, i zwiesiła głowę z rezygnacją.

Gdy Esterhazy wychylił się do przodu, by odblokować luk, Constance sprężyła całe ciało, a potem odwróciła się błyskawicznie, by brutalnie uderzyć rudowłosą kobietę głową w brzuch. Przy wtórze głośnego uuch! kobieta przewróciła się do tyłu i uderzyła w ściankę. Esterhazy odwrócił się. Constance próbowała także jego zaatakować, ale pochwycił ją brutalnie i unieruchomił jej ramiona w żelaznym uścisku. Kobieta podźwignęła się powoli, nachyliła się nad Constance i szarpnąwszy za włosy, odciągnęła jej głowę do tyłu, po czym zdzieliła ją otwartą dłonią w twarz raz i drugi.

– To nie było konieczne – rzucił ostro Esterhazy. Energicznym ruchem obrócił Constance ku sobie. – Rób, co mówimy, albo ci ludzie naprawdę zrobią ci krzywdę. Rozumiesz?

Patrzyła na niego, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa, i wciąż walczyła, by odzyskać oddech.

Wepchnął ją w ciemną pustkę za lukiem, po czym wszedł za nią do środka wraz z rudowłosą kobietą.

Znaleźli się w kolejnej ładowni, w której podłodze widniała kłapa jeszcze jednego luku. Esterhazy odblokował ją i otworzył, ukazując mroczną, ograniczoną przestrzeń. W słabym świetle Constance dostrzegła, że była to najniższa część zęzy, gdzie kadłub łączył się w kształt litery V, bez wątpienia w dziobowej części jachtu.

Esterhazy wskazał tylko w stronę ziejącej czeluści zęzy.

Constance nie ruszyła się z miejsca.

Poczuła uderzenie w bok głowy, gdy kobieta wymierzyła jej cios na odlew otwartą dłonią.

– Złaż na dół – wycedziła ruda.

– Ja się tym zajmę – warknął gniewnie Esterhazy.

Constance usiadła, wsunęła stopy do otworu i powoli opuściła się do środka. Pomieszczenie było większe, niż się wydawało. Uniosła wzrok, by zobaczyć, że kobieta znów szykowała się, by ją uderzyć, tym razem zaciśniętą pięścią. Esterhazy, bynajmniej nie delikatnie, zacisnął palce na ramionach kobiety.

– To nie jest konieczne – powiedział. – I więcej tego nie powtórzę.

W oku Constance wezbrała łza. Otarła ją dłonią. Nie pamiętała już, od ilu lat nie zapłakała, i nie zamierzała dopuścić, aby ci ludzie zobaczyli ją teraz szlochającą. Musiał to sprawić szok, jakim był dla niej widok tej kobiety – dopiero teraz uświadomiła sobie, jak mocno trzymała się wątłej nitki nadziei, z którą wiązała pozostawiony przez siebie list.

Usiadła i oparła się o ścianę. Kłapa luku zamknęła się za nią przy wtórze cichego metalicznego zgrzytu zasuwanego rygla. W zęzie było ciemno – ciemniej niż w poprzedniej ładowni. Odgłos fal uderzających o kadłub wypełniał zęzę, co sprawiało, że Constance poczuła się, jakby była pod wodą.

Zrobiło jej się niedobrze. Ale z powodu taśmy, którą miała zaklejone usta, udławiłaby się własnymi wymiocinami. Nie mogła do tego dopuścić.

Poruszyła się, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję

i skupić myśli na czymś innym. Bądź co bądź przywykła do ciemnych, ciasnych miejsc. To nie było dla niej nic nowego. Nic nowego.

O wpół do trzeciej po południu, czyli zaraz po tym, jak wstała, Corrie Swanson opuściła swój pokój w akademiku, wyszła na ulicę i ruszyła w stronę zacisznego kącika w Bibliotece Sealy'ego przy Dziesiątej Alei. Po drodze zajrzała jeszcze do greckiej kawiarenki. Nagle poczuła się jak w zimie; porywisty chłodny wiatr niósł ze sobą śmieci z chodnika. Kafejka była ciepłą oazą przepełnioną brzękiem naczyń i radosnymi okrzykami krzątaniń.

Zapłaciła i wybrała egzemplarz „Timesa” ze sterty gazet na ladzie, po czym kupiła jeszcze kubek mocnej czarnej kawy. Już miała wyjść, gdy jej wzrok przykuł nagłówek w „Post”:

Okropna zbrodnia w parku Riverside

Z niejakim skrępowaniem nabyła również egzemplarz „Post”. Zawsze uważała, że jest to gazeta dla kretynów, często jednak pisano w niej o upiornych zbrodniach, od

których „Times” uparcie stronił, i lektura tego dziennika była jej sekretną słabostką.

Kiedy znalazła się w zacisznym zakątku biblioteki, usiadła, rozejrzała się, by upewnić się, że nikt nie patrzy, i z zawstydzeniem sięgnęła najpierw po egzemplarz „Post”.

Niemal natychmiast usiadła prosto przerażona. Ofiarą był niejaki Edward Betterton, który opuścił Missisipi i wybrał się na urlop do Nowego Jorku. Jego ciało odnaleziono w odludnej części parku Riverside, za pomnikiem Joanny d’Arc. Poderżnięto mu gardło tak brutalnie, że głowa została nieomal oddzielona od tułowia. Jego ciało nosiło jeszcze inne ślady okaleczenia sugerujące, że dziennikarz padł ofiarą porachunków gangsterskich, choć, jak napisano w „Post”, mogło tu chodzić o brutalną napaść połączoną z rabunkiem, gdyż kieszenie ofiary zostały wywrócone, a jego zegarek, pieniądze i inne wartościowe rzeczy zniknęły.

Corrie przeczytała artykuł po raz drugi, ale znacznie wolniej. Betterton. To było okropne. Nie wydawał się

złym facetem, choć może odrobinę pokręconym. Teraz, ponieważ żałowała, że potraktowała go tak obcesowo.

Tyle że to brutalne zabójstwo nie mogło być zbiegiem okoliczności. Reporter wpadł na jakiś trop – mówił o przemyśle narkotyków – nawet jeśli mylił się co do udziału Pendergasta w tej sprawie. Jaki był adres tego domu, o którym wspominał? Skupiła się, czując nagłą panikę, że nie zdoła sobie przypomnieć ale w końcu udało się: East End Avenue 428.

Odłożyła tabloid zamyślona. Pendergast. Jak naprawdę wyglądało jego zaangażowanie w tę sprawę? Czy wiedział o Bettertonie? Czy rzeczywiście działał sam, na własną rękę, bez żadnego wsparcia? Czy wysadził w powietrze jakąś knajpę?

Obiecała mu, że nie będzie się w to mieszać. Ale sprawdzenia czegoś, zwyczajnego sprawdzenia, nawet Pendergast nie określiłby mianem mieszania się w sprawę.

Agent specjalny Pendergast czekał w samochodzie z wypożyczalni na rondzie nad przystanią przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy na Upper West Side na Manhattanie i patrzył przez lornetkę na jacht zakotwiczony jakieś sto metrów od brzegu. To była największa jednostka stojąca na redzie, prawie czterdziestometrowa, smukła i dobrze wyposażona. Gdy zmienił się popołudniowy wiatr, jacht obrócił się lekko na kotwicy, ukazując nazwę i port macierzysty namalowane na rufie.

Vergeltung

Orchid Island, Floryda

Od wody powiał chłodny wiatr, omiatając auto i tworząc na powierzchni rzeki Hudson pióropusze białej piany. Rozdzwoniła się komórka leżąca na fotelu pasażera. Pendergast opuścił lornetkę, aby odebrać

telefon.

– Tak?

– Czy to mój wyjątkowy agent specjalny? – zapytał cichy głos po drugiej stronie łącza.

– Mim – odparł Penergast. – Jak ci idzie?

– Znalazłeś jacht?

– Właśnie na niego patrzę.

W telefonie rozległ się zadowolony ochryply chichot.

– Idealnie. idealnie. Uważasz, że mamy przełom?

– W rzeczy samej, Mimie. I to dzięki tobie.

– *Vergeltung*. Po niemiecku „zemsta”. To było duże wyzwanie. Ale z drugiej strony ghostnet zombifikowanych pecetów, jaki utworzyłem w całym Cleveland, ostatnio nie miał wiele do roboty. Najwyższy czas, abym wykorzystał je do pracy nad czymś użytecznym.

– Wolałbym nie znać szczegółów. Ale bardzo ci dziękuję.

– Cieszę się, że tym razem mogłem okazać się

bardziej pomocny. Trzymaj się, chłopie.

Rozległo się ciche kliknięcie i połączenie zostało przerwane. Pendergast włożył komórkę do kieszeni, po czym włączył silnik i ruszył w stronę wjazdu na przystań oraz bramy prowadzącej na główny pirs. Mężczyzna w nienagannym mundurze, z całą pewnością były gliniarz, wychylił się z wartowni.

– Pomóc w czymś?

– Przyjechałem, aby spotkać się z kierownikiem, panem Lowe.

– A pan to...?

Pendergast pokazał swoją odznakę.

– Agent specjalny Pendergast.

– Był pan umówiony?

– Nie.

– Przyjechał pan w sprawie...?

Pendergast tylko na niego patrzył. Nagle uśmiechnął się.

– Jakiś problem? Bo jeżeli tak, chciałbym dowiedzieć

się o tym już teraz.

Mężczyzna zamrugał.

– Chwileczkę.

Wrócił na wartownię i sięgnął po telefon. Po krótkiej rozmowie otworzył bramę.

– Proszę wjechać i zaparkować wóz. Pan Lowe zaraz do pana wyjdzie.

Trwało to dłuższą chwilę. Wreszcie wysoki, wysportowany mężczyzna o sylwetce żeglarza, w greckiej czapce rybackiej wyszedł z głównego budynku przystani i podszedł do samochodu agenta. Z ust mężczyzny przy każdym oddechu wypływała chmura białej mgiełki. Pendergast wysiadł z auta, czekając na mężczyznę.

– Proszę, proszę, FBI? – rzekł Lowe, wyciągając rękę z przyjaznym uśmiechem, jego niebieskie oczy rozbłysły.

– Co mogę dla pana zrobić?

Pendergast skinął głową w stronę jachtu stojącego na kotwicy.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś o tym jachcie.

Mężczyzna zamilkł.

– A co jest powodem pańskiego zainteresowania?

Wciąż się uśmiechał.

– Sprawa służbowa – odparł Pendergast i też się uśmiechnął.

– Sprawa służbowa. A to ci dopiero – mruknął mężczyzna. – Bo właśnie zadzwoniłem do nowojorskiej placówki FBI i zapytałem, czy agent Pendergrast pracuje nad sprawą związaną z przystanią jachtową...

– Pendergast.

– Przepraszam. Pendergast. Powiedziano mi, że wziął pan urlop, i zapewniono, że nie pracuje pan obecnie nad żadną sprawą służbową. Zakładam więc, że chodzi o jakąś fuchę i dlatego błyska pan odznaką pod fałszywym pretekstem. Wydaje mi się, że to niezgodne z zasadami FBI. Mam rację?

Uśmiech Pendergasta ani trochę nie przygasł.

– Ma pan rację pod każdym względem.

– Dlatego teraz wrócę do mojego biura, a pan stąd

odjedzie i jeżeli znów o panu usłyszę, zadzwonię jeszcze raz do FBI i zgłoszę, że jeden z ich agentów szaleje po mieście, wykorzystując odznakę, by zastraszać Bogu ducha winnych, uczciwych obywateli.

– Zastraszać? Jeżeli zacznę to robić, będzie pan wiedział.

– To groźba?

– Prognoza. – Pendergast wskazał ruchem głowy w stronę wody. – Widzi pan tamten jacht? Mam powód przypuszczać, że na jego pokładzie dojdzie do poważnego przestępstwa. Kiedy to się stanie, przejmę tę sprawę – oficjalnie i z zachowaniem wszelkich niezbędnych procedur, a pan, z oczywistych względów, zostanie przez nas uznany za współwinnego.

– Pusta groźba. Nie jestem niczym współnikiem i dobrze pan to wie. Jeżeli ma dojść do jakiegoś przestępstwa, sugeruję, aby powiadomił pan policję, panie Prendergast.

– Pendergast. – Ton głosu agenta nie zmienił się. –

Od pana, panie Lowe, chcę jedynie kilku informacji na temat tego jachtu, jego załogi i szczegółów, dokąd pływała ta jednostka ostatnio. To zostanie wyłącznie między nami. Bo widzę, że jest pan przyjaznym obywatelem, który lubi pomagać stróżom prawa.

– Jeżeli to ma być przykład zastraszania, wiedz pan, że nie działa. Moim zadaniem jest chronić prywatność klientów, którzy korzystają z naszej przystani, i zamierzam zrobić, co do mnie należy. Jeżeli wróci pan z nakazem, proszę bardzo. Jeżeli zjawi się tu policja, nie ma sprawy. Wtedy będę współpracował. Ale nie z agentem FBI, który wymachuje blachą po godzinach. A teraz niech pan spada.

– Kiedy podejmiemy śledztwo w sprawie tego przestępstwa, moi koledzy i policjanci z nowojorskiego wydziału zabójstw będą chcieli wiedzieć, dlaczego przyjął pan pieniądze od ludzi z tego jachtu.

Przez twarz mężczyzny przemknął grymas.

– Gratyfikacja to w tym interesie nic niezwykłego. Jestem jak taksówkarz – napiwki to tutaj standard. Nie ma

w tym nic złego.

– Oczywiście, dopóki napiwek nie przekroczy pewnej kwoty. Wtedy staje się opłatą. Może nawet łapówką. A kiedy łapówka ma na celu skłonienie, by spławiał pan funkcjonariuszy służb publicznych, którzy mogliby zjawić się tu i zadawać pytania, cóż, panie Lowe, niewątpliwie czyni to pana współwinnym. Zwłaszcza gdy stanie się jasne, że nie tylko groził pan, że mnie zabije, jeśli nie opuszczę terenu przystani, ale również w wulgarny sposób obrażał pan nowojorskich stróżów prawa.

– Co, u licha? Nigdy nie groziłem panu ani policjantom.

– Pańskie słowa brzmiały następująco: Mam przyjaciół, którzy wpakują ci kulę w łeb, jeżeli się stąd nie wyniesiesz. To się tyczy też całej nowojorskiej psiarni.

– Nic takiego nie powiedziałem, ty załgany draniu!

– Zgadza się. Ale wiemy o tym tylko pan i ja.

Wszyscy inni będą myśleć, że mówię prawdę.

– To się panu nie uda! To blef!

– Jestem zdesperowany, panie Lowe, i nie obowiązują mnie żadne zasady. Gotów jestem uczynić wszystko – kłamać, przymuszać i oszukiwać – aby skłonić pana do współpracy. – Wyjął z kieszeni telefon. – Teraz zamierzam wybrać numer alarmowy FBI, aby zgłosić, że pan mi groził, i poprosić o wsparcie. Kiedy to nastąpi, pańskie życie odmieni się, i to na zawsze. Albo...? – Uniósł brew i pokazał tamtemu trzymaną w dłoni komórkę.

Lowe spojrział na niego, dygocząc z wściekłości.

– Ty sukinsynu.

– Zakładam, że to oznacza zgodę. Może przejdziemy do pańskiego biura? Od rzeki wieje dziś naprawdę paskudny wiatr.

Budynek przy East End Avenue trudno było określić mianem kamienicy czynszowej – zbudowany z cegieł, a nie z kamienia, wąski, dwupiętrowy. Na Upper East Side nie dałoby się znaleźć bardziej zaniedbanego i smętniejszego, stwierdziła Corrie, gdy stała oparta o miłorząb po drugiej stronie ulicy, popijając kawę i udając, że czyta książkę.

Zaciągnięte story w oknach wyglądały, jakby pożółkły przez całe dziesięciolecia. Szyby były brudne, okna okratowane i zaopatrzone w alarmowe listwy antywłamaniowe. Próg przy wejściu był popękany, a przy zejściu do piwnicy walały się śmieci. Jednak pomimo ogólnego zaniedbania budynek wydawał się dziwnie dobrze strzeżony. We frontowych drzwiach lśniły nowe zamki. Kraty w oknach też nie sprawiały wrażenia starych.

Dopiła kawę, odłożyła książkę i przeszła wzdłuż

ulicy. Tę okolicę określano potocznie mianem „getta dziewcząt”, gdyż najczęściej zamieszkiwali ją studenci i absolwenci studiów, głównie kobiety, które przybyły niedawno na Manhattan i szukały spokojnego miejsca do życia. Okolica była cicha i niewątpliwie bezpieczna. Na ulicach roilo się od atrakcyjnych, wykształconych młodych kobiet, z których większość wyglądała, jakby pracowała na Wall Street albo w którejś z kancelarii prawniczych na Park Avenue.

Corrie zmarszczyła nos i przeszła dalej, aż do końca ulicy. Betterton powiedział, że widział, jak ktoś wychodzi z budynku, ale nic nie wskazywało na to, aby ktokolwiek od wieków zaglądał do tej kamienicy.

Zawróciła, czując ogarniające ją rozczarowanie. Budynek stał w długim ciągu czynszówek i bez wątpienia każda z nich na tyłach miała niewielki ogródek lub patio. Gdyby zdołała dostać się na zaplecze budynku, mogłaby lepiej się rozejrzeć. Oczywiście wszystko mogło być tylko wytworem nadmiernie wybujałej wyobraźni Bettertona.

Choć z drugiej strony prawie uwierzyła w jego historię o wysadzeniu przez Pendergasta knajpy, zatopieniu kilku łodzi i spaleniu laboratorium i wytwórni narkotyków. I choć Betterton się mylił, musiała przyznać, że sprawiał wrażenie twardego cwaniaka. Nie wyglądał na kogoś, kogo można łatwo zabić. A jednak to zrobili.

Gdy znalazła się w połowie ulicy, przyjrzała się uważniej dwóm kamienicom stojącym po obu stronach budynku o numerze 428. To były typowe budowle z Upper East Side, z kilkoma mieszkaniami na każdym piętrze. Kiedy tak patrzyła, z jednego z budynków wyszła kobieta ubrana w elegancki kostium i z aktówką w ręce. Kobieta minęła ją z podejrzliwym spojrzeniem, pozostawiając za sobą aromat drogich perfum. Inne młode kobiety z tej okolicy pojawiały się i znikwały, wszystkie wydawały się należeć do jednej kategorii – młodych karierowiczek w drogich kostiumach albo w dresach do joggingu. Corrie zorientowała się, że w tej dzielnicy ze swoim wyglądem gotki, kolorowymi, najeżonymi

włosami, z metalowymi, zwisającymi ozdóbkami, mnóstwem kolczyków i tatuaży musiała się rzucać w oczy.

Co robić? Zajrzała do piekarni i kupiła biały *with lox* – pszenną bułkę z wędzonym łososiem – po czym usiadła przy wejściu, skąd miała dobry widok na całą ulicę. Gdyby zaprzyjaźniła się z kimś mieszkającym na parterze któregoś z przyległych budynków, mogłaby nakłonić tę osobę, aby zaprowadziła ją do ogródka na tyłach. Ale w Nowym Jorku nie można było tak po prostu podejść do kogoś i powiedzieć „cześć”. To nie Kansas...

I wtedy jej oczom ukazała się dziewczyna o długich czarnych włosach, w skórzanej mini i wysokich skórzanych gładkach wychodzącą z kamienicy na prawo od numeru 428. Zostawiła na stoliku parę banknotów jednodolarowych, wyszła z lokalu i ruszyła ulicą, wymachując torebką i patrząc w niebo, prosto na zderzenie z nadchodzącą z przeciwka gotką.

To było bardzo proste. Zachodziło słońce, a Corrie rozluźniła się w maleńkiej kuchni mieszkania na parterze, sącząc zieloną herbatę i wysłuchując utyskiwań swojej nowej koleżanki skarżącej się na yuppie z okolicy. Miała na imię Maggie i pracowała jako kelnerka w klubie jazzowym, choć próbowała znaleźć zatrudnienie w teatrze. Była błyskotliwa, zabawna i najwyraźniej spragniona towarzystwa.

– Chciałabym wyprowadzić się na Long Island albo do Brooklynu – powiedziała, ujmując dłońmi kubek z herbatą – ale mój tata uważa, że cały Nowy Jork poza Upper East Side zamieszkuje wyłącznie gwałciciele i mordercy.

Corrie zaśmiała się.

– Może ma rację. Ten budynek po sąsiedzku wygląda dość przerażająco.

Poczuła nagłe wyrzuty sumienia, bezlitośnie manipulując dziewczyną, z którą chętnie by się zaprzyjaźniła.

– Chyba jest opuszczony. Nie wydaje mi się, abym widziała, jak ktoś tam wchodzi. To dziwne, musi być wart dobrych pięć milionów dolarów. Świetna nieruchomość, a tak się marnuje.

Corrie piła powoli herbatę, obmyślając, jak – skoro już się tu znalazła – mogła dostać się na patio na tyłach domu, przeleźć przez wysoki na dwa i pół metra mur oddzielający ogród od upiornej kamienicy po sąsiedzku i włamać się do środka.

Włamać się. Czy naprawdę zamierzała to zrobić?

Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, po co naprawdę się tu znalazła. Powtarzała sobie, że chciała tylko sprawdzić to i owo. Tak po prostu. Czy to jednak rozsądne z jej strony próbować włamania z wtargnięciem, przecież studiowała w College'u Johna Jaya i planowała karierę w służbie prawa?

Ale to była tylko połowa prawdy. Owszem, wcześniej, w Medicine Creek, nieraz zdarzało się jej włamywać do różnych miejsc – ot tak, dla zabawy – jeżeli

jednak Betterton miał rację, ci ludzie byli groźnymi handlarzami narkotyków. A Betterton nie żył. No i pozostawała jeszcze obietnica, jaką złożyła Pendergastowi...

Jasne, że się tam nie włamię. Ale przynajmniej to sprawdzi. Rozegra to w bezpieczny sposób, zajrzy do środka przez okno, będzie trzymać się na dystans. Przy pierwszych oznakach kłopotów, niebezpieczeństwa czy czegokolwiek innego wycofa się.

Odwróciła się do Maggie i westchnęła.

– Podoba mi się tu. Chciałabym mieć taką chatę. Pojutrze wywalą mnie z mojego mieszkania, a nowe wynajmę dopiero od pierwszego. Do tego czasu zatrzymam się pewnie w jakimś hostelu czy czymś takim.

Maggie rozpromieniła się.

– Potrzebujesz miejsca, żeby przewalać przez kilka dni?

– Jeszcze jak! – Corrie uśmiechnęła się.

– Chętnie cię tu przekimam. Twoja obecność dobrze

mi robi. Mieszkanie samemu bywa nieprzyjemne. Zdarza mi się mieć niewyjaśnione, niepokojące podejrzenia. Wiesz, kiedy wczoraj wieczorem wróciłam do domu, odniosłam dziwne wrażenie, że pod moją nieobecność ktoś był w moim mieszkaniu.

Przed dziesiątą zerwał się silny wiatr, tworząc na falach rzeki Hudson pióropusze piany, a temperatura wynosiła zaledwie kilka stopni powyżej zera. Był odpływ i rzeka płynęła wartko na południe w kierunku Zatoki Nowojorskiej. Światła New Jersey połyskiwały zimno na mrocznych falach.

Dziesięć przecznic od przystani przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, na skalistym brzegu autostrady West Side, przy wodzie poruszała się ciemna postać. Przenosiła po skałach naniesione przez fale potrzaskane kawałki pływającego doku, fragmenty desek połączone z nakruszonymi ułomkami żeglarskiej pianki styropianowej. Postać opuściła tę konstrukcję do wody i weszła na nią, po czym przykryła się zbutwiałą brezentową płachtą. Gdy prowizoryczna tratwa unosiła się na falach przy brzegu, postać wyjęła kawałek drewna, ociosany z jednej strony na płasko, który po zanurzeniu w

wodzie był niemal całkiem niewidoczny i delikatnie kontrolował posuwanie się tego, co przypominało pływającą masę nagromadzonych śmieci.

Delikatnym ruchem mężczyzna odepchnął kawałkiem drewna prowizoryczną tratwę od brzegu, tak by uniósł ją prąd, a po drodze dołączyły do niej jeszcze inne walające się w wodzie odpadki.

Tratwa odpłynęła na prawie sto metrów. Następnie, dryfując leniwie, zaczęła się zbliżać w stronę grupki spowitych ciszą jachtów stojących na redzie; ich światła kotwicowe rozpraszały ciemność. Tratwa powoli minęła łódzie, uderzając o kadłub jednego, a potem drugiego jachtu, ale wydawało się, jakby stało się to przypadkiem, a sterta śmieci była niesiona w dal przez prąd rzeczny. Dotarła do największego jachtu stojącego na redzie i minęła go, objając się delikatnie o jego kadłub. Gdy zbliżyła się do rufy jachtu, doszło do lekkiego poruszenia i rozległ się cichy plusk, potem zapadła cisza, a pozbawiona już pasażera prowizoryczna tratwa minęła

łódź i popłynęła dalej, by zniknąć w ciemnościach.

Pendergast w obcisłym neoprenowym kombinezonie przykucnął na platformie za pawężą Vergeltunga, nasłuchując z uwagą. Dokoła panowała cisza. Po chwili uniósł głowę i wyjrzał ponad krawędzią rufy. W ciemnościach dostrzegł dwóch mężczyzn. Jeden siedział na pokładzie rufowym i palił papierosa. Drugi krążył po fordeku i z tej odległości był prawie niewidoczny.

Gdy Pendergast patrzył, mężczyzna na pokładzie rufowym uniósł do ust butelkę i pociągnął tęgi łyk. Po kilku minutach wstał chwiejnie i rozejrzał się po pokładzie, przystając niespełna półtora metra od miejsca, gdzie ukrył się agent. Podpity mężczyzna przez chwilę gapił się w wodę, po czym wrócił na swoje miejsce i ponownie pociągnął z butelki. Zgasił niedopałek papierosa i zapalił następnego.

Z niewielkiej nieprzemakalnej torby, którą zabrał ze sobą, Pendergast wyjął les baera .45 i pośpiesznie sprawdził broń. Włożył ją na powrót do torby i wyciągnął

z niej kawałek gumowej rurki. Znow czekał i patrzył. Mężczyzna wciąż popijał i palił, w końcu jednak wstał i ruszył naprzód, po czym zniknął za drzwiami prowadzącymi w głąb jachtu, gdzie przez liczne okna sączyło się słabe światło. Pendergast błyskawicznie przebiegł przez rufę na pokład rufowy i przykucnął za dwiema szalupami.

Dzięki swojemu nowemu przyjacielowi Lowe'owi Pendergast dowiedział się, że na pokładzie przebywa zaledwie kilku członków załogi. Większość zeszła na ląd po południu, na jachcie zaś zostało zdaniem kierownika przystani nie więcej niż czterech ludzi. Czy ta informacja była zgodna z prawdą, cóż, to się wkrótce okaże.

Zgodnie z rysopisem, jaki podał mu Lowe, jednym z tych ludzi był bez wątpienia Esterhazy. Lowe zauważył przy tym, że niedawno na jacht dostarczono ładunek prowiantu, między innymi w długiej skrzyni z nierdzewnej stali na tyle dużej, by można w niej ukryć nieprzytomnego człowieka – lub zwłoki.

Pendergast zastanawiał się przez chwilę, co zrobiłby z Esterhazym, gdyby okazało się, że zabił już Constance.

Esterhazy siedział pod ścianą w maszynowni obok Falkonera, rudowłosej kobiety, której nazwiska nie znał, i czterech mężczyzn uzbrojonych w identyczne beretty 93R, przerobione i ustawione na oddawanie krótkich serii po trzy strzały przy każdym naciśnięciu spustu. Falkoner nalegał, aby na czas operacji zeszli do maszynowni, najbezpieczniejszego miejsca na łodzi. Nikt się nie odzywał.

Za drzwiami rozległy się ciche kroki, a potem ktoś zapukał trzy razy i jeszcze dwa. Falkoner wstał i otworzył drzwi kluczem. Mężczyzna z papierosem w ustach wszedł do środka.

– Zgaś to – rzucił ostro Falkoner.

Mężczyzna natychmiast zdusił niedopałek.

– Jest na łodzi – powiedział.

Falkoner spojrzał na niego.

– Kiedy?

– Parę minut temu. Był dobry, przypląnął na stercie śmieci. Omal go nie przeoczyłem. Wspiął się na platformę, a teraz zaszył się gdzieś na rufie. Vic na górnym mostku obserwuje go przez gogle noktowizyjne.

– Podejrzewa coś?

– Nie. Udawałem pijanego, tak jak kazałeś.

– Doskonale.

Esterhazy wstał.

– Niech to, jeżeli miałeś okazję go zabić, powinieneś był to zrobić! Tylko nie szarżuj, ten człowiek jest wart kilku takich jak ty. Zastrzelcie go przy pierwszej okazji.

Falkoner odwrócił się.

– Nie.

Esterhazy spojrzał na niego.

– Jak to nie? Przecież rozmawialiśmy już o...

– Weźcie go żywcem. Zanim go zabijemy, chciałbym mu zadać parę pytań.

Esterhazy patrzył na niego.

– Popełniasz wielki błąd. Nawet gdybyś zdołał pojmać go żywcem, nie odpowie na ani jedno twoje pytanie.

Falkoner uśmiechnął się złowieszczo do Esterhazyego, co sprawiło, że jego ohydna brodawka rozciągnęła się jeszcze bardziej.

– Nigdy nie miałem większych problemów z nakłonieniem ludzi do mówienia. Zastanawia mnie natomiast, Judsonie, dlaczego ty masz z tym problem? Obawiasz się, że mógłbym dowiedzieć się czegoś, co wolałbyś, aby pozostało w ukryciu?

– Nie masz pojęcia, z kim się mierzysz – odparł pospiesznie Esterhazy, a fala znajomego lęku na chwilę przyćmiła w nim inne obawy. – Jesteś głupcem, jeżeli nie zabijesz go od razu, przy pierwszej nadarzającej się okazji, zanim on się zorientuje, co się dzieje.

Falkoner przymrużył lekko powieki.

– Jest nas dwunastu. Uzbrojonych po zęby, dobrze wyszkolonych. O co chodzi, Judsonie? Przez tyle lat

troszczyliśmy się o ciebie, a teraz ty nagle przestałeś nam ufać? Jestem zaskoczony i urażony.

Głos ociekał sarkazmem. Esterhazy poczuł w trzewiach starą, dobrze mu znaną kulę lęku.

– Wypłyniemy naszą łodzią na otwarte wody. Mamy przewagę zaskoczenia, a on nie zdaje sobie sprawy, że zastawiliśmy na niego pułapkę. Poza tym pod pokładem mamy jego kobietę. Jest zdany na naszą łaskę.

Esterhazy przełknął ślinę. Podobnie jak ja, pomyślał.

Falkoner odezwał się do mikrofonu połączonego z zamocowaną przy uchu słuchawką:

– Wyprowadź łódź w morze.

Obrzucił spojrzeniem całą zebraną w ładowni grupę.

– Pozwolimy, aby inni się nim zajęli. Gdyby coś poszło nie tak, wykonamy nasz ruch.

Pendergast, wciąż kucając za szalupami, poczuł, że cały kadłub jachtu przeszyło gwałtowne drżenie. Uruchomiono silniki. Usłyszał jakieś głosy z przodu,

cichy plusk wyrzucanej za burtę cumy, a po chwili dziób łodzi zaczął zwracać się na zachód, ku rzeczniczemu kanałowi żeglutowemu, podczas gdy silniki zwiększały obroty, by osiągnąć pełną moc.

Zaczął się zastanawiać, czy jego pojawienie się na pokładzie i nagłe odpłynięcie jachtu mogło być zwyczajnym zbiegiem okoliczności. Uznał, że nie było w tym nawet cienia przypadku.

Na pokładzie Vergeltunga

Esterhazy czekał w maszynowni z Falkonerem. Silniki Diesla pracujące z prędkością rejsową robiły sporo hałasu w ograniczonej przestrzeni.

Spojrzał na zegarek. Odkąd Pendergast dostał się na pokład, minęło dziesięć minut. Napięcie stopniowo narastało. Nie podobało mu się to ani trochę. Falkoner go okłamał.

Esterhazy zadał sobie wiele trudu, żeby ściągnąć tu agenta. Constance postąpiła dokładnie tak, jak przewidział, uwalniając się z poluzowanych więzów, pisząc liścik i wyrzucając go przez okno bezpiecznego domu do ogrodu przy sąsiednim budynku. A skoro Pendergast znajdował się teraz na pokładzie, znaczyło to, że złapał przynętę – zemstę – która po niemiecku oznaczała właśnie *Vergeltung*. To nie było łatwe dać Pendergastowi tylko tyle informacji, aby zdołał odnaleźć

łódź, ale nie aż tyle, by zorientował się, że to pułapka.

Teraz jednak Falkoner nalegał na pojmanie Pendergasta żywcem. Esterhazy poczuł, że zbiera mu się na mdłości: wiedział, że Falkoner uwielbiał torturować ludzi. Ten człowiek był chory, a jego arogancja i sadyzm mogły wszystko popsuć.

W Esterhazym narastał dawny lęk i paranoja. Sprawdził pistolet, odciągnął zamek i wprowadził nabój do komory. Jeżeli Falkoner nie wykorzysta pierwszej nadarzającej się okazji, sam się tym zajmie. Dokończy to, co zaczął na szkockich bagnach. I zrobi to, zanim Pendergast – celowo lub nie – ujawni tajemnicę, którą Esterhazy ukrywał przed Przymierzem przez ostatnie dziesięć lat. Chryste, gdyby tylko agent nie sprawdził tej starej strzelby, gdyby nie próbował budzić upiorów przeszłości... Ten człowiek nie zdawał sobie sprawy, jakie szaleństwo rozpętał. Może należało przed laty wtajemniczyć Pendergasta w tę straszną tajemnicę, kiedy poślubił Helen.

Teraz jest już za późno.

Rozległy się trzaski i z radia Falkonera dobiegł głos:

– Tu Vik, nie wiem w jaki sposób, ale zgubiliśmy go.

Nie ma go już za szalupami.

– *Verdammtter Mist!* – wycedził gniewnie Falkoner. – Jak, u licha, mogliście go zgubić?

– Nie wiem. Ukrywał się w miejscu, gdzie nie mogliśmy go zobaczyć. Odczekaliśmy chwilę i nic się nie działo, więc zostawiłem Bergera na straży w głównej kabinie i wyszedłem na górny pokład, aby się stamtąd rozejrzeć, i okazało się, że faceta tam nie ma. Zniknął. Nie wiem jak, bo powinniśmy go byli zobaczyć.

– Wciąż musi tam gdzieś być – rzekł Falkoner. – Wszystkie drzwi są pozamykane na klucz. Poślij Bergera na pokład rufowy, osłaniaj go z górnego pokładu.

Esterhazy odezwał się do własnego mikrofonu:

– Drzwi zamknięte na klucz nie stanowią dla Pendergasta przeszkody.

– Nie mógłby minąć drzwi głównej kabiny tak,

byśmy go nie zauważyli – powiedział Viktor.

– Wykurzcie go – powtórzył Falkoner. – Kapitanie, jaka jest nasza obecna pozycja?

– Właśnie wpłynęliśmy do Zatoki Nowojorskiej.

– Zachowajcie prędkość rejsową. I skierujcie łódź na otwarty ocean.

Viktor przykucnął na górnym mostku Vergeltunga, trzy poziomy nad powierzchnią wody. Jacht minął właśnie miejsce, gdzie błyskawicznie wznoszone było One World Trade Center, i okrążył południowy kraniec Mhannattanu, z Battery po lewej, rozświetlony przez reflektory. Budynki dzielnicy finansowej strzelały ku górze jak skupiska świetlistych iglic rzucających łagodny blask na wodę, dzięki czemu łódź była skąpana w delikatnej poświacie.

Poniżej pokład dziobowy Vergeltunga tonął w łagodnym blasku światła miasta. Dwie szalupy – niewielkie łodzie motorowe, z których korzystano, by dopłynąć nimi na brzeg i z powrotem, kiedy jacht stał na

kotwicy – znajdowały się na pokładzie rufowym, od lewej burty, zawieszane na żurawikach i przykryte brezentem. Pendergast nie mógłby przedostać się naprzód, nie pokonując przy tym fragmentu otwartego pokładu. A oni obserwowali ten pokład jak jastrzębie. Facet wciąż musiał być gdzieś na rufie.

Berger na chwilę przystanął wśród cieni, przygotował się, po czym prześlizgnął się wzdłuż pierwszej szalupy i przykucnął za jej dziobem.

Viktor czekał z berettą, gotowy otworzyć ogień przy najlżejszym poruszeniu, gdy tylko ujrzy wypatrywany cel. Jako były wojskowy nie dbał zbytnio o rozkaz Falkonera, aby wziąć tego człowieka żywcem – niech no tylko facet wychyli głowę, a natychmiast zarobi kulkę. Viktor nie zamierzał narażać życia innych.

Berger wolno przesuwiał się wzdłuż łodzi w kierunku rufy. Radio Viktora zaskrzeczało; Berger odezwał się do niego przez mikrofon połączony ze słuchawką przy uchu:

– Nie ma go za szalupami.

– Sprawdź jeszcze raz. Musimy mieć pewność. I bądź ostrożny, mógł ukryć się za pawężą i tylko czeka, żeby zaatakować każdego, kto się do niego zbliży.

Przez cały czas osłaniając swojego kompana, Viktor patrzył, jak Berger podkrada się od pierwszego pontonu do drugiego.

– Nie ma go tu – rozległ się cichy szept.

– Wobec tego zaszył się gdzieś za rufą.

Berger, nisko pochylony, zbliżył się do relingu rufowego. W pierwszej chwili sprężył się i wyprostował na pełną wysokość, celując z pistoletu w platformy do zejścia do wody poniżej pawęzy. Po chwili znów się pochylił.

– Ani śladu.

Viktor zastanawiał się intensywnie. To było jakieś szaleństwo.

– W środku. Może ukrył się w którejś łodzi pod brezentem.

Viktor wycelował w pontony, podczas gdy Berger

złapał się drabinki rufowej pierwszego z nich, opuścił ją i wspiął się. Aby podnieść brezent i zajrzeć do środka, oparł się o wał śruby napędowej.

Przez radio Viktor usłyszał cichy trzask, a potem elektroniczne piknięcie. O Jezu, znał ten dźwięk!

– Berger!

Z zaburtowego silnika pontonu dobiegł nagle rozdzierający ryk. Berger krzyknął, a w powietrzu pojawił się potężny ciemny rozbryzg, gdy jego ciało zostało odrzucone do tyłu przez obracającą się śrubę; bok Bergera został rozplątany niemal na pół.

Gdy Viktor otrząsnął się z wywołanego wstrząsem otępienia, zasypał szalupę kilkoma krótkimi seriami ze swojej beretty, aż wyczerpał magazynek. Pociski podziurawiły brezent i ponton oraz na pewno osobę, która mogła ukrywać się pod płótnem. Po chwili w rufowej części szalupy pojawiły się płomienie. Ciało Bergera leżało w bezruchu tam, gdzie upadło, a spod niego wypływała ciemna, prawie czarna kałuża. Drżącymi

dłońmi Viktor wyjął pusty magazynek i wbił do kolby pistoletu nowy, pełny.

– Co się dzieje? – rozległ się w słuchawce przepełniony wściekłością głos Falkonera. – Co wy tam wyprawiacie?

– Zabił Bergera! – wykrzyknął Viktor. – On...

– Przestań strzelać! Jesteśmy na łodzi, ty durniu! Wybuchnie pożar!

Viktor spojrział na płomienie pożerające ponton i liżące przykrywający szalupę brezent. Rozległo się stłumione łup! i cały jacht zadygotał, gdy z uszkodzonego zbiornika paliwa buchnęły jeszcze większe płomienie.

– Cholera, już mamy pożar.

– Gdzie?

– Na jednej z szalup.

– Spuść ją na wodę. Pozbądź się jej. Usuń ją z jachtu.

Ale już!

– Tak jest...

Viktor zszedł cichcem na główny pokład i podbiegł

do pontonu. Tego faceta, Pendergasta, nigdzie nie było widać – bez wątpienia leżał podziurawiony kulami na dnie pontonu. Viktor zluzował blokady żurawików, dziobowego i rufowego, otworzył pawęż i wcisnął przycisk uruchamiający kołowrót. Gdy rozległ się szcęk trybów kołowrotu, czterometrowa szalupa szarpnęła się do tyłu i zjechała na szynach do wody. Viktor pchnął jeszcze mocno ponton od strony dziobu, aby przyspieszyć jego osuwanie się po szynach do wody. Kiedy płonąca rufa uderzyła w spieniony kilwater, woda pochwyciła i zdarła szalupę z pokładu przy wtórze trzasku pękających łańcuchów. Viktor stracił równowagę, zdołał jednak przytrzymać się relingu rufowego i szybko doszedł do siebie. Płonący ponton obracał się na wodzie i powoli zaczął tonąć. Woda wygasiała ogień i pochłonęła zapewne także martwe ciało. Viktor odetchnął z ulgą.

Nagle na plecach poczuł silne pchnięcie i czyjaś dłoń równocześnie zerwała mu z głowy słuchawkę z mikrofonem. Runął bezwładnie do wody w ślad za

płonącym pontonem.

Kucając przy lewej burcie drugiego pontonu, Pendergast patrzył, jak pierwszy znika w ciemnościach, kiedy zamknęły się nad nim wody Zatoki Nowojorskiej. Krzyki mężczyzny, którego popchnął, cichły coraz bardziej i niebawem zupełnie rozplynęły się wśród odgłosów płynącego jachtu, wiatru i fal. Nałożył słuchawkę, dopasował ją i zaczął nasłuchiwać pełnych niepokoju głosów. Dzięki temu ustalił, ilu graczy uczestniczy w tej rozgrywce, jak są rozmieszczeni i jaki jest ich stan psychiczny.

Dużo mówiąca pomoc.

Zrzucił krępujący ruchy kostium płetwonurka i wyrzucił za burtę. Z nieprzemakalnej torby wyjął ubranie, szybko się przebrał, po czym torbę również cisnął do wody. Kilka minut później przeszedł w stronę dziobu szalupy. Górny mostek jachtu wydał się opustoszały. Na górnym pokładzie wartę pełnił teraz tylko jeden uzbrojony

mężczyzna, który ze swojego punktu obserwacyjnego miał doskonały widok na pokład rufowy.

Pendergast patrzył, jak postać na górnym pokładzie spogląda w stronę tonącej szalupy i rozmawia przez radio. Po minucie strażnik wszedł do sali na górnym pokładzie i zaczął spacerować w tę i z powrotem przed wyjściem do sterówki. Pendergast odliczał sekundy, jakie zajęło tamtemu przejście z jednej strony na drugą, po czym przebiegł przez otwarty główny pokład do rufowego wejścia do salonu z salą barową. Przycupnął tam, nawis zasłaniał go teraz od góry i stamtąd nie można go już było zobaczyć. Sprawdził drzwi: zamknięte. Szyba w oknie była przyciemniona, a wewnątrz salonu tonęło w ciemnościach, nie mógł więc zajrzeć do środka.

Ale prosty zamek nie oparł się szybkiemu i zdecydowanemu atakowi. Odgłosy rozlegające się dokoła skutecznie zatuszowały ruchy Pendergasta. Choć drzwi były teraz otwarte, nie uchylił ich. Z nasłuchu radiowego wiedział, że na jachcie było więcej osób, niż się

początkowo wydawało. Lowe go oszukał i Pendergast zdał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę. Łódź kierowała się do Narrows i stamtąd bez wątpienia na Atlantyck. Niedobrze.

Niedobrze dla ludzi, którzy znajdowali się na pokładzie.

Znów nasłuchiwał rozmów, tworząc jeszcze wyraźniejszy obraz sytuacji na pokładzie. Nie usłyszał jednak nic, co mogłoby mu zdradzić, gdzie umieszczono Constance. Jeden człowiek, najwyraźniej mężczyzna, który wszystkim kierował, mówił w mieszanym języku, po angielsku i niemiecku, a w tle rozlegał się głośny hałas – być może znajdował się w maszynowni. Inni byli rozproszeni po całym jachcie, znajdowali się na pozycjach, oczekując na rozkazy. Nie usłyszał głosu Esterhazyego.

O ile zdołał się zorientować, w głównym salonie nie było nikogo. Z nadzwyczajną ostrożnością uchylił drzwi i zajrzał do eleganckiej przestronnej sali, w której panował

półmrok. W sali wyłożonej mahoniową boazerią stały białe skórzane kanapy i bar z granitowym kontuarem, a podłogę pokrywała pluszowa wykładzina, ledwie widoczna w tym oświetleniu. Pendergast rozejrzał się pospiesznie, by upewnić się, że nikogo tu nie ma.

Usłyszał tupot biegnących kroków w korytarzu prowadzącym pod pokład i zniekształcone odgłosy radia. Kilku mężczyzn zmierzało na rufę i niebawem powinno znaleźć się w salonie.

Pendergast pospiesznie wycofał się za drzwi i delikatnie zamknął je za sobą. Przykucnął w ciemnościach przy wejściu, przykładając ucho do ściany z włókna szklanego. Kroki rozbrzmiały w sali barowej od frontu. Z rozmowy prowadzonej szeptem przez radio zorientował się, że tamtych było dwóch. Przyszli sprawdzić, co się dzieje z Viktorem, którego ostatnio widziano na pokładzie rufowym i który nie odpowiadał na wezwanie przez radio, odkąd spuścił na wodę płonący ponton.

Doskonale.

Agent wyślizgnął się z za rogu przy drzwiach i przyłgnął całym ciałem do ściany rufowej, osłoniętej od góry przez nawis. W salonie znów zapadła cisza. Dwaj mężczyźni czekali i także nasłuchiwali, wyraźnie zaniepokojeni.

Poruszając się z jak największą ostrożnością, Pendergast dotarł do drabinki prowadzącej na górny pokład rufowy, schwycił szczebel i wspiął się, następnie unosząc jedną nogę, przeszedł z drabinki na niewielki daszek nad salonem. Wciąż pozostawał niewidoczny dla ewentualnego obserwatora na górnym pokładzie, ponieważ teraz osłaniał go wylot przewodu wentylacyjnego.

Wyciągając się na polerowanym włóknie szklanym, Pendergast wychylił się ponad nawis i – wyprostowawszy jedną rękę – lekko musnął drzwi lufą pistoletu. Odgłos był dość cichy, ale wewnątrz salonu z pewnością słyszalny bardzo wyraźnie.

Żadnego odzewu. Teraz dwaj mężczyźni w sali

barowej na pewno byli jeszcze bardziej zdenerwowani. Nie wiedzieli, czy ten odgłos był przypadkowy, czy nie. Ta niepewność przynajmniej na jakiś czas zatrzyma ich w salonie.

Wycofując się na daszek nad salonem i ukrywając się za wylotem przewodu wentylacyjnego, Pendergast przyłożył lufę les baera do dachu i nacisnął spust. Przez wnętrze sali barowej poniżej przetoczył się potężny huk, gdy pocisk ACP Black Talon kalibru .45 wyrwał dziurę w dachu, wypełniając powietrze w salonie pyłem z włókna szklanego i żywicy. Agent w jednej chwili ześlizgnął się i podszedł w stronę wyjścia, gdy dwaj ogarnięci paniką mężczyźni zaczęli strzelać w dach ze swoich przerobionych na broń maszynową pistoletów, dziurawiąc pokrywę z włókna szklanego i tym samym ujawniając swoje położenie. Jeden z nich zachował się dokładnie tak, jak się tego spodziewał Pendergast – wybiegł na zewnątrz i strzelał jak oszalały. Pendergast, ukryty przy drzwiach, kopnął go z całej siły w golenie, podcinając mu nogi, i

równocześnie wymierzył mu potężne uderzenie w szyję. Nieprzytomny mężczyzna bezwładnie runął na pokład twarzą do dołu.

– Hammar! – dobiegł krzyk z wnętrza salonu.

Agent, nie zwalniając, wpadł do środka przez otwarte drzwi. Drugi mężczyzna odwrócił się i puścił serię, ale Pendergast, który spodziewał się tego, rzucił się na wyłożoną miękką wykładziną podłogę, przetoczył się po niej i oddał jeden strzał – w pierś tamtego. Mężczyznę odrzuciło do tyłu, wpadł na telewizor plazmowy i osunął się na podłogę pośród odłamków szkła.

Pendergast zerwał się na nogi, skręcił w lewo i wybiegł z salonu przez drzwi po lewej stronie, po czym przylgnął całym ciałem do ściany przy wejściu w niewielkiej wnęce. Ukryty pod nawisem, ponownie przystanął i nasłuchiwał niecichnących ani na chwilę rozmów przez radio, ponownie wyobrażając sobie rozmieszczenie uzbrojonych mężczyzn na pokładzie jachtu.

– Szell! Zgłoś się! – rozległ się głos dowódcy.

Na tej samej częstotliwości pojawiły się też inne głosy pytające nerwowo o rozlegające się strzały, dopóki Niemiec zdecydowanie ich nie uciszył.

– Szell! – zawołał oschłym tonem. – Słyszysz mnie?

Pendergast z niejakim zadowoleniem stwierdził w duchu, że Szell nie słyszy już nikogo ani niczego.

Esterhazy patrzył z narastającym niepokojem, jak Falkoner mówi do mikrofonu:

– Szell. Hammar. Zgłóście się.

Z głośników płynął tylko statyczny szum.

– Niech to szlag! – wybuchnął Esterhazy. – Mówiłem, że go nie doceniasz! – Z wściekłością uderzył dłonią o ścianę ładowni. – Nie masz pojęcia, z kim się mierzysz! On pozabija ich wszystkich! A potem przyjdzie po nas!

– Mamy dwunastu uzbrojonych ludzi przeciw jednemu.

– Nie masz już dwunastu – odparował Esterhazy.

Falkoner splunął na podłogę, po czym odezwał się do mikrofonu:

– Kapitanie? Zgłoś się.

– Zgłasza się kapitan – rozległ się spokojny głos. – Słyszałem jakąś strzelaninę w salonie. Zapalił się jeden z

pontonów...

– Wiem o tym. Co się dzieje na mostku?

– Wszystko gra. Jest ze mną Gruber, mostek jest zamknięty na klucz, zaryglowany i silnie strzeżony. Jesteśmy uzbrojeni po zęby. Co, u licha, dzieje się na dole?

– Pendergast załatwił Bergera i Vika Klempera. Posłałem Szella i Hammera do głównego salonu, a teraz żaden z nich się nie zgłasza. Miej oczy szeroko otwarte.

– Tak jest, sir.

– Utrzymuj kurs. Czekaj na dalsze rozkazy.

Esterhazy spojrział na niego. Wyraziste rysy twarzy Falkonera zdradzały spokój i opanowanie. Odwrócił się do Esterhazyego i powiedział:

– Ten twój człowiek zdaje się przewidywać każdy nasz krok. Jak to możliwe?

– To diabeł – odparł Esterhazy.

Falkoner przymrużył oczy. Już miał coś powiedzieć, gdy nagle odwrócił się i rzucił do mikrofonu:

– Baumann?

– Zgłaszam się.

– Gdzie jesteś?

– W górnej kajucie dla VIP-ów. Z Eberstarkiem.

– Klemper nie żyje. Teraz ty dowodzisz. Dołącz z Eberstarkiem do Nasta na górnym pokładzie. Wejdz po drabinie rufowej. Eberstark niech skorzysta z głównej drabinki. Jeżeli cel tam jest, weźcie go w ogień krzyżowy. Poruszajcie się z największą ostrożnością. Jeżeli go nie zobaczycie, we trzech przeczeszcie górne pokłady, od dziobu aż do rufy. Zapomnijcie o tym, co powiedziałem o wzięciu go żywcem. Strzelajcie, żeby zabić.

– Tak jest, sir. Strzelać, żeby zabić.

– Chcę, żeby Zimmermann i Schultz wyszli na główny pokład i zastawili tam pułapkę, w razie gdyby ktoś próbował zejść po którychś z tamtejszych schodów. Jeżeli nie zabijecie go na najwyższym pokładzie, wzięty w kleszcze będzie mógł zejść niżej i kierować się w stronę dziobu, a tam właśnie Zimmermann i Schultz urządzają na

niego zasadzkę.

– Tak jest, sir.

Esterhazy krążył po wąskiej maszynowni, myśląc intensywnie. Plan Falkonera wydawał się niezły. Jak bowiem Pendergast – nawet sam Pendergast – mógł uciec pięciu ludziom uzbrojonym w pistolety automatyczne na pokładzie jachtu, w ograniczonej przestrzeni, w dodatku wzięty w dwa ognie?

Spojrzał na Falkonera, który wciąż spokojnie mówił do mikrofonu. Przypomniawszy sobie ze zgrozą błogie spojrzenie tamtego, gdy torturował, a potem zabił reportera. Wtedy po raz pierwszy widział, że Falkonerowi coś sprawiało prawdziwą przyjemność. I przypomniał sobie oczy Falkonera, kiedy ten mówił o schwytaniu Pendergasta – było w nich to samo, gorliwe, pełne nadziei i lubości wyczekiwanie. To było jak pragnienie. Pomimo gorąca panującego w maszynowni nagle zadygotał. Zaczął sobie uświadamiać, że nawet gdyby Pendergast zginął, jego problemy z Przymierzem wcale by się nie skończyły.

Wręcz przeciwnie, to byłby zaledwie początek.

Popełnił poważny błąd, planując przeprowadzenie tej operacji na pokładzie Vergeltunga. W ten sposób on też zdawał się na ich łaskę.

Pendergast wspinał się z boku po jachcie, przywierając jak pijawka do zewnętrznej konstrukcji górnego pokładu, wykorzystując jako oparcie dla dłoni i stóp ociekające wodą krawędzie okien. Dotarł do dolnej krawędzi okien mostka. Podczas gdy okna kabin były przyciemnione i nie dało się zajrzeć do środka, okna mostka były wykonane z przezroczystego szkła. Gdy wyjrzał ponad krawędzią, w słabym świetle urządzeń elektronicznych zdołał dostrzec personel mostka: kapitana i uzbrojonego pierwszego oficera, który pełnił funkcję nawigatora. Nieco dalej, w sali rekreacyjnej za mostkiem, w tę i z powrotem krążył strażnik z bronią automatyczną. Od czasu do czasu strażnik wychodził na górny pokład za salą rekreacyjną, obchodził go i wracał do środka. Poza salą rekreacyjną górny pokład był pusty, jeśli nie liczyć niezakrytego jacuzzi i kilku kanap.

Sam mostek był zamknięty na klucz i zakratowany.

Taki jacht z oczywistych względów musiał mieć najlepsze zabezpieczenia. Szyby w oknach zrobiono z nietłukącego szkła, a sądząc po ich grubości, także kuloodpornego. Nie było najmniejszych szans, aby dostać się do środka.

Pendergast przekradał się wzdłuż biegnącej ukośnie ściany, aż znalazł się tuż poniżej poziomu dolnej listwy, gdzie przesuwane szklane drzwi prowadziły z sali rekreacyjnej na górny pokład. Sięgnął do kieszeni, wyjął monetę i rzucił ją tak, że z brzękiem odbiła się od szklanych drzwi.

Mężczyzna w sali rekreacyjnej zastygł w bezruchu, a potem sprężył się do skoku.

– Tu Nast – rozległ się przez radio cichy głos strażnika. – Usłyszałem coś.

– Gdzie?

– Na górnym pokładzie.

– Sprawdź to – padło w odpowiedzi. – Tylko ostrożnie, Baumann. Eberstark, przygotuj się, żeby go osłaniać.

Pendergast dostrzegł rozmytą sylwetkę mężczyzny kucającego za szklanymi drzwiami i wyglądającego na zewnątrz. Kiedy mężczyzna upewnił się, że pokład jest pusty, wstał i ostrożnie wyszedł na zewnątrz z bronią gotową do strzału. Pendergast schylił głowę poniżej poziomu pokładu i przez zestaw z mikrofonem i słuchawką, ochryplym, niemożliwym do rozpoznania szeptem powiedział:

– Nast. Lewa burta, za relingiem. Sprawdź to.

Czekał. Po chwili nad relingiem pojawił się ciemny kształt głowy mężczyzny pochylającego się tuż nad nim i patrzącego w dół. Pendergast strzelił mu w twarz.

Ze zduszonym krzykiem głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu, a kiedy zaraz potem ciało bezwładnie osunęło się do przodu, agent przerzucił je poza reling. Ciało uderzyło o reling główny i zawisło na nim, częściowo blokując przejście. Chwyając się słupka poręczy, Pendergast podciągnął się i wspiął na górny pokład, gdy z radia dobiegły pełne napięcia głosy.

Wskoczył do pustego jacuzzi i przycupnął nisko pochyłony. Wiedział, że w drodze na górny pokład było jeszcze dwóch mężczyzn.

Doskonale.

Wpadli niemal równocześnie, jeden od strony dziobu, drugi nad rufą. Pendergast zaczekał, aż odpowiednio się ustawią, po czym wyskoczył z jacuzzi i oddał jeden strzał, by ich zdezorientować; tamci, tak jak się tego spodziewał, otworzyli ogień z broni automatycznej i jeden z nich padł podziurawiony kulami z przerobionego na automat pistoletu swojego kolegi, drugi rzucił się na pokład, strzelając niecelnie na oślep.

Pendergast sprzątnął go jednym strzałem, po czym dał susa ponad relingiem górnego pokładu i zeskoczył na przejście na głównym pokładzie poniżej. Martwe ciało Nasta zapewniło mu względnie miękkie lądowanie. Następnie przeskoczył ponad relingiem głównego pokładu, chwytając się dwóch pionowych słupków, aby nie wpaść do morza. Przez chwilę jego nogi wisiały nad

woda, a pod sobą miał oddalającą się łagodnie krzywiznę kadłuba. Szybko jednak i nie bez wysiłku odnalazł oparcie dla stóp, na krawędzi znajdującego się na lewej burcie otworu do odprowadzania wody z zęzy.

Czekał tam, przywierając całym ciałem do kadłuba, poniżej poziomu głównego pokładu, i nasłuchując. Przez radio znów usłyszał to, co potrzebował wiedzieć.

Poniżej, w maszynowni, Esterhazy krążył nerwowo, mając świadomość, że narastające dokoła uczucie dezorientacji i paniki odzwierciedla jego wewnętrzny chaos.

Jak, u licha, Pendergast to robił? Zupełnie jakby czytał w ich myślach...

I nagle zrozumiał. Oczywiście. To było takie proste. I podsunęło mu pewien pomysł.

Po raz pierwszy odezwał się do mikrofonu własnego radia:

– Tu Esterhazy. Wyprowadźcie dziewczynę na pokład dziobowy. Słyszycie mnie? Sprowadźcie ją tam i to szybko. Musimy się jej pozbyć, teraz tylko nam zawadza.

Wyłączył radio i ruchem głowy dał Falkonerowi znak, żeby nie korzystał ze swojego.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – wyszeptał

szorstkim tonem Falkoner. – Do kogo mówisz? Nie możesz się jej pozbyć, stracilibyśmy wszelką przewagę...!

Esterhazy przerwał mu kolejnym gestem.

– On ma radio. Tak właśnie to robi. Ten sukinsyn ma radio.

Twarz Falkonera w jednej chwili pojaśniała.

– Pójdziemy obaj na górę. Zaskoczmy go, kiedy ruszy na dziób, żeby ją ratować. Szybko. Po drodze zgarniemy tylu ludzi, ilu zdołamy.

Opuścili maszynownię i z wydobytą bronią wspięli się po schodkach, przeszli przez okrętową kuchnię i skorzystali z luku na jej przeciwległym końcu. Czekał tam już Schultz z pistoletem w dłoni.

– Na górnym pokładzie była strzelanina... – zaczął Schultz.

Falkoner uciszył go zdawkowym ruchem.

– Chodź z nami – wyszeptał.

Ruszyli we trzech szybko i bezszelestnie na pokład

dziobowy, po czym przykucnęli za pojemnikami z kamizelkami ratunkowymi. Niecałą minutę później ubrana na czarno postać wspięła się i pokonała reling od strony sterburty szybko jak nietoperz, po czym przylgnęła do ściany kajuty dziobowej.

Schultz wycelował.

– Niech podejdzie bliżej – wyszeptał Falkoner. – Musisz być pewny.

Ale nic się nie stało. Pendergast wciąż stał przy ścianie kajuty.

– Wie, że tu jesteśmy – wymamrotał Falkoner.

– Nie – powiedział Esterhazy. – Czekaj.

Mijały minuty. I nagle postać wyłoniła się z ukrycia, przebiegając bardzo szybko wzdłuż pokładu dziobowego. Schultz puścił serię, dziurawiąc ścianę dziobowej kajuty, a postać dała nurka za dziobowy davis, wykorzystując jako osłonę niski stalowy wał wyciągu. Zaczęło się polowanie. Falkoner wypalił, pociski zrykoszetowały od stali z głośnym brzękiem, krzesząc fontanny iskier.

– Przyszpiliśmy go! – rzucił Falkoner, ponownie otwierając ogień. – Nie może się stamtąd wydostać! Uważajcie, do czego strzelacie!

W odpowiedzi zza nawisu padł strzał i instynktownie pochylili się nisko. Ta chwila dezorientacji wystarczyła, aby czarno odziana postać wyskoczyła ze swojej kryjówki i dosłownie pofrunęła w powietrze, rzucając się szczupakiem ponad relingiem i znikając za burzą. Trzej mężczyźni zaczęli strzelać, ale było już za późno. Falkoner i Schultz wstali, podbiegli do burty jachtu, strzelając do wody, lecz postać znikła bez śladu.

– Już po nim – powiedział Schultz. – Przy tej temperaturze wody w piętnaście minut będzie trupem.

– Nie bądź tego taki pewien – rzekł Esterhazy, podchodząc do nich i spoglądając w stronę rufy. Ciemne, zimne fale przelewały się leniwie, rozmyty kilwater rozpływał się w nicości. – Wróci na jacht, korzystając z rufowego relingu.

Falkoner spojrział w stronę rufy jachtu i po raz

pierwszy jego nadnaturalny wręcz spokój został zmacony, a pomimo chłodnej temperatury na jego czole pojawiły się kropelki potu.

– Wobec tego obstawimy rufę. Dorwiemy go, gdy wróci na pokład.

– Za późno – rzekł Esterhazy. – Już jest na pokładzie i bez wątpienia czeka, żebyśmy tak właśnie zrobili.

Pendergast przykucnął za rufą, czekając, aż zjawią się jego prześladowcy. Przymusowa kąpiel spowodowała krótkie spięcie i pozbawiła go radia. Szkoda, ale niedawne wydarzenia pozwalały przypuszczać, że i tak radio stałoby się bezużyteczne. Wyrzucił za burtę połączony ze słuchawką mikrofon. Jacht płynął dalej, pokonując Narrows. Wysoko w górze lśnił most Verrazano. Przepłynęli pod nim i po chwili pełne gracji oświetlone łuki zostały w tyle, gdy jacht sunął naprzód, kierując się ku zewnętrznej zatoce i rozciągającemu się za nią przestworowi otwartego oceanu.

A Pendergast wciąż czekał.

Falkoner spojrział na Esterhazyego.

– Wciąż możemy go pokonać – powiedział. – Nadal mamy kilku uzbrojonych po zęby ludzi. Zbierzemy ich, przeprowadzimy atak frontalny...

– Wątpię, aby tylu jeszcze zostało – zawołał Esterhazy. – Nie widzisz? On wybija nas po kolei. Brutalny atak nie ma najmniejszych szans powodzenia. Musimy go przechytrzyć.

Falkoner, dysząc ciężko, spojrział na niego. A Esterhazy miał w tym momencie gonitwę myśli; rozważał intensywnie różne scenariusze, od chwili kiedy opuścili maszynownię. Wydarzenia jednak rozgrywały się błyskawicznie, nie było czasu. Pendergast i Constance...

Constance. Tak – to się mogło udać. Mogło.

Odwrócił się do Falkonera.

– To z powodu tej kobiety się ujawnił. To jego słaby punkt.

– Drugi raz się nie uda.

– Uda się. Wykorzystajmy tę kobietę tym razem naprawdę.

Falkoner zmarszczył brwi.

– Ale po co?

– Znam Pendergasta. Uwierz mi, to się uda.

Falkoner spojrzał na niego. Otarł czoło.

– W porządku. Idź po tę kobietę. Ja zaczekam tu z Schultzem.

Krótki korytarz łączył maszynownię z ładownią dziobową. Esterhazy dotarłszy do końca schodów, przebiegł przez korytarz, pchnięciem otworzył drzwi, wszedł do środka, po czym zamknął drzwi i zarygłował je. Teraz żaden wytrych nie zdołałby ich otworzyć.

Podłoga była czysta, po śmierci dziennikarza sprzed kilku dni nie pozostał żaden ślad, płótno żaglowe zniknęło. Podeszedł do klapy luku pośrodku ładowni w kształcie litery V, odrygłował ją i otworzył. W ciemnej

zęcie dostrzegł twarz młodej kobiety patrzącej w górę, na niego, włosy miała zmierzwione, twarz umazaną olejem silnikowym. Kiedy w jej źrenicach odbiło się światło, Esterhazyego znów zdeprymował widok niepohamowanej, nieskrywanej nienawiści, jaką w nich dostrzegł. To było naprawdę niepokojące: sugerowało nieopisaną brutalność i przemoc, którą jednak koił obojętny, chłodny spokój. W ustach miała knebel przytrzymywany kawałkiem taśmy klejącej. Esterhazy cieszył się, że Constance nie może nic powiedzieć.

– Zabieram cię stąd. Proszę, nie stawiaj oporu.

Wsunął pistolet za pasek spodni, jedną ręką chwycił dziewczynę za włosy, a drugą oplótł jej ramiona. Usta i dłonie miała mocno oklejone taśmą, ale to nie przeszkadzało jej, by zaczęła się szamotać. Esterhazy wyciągnął ją z zęzy, a ona wciąż przeszywała go morderczym spojrzeniem. Popchnął ją w kierunku drzwi, po czym przystanął na chwilę i nasłuchiwał. Trzymając ją przed sobą jak tarczę, na wypadek gdyby natknęli się na

Pendergasta, odryglował drzwi, otworzył je i popchnął Constance do przodu, wymierzając lufę pistoletu w jej potylicę. Korytarz był pusty.

– Zaczynij iść – nakazał i poprowadził ją do schodów dziobowych.

Wyszli na pokład dziobowy. Jacht sunął po umiarkowanie wzburzonym morzu, od dziobu wiatr wiał. Światła Manhattanu rozmywały się w oddali, pełen gracji łuk mostu Verrazano niknął w ciemnościach za nimi. Esterhazy czuł lekkie kołysanie; znaleźli się na otwartym oceanie.

Twarz Falkonera była jeszcze bledsza niż wtedy, kiedy Esterhazy go zostawił.

– Eberstark i Baumann nie zgłaszają się – powiedział.
– I zobacz, co stało się z Nastem.

Wskazał na reling pokładu głównego, na którym wisiało wiotkie, ociekające krwią ciało.

– Musimy działać szybko – odparł Esterhazy. –
Chodź ze mną.

Falkoner pokiwał głową.

– Trzymajcie ją mocno, ty i Schultz. Ale bądźcie bardzo ostrożni. Uwolnię ją z więzów.

Dwaj mężczyźni pochwycili Constance. Już się nie wyrywała. Esterhazy rozciął taśmę krępującą jej nadgarstki. Następnie zdjął taśmę z jej ust.

– Zabiję cię za to, co zrobiłeś – powiedziała bezceremonialnie.

Esterhazy spojrział na Falkonera.

– Wyrzucimy ją za burtę.

Falkoner patrzył.

– Jeżeli to zrobisz, stracimy nasz jedyny...

– Wręcz przeciwnie.

– Ale to przecież tylko wariatka! On nie zaryzykuje dla niej własnego życia. Pozwoli jej utonąć.

– Myliłem się – powiedział Esterhazy. – Ona wcale nie jest szalona. Pendergastowi na niej zależy i to bardzo. Powiedz kapitanowi, żeby oznakował punkt na GPS-ie, kiedy wyrzucimy ją za burtę. Pospiesz się.

Doprowadzili Constance do relingu. Nagle wybuchnęła krótkim, gwałtownym szlochem i zaczęła się brutalnie wyrywać.

– Nie – powiedziała. – Nie rób tego. Nie umiem...

Esterhazy znieruchomiał.

– Czego nie umiesz?

– Nie umiem pływać.

Zaklął.

– Daj kamizelkę ratunkową.

Falkoner wyjął jedną kamizelkę z pojemnika na pokładzie. Esterhazy schwycił ją i podał dziewczynie.

– Włóż.

Zaczęła wkładać kamizelkę. Jej chłodny spokój i opanowanie powróciły, ale trzęsły się jej ręce i miała kłopot z zapięciem.

– Nie mogę...

Esterhazy podszedł i zapiął kamizelkę z przodu, po czym pochylił się, by zaciągnąć mocniej paski.

Nagłym ruchem Constance uderzyła go zaciśniętą

pięścią od dołu, trafiając w podbródek. Zachwiał się i znów zobaczył jej paznokcie, którymi próbowała wydrapać mu oczy. Stękając z bólu, wyrwał się i odepchnął ją od siebie. Upadła na pokład. Falkoner kopnął ją w bok, a potem schwycił za włosy i szarpnięciem zmusił, aby podniosła się na nogi, podczas gdy Schultz pchnął ją na reling i unieruchomił jej ręce. Krzyknęła, kręcąc głową z boku na bok, próbując ich kąsać.

– Spokojnie! – rzucił ostro Esterhazy. – Nie skrzywdźcie jej albo nasz plan spali na panewce.

– Do góry – krzyknął Falkoner, chwytając ją za ramię. – Teraz!

Zaczęła się miotać z niewiarygodnie szaleńczą i niepohamowaną siłą.

– Za burtę z nią! – zawołał Falkoner.

Jednym płynnym ruchem przerzucili Constance ponad relingiem wprost do oceanu. Wpadła z pluskiem do wody i po chwili się wynurzyła, wymachując nerwowo rękami. Jej krzyki przez krótką chwilę rozlegały się

pośród szumu wiatru i łoskotu fal, po czym ucichły, gdy zniknęła w ciemnościach.

Pendergast zaczął biec w stronę dziobu, kiedy tylko usłyszał wołanie. Dostrzegł błysk czegoś białego, co wpadło do wody, i zobaczył przepływającą opodal Constance znikającą w mroku za kilwaterem.

Na chwilę sparaliżował go szok. I wtedy zrozumiał.

Usłyszał z pokładu dziobowego głos Esterhazyego.

– Aloysiusie! – zawołał tamten. – Słyszysz mnie? Wyjdź z podniesionymi rękami. Poddaj się. Zrób to, a zawrócimy łódź. W przeciwnym razie będziemy płynąć dalej. Pospiesz się!

Pendergast stał w bezruchu z czterdziestkąpiątką w dłoni.

– Jeżeli chcesz, żebyśmy zawrócili, wyjdź na otwartą przestrzeń z rękami w górze. Mamy listopad, sam wiesz najlepiej, jak zimna jest woda. Daję jej kwadrans, góra dwadzieścia minut.

Pendergast wciąż się nie poruszał. Nie mógł.

– Mamy na GPS-ie zapisane współrzędne punktu, w którym znalazła się w wodzie – zawołał Esterhazy. – Możemy ją odnaleźć w ciągu kilku minut.

Pendergast zawahał się przez jedną koszmarną dla niego chwilę. Nieomal podziwiał błyskotliwy plan Esterhazyego. W końcu uniósł ręce i powoli postąpił naprzód. Wyszedł z kabiny dziobowej, by ujrzeć Esterhazyego i dwóch innych mężczyzn stojących na dziobówce z bronią w ręku.

– Podejdź do nas, powoli, trzymając ręce za głową.
Wypełnił polecenie.

Esterhazy zbliżył się do niego, wyłuskał z jego dłoni les baera i wsunął go za pasek przy spodniach. Potem go obszukał. Gruntownie i profesjonalnie. Esterhazy odebrał mu noże, walthera kalibru .32, pakiety z substancjami chemicznymi, niewielki zwój drutu i rozmaite narzędzia. Sprawdził podszewkę marynarki i odnalazł zaszyte w niej inne narzędzia.

– Zdejmij marynarkę.

Pendergast zdjął marynarkę i rzucił na pokład.

Esterhazy zwrócił się do jednego z pozostałych mężczyzn.

– Załóż mu kajdanki i unieruchom go taśmą. Całkowicie. Chcę, żeby był oklejony jak mumia.

Jeden z mężczyzn postąpił naprzód. Dłonie Pendergasta zostały unieruchomione z tyłu plastikowymi kajdankami. Usta zalepiono mu taśmą.

– Połóż się – rzekł trzeci mężczyzna z niemieckim akcentem.

Pendergast wykonał polecenie. Plastikowymi kajdankami spętano mu nogi w kostkach, a potem oklejono mu taśmą przeguby, ręce i nogi, pozostawiając go wyciągniętego i unieruchomionego na pokładzie.

– W porządku – rzekł do Falkonera Esterhazy. – Teraz każ kapitanowi, aby zawrócił łódź i wyłowił dziewczynę.

– Po co? – rzucił tamten. – Osiągnęliśmy cel, kogo obchodzi jakaś dziewczyna?

– Chcesz, żeby on mówił? Czy nie dlatego nadal żyje?

Po krótkim wahaniu Falkoner skontaktował się przez radio z kapitanem. Chwilę później jacht zwolnił i zaczął wykonywać zwrot.

Esterhazy spojrział na zegarek. A potem zwrócił się do Pendergasta:

– Minęło dwanaście minut – powiedział. – Mam nadzieję, że nie wahałeś się zbyt długo.

Esterhazy wziął do ręki linkę żeglarską.

– Pomóż mi przywiązać go do tych knag – zwrócił się do Schultza.

Jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Silił się na brawurę i władczy ton, ale czuł trawiący go strach. Musiał obmyślić sposób, jak ocalić własną skórę. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. *O co chodzi, Judsonie?* – spytał Falkoner. *Nagle przestałeś nam ufać? Jestem zaskoczony i urażony.*

Esterhazy uświadomił sobie, że jego godziny, podobnie jak Pendergasta, też są już policzone.

Jacht zawrócił i zwolnił, zbliżając się do punktu oznaczonego na GPS-ie. Esterhazy przeszedł na dziób, wypatrując młodej kobiety, podczas gdy dwa reflektory na mostku przeczesywały powierzchnię wzburzonego morza.

– Tam! – zawołał, gdy jeden z reflektorów wychwycił błysk taśmy odblaskowej na kamizelce ratunkowej.

Jacht zaczął zwalniać jeszcze bardziej i wykonywać zwrot. Esterhazy pobiegł na rufę i pochwycił zakrzywionym końcem bosaka za kamizelkę ratunkową, podholowując Constance. Falkoner dołączył do niego i wspólnie wyciągnęli ją na platformę, po czym przenieśli przez pawęż do sali barowej i położyli na wyłożonej miękką wykładziną podłodze.

Była półprzytomna, ale wciąż oddychała. Esterhazy pośpiesznie sprawdził jej tętno: powolne i nitkowate.

– Hipotermia – zwrócił się do Falkonera. – Musimy podwyższyć temperaturę jej ciała. Gdzie ta kobieta?

– Gerta? Zamknęła się na klucz w jednej z kajut załogi.

– Niech przygotuje dla niej kąpiel, woda ma być letnia.

Falkoner zniknął, podczas gdy Esterhazy zdjął Constance kamizelkę ratunkową, rozpiął i ściągnął z niej całkiem przemoczoną sukienkę i bieliznę, po czym owinał ją w ciepły koc, który zdjął z fotela. Założył jej na

przeguby plastikowe kajdanki i drugie, znacznie mniej ciasne na kostki, pozostawiając dostatecznie dużo luzu, aby mogła chodzić.

Po chwili pojawił się Falkoner z kobietą. Twarz miała bladą, ale wydawała się opanowana.

– Szykuj kąpiel.

Przenieśli Constance przez salon do kajuty dziobowej, gdzie w łazience znajdowała się duża wanna, i włożyli ją do letniej wody. Już dochodziła do siebie i gdy wkładali ją do wody, mamrotała coś pod nosem.

– Pójdę popilnować Pendergasta – rzekł Esterhazy.

Falkoner patrzył na niego przez chwilę. To było badawcze, świdrujące spojrzenie. Wreszcie uśmiechnął się krzywo.

– Kiedy ona dojdzie do siebie, zabiorę ją stąd i wykorzystam, aby zmusić Pendergasta do mówienia.

Esterhazy wzdrygnął się mimowolnie.

Odnalazł Pendergasta tam, gdzie go zostawił pod czujnym okiem Schultza. Przystawił sobie krzesło i

usiadł, trzymając w dłoniach pistolet i przyglądając się uważnie Pendergastowi. Po raz pierwszy znaleźli się twarzą w twarz, odkąd zostawił agenta ciężko rannego i tonącego w bagnach Grzędzawiska. Srebrzyste oczy, ledwie widoczne w słabym świetle, były jak zwykle nieodgadnione.

Minęło dziesięć minut, podczas gdy Esterhazy przeanalizował w duchu każdy scenariusz, każdy możliwy plan, aby ulotnić się z pokładu Vergeltunga – na próżno jednak. Zamierzali go zabić – dostrzegł to w spojrzeniu Falkonera. Pendergast przysporzył Przymierzu zbyt wielu kłopotów, stracili zbyt wielu ludzi, aby mogli go pozostawić przy życiu.

Usłyszał podniesione głosy i zobaczył Constance brutalnie prowadzoną w ich stronę przez rudowłosą Gertę; z oddali dobiegały groźne, wypowiedane półgłosem słowa Falkonera. Pojawili się na pokładzie. Dołączył do nich Zimmermann. Constance miała na sobie długi, biały szlafrok frotté i narzuconą na niego męską marynarkę.

Falkoner jeszcze raz popchnął ją silnie i przewróciła się na pokład przed Pendergastem.

– Twarda sztuka – wycedził Falkoner, ocierając krwawiący nos. – Nie było najmniejszych problemów z ożywieniem jej. Przywiążcie ją do tego słupka.

Schultz i rudowłosa kobieta popchnęli Constance w kierunku podpory pokładowej liny ratowniczej, po czym przywiązali ją do niej. Nie stawiała oporu, natomiast, co było dla niej nietypowe, przez cały czas milczała. Kiedy ją przywiązali, Falkoner wyprostował się, otarł krew i uśmiechnął się triumfalnie do Esterhazyego.

– Ja się tym zajmę – rzucił oschle. – Bądź co bądź to moja specjalność. – Zerwał taśmę z ust Pendergasta. – Nie chcielibyśmy przegapić ani słowa z tego, co powie. Zgadza się?

Esterhazy spojrział jakby od niechcienia w stronę mostka, rzędu słabo oświetlonych okien na górnym pokładzie, nad i za dziobówką. Dostrzegł kapitana za sterem. Obok niego stał pierwszy oficer, Gruber. Obaj

byli pochłonięci swoimi obowiązkami i nie zwracali uwagi na dramat rozgrywający się na pokładzie dziobowym poniżej. Jacht kierował się teraz na południowy wschód, idąc równolegle do południowego brzegu Long Island. Esterhazy zastanawiał się, dokąd płyną, bo w tej kwestii Falkoner był wyjątkowo skryty.

– W porządku – rzekł Falkoner, wykonując ze swadą zamaszty obrót przed Pendergastem.

Wsunął broń do kabury i wyjął z pochwy nóż bojowy. Bawił się nim, obracając go w słabym świetle, sprawdzając ostrość klingi, po czym ukląkł i wbił czubek ostrza w ciało Pendergasta, rozorując mu lekko policzek. Pocięła krew.

– Teraz masz heidelberską bliznę od pojedynku jak mój dziadek. Znakomicie.

Rudowłosa kobieta patrzyła, a jej oblicze przepełnił wyraz okrutnego wyczekiwania.

– Widzisz, jaki jest ostry? – ciągnął Falkoner. – Ale ta ostrość nie jest przeznaczona dla ciebie. Tylko dla niej.

Podszedł do Constance i stanął nad nią, bawiając się nożem i mówiąc bezpośrednio do niej:

– Jeżeli on nie odpowie jasno i wyczerpująco na moje pytania, potnę cię. Zapewniam, że to będzie bolesne.

– Nie powie ani słowa – odparła Constance cichym, zdecydowanym tonem.

– Zechce mówić, kiedy zaczniemy wyrzucać do morza kawałki twojego ciała.

Spojrzała na niego. Esterhazy zdziwił się, jak niewiele strachu dostrzegł w jej oczach. Falkoner był naprawdę przerażającym człowiekiem.

Niemiec tylko zachichotał i odwrócił się do Pendergasta.

– Twoja mała wyprawa, o której jeszcze do niedawna nic nie wiedzieliśmy, okazała się nad wyraz użyteczna. Na przykład przez te wszystkie lata myśleliśmy, że Helen nie żyje.

Esterhazy poczuł, że krew zastyga mu w żyłach.

– Prawda, Judsonie?

– To nieprawda – odrzekł niepewnie Esterhazy.

Falkoner machnął ręką, jakby zbywał coś mało istotnego.

– Tak czy inaczej oto pierwsze pytanie. Co wiesz o naszej organizacji i skąd się o niej dowiedziałeś?

Pendergast jednak nie odpowiadał. Zamiast tego odwrócił się do Esterhazyego, a w jego oczach pojawił się wyraz osobliwego współczucia.

– Zdajesz sobie sprawę, że będziesz następny – powiedział.

Falkoner podszedł do Constance i schwycił ją za ręce, które były unieruchomione plastikowymi kajdankami przypiętymi do słupka z tyłu za nią. Powoli, z rozmysłem wbił ostrze noża w jej kciuk. Constance, tłumiąc krzyk, gwałtownie odwróciła głowę w bok.

– Następnym razem mów do mnie i odpowiadaj na zadane pytanie.

– Nic nie mów! – rzuciła ochryple Constance, nie oglądając się za siebie. – Nic mu nie mów! I tak nas

zabiją!

– Nieprawda – rzekł Falkoner. – Jeżeli będzie mówił, wysadzimy cię całą i zdrową na brzeg i tam zostawimy. On nie ocali swojego życia, ale może uratować twoje.

Odwrócił się do Pendergasta.

– Odpowiedz na pytanie.

Agent specjalny zaczął mówić. Opowiedział pokrótce o tym, jak zobaczył, że strzelba jego żony była nabita ślepakami, dzięki czemu odkrył, że śmierć Helen dwanaście lat temu w Afryce nie była wypadkiem, lecz przemyślnie zaplanowanym morderstwem. Mówił powoli, wyraźnie i beznamiętnie.

– Dlatego wybrałeś się do Afryki – powiedział Falkoner – i tam odkryłeś nasz mały spisek w celu pozbycia się jej.

– Wasz spisek? – Pendergast jakby przez chwilę zastanawiał się nad znaczeniem tych słów.

– Dlaczego mówisz? – zapytała nagle Constance. – Myślisz, że on puści mnie wolno? Oczywiście, że tego nie

zrobi. Ani słowa więcej, Aloysiusie, oboje i tak jesteśmy już martwi.

Falkoner z lubością schwycił ją za rękę i ponownie przejechał ostrzem noża po jej kciuku, ale tym razem mocniej i głębiej. Skrzywiła się i zadrżała z bólu, ale nie krzyknęła.

Kątem oka Esterhazy spostrzegł, że Schultz i Zimmermann schowali broń i z zaciekawieniem obserwowali widowisko.

– Nie – rzekł do Falkonera Esterhazy. – Jeżeli nie przestaniesz, on całkiem zamilknie.

– Do cholery, wiem, co robię. Zajmuję się tym od lat.

– Nie znasz tego człowieka.

Mimo to Falkoner przestał. Uniósł okrwawiony nóż, pomachał nim przed nosem Pendergasta i otarł ostrze o usta agenta.

– Następnym razem odetnę jej kciuk. – Uśmiechnął się złowieszczo. – Kochasz ją? Zakładam, że tak. Młoda, piękna, pełna werwy, kto by się nie zakochał? –

Wyprostował się i powoli obszedł dookoła cały górny pokład. – Czekam, Pendergast. Mów dalej.

Ale agent milczał. I tylko patrzył z przejęciem na Esterhazyego.

Falkoner zatrzymał się i przekrzywił głowę w bok.

– W porządku. Zawsze dotrzymuję danego słowa. Schultz, przytrzymaj jej rękę, tylko mocno.

Schultz schwycił dłoń Constance, podczas gdy Falkoner przez chwilę wymachiwał w powietrzu nożem. Esterhazy nie miał wątpliwości, że tamten naprawdę zamierza odciąć dziewczynie kciuk. A gdyby to zrobił, nie byłoby już odwrotu ani dla Pendergasta, ani tym bardziej dla niego.

– Poczekaj – odezwał się Esterhazy.

Falkoner znieruchomiał.

– O co chodzi?

Esterhazy szybko podszedł do Falkonera i nachylił się ku niemu.

– Zapomniałem ci o czymś powiedzieć – wyszeptał. – Musisz to wiedzieć. To bardzo ważne.

– Cholera, przeszkadzasz mi.

– Podejdź do relingu. Oni nie mogą tego usłyszeć. Mówię ci, to sprawa najwyższej wagi.

– Nie czas teraz, żebyś przerywał mi robotę! – warknął Falkoner, a uśmiech sadystycznego zadowolenia ustąpił miejsca grymasowi frustracji.

Esterhazy podprowadził Falkonera do relingu przy bakburcie, oddalając się z nim w stronę rufy. Uniósł wzrok. W tym miejscu byli niewidoczni zarówno z mostka, jak i z pokładu dziobowego.

– W czym problem? – dopytywał się Falkoner.

Esterhazy nachylił się do jego ucha i oparł dłoń na ramieniu tamtego, po czym uniósł pistolet i wpakował mu kulę w czaszkę. Chmura krwi i odłamków kości buchnęła z drugiej strony; rozbryzg ochlapał twarz Esterhazyego.

Falkoner runął do przodu z wybałuszonymi, przepełnionymi zdziwieniem oczami i osunął się w ramiona swojego zabójcy. Ten schwycił go pod pachy i gwałtownym, zdecydowanym ruchem przerzucił ciało ponad relingiem do wody. Na odgłos wystrzału zza rogu wyłonił się Zimmermann. Esterhazy strzelił mu między oczy.

– Schultz! – zawołał. – Pomóż nam!

Po chwili pojawił się Schultz z pistoletem w dłoni i jego także Esterhazy zastrzelił. Następnie Judson cofnął się, plując i prychnając, chustką otarł twarz do czysta i wrócił do niewielkiej grupki z pistoletem w ręku. Gerta stała tylko i patrzyła na niego jak sparaliżowana.

– Podejź tu – zwrócił się do niej. – Powoli i

spokojnie. Albo ty też pożegnasz się z życiem.

Posłuchała go. Podeszła do rogu kajuty, a on schwycił ją i tą samą taśmą, której użył do skrepowania Pendergasta, okleił jej kostki, przeguby i usta. Zostawił ją w przejściu, aby z mostka nie można było jej zobaczyć, po czym wrócił na pokład rufowy, gdzie Hammar powoli odzyskiwał przytomność, jęcząc i postępując. Esterhazy związał go mocno. Następnie obszedł górne pokłady. Odnalazł ранego Eberstarka i jego także skrepował. Potem wrócił do miejsca, gdzie pozostawił unieruchomionych Pendergasta i Constance.

Spojrzał na nich. Oboje byli świadkami tego, co zrobił. Constance milczała, ale widział krew skapującą z jej zranionego kciuka. Klęknął i obejrzał zranione miejsce. Drugie, głębsze cięcie doszło aż do kości, ale jej nie uszkodziło. Sięgnął do kieszeni, wyjął czystą chustkę i obwiązał jej kciuk. Następnie wyprostował się i popatrzył na Pendergasta. Srebrzyste oczy odnalazły jego spojrzenie. Esterhazy odniósł wrażenie, że dostrzegł w

nich ledwie widoczny wyraz szczerego zdziwienia.

– Zapytałeś mnie kiedyś, jak mogłem zabić własną siostrę – powiedział Esterhazy. – Powiedziałem wtedy prawdę. I teraz ją powtórzę. Nie zabiłem jej. Helen żyje.

Esterhazy zamilkł. W oczach Pendergasta pojawił się nowy wyraz: spojrzenie, którego nie potrafił w pełni zrozumieć. Mimo to agent milczał.

– Myślisz, że walczysz tylko ze mną – odezwał się nagle Esterhazy. – Ale mylisz się. Nie masz przeciwko sobie tylko mnie. To coś więcej niż tylko ta łódź i ta załoga. Nie zdajesz sobie sprawy, z czym przyszło ci się zmierzyć.

Pendergast nie odpowiedział.

– Posłuchaj. Falkoner zamierzał zabić także mnie. Kiedy tylko wykończyłby ciebie, planował zrobić to samo ze mną. Uświadomiłem to sobie tej nocy na pokładzie tego jachtu.

– A więc zabiłeś go, żeby ocalić siebie – odezwała się Constance. – Czy chciałeś w ten sposób zaskarbić sobie nasze zaufanie?

Esterhazy zignorował jej uwagę.

– Do licha, Aloysiusie, posłuchaj mnie. Helen żyje, a ty potrzebujesz mnie, żebym sprowadził ją do ciebie. Nie mamy teraz czasu, by o tym dyskutować. Obiecuję, że później wszystko ci wyjaśnię, ale nie teraz. Będziesz ze mną współpracował czy nie?

Constance zaśmiała się gorzko.

Esterhazy bardzo długo wpatrywał się w lodowate nieodgadnione oczy Pendergasta. Wreszcie wziął głęboki oddech.

– Zaryzykuję – stwierdził. – Zaryzykuję, że gdzieś w tej twojej dziwacznej łepetynie kołacze się myśl, że powinieneś mi uwierzyć, przynajmniej w tym jednym wypadku.

Wyciągnął nóż i nachylił się, by uwolnić Pendergasta, ale w ostatniej chwili się zawahał.

– Wiesz, Aloysiusie – powiedział półgłosem – stałem się tym, kim było mi pisane się stać od dnia moich narodzin. To jest związane z tym, gdzie i jak przyszedłem na świat, a na to nie miałem żadnego wpływu. Gdybyś

tylko wiedział, jakich koszmarów doświadczyliśmy Helen i ja, zrozumiałbyś.

Przeciął linki przytrzymujące Pendergasta przy słupku, a następnie rozciął taśmę i uwolnił go.

Agent podniósł się powoli, rozmasowując ramiona, jego oblicze wciąż pozostawało nieodgadnione. Esterhazy zawahał się przez chwilę. Zaraz jednak wyjął zza paska czterdziestkępiątkę należącą do Pendergasta i podał mu ją kolbą do przodu. Pendergast wziął od niego pistolet, schował, po czym bez słowa podszedł do Constance i uwolnił ją.

– Chodźmy – rzekł Esterhazy.

Przez chwilę nikt się nie poruszył.

– Constance – powiedział Pendergast – zaczekaj na nas przy pontonie na rufie.

– Chwileczkę – odparła Constance. – Chyba nie zamierzasz mu uwierzyć...

– Idź, proszę, do szalupy. Dołączymy do ciebie za chwilę.

Obrzuciła Esterhazyego długim przenikliwym spojrzeniem, a następnie odwróciła się i poszła w stronę rufy, rozplywając się w ciemnościach.

– Na mostku jest dwóch ludzi – zwrócił się do Pendergasta Esterhazy. – Musimy ich zneutralizować i opuścić pokład jachtu.

Kiedy Pendergast nie odpowiedział, Esterhazy ruszył przodem, otwierając drzwi kajuty i przestępując nad nieruchomym ciałem. Minęli główny salon i po schodach wspięli się na górę. Dotarli na górny pokład, Esterhazy rozsunał przesuwane szklane drzwi i przeszedł przez salę klubową.

Pendergast zajął pozycję przy drzwiach prowadzących na mostek i wyjął broń. Esterhazy zapukał do drzwi. Przez interkom rozległ się głos kapitana:

– Kto tam? Co się dzieje? Co to były za strzały?

Esterhazy starał się nadać swojemu głosowi spokojny ton.

– To ja, Judson. Już po wszystkim. Falkoner i ja

mamy ich unieruchomionych w sali barowej.

– A reszta załogi?

– Po nich. Większość nie żyje, jest ciężko ranna albo wylądowała za burtą. Ale mamy już wszystko pod kontrolą.

– Jezu!

– Falkoner chce, żeby Gruber zszedł na kilka minut na dół.

– Próbowaliśmy wywołać Falkonera przez radio.

– Wyrzucił je. Ten facet, Pendergast, przejął radio od jednego z członków załogi i przysłuchiwał się temu, co mówiliśmy. Proszę posłuchać, kapitanie, nie mamy dużo czasu. Falkoner chce, żeby pierwszy oficer zszedł na chwilę na dół. Natychmiast.

– Na jak długo? Potrzebuję go na mostku.

– Góra pięć minut.

Esterhazy usłyszał szcęk odryglowywanych drzwi mostka, a potem odgłos odblokowywanych zamków. Drzwi otworzyły się.

Pendergast natychmiast odbił je kopniakiem do tyłu, kolbą pistoletu ogłuszył pierwszego oficera, podczas gdy Esterhazy podbiegł do kapitana i wbił mu w ucho lufę swojego pistoletu.

– Kładź się! – krzyknął. – Na podłogę!

– Co się...?

Esterhazy wystrzelił w ścianę, po czym znów przytknął lufę broni do głowy kapitana.

– Słyszałeś, co powiedziałem! Twarzą do dołu, ręce szeroko!

Kapitan ukląkł, a potem położył się na podłodze, wyciągając ręce na boki. Esterhazy odwrócił się, by ujrzeć, jak Pendergast krępuje pierwszego oficera.

Podszedł do steru, celując do kapitana z pistoletu, i zredukował obroty silników do biegu jałowego. Jacht zaczął zwalniać, aż w końcu znieruchomiał, dryfując na falach.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – zawołał kapitan. – Gdzie Falkoner?

– Tego też zwiąż – powiedział Esterhazy.

Pendergast podszedł i unieruchomił kapitana.

– Już nie żyjesz – rzekł do Esterhazyego kapitan. – Zabiją cię, to pewne, kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć.

Esterhazy patrzył, jak Pendergast podchodzi do steru, przypatruje mu się, podnosi kopułkę, pod którą znajduje się czerwona dźwigienka, i pociąga za nią. Rozległ się sygnał alarmu.

– Co to jest? – spytał zaniepokojony.

– Uruchomiłem nadawanie awaryjnego sygnału lokalizacyjnego – odrzekł Pendergast. – Chcę, żebyś zszedł na dół, spuścił szalupę na wodę i zaczekał na mnie.

– Po co? – Esterhazy nie mógł się nadziwić, jak szybko Pendergast przejął kontrolę nad sytuacją.

– Opuszczamy jacht. Rób, co mówię.

Lodowaty, beznamiętny ton agenta rozdrażnił Esterhazyego. Agent zszedł z mostka na niższe pokłady. Esterhazy przez salę barową skierował się na rufę.

Napotkał tam czekającą Constance.

– Opuszczamy jacht – oznajmił.

Zdjął brezent z drugiego pontonu. Był to mierzący 5,2 metra valiant z czterosuwowym zaburtowym silnikiem Hondy o mocy siedemdziesięciu pięciu koni mechanicznych. Otworzył pawęż i uruchomił mechanizm opuszczający szalupę na wodę. Łódź ześlizgnęła się po pochylni i znalazła się w wodzie. Esterhazy przycumował szalupę do relingu, zszedł do łodzi i uruchomił silnik.

– Wsiadaj – powiedział.

– Dopiero kiedy Aloysius wróci – odparła Constance.

Jej fiołkowe oczy wciąż na niego patrzyły i po chwili znów się odezwała w osobliwy archaiczny sposób:

– Pamięta pan, doktorze Esterhazy, co powiedziałam mu wcześniej? Pan pozwoli, że przypomnę: otóż w którymś momencie w przyszłości, kiedy pora będzie po temu odpowiednia, zabiję pana.

Esterhazy parsknął drwiąco.

– Nie strzép sobie języka na czcze pogrózki.

– Czcze? – Uśmiechnęła się promiennie. – To niezaprzeczalny fakt, podobnie jak ten, że Ziemia się kręci.

Esterhazy skoncentrował swoje myśli na Pendergaście i dalszych jego poczynaniach. Usłyszał dochodzący spod pokładu stłumiony odgłos eksplozji. Po chwili pojawił się Pendergast. Pomógł Constance zejść do szalupy, po czym sam wskoczył do łodzi, gdy jachtem wstrząsnęła kolejna eksplozja. Powietrze nagle wypełnił swąd dymu.

– Co zrobiłeś? – zapytał Esterhazy.

– Pożar w maszynowni – wyjaśnił Pendergast. – Awaryjny sygnał lokalizacyjny da tym, co pozostali na pokładzie, uczciwą szansę na przeżycie. Przejmij ster i zabierz nas stąd.

Esterhazy oddalił łódź od jachtu. Nastąpiła trzecia eksplozja: kula ognia buchnęła wysoko ku niebu, chorągiewki i płonące kawałki drewna oraz włókna szklanego posypały się wokół nich jak deszcz. Esterhazy wykręcił i zwiększył obroty silnika na tyle, na ile się

odważył, biorąc pod uwagę wzburzone fale. Szalupa wznosiła się i opadała na przemian, silnik dudnił miarowo.

– Kurs północny zachód – powiedział Pendergast.

– Dokąd zmierzamy? – zapytał Esterhazy wciąż poirytowany władczym tonem agenta.

– Na południowy kraniec Fire Island. Powinien być opuszczony o tej porze roku, idealne miejsce, aby niepostrzeżenie przybić do brzegu.

– A co potem?

Łódź brnęła przez średnio wzburzone fale, wspinając się po nich i opadając w dół mozolnie. Pendergast nic nie mówił i nie odpowiadał na pytania. Jacht zniknął w ciemności za nimi, nawet ogień i gęste kłęby czarnego dymu stawały się coraz słabiej widoczne. Dookoła było ciemno, wątle światła Nowego Jorku tworzyły odległą poświatę rozrzedzoną przez gęste mgły unoszące się nad wodą.

– Zredukuj prędkość do biegu jałowego – rzekł

Pendergast.

– Po co?

– Po prostu zrób to.

Esterhazy wykonał polecenie. I nagle, gdy kolejna fala wytrąciła go z równowagi, Pendergast pochwycił go, rzucił na dno szalupy i unieruchomił. Esterhazy przeżył chwilę *déjà vu*, kiedy agent zrobił z nim to samo na cmentarzu w Szkocji. Poczował lufę pistoletu wpijającą mu się w skroń.

– Co ty wyprawiasz? – zawołał. – Przecież właśnie uratowałem ci życie!

– Niestety z natury nie jestem człowiekiem sentymentalnym – odparł Pendergast cichym, groźnym tonem. – Potrzebuję odpowiedzi i chcę ją poznać już teraz. Pierwsze pytanie: dlaczego to zrobiłeś? Czemu ją poświęciłeś?

– Ale ja wcale nie poświęciłem Helen! Ona żyje. Nigdy nie mógłbym jej zabić. Kocham ją.

– Nie mówię o Helen. Mam na myśli jej bliźniaczkę.

Tę, którą nazwałeś Emmą Grolier.

Zaskoczony Esterhazy na moment przestał czuć strach.

– Ale... skąd wiesz?

– Wniosek nasuwał się sam. Zacząłem podejrzewać takie rozwiązanie, kiedy tylko dowiedziałem się, że kobieta w domu opieki Bay Manor nie była stara, lecz młoda. To było jedyne wyjaśnienie. Bliźnięta jednojajowe, zwane potocznie identycznymi, mają takie samo DNA, dzięki czemu dokonałeś oszustwa, które mogło nie zostać wyjaśnione nawet po śmierci tej kobiety. Helen miała piękne zęby, jej bliźniaczka zapewne również. Założenie bliźniaczce jednej plomby, jaką miała Helen, to doprawdy stomatologiczne dzieło sztuki.

– Owszem – przyznał Esterhazy. – Zgadza się.

– Jak mogłeś to zrobić?

– Nie miałem wyboru – albo ona, albo Helen. Emma była... głęboko upośledzona, opóźniona psychicznie. Śmierć stanowiła dla niej niemalże wyzwolenie. Uwierz,

proszę, Aloysiusie, gdy powiem ci, że nie jestem złym człowiekiem, za jakiego mnie uważasz. Na miłość boską, gdybyś wiedział, co przeżyliśmy, Helen i ja, spojrzalibyś na to wszystko w całkiem innym świetle.

Pistolet mocniej wpił się w ciało Esterhazyego.

– A niby cóż takiego przeżyliście? Dlaczego wdrożyłeś ten szalony plan?

– Ktoś musiał umrzeć, nie rozumiesz? Przymierze pragnęło śmierci Helen. Sądziło, że ją zabiłem, aranżując „wypadek” z udziałem lwa. Teraz wiedzą, że to nieprawda. W efekcie Helen grozi wielkie niebezpieczeństwo. Musimy się ukryć, zaszyć gdzieś. Wszyscy.

– Czym jest Przymierze?

Esterhazy poczuł, że serce dudni mu jak szalone.

– Jak mam sprawić, abyś zrozumiał? Longitude Pharmaceuticals? Charlie Slade? To dopiero początek. To, co widziałeś na Spanish Island, było zaledwie przygrywką, małym fragmentem większej całości.

Pendergast milczał.

– Przymierze zamyka nowojorską operację, zacierając wszelkie ślady swojej działalności na terenie Stanów Zjednoczonych. Poważni faceci zjeżdżają do miasta, aby nadzorować tę czynność. Może nawet już tu są.

Pendergast wciąż milczał.

– Na miłość boską, musimy ruszać! To jedyny sposób, aby Helen pozostała przy życiu. Wszystko, co robiłem do tej pory, miało na celu tylko jedno – utrzymanie Helen przy życiu, ponieważ ona... – Przerwał.
– Poświęciłem nawet moją drugą siostrę, choć była upośledzona umysłowo. Musisz zrozumieć. Nie chodzi już tylko o ciebie ani o Helen. Stawka jest dużo większa. Wyjaśnię wszystko, ale teraz musimy ocalić Helen.

Głos zaczął mu się łamać. Słysząc było zduszony szloch. Esterhazy chwycił Pendergasta za marynarkę.

– Nie rozumiesz, że to jedyny sposób?

Pendergast wstał, schował broń.

Nagle odezwała się milcząca aż do tej chwili

Constance:

- Aloysiusie, nie ufaj temu człowiekowi.
- Jego emocje są szczerze. On nie kłamie.

Pendergast przejął ster, zwiększył obroty silnika i skierował łódź na północny wschód, na Fire Island. Spojrzał w stronę Esterhazyego.

– Kiedy wrócimy na ląd, zaprowadzisz mnie prosto do Helen.

Esterhazy zawahał się.

- To niemożliwe.
- Dlaczego nie?

– Przez lata nauczyłem ją, by zachowywała nadzwyczajne środki ostrożności. To właśnie one uratowały ją w Afryce. Telefon nie wystarczy, a twoje nieoczekiwane pojawienie się może być dla niej zbyt niebezpieczne. Muszę do niej pojechać sam, ale przyprowadzę ją do ciebie.

– Masz plan?

– Jeszcze nie. Musimy obmyślić sposób, by ujawnić i

zniszczyć Przymierze. Sprawa jest prosta – oni albo my. Helen i ja sporo o nich wiemy, a ty jesteś mistrzem strategii. Wspólnie może nam się udać.

Pendergast zamyślił się.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby do niej dotrzeć?

– Szesnaście, może osiemnaście godzin. Powinniśmy się spotkać w miejscu publicznym, gdzie Przymierze nie odważy się podjąć żadnych działań, a zaraz potem zejdziemy do podziemia.

Kolejne pełne dezaprobaty parsknięcie Constance.

– On kłamie, Aloysiusie. Łże, by ocalić swoją skórę.

Pendergast położył rękę na jej dłoni.

– Choć bez wątpienia masz rację, że instynkt samozachowawczy odgrywa zasadniczą rolę we wszystkich jego poczynaniach, tym razem wierzę, że mówi prawdę.

Zamilkła.

Pendergast mówił dalej:

– Mój apartament w Dakocie ma bezpieczne pokoje z

sekretnym tylnym wyjściem, z którego można skorzystać w razie konieczności. Po drugiej stronie Central Parku, naprzeciwko Dakoty, znajduje się obszar dostępny publicznie, znany jako Conservatory Water. To niewielki staw, gdzie ludzie przychodzą, by puszczać na wodę modele łodzi. Znasz to miejsce?

Esterhazy pokiwał głową.

– To niedaleko zoo – zauważyła z przekąsem Constance.

– Będę czekał przy przystani Kerbsa – powiedział Pendergast – jutro o szóstej wieczorem. Dasz radę do tej pory skontaktować się z Helen?

Esterhazy spojrział na zegarek: było kilka minut po jedenastej.

– Tak.

– Dotarcie do mojego mieszkania zajmie chwilę. Dakota znajduje się po drugiej stronie parku.

W oddali Esterhazy dostrzegł mrugające światła oznajmiające wejście do zatoki Moriches i linię wydm

Cupsogue, białych jak śnieg w srebrzystym blasku księżyca. Pendergast skierował ponton w tę stronę.

– Judsonie? – rzekł półgłosem Pendergast.

Esterhazy odwrócił się do niego.

– Tak?

– Wierzę, że mówisz prawdę. Ale ponieważ ta sprawa jest mi bliska, możliwe, że pomyliłem się co do ciebie. Constance uważa, że popełniam błąd. Przyprowadź do mnie Helen, tak jak ustaliliśmy, albo, parafrazując Thomasa Hobbesa, twoja dalsza egzystencja na tym padole będzie nieprzyjemna, gwałtowna i stosunkowo krótka.

Nowy Jork

Corrie przez połowę wieczoru pomagała swojej nowej przyjaciółce sprzątać mieszkanie i przygotować tacę lazanii, lecz przez cały czas ukradkiem popatrywała na sąsiedni budynek. O dwudziestej Maggie wyszła do pracy w klubie jazzowym i miała wrócić dopiero o drugiej w nocy.

Właśnie dochodziła północ, a Corrie dopiła trzecią filiżankę kawy w ciasnej kuchni, przyglądając się uważnie swoim narzędziom. Przeczytała raz i drugi wyświechtany egzemplarz podziemnego klasycznego podręcznika *Podstawy forsowania zamków*. Obawiała się jednak, że nowiutkie zamki w drzwiach domu mogły mieć specjalnie karbowane zapadki, których otwarcie tradycyjnymi wytrychami było prawie niemożliwe.

No i jeszcze ta alarmowa taśma antywłamaniowa, na którą od razu zwróciła uwagę. To oznaczało, że nawet

gdyby poradziła sobie z zamkiem, otwarcie drzwi uruchomiłoby alarm. Otwarcie lub wybicie okna spowodowałoby ten sam skutek. Poza tym, choć dom wydawał się zaniedbany i opuszczony, mogły w nim zostać zamontowane czujniki ruchu i alarmy laserowe. A może nie. Przekona się o tym, jeżeli dostanie się do środka...

Dostanie się do środka? Czy naprawdę zamierza to zrobić? Wcześniej brała pod uwagę jedynie obserwację z zewnątrz. W którymś momencie tego wieczoru jej plany mimowolnie się zmieniły. Dlaczego? Obiecała Pendergastowi, że nie będzie mieszać się w tę sprawę, a jednocześnie instynktownie czuła, że agent nie był świadomy rozmiarów niebezpieczeństwa, jakie mu groziło. Czy wiedział, co ci handlarze narkotyków zrobili z Bettertonem i małżeństwem Brodiech? To byli naprawdę źli, bezlitośni ludzie.

A ona nie jest idiotką. Nie zrobi niczego, aby narazić samą siebie na niebezpieczeństwo. Dom przy East End

Avenue 428 sprawiał wrażenie opuszczonego – wewnątrz nie paliło się żadne światło. Obserwowała budynek przez cały dzień – nikt tam nie wchodził ani stamtąd nie wychodził.

Nie zamierzała złamać słowa danego Pendergastowi. Nie wejdzie w drogę handlarzom narkotyków. Dostanie się tylko do domu, rozejrzy się tam przez kilka minut i zniknie. Przy pierwszych oznakach kłopotów, niezależnie od tego, jak drobnych, zwinie się stamtąd w okamgnieniu. Jeżeli natknie się na coś ważnego, poinformuje o tym tego napompowanego szofera, Proctora, a on z pewnością przekaże to Pendergastowi.

Spojrzała na zegarek: północ. Nie było sensu dłużej czekać. Pozbierała wytrychy i włożyła do plecaka wraz z innymi przyborami – niewielką, ręczną, przenośną wiertarką z zestawem wiertel do szkła, drewna, cegieł i betonu, przecinakiem do szkła, przyssawkami, paroma kawałkami przewodów i drutu, cęgami do zdejmowania izolacji z przewodów, kombinerkami, płaskimi lusterkami

stomatologicznymi, prostokątnymi zgłębnikami, paroma niewielkimi latarkami LED-owymi, pończochą na głowę, na wypadek gdyby w domu znajdowały się kamery, rękawiczkami, gazem pieprzowym, oliwą do zamków, paroma ściereczkami, taśmą izolacyjną i farbą w sprayu oraz dwiema komórkami, z których jedną ukryła w bucie.

Poczuła narastające podniecenie. To będzie niezła zabawa. W Medicine Creek często dokonywała podobnych włamań i zapewne powinna była od czasu do czasu powtarzać takie wyczyny także tutaj, żeby nie zardzewieć. Zastanawiała się, czy rzeczywiście zamierza wiązać swoją karierę z pracą w służbie prawa, czy może raczej powinna pomyśleć o zejściu na ścieżkę przestępstwa. Z drugiej strony wielu ludzi działających w służbie sprawiedliwości przejawia niemal perwersyjne zamiłowanie do działania na granicy prawa. Dajmy na to Pendergast.

Wyszła z kuchni na niewielkie patio na tyłach domu otoczone ze wszystkich stron wysokim na dwa i pół metra

ceglanym murem. Ogród był zarośnięty, na patiu zaś tu i tam stało kilka sztuk mebli ogrodowych z kutego żelaza. Światło z okien na tyłach domu rzucało dostateczny blask, by mogła zobaczyć to, co chciała, a równocześnie by pozostawała niewidoczna dla oczu wścibskich sąsiadów.

Wybierając najciemniejszy odcinek ceglanoego muru przylegającego do domu o numerze 428, przystawiła do niego ogrodową ławeczkę, wspięła się na nią, podciągnęła się na mur i ześlizgnęła do ogrodu na tyłach opuszczonego domu. Był całkiem zarośnięty ajlantami i sumakiem – jeszcze lepsza osłona. Przystawiła rozchwierutany stary stolik do muru, który właśnie pokonała, po czym prześlizgnęła się przez gąszcz na teren za budynkiem. Wewnątrz nie paliło się światło, nie dostrzegła też żadnych oznak jakiegokolwiek aktywności.

Drzwi na patio były metalowe, zaopatrzone we względnie nowy zamek. Podkradła się do nich, uklękła i otworzyła zestaw wytrychów, by wybrać właściwy. Włożyła końcówkę narzędzia do otworu i wybadala

zapadki, błyskawicznie oceniając, że sforsowanie tego zamka nie będzie łatwe. Dla Pendergasta być może tak, ale nie dla niej.

Musi dostać się do środka w inny sposób.

Przesuwając się wzdłuż tylnej ściany domu, dostrzegła nisko osadzone okienka piwniczne wpuszczone głęboko we wnęki w murze. Uklękła i poświeciła latarką na okienko znajdujące się najbliżej niej. Było brudne, prawie nieprzezroczyste, wyjęła więc ścierkę i zaczęła je wycierać. Stopniowo doczyściła je na tyle, że mogła zajrzeć do środka i zobaczyła, iż także to okno zostało zaopatrzone w metalową taśmę połączoną z alarmem.

Ale z tym mogła powalczyć. Wyjęła bezprzewodową wiertarkę, zamocowała w jej uchwycie wiertło 0,5 mm z diamentową końcówką i wywierciła dwa otwory w szybie, jeden w górnej części taśmy w pobliżu złącza, drugi w dolnej części taśmy, upewniając się, czy jej nie rozerwała, a tym samym nie przerwała obwodu. Zdjęła izolację z miedzianego przewodu i przełożyła go przez oba otwory,

a następnie ostrą końcówką zgłębnika prostokątnego przymocowała drut do taśmy po wewnętrznej stronie, zachowując pełen obwód i, co najważniejsze, dezaktywując alarm dla całej reszty okna. Następnie ponownie wiertarką zrobiła liczne otwory w szybie, tworząc w ten sposób obrys otworu, dostatecznie dużego, aby mogła się przez niego prześlizgnąć. Diamentem do cięcia szkła wytyczyła linię łączącą otwory w szkłe. Przymocowała do szyby przyssawkę i mocno uderzyła, a szyba pękła dokładnie wzdłuż wyznaczonej linii. Wyjęła wycięty kawałek i odłożyła na bok. Choć taśma alarmowa została naderwana wzdłuż krawędzi otworu, nie miało to znaczenia, bo dzięki miedzianemu przewodowi obwód był nadal aktywny.

Cofnęła się i popatrzyła na sąsiednie budynki. Nikt jej nie zobaczył ani nie usłyszał. Obrzuciła spojrzeniem górujący nad nią budynek. Pozostawał ciemny, a w jego wnętrzu panowała grobowa cisza. Ponownie skupiła uwagę na oknie. Obawiając się czujników ruchu,

poświeciła latarką do środka, ale nie dostrzegła zbyt wiele poza stosami książek i starymi regałami. Taśma połączona z alarmem była podstawowym zabezpieczeniem, skądinąd bardzo prymitywnym, i Corrie podejrzewała, że to, co znajduje się wewnątrz – o ile w ogóle coś tam było – nie jest niczym szczególnym. Używając lusterka stomatologicznego, skierowała promień latarki we wszystkie kąty pomieszczenia, ale nie zauważyła niczego, co przypominałoby czujniki ruchu albo laserowe i podczerwone urządzenia alarmowe.

Wsunęła rękę do środka i pomachała energicznie, gotowa rzucić się do ucieczki, gdyby tylko gdzieś w ciemnościach pojawiło się czerwone światełko.

Nic.

No dobra. Odwróciła się, wsunęła stopy do piwnicy, bardzo ostrożnie prześlizgnęła się przez otwór w okienku, zeskoczyła na dół i wciągnęła za sobą plecak.

Ponownie odczekała w ciemnościach w bezruchu, wypatrując migoczących światełek, jakichkolwiek oznak

zabezpieczeń. Wokoło panowała niezmacona cisza.

Sięgnęła po stojące w kącie krzesło i przystawiła je pod okno, na wypadek gdyby musiała salwować się błyskawiczną ucieczką. Następnie rozejrzała się dokoła. Wpadające do środka światło księżyca wystarczyło, by dostrzegła to, co znajdowało się w pomieszczeniu – tak jak to już zauważyła z zewnątrz, był to swego rodzaju składzik albo magazyn z mnóstwem metalowych szafek i regałów, z pożółkłymi papierowymi teczkami i stosami książek.

Podeszła do pierwszego stosu i podniosła zakurzoną folię. Pod plastikiem ujrzała stos oprawnych w klejonkę książek w twardych okładkach. Na okładce każdej z nich na czerwonym tle widniało białe koło z wpisaną w nią dużą czarną swastyką.

Książka nosiła tytuł *Mein Kampf*, a jej autorem był Adolf Hitler.

Naziści. Corrie opuściła folię, starając się zrobić to bezszelestnie. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Była jak sparaliżowana. Teraz wszystko, co powiedział jej Betterton, zaczęło układać się w logiczną całość. Budynek stał tu od drugiej wojny światowej, okolica była niemiecką enklawą, zabójca, o którym wspominał reporter, miał niemiecki akcent. A teraz to.

To nie byli handlarze narkotyków. To byli naziści – i musieli działać w tym domu od czasów drugiej wojny światowej. Nawet kiedy Niemcy skapitulowały, nawet po sowieckiej okupacji Niemiec Wschodnich i upadku muru berlińskiego oni nadal tu funkcjonowali. To wydawało się niesamowite, niemożliwe, niewiarygodne. Przecież do czasów obecnych wszyscy starzy naziści musieli już powymierać. Kim byli ci ludzie? I co, na Boga, robili tu po tylu latach?

Jeżeli Pendergast o tym nie wiedział – a

podejrzewała, że nie – musiała z konieczności dowiedzieć się jak najwięcej. Poruszała się teraz z najwyższą ostrożnością, jej serce było przyspieszonym rytmem. Choć nie dostrzegła żadnych oznak aktywności, nikogo, kto by tu przychodził albo wychodził z budynku, w domu wciąż mogli znajdować się ludzie. Nie mogła mieć pewności.

W kącie stał stół z jakimiś urządzeniami elektronicznymi, także przykryty brudnym, zakurzonym plastikiem. Uniosła jeden róg folii, powoli, bezgłośnie, by ujrzeć przed sobą elegancką markową radiostację. Następnie skupiła swoją uwagę na szafkach archiwizacyjnych, przypatrując się zamieszczonym na szufladach podpisom. Były po niemiecku, a ona nie znała tego języka. Wybrała jedną z szuflad na chybił trafił, ale okazało się, że jest zamknięta na klucz. Wyjęła narzędzia. W ciągu minuty poradziła sobie z prostym zamkiem i z łatwością wysunęła szufladę. Nic. Szuflada była pusta. Jednak po śladach kurzu pokrywających górne krawędzie szuflady można było się domyślić, że jeszcze do niedawna

coś się w niej znajdowało.

Kilka innych szuflad potwierdzało te przypuszczenia. Jakikolwiek przechowywano tu dokumenty, zostały zabrane i to całkiem niedawno.

Światło latarki ukazało pokój z białymi płytkami na posadzce, suficie i czterech ścianach. Pośrodku do podłogi przymocowane było proste metalowe krzesło, pod którym umieszczono otwór odpływowy. Z nóg i podłokietników krzesła zwisały stalowe kajdanki. W rogu leżał zwinięty szlauch odłączony od zardzewiałego kurka wodociągowego.

Wycofała się, czując, że zbiera się jej na mdłości, i podeszła do drzwi po drugiej stronie piwnicy. Znajdowały się za nimi wąskie schody.

Na podeście u szczytu schodów napotkała kolejne zamknięte drzwi. Nasłuchiwała długo, po czym schwyciła za klamkę i nieznacznie uchyliła drzwi. Korzystając z niezawodnego lusterka, stwierdziła, że dotarła do zakurzonej, nieużywanej kuchni. Pchnięciem otworzyła

drzwi szerzej i rozejrzała się po kuchni, po czym przeszła cicho do jadalni, a stamtąd do wytwornie urządzonego salonu. Ozdobiono go na wzór bawarskiego dworku myśliwskiego – na wyłożonych boazerią ścianach wisiały poroża, meble były masywne, rzeźbione, do tego pejzaże w ciężkich ramach, gabloty ze starymi strzelbami i karabinami. Nad kominkiem górował kosmaty łeb dzika z błyszczącymi poźółkłymi szablami i dzikimi szklanymi ślepiami. Pospiesznie przejrzała zawartość regału i kilku szafek. Wszystkie dokumenty i książki były po niemiecku.

Wyszła na korytarz. Tam przystanęła, prawie nie oddychając i nasłuchując z uwagą. W całym domu było cicho jak makiem zasiał. Wreszcie wspięła się po schodach, pokonując jeden stopień po drugim i przez cały czas nadstawiając uszu. Na podeście pierwszego piętra znowu się zatrzymała, sprawdziła zamknięte drzwi, aż w końcu otworzyła jedne na chybił trafił. Jej oczom ukazał się pokój niemal całkiem pozbawiony mebli, jeśli nie

liczyć pustego metalowego łóżka, stołu, krzesła i regału na książki. Stłuczone okno wychodziło na ogród za domem, na parapecie wciąż lśniły odłamki szkła. Okno było zakratowane.

Sprawdziła inne pokoje na pierwszym piętrze. Wszystkie wyglądały podobnie – same spartańsko urządzone sypialnie. Z wyjątkiem ostatniego. To okazało się zakurzona pracownia fotograficzna i ciemnia, znajdowało się tu także kilka pras drukarskich i prymitywnych kopiarek. Pod jedną ze ścian ułożono sterty miedzianych płyt drukarskich, wiele z nich nosiło wymyślne i urzędowo wyglądające wzory oraz pieczęcie. Wyglądało na to, że w tym warsztacie wyrabiano niegdyś fałszywe dokumenty.

Po wyjściu na korytarz udała się schodami na drugie piętro. Znalazła się na olbrzymim poddaszu podzielonym na dwa pomieszczenia. Pierwsze było bardzo dziwne. Podłogę zaścielały grube, sądząc z wyglądu, perskie dywany. Mnóstwo świec, dużych i grubych, umocowano

w ozdobnych, wolnostojących świecznikach, u których podstawy zwieszały się stalaktyty pokryte dziwaczными żółtozłotymi symbolami, naszytymi lub wyciętymi z grubego filcu: heksagramy, symbole astronomiczne, oczy bez powiek, przeplatające się trójkąty pięcio- i sześcioramienne. U podstawy każdego z tych gobelinów widniało jedno słowo: ARARITA. Trzy marmurowe stopnie w rogu pokoju prowadziły do czegoś, co wyglądało jak ołtarz.

To było tak dziwne i przerażające, że czym prędzej opuściła to miejsce. Jeszcze jeden pokój i na dobre wyniesie się z tego domu.

Rozdygotana przeszła przez niskie wejście do drugiego pomieszczenia na poddaszu. Było tam mnóstwo regałów, niegdyś musiała to być biblioteka albo pokój badań. Teraz jednak regały świeciły pustkami, ściany były gołe, z wyjątkiem jednej, nadzartej przez mole flagi nazistowskiej zwieszającej się luźno przy ścianie.

Pośrodku pokoju stała wielka przemysłowa

niszczarka podłączona do gniazdka przy ścianie i wyglądająca zupełnie nie na miejscu w tej enklawie będącej czymś w rodzaju kapsuły czasu z pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Po jednej stronie stały przekrzywione stosy papieru, a po drugiej pękate czarne worki wypełnione efektami pracy niszczarki. Drzwi szafy przy przeciwległej ścianie były otwarte na oścież.

Pomyślała o pustych szafkach archiwizacyjnych na dole i pustych sypialniach. Cokolwiek się tu odbywało, bardzo szybko przechodziło do historii, to miejsce najwyraźniej metodycznie i nad wyraz skrupulatnie oczyszczano ze wszystkich przechowywanych tutaj obciążających materiałów.

Uświadomiła sobie – z pewnym niepokojem – że jeśli te prace wciąż trwały, mogły zostać podjęte w każdej chwili. To były jedyne dokumenty, jakie pozostały w tym domu. Pendergast bez wątpienia będzie chciał je zobaczyć.

Szybko i po cichu podeszła do stosów papierów, aby

się im przyjrzeć. Większość pochodziła jeszcze z czasów drugiej wojny światowej i miała nazistowskie oznaczenia, włącznie ze swastykami i gotyckim krojem czcionki. Skłęła samą siebie za nieznamość niemieckiego. Przeglądała dokumenty i starała się odkładać na to samo miejsce, skąd je wzięła, w nadziei, że napotka coś, co mogłoby się okazać szczególnie interesujące.

W miarę jak przeszukiwała kolejne stosy, przekładając papiery i kartkując po kilka z nich na próbę, zorientowała się, że dokumenty na spodzie były świeższe niż te na samej górze. Zrezygnowała z wertowania starych dokumentów i skoncentrowała się na nowszych. Wszystkie były po niemiecku, nie mogła zatem oszacować ich znaczenia. Tak czy owak pozbiierała te, które jej zdaniem wydały się najistotniejsze – te, które miały najwięcej pieczęci i oznakowań, oraz te, na których widniały czerwone litery układające się w napis:

STRENG GEHEIM

Napis ten kojarzył się jej z pieczęcią o treści: „Ściśle tajne”.

Nagle jej wzrok wychwycił nazwisko: Esterhazy. Rozpoznała je natychmiast jako panięskie nazwisko zmarłej tragicznie żony agenta Pendergasta, Helen. Pojawiało się wielokrotnie w treści całego dokumentu, a kiedy przejrzała inne pisma, zwróciła uwagę, że w ich treści również je odnalazła. Pozbierała te papiery i włożyła do plecaka.

Po chwili natknęła się na plik dokumentów, które nie były po niemiecku, lecz część z nich zapisano w języku hiszpańskim, a resztę, jak podejrzewała, w języku portugalskim. Znała trochę hiszpański, dlatego większość z tych dokumentów wydawała się jej mało znacząca: faktury, zamówienia, listy wydatków i zwrotów oraz pewna ilość akt medycznych, w których nazwiska pacjentów były zaczernione albo zapisane samymi tylko inicjałami. Wybrała te, które jej zdaniem były najważniejsze, i wcisnęła do coraz bardziej

wyładowanego, teraz niemal pękającego w szwach plecaka...

Usłyszała skrzypnięcie podłogi.

W jednej chwili zastygła w bezruchu, adrenalina wypełniła jej ciało. Znieruchomiała, bacznie nasłuchując. Nic.

Powoli zamknęła plecak i ostrożnie wstała, starając się zrobić to bez najmniejszego dźwięku. Drzwi były tylko lekko uchylone, sączyło się przez nie słabe światło. Wciąż nasłuchiwała i po chwili wychwyciła kolejne skrzypnięcie. Ciche, prawie niesłyszalne... jak odgłos skradających się kroków.

Znalazła się w pułapce na poddaszu, skąd na dół prowadziły tylko jedne wąskie schody. Nie było żadnych okien, nie miała się gdzie ukryć ani dokąd uciec. Nie mogła jednak ulec panice – może to tylko wytwór jej nadmiernie wybujałej wyobraźni. Czekwała w słabym świetle, a wszystkie jej zmysły były wyczulone do ostatnich granic.

Kolejne skrzypnięcie, tym razem wyżej i bliżej niż poprzednie. To nie wyobraźnia – ktoś z całą pewnością był w domu i właśnie wchodził po schodach.

Zafrapowana dokumentami zapomniała, że powinna zachowywać się cicho, wręcz bezszelestnie. Czy ten ktoś na schodach ją usłyszał?

Z największą ostrożnością przeszła przez pomieszczenie do szafy przy najdalszej ścianie. Żadna deska nie zaskrzypiała. Wślizgnęła się do środka, przymknęła delikatnie drzwi, nie zamykając ich jednak zupełnie, i przycupnęła skulona w ciemnościach. Serce tłukło jej się w piersi tak mocno, że obawiała się, iż intruz może to usłyszeć. Kolejne ukradkowe skrzypnięcie, a potem cichy jęk. Drzwi do pomieszczenia otworzyły się. Wyjrzała z szafy, niemal całkiem wstrzymując oddech. Po dłuższej chwili ciszy do pokoju weszła jakaś postać.

Wstrzymała oddech. Mężczyzna był ubrany na czarno, nosił okulary o okrągłych, przyciemnionych szklach, nie mogła dostrzec twarzy. Włamywacz?

Podszedł na środek pokoju, stanął i wyjął pistolet. Odwrócił się do szafy, uniósł pistolet i wycelował w uchylone lekko drzwi.

Corrie zaczęła gorączkowo szperać w plecaku.

– Wyjdź stamtąd, bardzo proszę – rzekł mężczyzna z silnym akcentem.

Po dłuższej chwili wstała i uchyliła drzwi szafy na oścież. Mężczyzna uśmiechnął się. Zwolnił kciukiem bezpiecznik i powoli uniósł broń do strzału.

– *Auf Wiedersehen* – powiedział.

Agent specjalny Pendergast siedział na skórzanej kanapie w pokoju gościnnym swojego apartamentu w Dakocie. Rozcięcie na jego policzku zostało oczyszczone i pozostała po nim tylko słaba czerwona szrama. Constance Greene ubrana w biały kaszmirowy sweter i kraciatą, koralowej barwy spódnicę do kolan siedziała obok niego. Łagodne światło wypełniło pokój, wypływając zza agatowych instalacji w kształcie muszli rozmieszczonych tuż poniżej gzymsów sufitowych. W pokoju nie było okien. Trzy ściany pomalowano na ciemny róż. Po czwartej, którą w całości pokryto czarnym marmurem, spływała cienka strużka wody i szemrząc cicho, wpadała do zbiornika u podstawy ściany, gdzie na powierzchni unosiły się kwiaty lotosu.

Na stoliku z brazylijskiego kapajowca stał żelazny imbryk z herbatą i dwie niewielkie filiżanki wypełnione zielonym naparem. Mężczyzna i kobieta rozmawiali po

cichu, ich głosów prawie nie było słyhać pośród szemrania ściennego wodospadu.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego zeszłej nocy puściłeś go wolno – mówiła Constance. – Przecież to oczywiste, że mu nie ufasz.

– Nie ufam mu – przyznał Pendergast. – Ale w tej sprawie mu wierzę. Mówił prawdę o Helen tam, na Grzędawisku, i teraz także. Poza tym – dodał jeszcze cichszym tonem – on wie, że jeżeli nie dotrzyma słowa, i tak go dopadnę. Cokolwiek by się działo.

– A jeżeli tobie się nie uda – odezwała się Constance – ja to zrobię.

Pendergast spojrział na swoją podopieczną. W jej oczach po raz pierwszy dostrzegł przez moment błysk chłodnej nienawiści. Natychmiast zorientował się, że mogło to oznaczać poważny problem.

– Jest wpół do szóstej – powiedziała, spoglądając na zegarek. – Za pół godziny... – Przerwała. – Jak się czujesz, Aloysiusie?

Pendergast nie odpowiedział od razu. W pierwszej chwili zmienił nieznacznie pozycję.

– Muszę ci się przyznać, że odczuwam wyjątkowo nieprzyjemny i deprymujący niepokój.

Constance popatrzyła na niego z z troskaniem.

– Po dwunastu latach... jeżeli prawdą jest, że twoja... żona zdołała oszukać śmierć... dlaczego przez cały ten czas nie skontaktowała się z tobą? Wybacz, Aloysiusie, ale po co... czemu ma służyć cały ten potworny, jakże skomplikowany mechanizm kłamstw?

– Nie wiem. Mogę jednak się domyślać, że ma to jakiś związek z tym Przymierzem, o którym wspominał Judson.

– A jeżeli ona wciąż żyje... Czy nadal będziesz w niej zakochany?

– Tego także nie wiem – odparł Pendergast tak cichym tonem, że Constance prawie go nie usłyszała.

Zadzwoił stojący na stole telefon i Pendergast sięgnął po niego.

– Tak?

Słuchał przez chwilę, po czym odłożył słuchawkę. Odwrócił się do Constance.

– Porucznik D’Agosta jest już w drodze na górę. – Przerwał na chwilę, po czym dodał: – Constance, mam do ciebie prośbę. Jeżeli nie zniesiesz dłużej pobytu w zamknięciu, proszę cię, daj mi znać, a sprowadzę dziecko i odkręcę całą tę sprawę. Nie musimy... postępować zgodnie z planem.

Uciszyła go łagodnym gestem, jej twarz złagodniała.

– Będziemy dalej działać zgodnie z planem. Poza tym z przyjemnością wrócę do Mount Mercy. Może wydawać się to dziwne, ale czuję się tam naprawdę jak w domu. Nie przepadam za światem zewnętrznym pełnym niepewności i ciągłego pośpiechu. Ale powiem jedno. Teraz już wiem, że się pomyliłam. Popełniłam błąd, patrząc na dziecko jak na syna twojego brata. Powinnam była od samego początku myśleć o chłopcu jak o bratanku mojego... najukochańszego opiekuna. – I uścisnęła go za rękę.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Pendergast wstał i otworzył je. W progu stał D'Agosta, twarz miał posępną i pełną powagi.

– Dziękuję, że się zjawieś. Czy wszystko przygotowane?

D'Agosta pokiwał głową.

– Samochód czeka na dole. Powiedziałem doktorowi Ostromowi, że Constance wraca do zakładu. Ten nieszczęsny głupiec omal nie dostał zawału z radości.

Pendergast wyjął z szafy płaszcz z wigonia, nałożył go i pomógł Constance, aby włożyła swój płaszcz.

– Vincencie, dopilnuj proszę, by doktor Ostrom w pełni zrozumiał, że Constance wraca tam z własnej woli, a jej oddalenie się od ośrodka nie było ucieczką, lecz porwaniem, zaplanowanym i przeprowadzonym wyłącznie przez fałszywego lekarza psychiatrę podającego się za doktora Poole'a, którego, nawiasem mówiąc, wciąż szukamy, jak dotąd bez powodzenia.

D'Agosta pokiwał głową.

– Zajmę się tym.

Wyszli z apartamentu, po czym wsiedli do czekającej windy.

– Kiedy wrócicie do Mount Mercy, upewnij się, żeby przydzielono jej ten sam pokój co poprzednio, ze wszystkimi książkami, meblami i notatnikami. Gdyby tego nie zrobili, zaprotestuj zdecydowanie.

– Gdyby to było konieczne, urządzę im prawdziwe piekło, możesz być pewien.

– Doskonale, mój drogi Vincencie.

– Ale... niech to szlag, nie uważasz, że powinienem ci towarzyszyć podczas tej wizyty na przystani? Na wypadek gdyby pojawiły się jakieś problemy?

Pendergast pokręcił głową.

– W innych okolicznościach, Vincencie, chętnie przyjąłbym twoją pomoc. Jednak bezpieczeństwo Constance jest zbyt ważne. Ma się rozumieć, jesteś uzbrojony?

– Oczywiście.

Winda zjechała na parter, drzwi rozsunęły się z cichym szelestem. Wyszli przez południowo-zachodni hol i minęli wewnętrzny dziedziniec.

D'Agosta zmarszczył brwi.

– Esterhazy mógł zastawić pułapkę.

– Wątpię, ale zamierzam podjąć niezbędne środki ostrożności. Na wypadek gdyby ktoś próbował nam przeszkodzić.

Przeszli przez bramę wjazdową i tunelem dotarli na Siedemdziesiątą Drugą Ulicę. Przy wartowni stał nieoznakowany samochód z włączonym silnikiem i mundurowym funkcjonariuszem za kierownicą. D'Agosta rozglądał się przez chwilę, po czym otworzył tylne drzwiczki i przytrzymał je dla Constance.

Odwróciła się do Pendergasta i pocałowała go czule w policzek.

– Uważaj na siebie, Aloysiusie – wyszeptała.

– Skontaktuję się z tobą, najszybciej jak to będzie możliwe – zapewnił.

Raz jeszcze ścisnęła go za rękę i wsiadła do samochodu. D'Agosta zamknął za nią drzwiczki i podszedł do auta z drugiej strony. Ponownie spojrzał na Pendergasta z przejęciem i powagą.

– Pilnuj swojego tyłka, partnerze.

– Postaram się pójść za twoją radą, w przerośni, ma się rozumieć.

D'Agosta wsiadł i po chwili samochód odjechał. Pendergast patrzył, jak auto rozplywa się w gęstniejącym mroku. Następnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął małe zestaw słuchawkowy Bluetooth i włożył do ucha. Z rękami w kieszeniach płaszcza przeszedł przez szeroką ulicę na drugą stronę, do Central Parku, i ruszył krętą ścieżką, kierując się w stronę niewielkiego stawu znanego jako Conservatory Water.

Na pięć minut przed szóstą wieczorem Central Park wyglądał jak urokliwe, senne miejsce wyjęte z obrazów Magritte'a: niebo było przepełnione jasnym światłem, drzewa i alejki poniżej spowijał gęsty półmrok. Z nadejściem wieczoru puls miasta zaczął wyraźnie zwalniać, taksówki sunęły leniwie po Piątej Alei, a taksiarzom nawet nie chciało się już używać klaksonów.

Przystan i hangar Kerbs Memorial wyglądały jak konstrukcje z cegieł i pokrytej nalotem zaśnieżonej miedzi przy gładkiej jak lustro powierzchni stawu. Nieco dalej poza szpalerem drzew, ciężkich od kolorowych jesiennych liści, rozciągał się monolityczny przestwór Piątej Alei, kamienne blanki różowiły się w odbitym świetle zachodzącego słońca.

Agent specjalny Pendergast przeszedł pomiędzy drzewami wiśni na Pilgrim Hill i przystanął wśród głębokich cieni, aby zlustrować wzrokiem przystan i

okolice. Był wyjątkowo ciepły jesienny wieczór. Owalny staw wydawał się całkiem spokojny, w jego tafli jak w lustrze odbijało się karminowo-cynobrowe niebo. Kafejka przy przystani była już o tej porze zamknięta i tylko garstka niedoszłych żeglarzy nad brzegiem stawu pracowała zawzięcie przy swoich pieczołowicie wykonanych modelach jachtów i żaglówek. Kilkoro dzieci siedziało lub wylegiwało się obok nich, leniwie mącąc dłońmi wodę i wpatrując się w nieduże modele.

Pendergast powoli okrążył staw, mijając rzeźbę Alicji w krainie czarów, i zbliżył się do przystani. Na kamiennym murku otaczającym niewielkie jezioro stał skrzypek z otwartym futerałem na instrument, leżącym u jego stóp, i niemiłosiernie kaleczył *Opowieści lasku wiedeńskiego* taką ilością rubato, że dźwięki muzyki były prawie nie do zniesienia. Na jednej z ławeczek przy przystani siedziała para młodych ludzi, trzymając się za ręce, tuląc się i szepcząc coś do siebie. Obok nich leżały dwa identyczne plecaki. Na ławeczce opodal siedział

Proctor ubrany w garnitur z czarnej serży i udawał, że czyta „Wall Street Journal”. Sprzedawca kasztanów i gorących precli zamknął już swój kramik, a wśród głębokich cieni za hangarem dla łodzi, przy kępie rododendronów bezdomny szykował kartonowe pudło, aby urządzić w nim posłanie. Alejkami w stronę Piątej Alei zmierzały coraz mniej liczne o tej porze grupki przechodniów i spacerowiczów.

Pendergast dotknął słuchawki w uchu.

– Proctor?

– Tak jest, sir.

– Coś nie tak?

– Nie, sir. Wszystko gra. Cisza i spokój. Dwa zakochane gołąbki, które najwyraźniej żyć bez siebie nie mogą. Menel, który właśnie skończył grzebać po śmietnikach w poszukiwaniu czegoś na kolację. A teraz chyba postanowił udać się na spoczynek z butelką taniego jabola. Grupka studentów malowała jezioro, ale poszła sobie stąd jakiś kwadrans temu. Ostatni modelarze

jachtowi właśnie pakują swój sprzęt. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

– Doskonale.

Gdy tak rozmawiali, Pendergast mimowolnie zacisnął dłonie w pięści. Teraz rozwarł je powoli i rozprostował palce. Z niemałym wysiłkiem zmusił swoje serce, aby spowolniło rytm i zaczęło bić w normalnym tempie. Zacerpnął głęboki oddech, wyszedł na otwartą przestrzeń i szybkim krokiem dotarł do niskiego murku okalającego parkowy staw.

Znów spojrzał na zegarek – punkt szósta. Rozejrzał się wokoło i nagle znieruchomiał.

Od strony fontanny Bethesda zbliżały się w jego stronę dwie postacie, niewyraźne, bo pod ciemnym baldachimem drzew panował gęsty półmrok. Postacie minęły East Drive, Trefoil Arch i pomnik Hansa Christiana Andersena. Czekał z rękami opuszczonymi wzdłuż boków i starał się nie wykonywać żadnych gwałtowniejszych ruchów. Obok niego mały chłopiec

zaśmiał się radośnie, gdy dwa modele jachtów zderzyły się, wpływając do portu.

Postacie odcinające się na tle wieczornego nieba przystanąły po drugiej stronie Conservatory Water, spoglądając w jego stronę. Jedną z postaci był mężczyzna, drugą – kobieta. Kiedy znów oboje ruszyli, okrążając jezioro i zmierzając w jego stronę, dostrzegł coś w tej kobiecie, w jej postawie, sylwetce, sposobie poruszania się, co sprawiło, że na moment serce w jego piersi zamarło. Wszystko wokół niego – modelarze, młodzi kochankowie, skrzypek i cała reszta – zniknęło, kiedy jego wzrok padł na tę kobietę. Gdy postacie pokonały skraj jeziora i na moment znalazły się w miejscu oświetlonym promieniami zachodzącego słońca, Pendergast ujrzał wyraźnie jej twarz.

Czas nagle jakby stanął w miejscu. Agent był jak sparaliżowany. Nie mógł się poruszyć. Po krótkiej chwili kobieta odłączyła się od mężczyzny i pełnym wahaniami krokiem ruszyła w jego stronę.

Czy to naprawdę Helen? Gęste kasztanowe włosy wydawały się takie same, krótsze, ale gęste i błyszczące, takie, jakie je zapamiętał. Była tak szczupła jak wtedy, kiedy się poznali, może nawet bardziej, a jej długie kończyny poruszały się ze swobodą i gracją, którą z taką przyjemnością wspominał. Dopiero gdy podeszła bliżej, zwrócił uwagę na pewne zmiany: kurze łapki w kącikach niebieskofiołkowych oczu, tych oczu, które patrzyły na niego niewidzącym wzrokiem tamtego strasznego dnia wśród afrykańskich drzew gorączkowych. Jej skóra, opalona i pokryta drobnymi piegami, wydawała się blada, wymizerowana.

Zamiast typowej pewności siebie, która emanowała z niej jak żar ze słońca, sprawiała wrażenie osoby przybitej i zdruzgotanej zmiennymi kolejami losu.

Zatrzymała się o kilka kroków od niego i spojrzeli na siebie nawzajem.

– To naprawdę ty? – zapytał ochrypłym głosem.

Kobieta spróbowała się uśmiechnąć, ale był to tęskny,

nieomal smutny uśmiech.

– Tak mi przykro, Aloysiusie. Tak bardzo mi przykro.

Kiedy się odezwała i znów usłyszał jej głos, który przez tak wiele lat słyszał jedynie w snach, Pendergast przeżył kolejny wstrząs. Po raz pierwszy w życiu stracił opanowanie, spokój i pewność siebie, nie był w stanie myśleć, nie potrafił wykrztusić z siebie ani słowa.

Podeszła do niego i opuszką jednego palca dotknęła skaleczenia na jego policzku. A potem spojrzała poza niego, ku wschodowi, i wskazała ręką. Podążył wzrokiem za jej gestem, spoglądając pomiędzy drzewami w parku i w stronę Piątej Alei. Tam właśnie, pomiędzy strzelistymi budynkami, po niebie wznosiła się żółtawa tarcza księżyca w pełni.

– Spójrz – wyszeptała. – Po tych wszystkich latach wciąż mamy nasze wschody księżyca.

To zawsze stanowiło ich tajemnicę: poznali się w czasie pełni księżyca i przez tych parę lat, kiedy byli razem, stało się ich zwyczajem graniczącym nieomal z

rytuałem, że robili wszystko, aby przynajmniej raz w miesiącu móc być razem tylko we dwoje i wspólnie obserwować wschód księżyca.

Teraz Pendergast upewnił się w tym, co już wcześniej podpowiadało mu serce: ta kobieta to naprawdę Helen.

Judson Esterhazy trzymał się na dyskretną odległość od tej pary, a teraz stanął w cieniu, pod dachem hangaru dla łodzi. Czekał z rękami w kieszeniach kurtki, obserwując tę sielankową scenę. Skrzypek skończył grać walca i gładko przeszedł do sentymentalnej interpretacji standardu *Moon River*.

Strach Esterhazyego przed Przymierzem nieznacznie osłabł. Tamci wiedzieli już, że Helen żyje, i byli bardzo potężni, jednak w Pendergaście znalazł naprawdę silnego sojusznika. Teraz wszystko będzie dobrze.

Kilkanaście metrów dalej ostatni modelarz wyciągnął swój jacht z wody i zaczął go rozbierać, wkładając poszczególne elementy do aluminiowej aktówki wyłożonej pianką z wyciętymi odpowiednio otworami. Esterhazy patrzył, jak Pendergast i Helen przechodzą wzdłuż brzegu stawu. Po raz pierwszy w całym swoim życiu poczuł ogromną, nieopisaną ulgę, że w końcu zdołał

odnaleźć wyjście z diabelskiego labiryntu, w którym ugrzązł od wczesnego dzieciństwa. To wszystko stało się tak nagle, że aż trudno mu w to było uwierzyć. Czuł się prawie jak odrodzony.

Jednak pomimo tej sielankowej sceny Esterhazy wciąż nie mógł uwolnić się od starej, odwiecznej, nieprzeparte trwogi. Nie potrafił powiedzieć dlaczego – przecież nie było żadnego powodu do niepokoju. Przymierze nie mogło dowiedzieć się o miejscu tego spotkania. Bez wątpienia jego lęki wynikały z zadawnionych nawyków.

Ruszył wolnym krokiem w ślad za tamtą dwójką, trzymając się w pewnym oddaleniu, pozwalając, by mogli się nacieszyć choć przez chwilę odrobiną prywatności. Apartamentowiec Dakota znajdował się niedaleko stąd, po drugiej stronie parku, parę minut spacerem po uczęszczanych alejkach. Teraz jednak... Doszedł go cichy szmer ich głosów, gdy wolno okrążali niewielki staw.

Kiedy znowu zbliżyli się do hangaru dla łodzi, Pendergast sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął z kieszeni obrączkę, złotą obrączkę z osadzonym w niej dużym gwiazdnym szafirem.

– Poznajesz? – zapytał.

Na jej twarzy pojawiły się rumieńce.

– Nie spodziewałam się, że jeszcze ją kiedyś zobaczę.

– A ja nigdy nie sądziłem, że będę mógł ponownie włożyć ją na twój palec. Dopóki Judson nie powiedział mi, że żyjesz. Wiedziałem, po prostu wiedziałem, że on mówi prawdę, nawet kiedy nikt inny mi nie uwierzył.

Sięgnął po jej lewą rękę, a jego dłonie zadrżały delikatnie, gdy przygotowywał się, by włożyć obrączkę na jej serdeczny palec. Kiedy jednak uniósł jej ramię, znieruchomiał. Nie miała lewej dłoni. Został tylko kikut zakończony postrzępioną zygzakowatą blizną.

– Ale dlaczego twoja ręka...? Sądziłem, że twoja siostra...

– Wszystko poszło nie tak. To była straszna

katastrofa, sprawa jest zbyt skomplikowana, abym mogła teraz wszystko ci wyjaśnić.

Popatrzył na nią.

– Helen – powiedział. – Dlaczego w ogóle zdecydowałaś się na ten zabójczy plan? Czemu ukrywałaś przede mną różne rzeczy: poszukiwania Czarnego Obrazu, swoją fascynację Audubonem, sprawę rodziny Doane'ów i całą resztę? Dlaczego nie spróbowałaś...?

Opuściła rękę.

– Proszę, nie rozmawiajmy o tym. Nie teraz. Później... będziemy mieć na to później mnóstwo czasu.

– Ale Emma, twoja siostra bliźniaczka... czy wiesz, że została poświęcona za ciebie?

Zbladła jak płótno.

– Dowiedziałam się o tym... kiedy już było po wszystkim.

– Ale przez te wszystkie lata ani razu nawet nie spróbowałaś się ze mną skontaktować. Jak mam...

Położyła jedyną dłoń na jego ramieniu.

– Przestań, Aloysiusie. Wszystko miało swoje przyczyny. To okropna historia, naprawdę straszna. Opowiem ci ją. Opowiem ci wszystko. Ale teraz nie czas na to ani miejsce. Chodźmy już stąd. Proszę, idźmy już.

Próbowała się uśmiechnąć, ale twarz wciąż miała białą jak ściana. Uniosła drugą rękę, a on bez słowa wsunął obrączkę na jej serdeczny palec. Równocześnie otaksował wzrokiem całą okolicę. Nic się nie zmieniło. Od strony zbiornika wodnego zbliżało się dwóch miłośników joggingu. Jakieś dziecko płakało, bo zaplątało się w smycz rozszczekanego yorkshire terriera. Skrzypek wciąż rzępolił w najlepsze.

Spojrzenie Pendergasta padło na ostatniego modelarza pakującego swoją łódkę do metalowej aktówki. Trzęsły mu się ręce i pomimo chłodu na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

W ułamku sekundy przez umysł agenta przemknęło kilkanaście myśli – podejrzenie, które przerodziło się w pewność, a z tej zrodziła się decyzja.

Zachowując spokój i opanowanie, odwrócił się do Esterhazyego i jakby od niechcienia przywołał go do siebie ruchem ręki.

– Judsonie – mruknął. – Zabierz stąd Helen. Wyprowadź ją stąd. Zrób to spokojnie, ale jak najszybciej.

Helen spojrzała na niego z zakłopotaniem.

– Aloysiusie, co...

Pendergast uciszył ją ruchem głowy.

– Zaprowadź ją do Dakoty. Tam się spotkamy. Dołączę do was. Idźcie już. Proszę.

Gdy zaczęli się oddalać, Pendergast spojrzał na Proctora siedzącego na ławeczce sto metrów dalej.

– Mamy problem – powiedział cicho do słuchawki.

A potem ruszył w stronę brzegu stawu, w kierunku modelarza, który wciąż mocował się ze swoją aktówką. Kiedy go mijał, przystanął, jednym okiem popatrując na idących przed nim Esterhazyego i Helen.

– Piękna łódź – powiedział. – Słup czy kecz?

– Cóż – mężczyzna popatrzył na niego tępym

wzrokiem – jestem w tym względnie nowy. Nie znam się za bardzo.

Szybkim, swobodnym ruchem Pendergast wyjął czterdziestkępiątkę i wycelował w mężczyznę.

– Wstań – nakazał – tylko powoli. I trzymaj ręce tak, żebym je widział.

Mężczyzna spojrział na niego dziwnie pustym wzrokiem, twarz miał zupełnie bez wyrazu.

– Oszalał pan?

– Zrób to.

Modelarz zaczął się podnosić. Nagle błyskawicznym ruchem wyszarpnął spod kurtki rewolwer. Pendergast powalił mężczyznę jednym strzałem; ryk czterdziestki piętki rozdarł wieczorną ciszę.

– Uciekajcie! – krzyknął do Esterhazyego i Helen.

W jednej chwili rozpętało się piekło. Dwoje kochanków poderwało się na nogi, wyciągnęło z plecaków dwa pistolety TEC-9 i otworzyło ogień do Esterhazyego, który zaczął biec, ciągnąc za rękę Helen.

Kule z broni automatycznej zwały go z nóg. Esterhazy upadł z głośnym krzykiem, orząc rękami powietrze. Helen zatrzymała się i odwróciła.

– Judsonie! – krzyknęła pośród ogólnego zamieszania.

– Nie zatrzymuj się! – wychrypiał, dławiąc się, rżąc i zwijając się na trawie. – Bieg...

Dosięgły go kolejne kule i bezwładnie runął na wznak, nieruchomiejąc na trawniku.

Wszędzie biegali ludzie, szlochając i krzycząc przeraźliwie. Pendergast powalił mężczyznę, tego z pary kochanków, strzałem z czterdziestki, biegnąc w kierunku Helen. Proctor zerwał się z miejsca i z beretty 93R, która nagle pojawiła się w jego dłoni, strzelił do towarzyszki zamachowca, która wskoczyła za ławkę, używając jako osłony ciała swojego towarzysza. Gdy Pendergast próbował wycelować do niej, kątem oka dostrzegł bezdomnego podnoszącego się ze swojego kartonowego legowiska i wyjmującego ukrytą w gąszczu

krzewów strzelbę.

– Proctorze! – zawołał Pendergast. – Bezdomy...!

Ale strzał huknął, zanim jeszcze Pendergast skończył mówić. Proctor, który właśnie się odwracał, został dosłownie zbity z nóg impetem trafienia i poleciał do tyłu, a beretta z trzaskiem spadła na ziemię; Proctor runął ciężko, jego ciałem targnęły konwulsje i znieruchomiał.

Kiedy bezdomy odwrócił się, by strzelić do Pendergasta, agent powalił go strzałem w pierś i mężczyzna bezwładnie upadł do tyłu, w gąszcz krzewów.

Pendergast rozejrzał się za Helen, niską postacią sto metrów przed nim, otoczoną przez uciekających ludzi. Wciąż pochylała się nad leżącym na ziemi bratem i szlochała rozpaczliwie, podtrzymując jego głowę jedyną ręką.

– Helen! – zawołał, znów podbiegając w jej stronę. – Piąta Aleja! Kieruj się w stronę Piątej Alei!

Zza ławki huknął strzał i Pendergast poczuł potworne uderzenie w plecy. Wielkokalibrowy pocisk powalił go na

ziemię, oszalamiając impetem trafienia. Kamizelka kuloodporna, którą miał na sobie, powstrzymała kulę, ale i tak uderzenie wycisnęło mu powietrze z płuc. Przetoczył się po ziemi, pokaszując, i z pozycji leżącej odpowiedział ogniem do kobiety za ławeczką. Helen w końcu się podniosła i ruszyła biegiem w stronę ulicy. Jeżeli będzie ją osłaniał i zasypie strzałami kobietę zamachowca, Helen powinna bez przeszkód dotrzeć do Piątej Alei.

Kobieta za ławką oddała kolejny strzał i kula wzbiła kaskadę grud ziemi o kilka centymetrów od twarzy Pendergasta. Odpowiedział ogniem i usłyszał, jak kula rykoszetuje od metalowej ramy ławeczki. Kolejny strzał padł spomiędzy listewek; agent poczuł podmuch powietrza na policzku, gdy kula przeleciała ze świstem obok jego głowy i wryła się w jego łydkę. Ignorując palący ból, Pendergast zebrał się w sobie, zrobił wydech i oddał jeszcze jeden strzał. Tym razem kula przeleciała między listewkami ławki, trafiając przyczajoną za nią kobietę prosto w twarz; zabójczyni wyrzuciła bezwładnie

ręce w geście zdumienia i upadła do tyłu.

Strzały ucichły.

Pendergast otaksował wzrokiem miejsce rzezi. Wokół niego w bezruchu spoczywało sześć ciał – dwojga kochanków, fałszywego modelarza, bezdomnego, Proctora i Esterhazyego. Wszyscy inni uciekli w popłochu z krzykiem i szlochem. W oddali agent wciąż widział sylwetkę Helen biegnącej w stronę kamiennej bramy prowadzącej do Piątej Alei. Z oddali dochodził już jęk syren. Agent podniósł się, by podążyć za Helen; kuśtykał powoli ze zranioną nogą. I wtedy spostrzegł jeszcze dwóch miłośników joggingu, którzy przystanęli i pobiegli w drugą stronę, kiedy wybuchła strzelanina, a teraz zmierzali prosto na Helen. I nie biegli już truchtem, tylko gnali sprintem.

– Helen! – zawołał, mijając przystań tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to zraniona noga. Z przedziurawionej kuli łydki lała się krew. – Uważaj! Po lewej!

Kiedy biegnąca Helen znalazła się w ciemnościach między drzewami, odwróciła się i natychmiast zorientowała się, że biegacze próbują odciąć jej drogę do bramy. Opuściła ścieżkę i skierowała się w stronę pobliskiego zagajnika.

Dwaj biegacze pospieszyli w ślad za nią. Pendergast uświadomił sobie, że nie zdoła jej dogonić, przyklęknął więc na zdrowej nodze, złożył się do strzału i wypalił ze swojej czterdziestkopiątki. Cel jednak znajdował się ponad sześćdziesiąt metrów dalej i szybko się poruszał, trafienie go było prawie niemożliwe. Strzelił ponownie, po czym w akcie desperacji oddał ostatni strzał, opróżniając magazynek, ale i tym razem chybił. Helen gnała w stronę jaworów rosnących wzdłuż granicy Central Parku. Wściekłym ruchem Pendergast wyjął z kolby pistoletu pusty magazynek i załadował pełny.

Rozległ się głośny krzyk, kiedy dwaj biegacze dopadli Helen. Jeden przewrócił ją, drugi przytrzymał, a potem obaj brutalnie postawili ją z powrotem na nogi.

– Aloysiusie! – dobiegło go jej rozpaczliwe wołanie.
– Pomocy! Ja znam tych ludzi! Der Bund – Przymierze!
Oni mnie zabijają! Pomóż mi, błagam!

Powlekli ją z powrotem w stronę bramy wiodącej na Piątą Aleję. Z jękiem wściekłości Pendergast chwiejnie podniósł się z klęczek i zataczając się, ruszył naprzód resztkami sił, z trudem utrzymując się na nogach. Jego rana obficie krwawiła, ale nie zważał na to i kuśtykając, brnął uparcie przed siebie.

Zobaczył, dokąd zmierza dwóch rzekomych miłośników joggingu: przy chodniku na Piątej Alei stała taksówka. Nie miałby szans dobiec do niej, ale samochód stanowił przynajmniej większy cel i łatwiejszy do trafienia.

Ponownie ukląkł, aż zakręciło mu się w głowie, po czym strzelił, lecz kula z głośnym łoskotem uderzyła w boczną szybę i odbiła się od niej rykoszetem. Samochód był opancerzony. Pendergast wycelował niżej, w opony, i oddał jeszcze dwa strzały, jednak kule zrykoszetowały od

pancernych kołpaków, nie uszkadzając opon.

– Aloysiusie! – krzyknęła Helen, gdy dwaj biegacze dotarli do taksówki i otworzyli na oścież tylne drzwiczki. Wepchnęli ją do środka i sami też wsiedli zaraz za nią.

– *Los, verschwinden wir hier!* – Pendergast usłyszał wołanie jednego z biegaczy. – *Gib Gas!*

Drzwiczki taksówki zamknęły się z trzaskiem. Pendergast znieruchomiał, wycelował pieczołowicie, przygotowując się, by jeszcze raz spróbować przestrzelić którąś z opon – ale właśnie wtedy wóz ruszył z miejsca, nabierając gwałtownie prędkości, i ostatni pocisk z wizgiem odbił się od opancerzonej karoserii.

– Helen! – zawołał. – Nie!

Ostatnim obrazem, jaki zarejestrował, zanim czarna mgła zasnęła mu wzrok, był widok taksówki znikającej wśród morza identycznych taksówek kierujących się Piątą Aleją na południe. Gdy ciemność spowiła go gęstniejącym kokonem, pośród przybierającego na sile zawodzenia syren raz jeszcze wyszeptał: „Helen”.

Odnalazł Helen Esterhazy Pendergast tylko po to, by ponownie ją utracić.